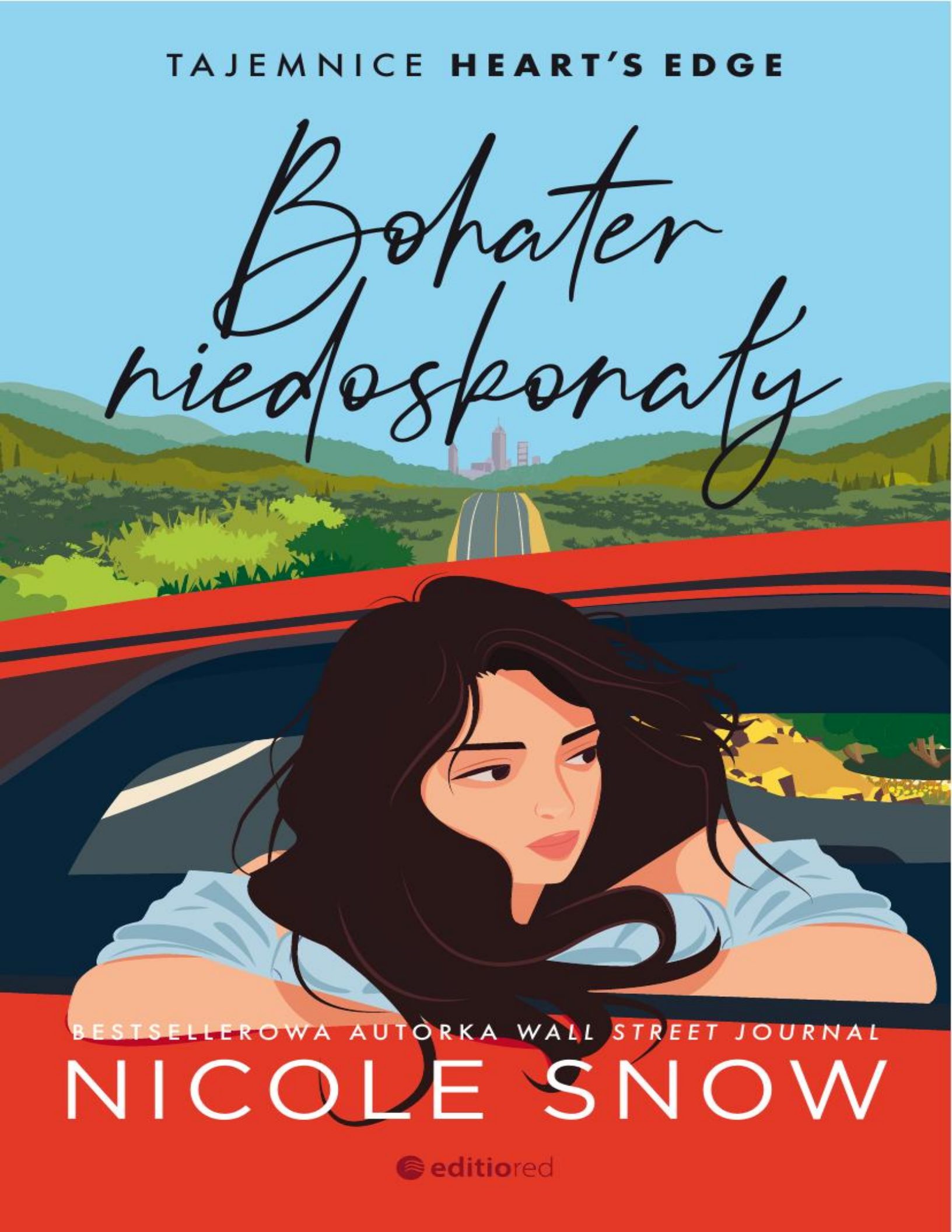


TAJEMNICE HEART'S EDGE

# Bohater nieodsporny

The background of the cover features a stylized illustration. At the top, a light blue sky transitions into a landscape of rolling green hills. A road with a yellow center line leads towards a city skyline in the distance. In the foreground, a woman with long, dark, wavy hair is lying down, her head resting on her hand. She is wearing a light blue, short-sleeved top. The scene is framed by a red border at the bottom.

BESTSELLEROWA AUTORKA WALL STREET JOURNAL

NICOLE SNOW

 editored

NICOLE SNOW

# Bohater niedoskonały

Miasteczko Heart's Edge

Tom I

 editio

## STRONA REDAKCYJNA

Tytuł oryginału: No Perfect Hero (Heroes of Heart's Edge #1)

Tłumaczenie: Marta Czub

ISBN: 978-83-283-9156-7

Copyright © 2019. NO PERFECT HERO by Nicole Snow

Polish edition copyright © 3 by Helion S.A.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione.

Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście

są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką.

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci

— żyjących obecnie lub w przeszłości

— oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych,

miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

[https://editio.pl/user/opinie/bonmh1\\_ebook](https://editio.pl/user/opinie/bonmh1_ebook)

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

[Poleć książkę na Facebook.com](#)

[Księgarnia internetowa](#)

[Kup w wersji papierowej](#)

[Lubię to! » Nasza społeczność](#)

[Oceń książkę](#)

## ROZDZIAŁ 1. JAZDA Z OPUSZCZONYM DACHEM (HALEY)



Nie ma to jak jazda wzdłuż północno-zachodniego wybrzeża z opuszczonym dachem i letnim wiatrem we włosach, żeby dziewczyna znów mogła poczuć się jak człowiek.

Pewnie, trąci banałem.

Typowy dziewczyński *road trip*, ja i moja siostrzenica w kabriolecie oraz koktajl

truskawkowy co sto pięćdziesiąt kilometrów, skąpane w promieniach słonecznych, jakby sam Zeus posyłał nam całusy. Do bólu idealnie.

Można by niemal pomyśleć, że zupełnie nie uciekam od problemów, czmychając gdzie pieprz rośnie w *poszukiwaniu samej siebie* po potwornym zawodzie miłosnym.

Ale kiedy przytąpujesz narzeczonego w przebieralni ze swoją najlepszą przyjaciółką i druhną w jednym, a jej brzydka sukienka, za którą *sama zapłaciłaś*, jest zadarta do bioder, zaś jego niedopasowany smoking kłębi się wokół kostek...

Zastługujesz na prawo do banału.

Powiedziałabym nawet, że zasłużyłam na znacznie więcej.

Zwłaszcza kiedy w skrzynce odbiorczej znalazłam wypowiedzenie.

*Restrukturyzacja*. Tak ujęto zwolnienia w ogromnej, pozbawionej duszy megakorporacji, którą określałam mianem swojej pracy zarobkowej. Znalazłam się za drzwiami z zakłopotanym uściskiem i czymś w rodzaju wy-mamrotanych przeprosin od mojego zwierzchnika.

A potem — dopiero potem — wszystko kompletnie się posypało.

Moja dodatkowa robota — i prawdziwa pasja — poszła się walić, kiedy galeria, z którą współpracowałam, praktycznie wywaliła moje obrazy na śmietnik.

Nie sprzedają się, powiedzieli. Brak zainteresowania.

Równie dobrze mogli wpaść w szal na miarę Angeli Bassett.

*Zabieraj swoje śmieci i się wynoś.*

Więc zabrałam swoje śmieci.

Zapakowałam je na tył pożyczonego od siostry klasycznego kabrioletu — ładnego forda mustanga z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku w metalicznym kolorze nocnego nieba. Porwałam dziesięcioletnią córkę siostry, Tarę, bo i tak jest lepszą kompanką niż zadająca cios w plecy, kradnąca naręczonych przyjaciółka.

I skoro tkwię już po pas w banale, żałuję, że nie wyjeżdżamy właśnie z Vegas.

Ale tak naprawdę wyjeżdżamy z Seattle, żebym mogła zacząć nowe życie w Chicago. Na miesiąc czy dwa zadekujemy się w wolnym pokoju u mojej koleżanki z czasów studiów, Julie, dopóki nie znajdę pracy i nie będzie mnie stać na własne mieszkanie.

Kiedyś pewnie oddam też dzieciaka.

Za kilka tygodni, gdy jej rodzice wrócą z Hawajów.

Odpowiedzialnością będę się martwić później.

W tej chwili na horyzoncie majaczą góry, wokół rosną wysokie drzewa, wiatr rozwiewa mi włosy, słońce grzeje w plecy, a ja mam wystarczającą urazę do świata, żeby przez jakiś czas nie mieć chęci do podejmowania żadnych poważnych decyzji.

Po dotarciu do Chicago i przejrzeniu miejscowych ofert pracy zastanowię się, co dalej robić. To duże miasto. Mnóstwo możliwości.

Do tego czasu mam zamiar cieszyć się jazdą. Szeroką drogą.

Słodką wolnością, za którą zapłaciłam z góry wściekłym uządleniem w samo serce.

Tara przysypia na miejscu dla pasażera, a ciemnobrązowe włosy chłuszczą jej twarz. Jest dzieckiem słońca, drzemie w upale zwinięta w kłębek jak kot na rozgrzanym latem kamieniu.

Stacja radiowa przeskakuje, gdy zmieniamy strefy zasięgu. Tara porusza się na dźwięk radiowych trzasków, ziewając i trąc oko.

— Ciociu Hay? — mruczy.

Nie cierpię, kiedy tak mnie nazywa. Głównie dlatego, że wtedy czuję się staro, bo w pierwszym odruchu mam ochotę odpowiedzieć: „Hay znaczy siano, to jedzą konie, skarbie” — ale dwadzieścia pięć lat to zdecydowanie za mało, żeby rzucać takimi staropanieńskimi tekstami.

Jednak ona jest zbyt słodka, żeby się czepiać, więc zerkam na nią, odwracając na krótką chwilę wzrok od drogi, i posyłam jej uśmiech.

— Dzieńdoberek.

Mruga zaspana.

— Jest popołudnie... prawda?

— Najwyraźniej nie dla ciebie. — Sprawdzam GPS.

Właśnie przejechałyśmy przez Lolo National Forest i Missoulę po krótkim przystanku w Parku Narodowym Glacier, ze względu na Tarę. Dla widoków podjechałyśmy nad Whitefish. Następny przystanek wypada w Billings. Do Chicago zostanie nam potem może dzień lub dwa drogi, ale jeszcze nie pora na szukanie noclegu.

Mała dłoń Tary zastania rozdziawione w ziewaniu usta.

— Jesteś głodna? Za jakąś godzinę będziemy mogły się chyba gdzieś zatrzymać.

Tara marszczy nos.

— Może. Ale muszę siusiu — skarży się, a ja tłumię parsknięcie.

Jest coś uroczonego w bezwstydnym dziecięcej szczerości.

A mnie odrobina szczerości znów przydałaby się w życiu.

Zerkam ponownie na GPS. Przed nami znajduje się miasteczko bez nazwy, po prostu mała kropka na mapie i oznaczenie zjazdu za jakieś pięć minut.

Powinni mieć tam przynajmniej stację benzynową — oby czystą — lub jakąś restaurację.

Mrużę oczy, wpatrując się przez przednią szybę w błyszczący w oddali zielony znak. Zmieniam pas na prawy, żeby móc wybrać zjazd prowadzący przez gęsto porośnięte drzewami zbocze.

Ale w tym samym momencie, w którym zjeżdżamy, ford zaczyna się krztusić.

Serce podchodzi mi do gardła.

O-o. To *nigdy* nie jest dobry znak.

Bestia jednak wciąż się toczy.

Udaje mi się zjechać na dół, gdzie droga zakręca w kierunku majaczącego w oddali miasteczka — malowniczego, przykurzonego i trochę zbyt w stylu Normana Rockwella. Niemal żywcem wyjętego z wszechobecnych w pokojach hotelowych obrazów autorstwa malarzy, o których człowiek nigdy nie słyszał, ale którzy pewnie zarobili krocie na sprzedaży reprodukcji na potrzeby wszystkich Motelów znajdujących się na każdym odcinku autostrady amerykańskiej.

Nie jestem jedynie pewna, czy uda nam się dotrzeć do tego rockwellowskiego miasteczka.

Nie w sytuacji, gdy mustang wciąż się krztusi i zwalnia, a kiedy z przekleństwem na ustach wciskam pedał gazu, otrzymuję w zamian tylko oburzone westchnienie Tary i szept: „Opłata za brzydkie słowo!”, a nie odrobinę więcej ikry.

Przynajmniej udaje nam się skręcić.

I udaje mi się przejechać jeszcze jakieś trzydzieści metrów, nim ostatnie ciche stęknienie, które wydobywa się z mustanga, posyła nas na pobocze niczym wielgachny jacht porwany przez prąd morski.

Tak właśnie się czuję, usiłując manewrować tym długim, zwalistym wozem, w którym gaśnie ostatnia iskra życia. Mam wrażenie, że to próba sterowania wielką, ciężką łodzią wbrew prądom morskim, tyle że łódź nie ma ochoty nigdzie się ruszyć, a jedynie pójść na dno.

Mustang wydobywa z siebie lekkie stęknienie, jakby się godził z sytuacją i mówił, że się poddaje.

Próbuję przekręcić kluczyk w stacyjce, ale silnik tylko rżęzi i trzeszczy, w ogóle nie zaskakując. Szlag by to trafił.

*Szlaaag.*

Siostra mnie zabije, jeśli zarznęłam jej auto. To był prezent od męża na trzydzieste urodziny.

Należy do grona tych szczęściar, które znalazły troskliwego faceta. Zamiast sypiać z jej *najlepszą przyjaciółką*, John kupuje żonie prezenty zgodne z jej gustem.

Musiła upolować ostatni porządny egzemplarz. Bo przysięgam, że każdy gość poznany przeze mnie w ciągu ostatnich pięciu lat — w tym ten, którego zamierzałam poślubić — to gnojek.

No dobra. Uch.  
Jestem zgorzkniała. Jestem wściekła. Wdech, wydech.  
*Życie toczy się dalej.*  
Właśnie to sobie powtarzam, codzienna mantra.  
Z pewnością mój szwagier nie może być ostatnim przyzwoitym mężczyzną na Ziemi.  
W tej chwili mam jednak poważniejsze zmartwienia.  
Wbijam wzrok w pięści zaciśnięte na kierownicy.  
— No cóż, mała — odzywam się. — Liczę, że nie macz nic przeciwko siusianiu przy drodze.  
— A dlaczego nie mogę iść tam? — pyta. — Na pewno jest tam łazienka.  
Wychyla się nad drzwiami od strony pasażera i patrzy w prawo. Podążam za jej spojrzeniem, mrużąc oczy w słońcu.  
Nie zwróciłam uwagi, gdzie się zatrzymałyśmy, zbyt skoncentrowana na tym, żeby zmusić przekłety wóz do dalszej jazdy.  
Ale za polem znajduje się jakiegoś rodzaju... hotel? Zajazd?  
Nie jestem pewna, co to jest, ale wygląda jak spełnienie wakacyjnych marzeń. W głębi widnieje wysoki, trzypiętrowy dom, z rzędem kolumn na froncie. Budynek otoczony jest zadbaną roślinnością. Ładne, dające cień drzewa rosną na przyciętym równo trawniku, idealnie posadzone wzdłuż wąskich, brukowanych ścieżek, ciągnących się między skupiskiem domków letniskowych — mieszanką bliźniaków i tych z rodzaju jednorodzinnych.  
Wszystko to widnieje na tle odległych, jakby spowitych dymem gór, rozciągających się za stromym klifem. Atmosfera obrazów Rockwella się nasila, gdy dostrzegam szyld, który wisi na znajdującym się przed nami słupie.  
*Zajazd Uroczysko.*  
Ha.  
Nazwa chyba pasuje, bo *rzeczywiście* jest tu uroczo.  
Nawet jeśli mieszczuch mojego pokroju pasuje tutaj jak pięść do nosa, to mam nadzieję, że miejscowi okażą się przyjaźni. A przynajmniej na tyle gościnni, żeby dać dziecku skorzystać z toalety.  
Nie mogę pozwolić, żeby Tara dłużej cierpiała. Zwija się z dyskomfortu, zaciskając mocno uda, więc posyłam jej uśmiech i wysiadam z samochodu, a następnie zatrzaskuję drzwi i sięgam na tylne siedzenie po torbę podręczną i plecak.  
— Chodź — mówię i podaję jej rękę. — Idziemy na spotkanie miejscowej ludności.  
Popycham furtkę w staroświeckim białym płocie i szybkim krokiem idziemy centralną ścieżką do głównego budynku. To dom w stylu dawnych plantacji — naprawdę dziwny widok na Środkowym Zachodzie —  
który został dopasowany do potrzeb hotelu, na to przynajmniej wygląda.  
Na jednym ze skrzydeł drzwi znajduje się plakietka z brązu oznajmiająca godziny, w których pracuje recepcja. Kiedy wchodzimy do wyłożonego wykładziną, urządzonego w wiktoriańskim stylu holu, nad drzwiami odzywa się

mały dzwoneczek. Zza szerokiej, błyszczącej recepcji dochodzi ciche pochrapywanie.

A zaraz potem rozlega się huk, bo zmożony snem użytkownik odchylonego fotela podskakuje i zwala się na podłogę.

Tara wydaje głuchy okrzyk zaskoczenia, a potem piszczy i kwili, przeskakując z nogi na nogę, i coraz mocniej ściska moją rękę.

— Ciociu Hay...

Rozglądam się szybko dokoła, a potem na przeciwległej ścianie zauważam znak ze strzałką oraz drobnymi symbolami mężczyzny i kobiety.

— Tam, skarbie — pokazuję. — Na końcu korytarza. Idź.

Tara oddała się szybko krokiem kraba. Odprowadzam ją przez chwilę wzrokiem, a potem przechylam się nad recepcją i z wahaniem zaglądam za biurko.

— Em, dzień dobry? Proszę pana? Nic się panu nie stało?

Starszy mężczyzna o kaprawym spojrzeniu podnosi się z podłogi wyłożonej bordową wykładziną, podpierając się o przewrócony fotel uszak, a następnie ze stękiem ustawia go z powrotem prosto.

Jedną ręką mierzi swoje krótko przycięte, siwiejące włosy, a drugą wspiera się o fotel, przypatrując się mi tak, jakby nie był pewny, co o mnie sądzić, po czym wzdycha i posyła mi niepewny uśmiech.

— Nic mi nie jest. Żeby załatwić tę starą pikawę, trzeba czegoś więcej niż małego upadku. — Wali się w wąską, chudą pierś. — Mogę w czymś pomóc?

— Mam taką nadzieję. — Uśmiecham się szybko. — Moja siostrzenica musiała skorzystać z toalety, przepraszam. Ale mamy mały kłopot. Nasz samochód zepsuł się dokładnie przed waszym zajazdem i obawiam się, że utknęliśmy.

— No cóż...

Pociera swoją lekko zarośniętą brodę. Jak na tak chudego, wiotkiego mężczyznę ma bardzo obwisłą skórę, co sprawia wrażenie, jakby jego twarz się rozplywała. Znam ten rodzaj fizjonomii i próbuję się nie skrzywić.

Mężczyzna ostro popija, przez co szybko się starzeje.

Po tym, co stało się z tatą, nigdy nie zapomnę takich rysów twarzy...

Nie wiem, czy przez to starszy pan budzi we mnie większą łagodność, czy raczej większe zgorzknienie w stosunku do pierwszego mężczyzny, który nauczył mnie, że ludzie zawsze znajdą sposób na to, żeby się wyniszczyć, i zwykle nawet nie muszą specjalnie daleko szukać.

Tata chwycił się pierwszej nadarzającej się okazji do ucieczki, kiedy w życiu zrobiło się trudno — butelka za butelką.

W międzyczasie nieznajomy znów się uśmiecha — rozbrajająco i niemal autoironicznie, jakby wiedział, jaki obraz sobą prezentuje i co ludzie o nim sądzą. Wzrusza ramionami.

— Mamy w mieście mechanika. I to dobrego. Jest późno i może uda się pani załatwić holowanie, ale nie naprawi pani wozu tak, żeby wyjechać przed zmierzchem. Wszystkie pokoje na krótki pobyt mamy zarezerwowane...



jednak została nam połowa bliźniaka w jednym z wakacyjnych domków na dłuższy pobyt. Na dodatek z widokiem na góry.

Marszczę czoło. Choć brzmi przyjemnie, wiem, że wiąże się to z kosztami.

Mam ograniczony budżet, bo zasadniczo porzuciłam większość tego, co posiadam, i wyjechałam z ostatnią wypłatą w rękę plus z tym, co udało mi się sprzedać po ślubie, do którego nigdy nie doszło, a który pochłonął wszystkie moje oszczędności.

Poza tym będę musiała zapłacić za naprawę samochodu. Obracam w głowie liczbami, lecz rachunki nie wyglądają dobrze.

— Nie wiem, czy mnie na to stać.

— Zostało nam tylko to, a jesteśmy jedynym hotelem w mieście. —

Recepcjonista krzyżuje ręce na ladzie i nachyla się w moją stronę.

Wyczuwam słabą woń rumu, ale nie na tyle silną, żeby mnie odstręczała. —

Niech pani posłucha. Nie pozwolę damie w opałach i małej dziewczynce spać w diabelskim samochodzie w obcym mieście. Dam pani zniżkę. Policzę pani jak za pokój jednoosobowy. Co pani na to?

Zaciskam usta.

— Proszę podać cenę.

— Sześćdziesiąt pięć za noc. Co pani na to?

Gwiżdżę cicho. Naprawdę całkiem nieźle.

W Seattle za sześćdziesiąt pięć dolarów nie dałoby się nawet dostać pokoju w najtańszym motelu z anonimowymi reprodukcjami. Raczej w jednym z tych miejsc, gdzie ludzie płacą czynsz za tydzień z góry, a policja co wieczór zajężdża na parking. Ale coś takiego — połowa bliźniaka?

No. Można powiedzieć, że się nam poszczęściło, jeśli chodzi o miejsce na awarię samochodu.

Wyglądam przez okno, udając, że jeszcze się zastanawiam.

Co mam do stracenia?

Okolice jest ładna, atmosfera przyjemna, mieszkanie tanie... a mnie przyda się odrobina wytchnienia w cichym, relaksującym miejscu, żeby otrząsnąć się ze zgorzknienia, zapomnieć o tym, co było, i żyć dalej.

Może to przeznaczenie?

Kiwam głową, wyobrażając sobie następny tydzień. Zostaniemy tu do czasu naprawy mustanga, a potem pojedziemy do Billings.

— W porządku. Sprzedane — mówię, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu portfela i karty kredytowej. — A tak na marginesie, to kto mieszka w drugiej części bliźniaka? Żeby nie przeszkadzała.

— Och, *on* — mówi to tak, jakby prychnął. Niemal złowieszczo, ale zaraz zbywa własne słowa kręceniem głowy. — Niech się pani nie przejmuje.

To raczej samotnik. Nieszkodliwy zrzęda. Pilnuje własnych spraw, bo tylko tym się zajmuje. Pewnie go nawet pani nie zobaczy.

Unoszę brew, ale przesuwam kartę kredytową przez terminal, wzruszając przy tym ramionami.

Każdy ma swój sposób na życie, nie mnie to oceniać. Ja też najchętniej wolałabym, żeby wszyscy dali mi święty spokój, za wyjątkiem zawsze

przyjemnego towarzystwa mojej małoletniej pomagierki.

— Czy nie jest za późno na telefon do mechanika, żeby przynajmniej dostać wycenę naprawy? — pytam, patrząc, jak mężczyzna wpisuje moje dane na klawiaturze.

— Nie. Zadzwoń do niego w pani imieniu, a pani niech w tym czasie się urządzi. I tak potrzebuję pani numer telefonu do ewidencji.

— Dziękuję. — Szybko dyktuję mu ciąg cyfr, a także podaję adres.

Formalnie rzecz biorąc, chyba jestem teraz bezdomna. Nie traciłam czasu i wyniosłam się w cholerę, zrywając umowę najmu po niewiernym wyskoku Eddy'ego, ale podejrzewam, że stary adres w Seattle na ten moment wystarczy.

Podczas gdy mój ufny recepcjonista nuci pod nosem, odwracam się i rozglądam wokół siebie.

To miejsce ma w sobie jakąś miękkość. Wszędzie stoją wazoniki ze świeżo ściętymi, różowymi piwoniami, okna przesłaniają zwiewne, białe firanki, które zdają się lśnić dzięki wpadającym do środka promieniom słonecznym, a te z kolei spowijają wewnątrz czymś w rodzaju cichego, przytłumionego blasku.

Jest miło. Chciałabym namalować ten wyjątkowy sposób wpadania światła, które robi się niemal mgliste, gdy kładzie się ukośnie na dywanie.

Ktokolwiek jest właścicielem tego miejsca, ma dobry gust. Zerkam na recepcjonistę, podejrzewając, że to nie on.

Idealne wycucie czasu. Starszy mężczyzna kończy nas meldować, drukuje do podpisu pokwitowanie i kładzie na blacie klucz, a dokładnie w tym samym momencie Tara wychodzi z łazienki, poruszając się w ten swój afektowany, księżniczkowy sposób, który świadczy o tym, że dzięki ważącemu pół kilo mniej pęcherzowi odzyskała rezon, wielkie dzięki.

Rzucam jej szeroki uśmiech i odwracam się, żeby podziękować recepcjoniście, który w zamian za podpisany świstek przesuwa w moją stronę klucz wraz z kartą kredytową.

— Dziękuję — mówię. — Jak pan się nazywa?

— Flynn — odpowiada. — Flynn Bitters. Zawsze do usług.

— Dziękuję, panie Bitters — mówię i macham na pożegnanie. — Niech pan tylko poprosi mechanika, żeby do mnie oddzwonił. Bez pośpiechu, możemy pewnie zostać kilka dni.

Gdy wychodzimy na zewnątrz wprost na radosne, ciepłe, letnie popołudnie, Tara patrzy na mnie szeroko rozwartymi oczami.

— Zostajemy... tutaj?

— Tylko na krótko — odpowiadam. — Uznaj to za miniwakacje do czasu naprawy samochodu. Będziemy pławić się w słońcu, leżeć do góry brzuchem, podziwiać widoki i próbować lokalnych specjałów. To miejsce robi miłe wrażenie.

Marszczy nos.

— No nie wiem, ciociu. To małe miasteczko... W Google'u nie było nawet nazwy.

— Była nazwa na znaku, który mijaliśmy. — Wskazuję i uśmiecham się szeroko. — Moja kochana podróżniczko na doczepkę, witaj w znamienitym mieście Heart's Edge.

\*\*\*

NUMEROWANY BLIŹNIAK, w którym nas ulokowano, znajduje się z tyłu głównego budynku, niemal na samym skraju posesji.

Świetnie. Zapewni prywatność.

To jeden z większych domków, zbudowany z niewykończonego, ciemnego drewna, może cedru lub jodły. Wystarczy na niego spojrzeć, żeby dostrzec nowoczesną prostotę i uroczą rustykalność: drewniane deskowanie, wijący się dokoła ganek i okna na całą wysokość ścian po bokach i z tyłu.

Ale tym, co nadaje prawdziwego charakteru temu miejscu, jest widok.

Bliźniak wychodzi na długie zbocze zakończone klifem, z zachwycającym widokiem na dolinę rozpostartą u podnóża gór.

Serce skacze mi z radości, kiedy wreszcie jestem w stanie się zatrzymać, odetchnąć i chłonąć ten krajobraz.

Z tyłu jest nawet jacuzzi. Odkrywam je, gdy wędrujemy wokół małego ganku. Znajduje się dokładnie pośrodku, więc bez wątplenia mieszkańcy obu części bliźniaka muszą albo korzystać z niego wspólnie, albo wypracować jakiegoś rodzaju harmonogram użytkowania. Nikogo nie ma jednak w pobliżu, więc kiedy już się rozlokujemy, może wskoczę tam sobie na moment, żeby ulżyć mięśniom obolałym po długiej jeździe samochodem.

Po obejrzeniu wszystkiego na zewnątrz, wchodzimy po schodkach na ganek i próbuję przekręcić klucz po lewej stronie. Drga... i nic się nie dzieje.

To nie tutaj. Dziwne.

Bitters musiał podać nam zły numer. Powiedział, że jesteśmy w domku 31-A, a nie 31-B.

To nic takiego. Wsuwam klucz do zamka przy numerze 31-B po prawej stronie. Od razu się przekręca i już — drzwi są otwarte.

Wchodzimy do przytulnego wnętrza, pełnego światła w miękkiej, drewnianej tonacji, umeblowanego w ciemnych, ziemistych, przyjemnych barwach. To trochę jakby Martha Stewart spotykała się z „Mountain Home Magazine”. Jestem zachwycona atmosferą tego miejsca.

Moja siostrzenica skrada się nieśmiało za mną, rozglądając wokół.

— Ale fajnie. W środku wszystko wydaje się nowsze, niż bym przypuszczała.

— Posyłam Tarze rozbrajający uśmiech i rzucam torbę na kanapę. — Zobaczmy łóżka. Domek jest chyba na tyle duży, że może nawet będziemy miały oddzielne sypialnie.

— Jeśli nie — odzywa się wesóło Tara, kierując się już w stronę korytarza — możemy po prostu udawać, że to nocowanka!

Idę za nią, mimo woli patrząc na nią z miłością.

Ta dziewczynka jest tak odporna na przeciwności losu, tak łatwo adaptuje się do sytuacji, zawsze znajdując we wszystkim dobrą stronę. Tęsknię za czasami, gdy sama byłam równie radosna, optymistyczna i entuzjastyczna.

A niech mnie, może uda mi się czegoś nauczyć od dziesięcioletniej trzpiotki.

Dostrzegaj jasną stronę życia, doceniaj to, co nowe, i po prostu *żyj dalej*.  
Jestem zbyt zaabsorbowana wchodzeniem do pierwszej sypialni, żeby się domyślić, co zaraz się stanie.

Wielka, szorstka łapa chwytła mnie za ramię, okręca i przyciska boleśnie plecami do ściany.

*Jasna...*

Zanim mam czas, żeby choćby zamrunąć, doskakuje do mnie jakiś po-twór, szarżujący byk, który pojawia się znikąd i zagrażdza mi drogę murem mięśni, zapachu sosny i ciemnych, misternych tatuaży.

Jestem w zbyt wielkim szoku, żeby choćby krzyknąć.

Zamiast tego wydaję z siebie tylko cichy pisk. Serce łomocze mi w gardle, puls szaleje.

Pół sekundy później wpatruję się w ponurą, zaciśniętą, boleśnie przystojną twarz oraz blade, ostre, niebieskie oczy, które przewiercają mnie swoim spojrzeniem, gdy olbrzym dociska mnie do ściany.

Przytrzymuje mnie mocniej. Przygniata z taką siłą, że czuję się jak ko-mar, a z jego ciała bije taki żar, że mam wrażenie, jakbym weszła do pieca.

Fale gorąca uderzają mnie od koniuszków palców po czubek głowy.

— Jak się tu, kurwa, dostałaś? — pyta ostro, wydając z siebie niski, wibrujący pomruk, który niemal fizycznie chłosta mnie po ciele. — Kto cię przystał? Bress wie? Przyjdzie tu?

*Jasna cholera.*

To coś nowego. Zupełnie zamieram.

Nie jestem przyzwyczajona do tego, żeby wielgachni mężczyźni unieruchamiali mnie i zarzucali pytaniami.

Mój umysł nie potrafi wybrać między paniką a wściekłością, ani też uznać, czy ten drań mnie obmacuje.

Zastygam jak sarna przed nadjeżdżającym samochodem. Albo opos.

Tak, to właśnie ja.

Uruchomcie we mnie instynkt *uciekaj albo walcz*, a ja nie zrobię ani jednego, ani drugiego.

Po prostu się zatnę.

Lepiej mnie nie prosić, żebym kiedykolwiek pomogła podczas bójki w barze. Jestem bezużyteczna.

Tara jednak bardziej się przydaje, bo na nasz widok po wyjściu z drugiej sypialni wydobywa z siebie wrzask, który mógłby pozrywać dachy z domów w obrębie kilometra.

Olbrzym odskakuje szybko, puszczając jedno z moich ramion, i odwraca się do niej gwałtownie.

I wtedy się okazuje, że ostatecznie nie jestem aż tak bezużyteczna.

Bo w tej samej sekundzie, w której mogłoby mu choć zaświtać, żeby zbliżyć się do Tary, wszystko we mnie wybuchła. Odpycham jego drugą rękę i patrzę na niego z wściekłością.

— Puszczaj mnie, gnoju! — warczę.

On tylko mruga, oszołomiony, opuszczając nagle wzdłuż ciała masywne pięści.

Jest wysoki — jak sekwoja, do tego stopnia, że nie wiem, jak się mieści w korytarzu, skoro głową niemal dotyka sufitu, a jego czarne włosy kłębią się jakiś centymetr od tynku.

Jego koszulka przypomina bardziej malunek na grubych, wężłowatych mięśniach, bez cienia delikatności, na ciele wystarczająco twardym, żeby kogoś przeciąć. Niebieski materiał tylko delikatnie różni się odcieniem od tatuaży spływających wzdłuż masywnych, nabrzmiatych rąk — labiryntu wzorów, stylizowanych liter i jednego prostego obrazka z imieniem *Jenna* wytrawionym drobnym pismem.

Mężczyzna przesuwając po brodatej twarzy dłońmi, a zgrubienia na jej wnętrzu słyszalnie ocierają się o jego zarost. Wciąż też wpatruje się w Tarę.

— Ja pierdolę. To dzieciak — warczy.

— Co ty nie powiesz, Sherlocku — odgryzam się. — I jest ze mną. Nie waż się jej tknąć.

Znów przyskakuje do mnie.

Duży błąd.

Nie czekając na kolejną okazję, walę go torebką w bezczelnie przystojną gębę, chlastając wystarczająco mocno, żeby przy odrobinie szczęścia zostawić na śniadej cerze odcisk skóry pieprzonego aligatora.

Facet zatacza się ze stęknieniem. Przebiegam obok niego, łapię Tarę za rękę i rzucam się do drzwi.

— Chodź!

Powinno mi być wiadomo, że nie ucieknę zbyt daleko. Goliat może i jest wielki, ale przy tym zwinny niczym kobra — szybki jak błyskawica i śmiertelnie niebezpieczny. Robimy trzy kroki w stronę salonu, zanim znów nas dopada i odcina nam drogę ucieczki, blokując wyjście. Obie z Tarą zatrzymujemy się gwałtownie, zataczając się do tyłu.

— Odsuń się — warczę i znów unoszę groźnie torebkę.

Pewnie, nie wyrządzą mi niemiłej przykrości, ale wątpię, żeby było przyjemnie mieć w ustach pełno skóry.

Dryblas krzyżuje ręce na piersi, szykując się do walki, i patrzy na mnie stanowczo.

— Dopóki nie uzyskam kilku odpowiedzi, nigdzie się stąd nie ruszy-cie, paniusiu — warczy.

— Odpowiedzi na co? Ledwie tu weszłam, a ty zaczynasz rzucać mną po ścianach jak cholerną piłeczką pingpongową!

— Zgadza się. Weszłaś do *mojego* domku, więc...

— Poprawka: to nasz domek. — Cofam się z twarzą gorącą z wściekłości, wymachując kluczem jak małym sztyletem. — Zarezerwowany i opłacony.

Nie wiem, co ty tutaj, do licha, robisz. Może sam powinieneś odpowiedzieć mi na kilka pytań?

Zanim udaje mi się cofnąć, facet wyrywa mi klucz z ręki.

Skur...

— Do jasnej cholery — przeklina i patrzy na klucz, a potem ze zmęczonym westchnieniem przesuwa dłoń po twarzy. Kiedy znów na mnie patrzy, wydaje się wręcz skruszony, a jego błękitne oczy przybierają ciemny odcień płynnego kobaltu. — Flynn dał wam zły klucz. Przepraszam. — Zaciska szczękę. — Przesuń się. Zaraz to wyjaśnię.

Zagryzam usta. Naprawdę nie lubię, jak ktoś rozstawia mnie w ten sposób po kątach.

Jednak nie chcę też stać na środku salonu niezmiernie rozwścieczonego Hulka.

Z ociąganiem wychodzę z domku, gdy on otwiera nam drzwi. Tara idzie za mną.

Boże. Naprawdę mam nadzieję, że facet preferuje samotność. Bo myśl o spędzeniu kilku następnych dni na ciągłym natykaniu się na tego kretyna właśnie znacząco zaburzyła moje wyobrażenie o odprężających miniwakacjach.

Ale gdy gość wychodzi na ganek, zatraskuje drzwi i zamyka je na klucz, mimo woli zatrzymuję wzrok na jego zwężającej się ku dołowi sylwetce.

Dlaczego seksowni faceci zawsze mają osobowość, z którą kontakt przypomina kąpiel w żrącym kwasie?

Nawet jeśli to kretyn, przyjemnie zawiesić na nim oko.

Te dzinsy aż za bardzo kochają jego biodra. Z udami też mają bliskie stosunki.

Jego ramiona się kołyszają, gdy idzie sprężystym krokiem z tą potężną siłą, zdradzającą, że jej źródłem jest umiejętność obnoszenia się ze swoim masywnym ciałem.

A te tatuaże... Boże, miej nade mną litość. Mówimy o dziarach tak szalonych, tak intensywnych, tak misternych, że przemawiają do mojej artystycznej duszy niczym buzujący ogień, który wabi ćmy.

Tylko kilka razy udało mi się rzucić okiem na wykrzywioną wściekłością twarz, i też jest niczego sobie.

Oczy w kolorze nocnego nieba. Przycięta równo broda. Włosy jedynie odrobinę zbyt długie, ciemne i gęste, łączące się z brodą wokół twarzy w formie szorstkiej aureoli wybuchowego testosteronu.

Ma w sobie to coś.

Coś, co mi się podoba.

Może dlatego, że Eddy był zupełnie inny — chudy, wymuskany i śliczny tą chłopięcą urodą.

Może dlatego, że Eddy aż za dobrze ukrywał swoją zgnitą osobowość, podczas gdy Goliat nosi na ramieniu odznakę dupka.

Może dlatego, że wciąż staram się zrozumieć, co, u licha, w ogóle się tu wydarzyło?

Widzicie? Uczę się od Tary dostrzegać jasną stronę.

Moja siostrzenica marszczy brwi i uwiesza się na balustradzie ganku, odprowadzając faceta wzrokiem.

— Zachował się jak palant, prawda, ciociu Hay?

— Opłata za przekleństwo — przypominam i z westchnieniem opieram się obok niej. — To chyba będzie nasz nowy sąsiad przez kilka najbliższych dni.

— Gdzie on idzie?

— Wydaje mi się — mówię — że idzie zamienić klucze.

Stoimy tak jeszcze przez chwilę, a mnie dręczy złe przeczucie, z którego nie mogę się otrząsnąć.

*Proszę, tylko ten jeden raz, niech coś się uda.*

Niech ta zamiana zakończy mój dramat z tym jaskiniowcem i jego napadami szatu.

\*\*\*

OKAZUJE SIĘ, ŻE WCALE nie poszedł wymienić klucza.

Przeniosłyśmy się z Tarą tymczasowo do ogródka na tyłach domku i podczas oczekiwania wyłożyłyśmy na dwóch bardzo wygodnych leżakach.

I tak nie mam zamiaru się stąd ruszyć.

Moja torba nadal leży na kanapie w domku tego kretyna, a on zamknął drzwi. Co prawda, na zewnątrz temperatura jest idealna, żeby pławić się w słońcu, mimo że późne popołudnie zamienia się powoli w wieczór —

wciąż jest jednak na tyle ciepło, aby z przyjemnością wystawiać się na promienie, nie zalewając się przy tym potem i nie zamartwiając o smarowanie kremem przeciwśłonecznym.

Prawie przysypiam, gdy gwałtownie wybudza mnie torba lądującą na moim brzuchu.

— Uch!

Otwieram oczy, przyciskając ją do siebie, i pochylam odrobinę.

Dupek do kwadratu stoi nade mną, znów krzyżując ręce na piersi, jakby chciał zrobić z siebie żywą zaporę. Jego twarde, niebieskie oczy omiatają mnie spojrzeniem. Nawet nie słyszałam, kiedy przyszedł. Zakradł się cicho jak lew.

Patrzę na niego wściekle i kładę torbę na ziemię między leżakami.

— Czy to było naprawdę konieczne? — pytam, ale nie daję mu szansy na odpowiedź. Wyciągam tylko rękę i zaciskam usta. — Gdzie klucz?

— Nie ma klucza — odpowiada stanowczo. — Wykupiłem waszą stronę domku. Więc ty i twoja smarkuła musicie się wynieść gdzie indziej. Ja cenię sobie prywatność.

— Nie jestem smarkulą — stroszy się Tara. — Mam dziesięć lat!

— Ona ma dziesięć lat — powtarzam, patrząc na niego ze złością. —

I nie masz prawa nas wyrzucać. Jesteśmy klientkami, które za siebie płacą. Z tego, co wiem, nie jesteś właścicielem zajazdu.

— Jeśli pieniądze stanowią problem, zwrócę ci *podwójnie* to, co dałaś Flynnowi za pokój.

Wpatruję się w niego. *Że co?*

Sytuacja robi się... dziwna. I podejrzana.

Dlaczego on tak desperacko pragnie się nas stąd pozbyć, że jest gotowy nie tylko wykupić naszą część domku, ale dodatkowo przeznaczyć pieniądze na to, żeby mnie splotać? Czy ten gość ma kryminalną przeszłość?

Kręcę głową.

— Nawet gdybym chciała przyjąć twoją ofertę, to nigdzie się stąd nie ruszę. *Nie mogę.*

Unosi grubą brew.

— A dlaczego niby nie, do diaska?

— Zepsuł się nam samochód. Co prawda, to nie twoja sprawa i wcale nie muszę się przed tobą tłumaczyć — odpowiadam. — Ale ponieważ to jedyny przybytek hotelarski w mieście i jedyny dostępny pokój, to nigdzie się stąd nie wybieram, chyba że masz ochotę pchać moje auto aż do następnej miejscowości.

Na jego kretyńskiej twarzy zachodzi dziwna transformacja.

Przez chwilę wygląda wręcz na zaniepokojonego. A przynajmniej tak mi się zdaje, że to niepokój, a nie zgaga.

Potem się krzywi, jakby sam był na siebie wkurzony o to, że ośmielił się poczuć ukłucie wyrzutów sumienia. Później znów pojawia się niepokój, a następnie tylko ponura rezygnacja.

Goliat wzdycha, a ostre granice jego brwi zbliżają się do siebie, gdy zamyka oczy i przesuwa masywną, grubo ciosaną dłoń po twarzy.

— Domyślam się, że Flynn dzwonił do Stewarta z warsztatu w sprawie twojego samochodu.

— Skąd mam wiedzieć, skoro od przyjscia tutaj miałam do czynienia wyłącznie z *tobą*. Pewnie nie będę zaskoczona, jeśli Flynn nie zawracał sobie głowy telefonowaniem w sprawie mojego wozu, skoro mu powiedziałeś, że wyjeżdżam.

I znów to zaniepokojone spojrzenie. Facet podnosi rękę i niemal z bólem ściska sobie nasadę nosa, a potem znów zamyka oczy i przykłada kciuk i palec wskazujący do powiek.

— Nie wyjeżdżacie stąd.

Mrugam.

— Słucham?

— Powiedziałem — warczy — zapomnij o tym. Nie wyrzucę cię na bruk w sytuacji, gdy nawalił ci samochód, nie masz gdzie się podziać, a do tego jesteś ze sma... — Zerka na Tarę. — *Z młodą damą.*

Wpatruję się w niego.

Wow. Czy ten nastroszony przygłup próbuje się zachować *szarmancko*?

Zbyt łatwo poszło.

Nie kupuję tego. I nie akceptuję.

Krzyżuję przed sobą ręce i odwracam głowę.

— Uwierzę, kiedy zobaczę klucz.

Mężczyzna ciężko wzdycha i przeczesuje dłoń w włosy tak, że gęsta, ciemna płatanina zaczyna przypominać nastroszoną, chłopięcą czuprynę, co łagodzi ostre rysy jego twarzy.

— No tak. Daj mi chwilę.

Tym razem słyszę, jak szybko się oddala. Zamiast bezszelestnego ko-ciego kroku, stawia stopy ciężko i ze znużeniem. Nie muszę patrzeć, żeby oczyma wyobraźni zobaczyć kołysanie masywnych ramion.



Kontakty z tym gościem oficjalnie mnie *przerastają*.  
A nawet nie wiem, jak się nazywa.

\*\*\*

WRACA DOPIERO po kolejnych dwudziestu minutach.

Spędzam je całe na tym, żeby udobruchać Tarę, obiecując jej, że jutro porobimy coś fajnego i jakoś zrekompensujemy sobie cały ten cyrk.

Nie powtórzę, co Tara mówi o Goliacie. Może nie musi w związku z tym wnosić opłaty za przeklinanie, ale opis wspina się na wyżyny podwórko-wych złościwości.

Choć obie zaczynamy chichotać, gdy Tara mówi, że on wygląda jak człowiek-kupa.

Może do czasu wyjazdu tak będziemy go nazywać.

Po powrocie facet bez słowa wręcza mi nowy klucz, a potem odwraca się i wchodzi do swojego domku tylnym wejściem, zatrząskuje za sobą drzwi i przekręca zamek od środka. Nie ogląda się za siebie. Nie otrzymuję żadnych przeprosin, bo wcześniejsze „przepraszam” się nie liczy.

I dobrze. Jeśli chce, niech się dąsa i burmuszy w samotności.

Ja natomiast mam najlepsze towarzystwo pod słońcem i uważam, że zasłużyliśmy sobie na maraton filmowy.

Z kluczem w dłoni wprowadzam nas do środka. To miejsce przez kilka najbliższych dni będziemy nazywać domem. Przez chwilę urządzamy się w naszych pokojach i rozpakowujemy rzeczy, a potem wertuję hotelową książkę telefoniczną.

Wygląda na to, że Heart's Edge nie jest aż tak małe, żeby nie było w nim pizzerii.

Pół godziny później siedzimy z Tarą zwinęte na kanapie, jedząc na spótkę pizzę z pepperoni i ananasem, i jednocześnie szukamy jakiegokolwiek filmu z Hugh Grantem.

Tara może i jest małą dziewczynką, ale ma dobry gust.

Przeszukując ofertę płatnych filmów, mimo woli wracam myślami do ponurego, niebieskookiego potwora, który od momentu zatrzaśnięcia drzwi nie wydał po swojej stronie ani jednego dźwięku.

Kim on, do licha, jest?

O co mu chodzi?

I dlaczego przez niego zaczynam wątpić nie tylko w to, czy mądrze jest zostawać w Heart's Edge... ale również w całe kolosalne zamieszanie, którego narobiłam w swoim życiu?

Czy naprawdę chcę zacząć wszystko od nowa? Obracam w myślach to pytanie, dosłownie gryząc się z nim pod postacią rantu pizzy.

A może zwyczajnie uciekam od jednego problemu, wpędzając się po prostu w kolejny?

## ROZDZIAŁ 2. PŁOMIENIE ROSNĄ W SIŁĘ (WARREN)



Haley West.

Takie nazwisko podał mi Flynn, gdy przyparłem go do muru w sprawie popieprzenia domków i wpatrywałem się w niego tak długo, aż odwrócił wzrok.

Zaczął się jękać i trząść, jakby moje wściekłe spojrzenie mogło mu wyrządzić faktyczną krzywdę. Nic nowego.

Flynn nie ma kręgosłupa moralnego, a jedynie rurkę wypełnioną jackiem danielsem czy innym świństwem, które akurat dziś żłopie. Niesamowite, dlaczego babcia w ogóle go zatrudnia. Koleś zmiękł dość szybko, gdy mu powiedziałem, że ma się pozbyć nowo przybyłej.

Powinienem wiedzieć, że sytuacja była bardziej skomplikowana, niż mi powiedział.

Zawsze tak jest w przypadku dziewczyn jej pokroju.

Zawsze też w parze z nimi idą kłopoty.

Niech mnie, jeśli pozwolę tej porywczej złošnicy wąsać się po Heart's Edge bez zapewnionego noclegu czy choćby sprawnego samochodu.

Ale muszę się jej stąd pozbyć.

Prawie mnie zdemaskowała. Dopóki wszyscy sądzą, że jestem samotnikiem z małego miasteczka, który wrócił do domu, żeby się przywitać, nikt nawet nie mrugnie okiem. Ani nie będzie się dziwił, dlaczego mieszkam w zajeździe babci.

Oczywiście, wybrałem jeden z domków zamiast sutereny u babci. Dorosły facet potrzebuje ostatecznie odrobiny prywatności, a według plotek zatrzymałem się tu tylko do czasu, aż kupię coś swojego w mieście.

Czasem plotki się przydają.

Zdradzaj jak najmniej szczegółów, a ludzie zwykle sami wymyślą najbardziej wiarygodną przykrywkę. Sam nie będziesz musiał nic mówić.

Prawda jest taka, że nie mogę pozwolić na to, żeby moje brudne interesy zaszkodziły babci albo ciężkiej pracy, którą wkłada w prowadzenie Uroczyśka.

Więc trzymam swoje sprawy pod kluczem — tyle że ta zielonooka jędzka niemal wkroczyła do mojego centrum dowodzenia.

Ja pierdolę.

Gdyby zobaczyła tablice, wycinki z gazet, mapy do śledzenia ruchów przeciwnika... Trudno powiedzieć, co by sobie pomyślała. Pewnie siedziałbym teraz zakuty w kajdanki i odpowiadał na pytania szeryfa Langleya.

Wiem, co ja sobie pomyślałem.

Że przysłał ją Dennis Bress.

Że domyślił się, iż podążam jego tropem i uznał, że nie zareaguję źle na widok pięknej kobiety, wchodzącej jakby nigdy nic do mojego domu, aby wybadać, co wiem. W dalszym ciągu nie mam stuprocentowej pewności.

Jednak zepsuty ford mustang za płotem wygląda dość przekonująco. Tak czy siak. Ona musi stąd zniknąć.

Przeszkadza i dekoncentruje. W najgorszy możliwy sposób, bo jest drobna, zaokrąglona w odpowiednich miejscach i szczupła, a z tego, co zdążyłem wczoraj zauważyć, jest też wielbicieleką obcisłych dżinsów i krótkich, luźnych bluzeczek odstaniających opalone, umięśnione zagłębienie w talii za każdym razem, gdy nabierze choćby odrobiny powietrza.

A sposób, w jaki kaskada ciemnobrązowych włosów okalających jej twarz opada, chłuszcząc i kołyszając się przy każdym gwałtownym, energicznym geście... Facet nie może prosić o lepszy sposób na to, żeby fiut stwardniał mu jak diament.

Nie jest to na pewno coś, na czym powinienem się w tej chwili koncentrować.

Nie jest to coś, co byłoby mi w jakikolwiek sposób potrzebne.

A ona to niestety nie jedyny problem. Kurwa mać, ten biedny dzieciak, który jej towarzyszy, był o włos od natknięcia się na mój tajny arsenał.

Futeraty z bronią. Nie miałem jeszcze czasu wszystkiego rozpakować i oddzielić amunicji od broni palnej. To mogło się skończyć katastrofą.

Panna Haley może być cholernie wkurzająca, ale nie wybaczyłbym sobie, gdyby z mojej winy jej albo dziecku stała się krzywda.

Wiedziałem, że urządzenie bazy w domu będzie niełatwe. A dopadnięcie Bressa jeszcze trudniejsze.

Po prostu nie spodziewałem się tego rodzaju komplikacji.

Lecz jest jeden sposób, żeby się jej pozbyć. I dlatego środek nocy zastaje mnie na cementowej podłodze zasyfionego garażu w szopie Flyna, w której mieszka na obrzeżach posiadłości. Znalazłem się tutaj po tym, jak podpięliśmy hol do pickapa starego i wtoczyliśmy do środka mustanga Haley.

To bez dwóch zdań ładny wóz.

Wykochany, jednak ktoś montował w nim używane części i choć na jakiś czas to mogło załatwić sprawę, to elementy szybciej się przez to psują.

Wygląda na to, że padł gaźnik, ale powinno mi się udać z grubsza naprawić go tak, żeby pociągnął jeszcze ze sto pięćdziesiąt kilometrów. Tyle wystarczy, aby dojechała do większego miasta ze specjalistycznym warsztatem lub sklepem, który będzie miał części do mustanga.

Nie muszę długo grzebać, by się zorientować, że zablokował się zawór pływakowy.

Wystarczy trochę potrząsnąć, trochę postukać, i już.

Tylko że znów się zatnie — gdy gaźnik zaczyna się psuć, dalej idzie już szybko — jednak jeszcze dzień lub dwa kobita powinna móc ujechać. Muszę jej tylko uświadomić, że trzeba wymienić wadliwą część w najbliższym mieście, do którego dojedzie, kiedy rano się stąd wyniesie — stąd i z mojego życia.

— Siemka, War. — Znajomy głos odzywa się spod drzwi. — Jak tak dalej pójdzie, wysiudasz mnie z roboty.

Wysuwam się spod samochodu i biorę ścierkę, żeby wytrzeć palce ze smaru.

Stewart Saxbe stoi w otwartej bramie garażowej, z lekkim uśmiechem opierając się ramieniem o framugę. Jego brązowe oczy lśnią, a kombinezon mechanika opina się na zwalistej, umięśnionej postaci.

Tak jak ja jest byłym żołnierzem i nie potrafi porzucić dawnych nawyków, które każą człowiekowi być zawsze w formie, zawsze gotowym do walki. Nie byliśmy w jednym oddziale, nawet jeśli wielokrotnie mieszkaliśmy w tej samej bazie, ale można powiedzieć, że służyliśmy razem w Afganistanie.

Jenna pracowała razem ze Stew i z kilkoma innymi, którym bez wahania powierzyłbym swoje życie.

Albo jej.

Ale Jenna nie wróciła.

To nie jest jednak pora na powrót do wspomnień.

Uśmiecham się do Stewarta i wstaję. Ściskam mocno jego dłoń.

— Musiałem po prostu zająć się pewną niedogodnością. Wścibską sąsiadką, która wyjedzie, gdy tylko naprawię jej samochód.

— Słyszałem. Flynn streścił mi sprawę. — Unosi brwi. — Stwierdziłem, że zerknę na ten wóz w drodze do domu. Niezła bryka. Co się zepsuło?

— Gaźnik nawalił. — Wzruszam ramionami, opierając się biodrem o jeden ze stołów warsztatowych. — Poluzowałem zawór pływakowy. Powinien wytrzymać do czasu, kiedy będzie mogła oddać auto do porządnej naprawy.

Stewart mierzy samochód wzrokiem, a potem otwiera maskę i zagląda do środka.

— Wygląda dobrze — stwierdza, wkładając tam rękę, i gmera w silniku.

— Trzeba jeszcze wyregulować ssanie. Jesteś pewny, że chcesz ją puścić dalej pojazdem w takim stanie?

— Nie mam za bardzo wyboru — mówię.

Nie mogę wyjawić Stewartowi, dlaczego tak naprawdę chcę się jej jak najszybciej pozbyć. Nikomu nie mogę tego wyjawić.

Ufam mu bardziej niż komukolwiek innemu, ale ponieważ on ze wszystkimi żyje w przyjaźni, może mu się coś przypadkiem wymknąć. W małym mieście wieści szybko się roznoszą i łatwo mogą dotrzeć do kogoś powiązanego z Dennisem Bressem.

— Wątpię, żebyś posiadał na stanie gaźnik dla tego konkretnego modelu forda. Chyba że akurat masz?

— Nie, ale mogę go zamówić i przyjdzie za kilka dni. Wyszukuję jej wóz tak, że będzie jak nowy. Nie będzie musiała się bać, że znów się gdzieś rozkraczy po drodze, nim dotrze w bezpieczne miejsce.

Krzywię się. *Kilka dni.*

Ma rację. Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, żeby nie zgodzić się z nim w sposób, który nie wzbudzi podejrzeń i nie każe mu się zastanawiać, dlaczego aż tak bardzo zależy mi na wykurzeniu stąd tej dziewczyny.

— A to nie będzie drogie? Bo to przecież klasyk?

— Po to istnieje eBay. — Stewart klepie ze śmiechem maskę, prostuje się i obrzuca samochód pochlebnym spojrzeniem. — Poza tym sąsiedztwo takiej ładnej dziewczyny? Powinna ci zapewnić zajęcie po powrocie.

Dokładnie tego potrzebujesz.

Dokładnie tego *nie* potrzebuję.

I dokładnie tego się obawiam.

Wielka szkoda, że chwilowo skończyły mi się wymówki. Wezmę to na klatę.

Ostatecznie mój pobyt w Heart's Edge nie jest niczym ograniczony.

Mam czas. Mogę poczekać, aż Haley West i ta urocza dziewczynka — jej córka, jak się domyślam, *młoda dama*, która nie jest smarkulą — po kilku dniach nasycą się sielskim pobytom w górach i ruszą w dalszą drogę.

Dennis Bress nigdzie się stąd nie ruszy.

Ja też nie.

Przynajmniej dopóki nie dostanę tego, czego chcę.

Stewart posyła mi przeciągłe spojrzenie — badawcze, znaczące. Jest moim dobrym przyjacielem i zawsze wie, co mi w duszy gra, nawet jeśli nic nie mówię — a może właśnie dlatego, że nic nie mówię.

Zamyślony i milczący, opiera się o mustanga od strony kierowcy, krzyżuje ręce na piersi i się mi przygląda.

— To nie ta dziewczyna cię zdenerwowała — stwierdza cicho. — Coś innego nie daje ci spokoju, prawda? A jeśli znam cię tak dobrze, jak mi się wydaje, że cię znam, War, to jest to ta sama rzecz, która nie daje ci spokoju od trzynastu lat.

Sztywnieję, zaciskam zęby i odwracam wzrok.

— Nie chcę o tym rozmawiać.

— Nie, nigdy nie chcesz. Postuchaj mnie, Warren... — Wzdycha. —

Myślałem, że wrócisz do Heart's Edge, bo uznałeś sprawę za zamkniętą, ale ty nadal jesteś ostry jak brzytwa, gotowy poszatkować wszystko na ka-watki. Dlaczego tak naprawdę przyjechałeś?

— To mój dom. Nie wydaje mi się, że muszę mieć wymówkę, żeby do niego wrócić.

— Gdyby to był twój dom — zauważa cicho — to nie płaciłbyś za wynajem pokoju.

Uśmiecham się blado i bez humoru.

— Daj spokój, stary. Nie słyszałeś plotek? Jestem do wzięcia. Szukam domu i żony. Strzeżcie się, wolne panie.

Stew prycha, a potem posyła mi kolejne zaniepokojone spojrzenie.

— No cóż, nie moja sprawa, co robisz. Może powinieneś po prostu poderwać pannę Mustang i wyjechać z nią z miasta? To najprostsze rozwiązanie.

— Bzdura. Niech ci nawet nie przychodzi do głowy, żeby mnie swatać.

I nie próbuj mnie stąd wyganiać. — Odsuwam się od stołu warsztatowego i prostuję. Rzucam w niego brudną od smaru ścierką. — Chcesz się mnie stąd pozbyć, bo wiesz mi... ile? Sześć browarów?

Stew unosi brew z celowo nierozumiejącym spojrzeniem.

— Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

— Akurat. To właśnie przez tę beznadziejną twarz pokerzysty wiesz mi sześć browarów. — Prycham i szturcham go łokciem. — Pomóż mi jeszcze raz wszystko sprawdzić i zamykamy tę brykę.

Obecność Stew dobrze mi robi.

Być może przypomina lepsze czasy. Przez chwilę, gdy po raz ostatni sprawdzamy mustanga i upewniamy się, że wszystko jest dokręcone, czuję się niemal jak dawniej.

Zanim nadszedł ten pamiętny dzień.

Zanim nadeszła wiadomość, przez którą zmasakrowałem sobie dłonie do krwi. Zanim pojawiła się opuszczona flaga, smutna salwa honorowa, pieprzony nekrolog.

Zanim się dowiedziałem, że Jenna już nigdy nie wróci do domu.

Przez krótką chwilę jedynie przerzucamy się ze Stewartem starymi historyjkami, dogryzamy sobie nawzajem. A kiedy on wychodzi do domu...

Czuję się trochę spokojniejszy. Trochę bardziej skoncentrowany, gotowy wrócić do pracy.

Jasne, w mieście wszyscy już poszli spać, ale ja dopiero zaczynam.

Rzucam tylko jedno spojrzenie na ciemne okna po drugiej stronie bliźniaka, a potem zamykam się w swoim centrum dowodzenia i zabieram do pracy wywiadowczej.

\*\*\*

PRAWIE ŚWITA, GDY W KOŃCU chwilowo porzucam pogoń za duchami i kładę się do łóżka.

Zdejmuję koszulkę i dżinsy, rozbieram się do bokserek i padam twarzą na materac. Jestem przyzwyczajony do długiego czuwania, ale w ciągu ostatniej doby przyjąłem wystarczająco dużo podkręconych piłek, żeby mnie to kompletnie wyczerpało. Więc naprawdę liczę na porządne kimanko.

Niestety sąsiadka zza ściany ma inne plany.

Mam wrażenie, że spałem nie dłużej niż dziesięć minut, gdy ktoś zaczyna stępować mi po czaszce.

A przynajmniej to mi się śni. Ktoś stoi nad moim łóżkiem z małym młoteczkiem z rodzaju tych, jakich używają lekarze do badania odruchów, i wali nim w moją głowę. We śnie wyobrażam sobie, że dźwięk jest brzękliwy, rytmiczny i monotonny, jakbym na szyi miał kulę ze szkła.

Ale tak naprawdę to ta mała złoźnica stoi w moim progu i uderza w okienko drzwi od frontu.

Z jękiem przewracam się na bok, pozwalając, aby jedna ręka spadła mi na ziemię, a sam wyglądam zza drzwi sypialni w głąb korytarza. Kurwa mać.

Z tego miejsca niewyraźnie widzę tylko kawałek drzwi frontowych, rozmytą poświatę zbyt jaskrawego słońca wpadającego przez szybkę, która zamienia drobną, krągłą postać po drugiej stronie w rozmazany kształt.

Nie muszę widzieć tej kobiety klarownie, żeby wiedzieć, że jest wkurzona. Poznać to można po jej postawie, wypchniętym biodrze, rękach krzyżowanych

na piersi pomiędzy kolejnymi rundami niecierpliwego stukania, które mogłoby zawstydić najbardziej zawziętego dzięcioła.

Gderając pod nosem, wciskam twarz w poduszkę i za pomocą bawełnianej poszewki tłumię przekleństwo.

*Co, kurwa, tym razem?*

Może jeśli nie ruszę się z miejsca, baba sobie pójdzie. Wsiądzie do swojego ładnego, naprawionego samochodu i odjedzie.

— Wiem, że tam jesteś! — woła Haley, a szklany panel wygłusza jej głos.

— Widzę twój tyłek.

*W takim razie możesz mnie w niego pocałować, kotuś*, niemal rzucam w odpowiedzi, ale potem zmuszam się do tego, żeby milczeć. Podciągam się na dwóch rękach i wstaję mozolnie z łóżka.

Dziewczyna pewnie uzna, że mam kaca — jestem bez koszuli, bez spodni, rozczochrany, z zapuchniętymi oczami — ale mało mnie to obchodzi.

Jeśli ktoś zmusza mnie do zwleczenia się z łóżka, musi wiedzieć, że w pałacu Forda panuje zasada wolności obyczajów. Zataczając się, podchodzę do drzwi i je otwieram. Opieram się ręką o framugę nad głową i przyglądam Haley z kwaśną miną.

— Co.

To nie jest pytanie.

Dziewczyna nic nie mówi. Mruga tylko, wpatrując się we mnie pustym spojrzeniem, zaczynając od głowy, a kończąc na stopach, po czym znów szybko podnosi wzrok, jakby ktoś pociągnął za smycz, a jej ładna, pociągła twarz robi się czerwona — jednak nie sądzę, żeby to był rumieniec.

— Co jest, do cholery? Podoba ci się widok? — Mimo że jestem wkurzony, równie dobrze mogę się trochę zabawić jej kosztem.

W jej gardle utyka dźwięk brzmiący jak wyrzut sumienia. Zbyt szybko odwraca wzrok, chrząka i patrzy ze złością w odległy, słoneczny horyzont.

— Nie rozumiesz idei ubierania się, ty... ty...

— Warren — mówię z lekkim rozbawieniem. — Nazywam się Warren Ford, bo nie przyszło ci wczoraj do głowy zapytać.

— *Warren* — wymawia moje imię tak, jakby była to nazwa szczególnie obrzydliwego dzikiego zwierzęcia, co omal nie wywołuje uśmiechu na mojej twarzy. Ona tylko bardziej się krzywi. — A ty nie dałeś mi okazji do wymiany uprzejmości. Zresztą, sam też nie zapytałeś, jak się nazywam.

— Wiem, jak się nazywasz, Haley West.

Dziewczyna mruga, zerka na mnie, a potem od razu odwraca wzrok.

— Skąd wiesz?

— Wyluzuj. Flynn mi powiedział, kiedy poszedłem wyjaśnić sprawę z domkiem. — Wzdycham i zmieniam pozycję tak, żeby opierać się całym ciałem o framugę. Krzyżuję ręce na piersi i nogi w kostkach. — Czego właściwie chcesz, Haley? Jestem zajęтым człowiekiem i domyślam się, że ty również.

To pytanie na nowo rozbudza jej wściekłość.

Mała panna Wścibska odwraca się znów do mnie ze złością, kładąc ręce na szczupłych, ale krągłych biodrach.

Moje spojrzenie oczywiście natychmiast tam wędruje.

Dziś ma na sobie szorty zrobione z obciętych džinsów, które są tak krótkie, że ledwie kwalifikują się na spodenki, a do tego tak obciste, że wpijają się w miękkie uda. Za duża koszulka baseballowa została nierówno obcięta i zwisa luźno z jej słodkiego zderzaka, odstaniając przy każdym ruchu brzuch.

Możecie uznać, że całkiem mnie popieprzyło — czy raczej życzyłbym sobie, żeby ona to zrobiła. Migający widok jej pępka tak bardzo mnie dekoncentruje, że niemal nie dociera do mnie kolejne kąśliwe pytanie.

— Co zrobiłeś z moim samochodem?

— Z samochodem? Mustangiem? — Marszczę brwi, skupiając znów uwagę na jej twarzy i iskrzących wściekłością zielonych oczach obramowanych wstążkami brązowych włosów, których delikatne kosmyki wymknęły się z niechlujnego koka. — Naprawiłem go.

— Bez mojego pozwolenia?

— I tak chciałaś go oddać do naprawy. Jakie ma znaczenie, kto się tym zajął? — Wzruszam ramionami. — Do diaska, zaoszczędziłem ci trochę czasu i sporo pieniędzy. Pozwij mnie.

Jej różowe policzki zapadają się, jakby chwyciła zębami cytrynę.

— Swoją drogą, musisz wymienić gaźnik, ale naprawiłem ci tymczasowo stary. Wystarczy, żeby dojechać do Billings albo gdzieś w pobliże. — Unoszę brew. — Chyba że naprawdę chcesz zostać w tej zapadłej dziurze wystarczająco długo, żeby miejscowy warsztat zamówił ci nowy?

Nie zdradzam jej, że Stewart powiedział, że może to zrobić.

Haley mruży oczy i zaciska usta z dziwnym uporem. Coś mi mówi, że zechce podjąć wyzwanie.

— Serio? Mam uwierzyć na słowo kompletnie nieznanemu człowiekowi, że naprawił mój samochód i że razem z dzieckiem mogę bezpiecznie wjechać nim na autostradę? — Prycha, jakby powstrzymywała się od dodania: „Naprawdę masz mnie za idiotkę?”. — Dzięki, zaczekam na fachową opinię.

Niech to szlag.

Ma rację, ale ja po prostu nie jestem w stanie przy niej *funkcjonować*.

Ode mnie i mojego misternego planu oddziela ją wyłącznie ściana, która jest zbyt cienka. To jasne, że nie mogę wykonywać takich ruchów, jakie muszę wykonać, żeby dopaść Bressa, gdy ta laska cały czas zagląda mi przez ramię. Z głębi mojego gardła wydobywa się pomruk. Rzucam jej wściekłe spojrzenie.

— W porządku. Jak sobie chcesz...

Nagle oglądam jej plecy.

Pokazuje mi środkowy palec i odchodzi, zatraskując drzwi do swojej połowy domku.

Przesuwam dłońią po twarzy.

Niech to jasna *cholera*.

A zresztą.

Znudzi się i szybko wyjedzie. Potrafię rozpoznać mieszczaucha.

Heart's Edge nie ma zbyt wiele do zaoferowania ludziom przyzwyczajonym do wielkomiejskiego nocnego życia. Komary bardzo szybko się nudzą.



Nie wspominając o ciągłym cykaniu świerszczy i braku jakichkolwiek porządnych miejsc rozrywki poza jednym jedynym pubem z tarczą do gry w rzutki, w której jest więcej dziur niż korka.

To wszystko nadaje Heart's Edge uroku.

Jestem pewny, że to wszystko sprawi też, że o świcie dziewczyna ruszy ze swoim dzieciakiem na poszukiwania bardziej cywilizowanych rejonów.

Wzdycham, wchodzę do środka i zamykam drzwi. Jestem rozbudzony.

Kilka godzin snu będzie musiało jakoś mi wystarczyć. Może po zachodzie słońca utnę sobie drzemkę, zanim znów będę musiał wstać, gdy zrobi się całkiem ciemno, żeby bawić się w tajnego agenta i szukać dalszych informacji.

Przecieram zaspane oczy, ładuję się pod prysznic i dobudzam na zasadzie terapii szokowej zimnym, mocnym strumieniem wody, puszczonego prosto w twarz. Dawny nawyk z Army Rangers.

Aż nazbyt często wysyłano nas w miejsca, gdzie mieliśmy szczęście, jeśli w ogóle była bieżąca woda. Wypracowałem w sobie ogromną wdzięczność za zimne prysznice, które wyostrzały zmysły i pozwalały zachować jasność umysłu.

Stwierdzenie, że woda *to* życie, nigdy nie nabierało większego znaczenia niż podczas służby u Wujka Sama.

Czuję się bardziej rześko, więc wycieram się, ubieram i idę do kuchni, żeby upichcić szybko jajecznicę na śniadanie i zrobić kawę. Podnoszę jednak głowę, bo zauważam jakiś ruch za oknem nad zlewem.

Haley wyprowadziła mustanga z garażu Flynna. Zaparkowała na poboczu wąskiej drogi gruntowej, biegnącej z boku domu, tuż za ogrodzeniem, a teraz obie z matką szarpią się z torbami na tylnym siedzeniu.

Pakują się i wyjeżdżają.

*Dzięki, kurwa, Bogu.*

Ogromne poczucie ulgi sprawia, że siedząc na kanapie, z przyjemnością piję poranną kawę i robię plany na nadchodzący dzień.

Plotka na temat tego, że szukam dla siebie domu, bo chcę osiąść na dobre, bardzo mi pomaga. Skorzystam z każdej wymówki, wzięwszy pod uwagę rozmiary, do jakich rozrosły się interesy Bressa od czasu, gdy jak zaraza rozniósł się po całym Heart's Edge.

Poszukiwania lokum to idealna przykrywka na krążenie po mieście.

Będę udawał, że wypatruję na trawnikach znaków „na sprzedaż”, żeby móc za dnia przeprowadzać rekonesans jego inwestycji. Chcę wiedzieć o każdym kichnięciu Dennisa Bressa.

Gdzie spędza czas? Z kim? Co robi w weekendy?

Oraz co takiego odkryła Jenna na temat tego drania, że kazał ją zabić?

Dzięki państwowym archiwom notarialnym mam pomysł, od czego zacząć.

Kilka adresów, trasa, parę przystanków zaplanowanych po to, żeby nie wzbudzać podejrzeń, a potem do dzieła.

Wsiadam do swojego pikapa i jadę do miasta.

Ani śladu po ładnym, niebieskim mustangu. Dziewczyny musiały ochoczo wyjechać, bez słowa pożegnania.

Gdybym nie musiał deptać po piętach tej morderczej gnidzie, to może nawet zrobiłoby mi się przykro.

Jednak jakakolwiek myśl o nich wylatuje mi z głowy, gdy skręcam w boczną uliczkę odchodzącą od Main i dostrzegam Bressa we własnej osobie.

*Cholera!*

Wysiada ze swojego starego, spracowanego kampera zaparkowanego tuż przed wejściem do sklepu jeździeckiego. To najbardziej zbliżone do pasażu handlowego miejsce, jakie mamy w Heart's Edge, a to tylko dlatego, że właścicielka, Tandy Thatcher, pozwoliła swojej córce dołączyć małą część z artykułami plastycznymi, podczas gdy jej syn prowadzi na tyłach sklep ogrodniczy.

Bress wysuwa się z wozu jak wąż. Emanuje charakterystyczną dla siebie mieszanką znużenia i władczości; tą maską spokojnego, życzliwego człowieka założoną na czającego się pod nią demona. Przeczesuje swoje blond włosy w popielatym odcieniu i wzdycha ciężko, jakby nosił na sercu jakiś ogromny balast, a potem wchodzi do środka głównej części sklepu, która przypomina stodołę.

Tak wcześnie rano w pobliżu nie ma nikogo innego.

*Idealna okazja.*

Parkuję przy chodniku, a potem rozglądam się pośpiesznie.

Nie ma żadnych samochodów, a ściana stodoły zastania widok z wnętrza.

Grzebię szybko w torbie, którą trzymam pod siedzeniem, i znajduję w niej jeden z lokalizatorów GPS.

Jest magnetyczny, mały i łatwy do ukrycia w nadkolu.

Przemykam obok wozu Bressa, chowając się za nim, a potem schylam się, żeby umieścić lokalizator tuż nad tylnym prawym kołem.

— Znów się bawisz w mechanika? — pyta za moimi plecami zgryźliwy głos. Niemal wyskakuję z własnej skóry.

W nagrodę przywalam łbem w część mieszkalną kampera Bressa.

Sycząc i przeklinając, podnoszę się i rozcieram pulsującą bólem skroń.

Odwracam się, żeby zobaczyć, kto mnie nakrył — mimo że już to wiem.

*Bo kto, kurwa, inny?*

Irytuje mnie, że już tak dobrze znam jej głos — tę mieszaninę zalotnej słodyczy z miękkim terkotaniem, zawsze bliską śmiechu. A Haley West ma teraz właśnie taką minę, jakby się ze mnie śmiała. Zatrzymuje kabriolet i opiera łokciem o drzwi od strony kierowcy, przyglądając się mi lśnącymi oczami.

— Nic się panu nie stało? — pyta dziewczynka.

— Wszystko gra — odpowiadam, ale szlag, czy widziała, czym się zajmowałem? — Co wy tu robicie? — dociekam, zanim ona zdąży zapytać, co ja tutaj robię. — Myślałem, że wyjeżdżacie?

— Tak? A kiedy coś takiego powiedziałam? — Haley unosi obie brwi, z przesadą wydymając wargi. Dostrzegam wtedy podobieństwo między nią a dziewczynką. — Pan Bitters był tak miły i pokierował mnie do sklepu z artykułami dla plastików, żebym mogła się zaopatrzyć.

Wpatruję się w nią nierozumiejącym wzrokiem.

— Zaopatrzyć?

W jej uśmiechu zauważam coś niemal triumfalnego, gdy wysiada z samochodu.

Jest tak gibką, energiczną, młodą osobą, że nawet nie bawi się w otwieranie drzwi. Podciąga się po prostu na rękach i przeskakuje nad nimi, lądując lekko na ziemi.

Mała próbuje pójść w jej ślady, ewidentnie widząc w niej swoją bohaterkę, ale kończy się to niezdarną wspinaczką i upadkiem. Dziewczynka chrząka i skromnie poprawia sukienkę. Niemal jak kociak, który patrzy, czy ktoś ośmielił się zauważyć, że spadł z parapetu.

Za to Haley przypomina bardziej kota, który dorwał się do śmietanki, gdy podnosi na mnie płonące spojrzenie swoich zielonych oczu i opiera stanowczo dłonie na biodrach.

— Okazuje się, że dosyć mi się tu podoba — mówi z uśmiechem tak słodkim, że aż jadowitym.

Absynt w kolorze jej oczu. Upajający i trujący.

Zaciskam pięści, ale milczę jak głaz, wpatrując się w nią z uporem.

— Chyba zostaniemy tu na trochę, sąsiedzie. Chicago nie ucieknie. Jaka by była ze mnie artystka, gdybym nie słuchała głosu muzy? A Heart's Edge jest naprawdę urocze. — Jej uśmiech tnie jak brzytwa. — Poza tym moja mała Tara nigdy nie wypoczywała na zadupiu, więc to wspaniała okazja.

Ale naprawdę, Warren, doceniam ciężką pracę, jaką włożyłeś w naprawę mojego samochodu i próbę wykurzenia mnie z miasta. Czuję, że spotkałam się z autentycznym małomiasteczkowym przyjęciem.

Nie wiem, co powiedzieć, bo przez tę wiadomość czuję, jakbym dostał obuchem w głowę.

Podczas gdy sądziłem dziś rano, że ona się pakuje, tak naprawdę się rozpakowywała.

Wcześniej tego nie dokończyła; pewnie, żeby zrobić mi na złość.

Czuję się rozdarty.

Rozdarty pomiędzy chęcią sprzeciwienia się temu, że jestem jakimś ograniczonym umysłowo kmiotkiem z górskiej miejscowości, który próbuje wypędzić elegantkę z wielkiego miasta — historia rodem z kiepskiej komedii

— a chęcią przyciągnięcia jej bliżej. Chęcią scałowania z jej wrednych usteczek tego nieznośnego, zadziornego uśmiešku. Chęcią przekonania się, czy dziewczyna smakuje słodyczą i alkoholem, tak jak absynt w jej oczach.

Zamiast tego stoję nieruchomo, podczas gdy ona odwraca się i wchodzi do sklepu, zarzucając lekko włosami, z dłonią wsuniętą w czuprynę towarzyszącej jej dziewczynki.

*Ja pierdolę.*

Powinienem pogadać z Flynnem.

Tak czy siak muszę się jak najszybciej pozbyć tej nieznośnej, kłótlivej, doprowadzającej mnie do szału kobiety.

### ROZDZIAŁ 3. NIE MÓW O NICZYM (HALEY)



Pozostawienie tego dupka na ulicy, kompletnie ośupiałego, nie powinno sprawić mi aż takiej przyjemności.

Ale ludzie. Zasłużył sobie na to.

Zwłaszcza po tym, jak otworzył dziś rano drzwi z tą swoją szeroką, wytatuowaną klatką, mocnymi, umięśnionymi udami i bokserkami tak maleńkimi, że nie użyłabym ich nawet jako chusteczki.

No bo, wow, gdyby jego majtki nie tuliły wybruszenia w kroku tak czule, to może miałabym darmowy pokaz, bo coś by wystawało. Kolejny problem, którego naprawdę nie potrzebuję.

Szczerze mówiąc, mógł się wykazać odrobiną przyzwoitości.

A przynajmniej nie otwierać swojej kretyńskiej gęby, żeby mogła w ciszy podziwiać odrobinę *nie* przyzwoitości.

Ale oczywiście przystojniacy zawsze mają dużo do powiedzenia.

Nie mogę znieść Warrena.

Jest gburowaty. Autorytatywny. Bezczelny. Nieuprzejmy. Jest...

Za bardzo zaprzęta moje myśli. Bez dwóch zdań.

Przecież powinnam myśleć o odcieniach błękitu gwaszy, których potrzebuję, żeby oddać kolory zamglonego nieba wokół odległego górskiego szczytu. A nie o szczególnym odcieniu błękitu tęczyówek Warrena tego ranka, kiedy jeszcze na wpół spał, a jego spojrzenie było mroczne i dymne.

I na pewno nie o wpadających mu do oczu, splątanych włosach i o porannym słońcu, kładącym się płowym blaskiem na twardych przęstach jego nagiego torsu.

Boże.

*Uspokój się, dziewczyno.*

W pomieszczeniu jest dziecko.

Tara ciągnie mnie za bluzkę i wskazuje na pudełko blisko dwustu kredek ołówkowych Prismacolor w tęczowej palecie jaskrawych odcieni.

Patrzę na nią z westchnieniem. Aż za bardzo przypomina mnie, kiedy byłam w jej wieku.

Jako dziesięciolatka sięgałam po mnóstwo rzeczy tylko po to, żeby wypróbować je raz, a potem porzucić i zająć się kolejnymi — jednak teraz wciąż przeliczam zawartość swojego konta bankowego. Mamy ograniczony budżet.

Ale to nie fair kupować artykuły plastyczne dla siebie tylko dlatego, że zostają tu w ramach jakiejś złośliwej zachcianki, a potem mówić Tarze, że nie może dostać tej jednej małej rzeczy.

Poza tym...

Kiedy sama byłam dzieckiem, tym, co w końcu sprawiło, że usiadłam spokojnie i przestałam przerzucać się z jednego hobby na inne, było pudełko ołówków. Miały rysiki o różnej twardości i fakturze. Dostałam je w prezencie od nauczycielki w czwartej klasie, zachwyconej rysunekami, które zostawiałam na marginesach oddawanych zadań.

Pani Brandy nie była w stanie nakłonić mnie do skupienia podczas lekcji, ale gdy dała mi do ręki ołówki? Nagle znalazłam coś, na czym potrafiłam się całkowicie skoncentrować, jak na niczym innym.

Może kredki Prismacolor okażą się czymś takim dla Tary?

A jeśli nie, to zasługuje na tę samą szansę, jaką ja dostałam — żeby próbować kolejnych rzeczy, aż odnajdzie prawdziwą miłość do ołówka.

Uśmiecham się do niej, przekładając płótna, tubki z farbami i pędzle do jednej ręki, żeby móc uścisnąć jej dłoń.

— Na pewno chcesz to? Nie markery albo ten zestaw długopisów? Kręci głową.

— Podoba mi się, że kiedy koloruje się kredkami, rysunek jest taki delikatny — mówi. — Naprawdę chcę je wypróbować.

— Dobrze, skarbie. — Dla zachęty ściskam ją za rękę odrobinę mocniej.

— W takim razie potrzebny ci będzie szkicownik. Taki zbindowany. Do rysunków kredkami najłatwiej używać takiego na spirali. Wybierz sobie jakiś ładny.

Jej twarz się rozpromienia, oczy poszerzają. Przytula mnie tak mocno, że omal wszystkiego nie upuszczam.

— Dziękuję, ciociu Hay! — woła i odbiega. Odprowadzam ją wzrokiem z westchnieniem pełnym czułości.

Naprawdę bardzo kocham tę dziewczynkę.

Nie widuję jej wystarczająco często, bo mieszkam daleko od siostry, ale może kiedy osiądę w Chicago, postaram się częściej brać wolne i odwiedzać rodzinę.

A mała któregoś dnia wyrośnie i przestanie mnie tak nazywać.

Któregoś dnia.

Odwracam się w poszukiwaniu kolejnych rzeczy — skrobaka, małego tonera do mieszania farb. Kiedy jednak Tara w podskokach wraca z pudełkiem kredek ołówkowych i dużym szkicownikiem na spirali przyciśniętym do piersi, nigdzie nie widzę kasy.

Nagle zauważam drewnianą tabliczkę nad otwartymi drzwiami. Jest namalowana ręcznie i wskazuje na znajdującą się obok stodołę, która wygląda jak jakiegoś rodzaju... sklep z artykułami dla koni? Skład dla rolników?

Przynajmniej mają tam worki ze zbożem i bele siana. Wewnątrz unosi się ciepły, ziemisty zapach i tyle kurzu, że czuję łaskotanie w nosie.

Zapłać w środku — głosi szyld, więc przekładam swój ładunek i przechodzę przez próg w tym właśnie celu, zstępując z płytek na podłogę z ubitej ziemi.

W ten sposób wpadam prosto na szeroki tors, na tyle twardy, że mnie odrzuca. Z piskiem przyciskam rzeczy do piersi.

Złe posunięcie. Materiały wylatują mi z rąk, jakbym ścisnęła balon z wodą i chlusnęła nią dokoła.

— Ups — odzywa się uprzejmy, troskliwy męski głos. Ktoś łąpie mnie za ramiona i pomaga odzyskać równowagę. — Proszę. Niech pani pozwoli, że pomogę.

Patrzę w niebieskie oczy i przez chwilę myślę, że to Warren — ale oczy Warrena są w ciemniejszym, bardziej burzowym odcieniu. Są bardziej namiętne i dzikie.

Te oczy są bledsze, delikatniejsze, nękane cichym wyczerpaniem, które uderza mnie, zanim jeszcze udaje mi się zobaczyć całą postać. Mężczyzna jest wysoki, starszy, ale nie *stary*, o tej samej mocnej budowie ciała byłego żołnierza, która przywodzi mi na myśli Warrena. Jego popielate włosy osuwają się wraz z pełnym rezerwy uśmiechem, który mi posyła, przyklękając na jedno kolano, żeby pozbierać moje rzeczy.

— Przepraszam — udaje mi się wydusić. Kucam, żeby mu pomóc, natomiast Tara stoi nad nami i przygląda się nam z zainteresowaniem. —

Powinam była patrzeć, gdzie idę.

— Wydaje mi się, że dość trudno to zrobić ze stertą rzeczy na wysokości twarzy — mówi mężczyzna, lekko przeciągając głoski.

Nie nazwałabym jego akcentu południowym, raczej czymś w stylu klimatu górskich rejonów nad Pacyfikiem, które można znaleźć w Oregonie lub Kalifornii. Ze śmiechem pomaga mi poukładać rozrzucone farby i pozostałe przybory na odwrocie blejtramu, a potem patrzy na nie ze zmarszczonym czołem.

— Oj, wygląda na to, że pobrudziłem pani płótno. Zapłacę za nie właścicielce sklepu, jeśli chce pani zamiast tego wziąć nowe.

— Nie, nic nie szkodzi. — Kręcę głową, podnosząc się z uśmiechem.

— Płótno bardzo łatwo się czyści. Kupię to, ale bardzo dziękuję za propozycję, panie...?

— Bress — przedstawia się i podaje mi dłoń, a potem opuszcza ją ze śmiechem, gdy patrzę na nią kpiąco, bo sama mam ręce pełne rzeczy. —

Dennis Bress. A pani wygląda na nową w tym mieście.

Bress.

Czy nie to imię Warren rzucił ze złością, kiedy przytapał mnie po swojej stronie bliźniaka?

Nie rozumiem. Ten mężczyzna wydaje się bardzo *miły*.

Dlaczego miałby nasyłać kogokolwiek na Warrena, zwłaszcza nieszczęsną malarzkę, a sporadycznie niewolnicę korporacyjną?

Zachowuję jednak te myśli dla siebie i macham lekko palcami w zastępstwie uścisku dłoni.

— Jestem tu tylko przejazdem na kilka dni, póki nie naprawię samochodu. Zatrzymałam się w Uroczysku. Nazywam się Haley West, a to moja siostrzenica, Tara Brenley.

Tara wtrąca wesole „cześć!” i wypuszcza swoje skarby ze śmiertelnych objęć na tyle długo, żeby móc uścisnąć rękę Bressa jak przystało na delikatną młodą

damę, w którą lubi się wcielać. Mężczyzna skłania się nad malutką dłonią, udając, że dotyka jej czołem jak skończony dżentelmen, a mała chichocze.

— Jestem oczarowany — mówi przeciągle, a potem się prostuje i posyła mi kolejny uśmiech. — Jeśli ma już pani wszystko, pomogę zanieść rzeczy do samochodu.

Jestem wdzięczna za pomoc. Zwłaszcza po tym, jak poznaję właścicielkę tego dziwnego kompleksu sklepów i przekonuję się, że plotki o małomiasteczkowej nieuprzejmości nie mają w sobie za grosz prawdy.

Pani Thatcher rozpytywa się w uśmiechu i podpowiada, w jaki sposób oczyścić płótno, przecierając je alkoholem. Daje mi nawet rabat, choć to z mojej winy materiał się zniszczył.

Tara dostaje kilka serdecznych, dociekliwych, jednak całkowicie pozbawionych protekcjonalności pytań na temat jej talentu artystycznego, a potem Bress pomaga nam załadować torby z zakupami na tylne siedzenie samochodu.

— Była już pani u mechanika? — pyta, gdy siadam za kierownicą.

— Jak na ironię, jeszcze nie — odpowiadam kpiąco. — To z nim powinnam się pilnie zobaczyć, a mimo to nie miałam jeszcze okazji, żeby zajechać do warsztatu i zapytać o potrzebną część.

— No cóż... — Bress wzdycha przeciągle i powoli, opierając się na ugiętych łokciach o drzwi mustanga. Nie patrzy na mnie, ale gdzieś w dal.

Ściąga zatroskany brwi. — Jeśli mechanik nie będzie mógł pomóc, proszę mnie znaleźć. Dopilnuję, żeby się panią zajęto.

Dziwne, że mówi coś takiego. A może tak mi się tylko wydaje z powodu Warrena?

Marszczę czoło, lecz mężczyzna patrzy na mnie nagle, więc szybko się uśmiecham, mając nadzieję, że nie wyglądam na równie skrępowaną, jak się czuję.

— Dziękuję, panie Bress. Doceniam pańską pomoc.

Nie odwzajemnia mojego uśmiechu. Patrzy na mnie tylko dziwnym wzrokiem przez długą, zbłąkaną chwilę, po czym prostuje się i odsuwa, klepiąc na koniec drzwi samochodu.

— Do widzenia, pani West — mówi. — No i witamy w Heart's Edge.

\*\*\*

PRZEZ CAŁĄ DROGĘ POWROTNĄ do Zajazdu Uroczysko rozmyślam nad naszą rozmową.

Coś mi tu nie gra. Czuję się tak, jakbym wkroczyła do powieści Agathy Christie.

Małe miasteczko, które z pozoru wygląda malowniczo, ale jego mieszkańcy są trochę dziwni w sposób, jaki nie do końca da się rozszyfrować.

A przynajmniej nie aż do czasu, gdy człowiek się dowiaduje, że pod podłogą domku letniskowego leży trup.

To po prostu dziwne. Warren jest podejrzany jak cholera. Uparcie dążył do tego, żeby się mnie pozbyć — jakby ukrywał coś po swojej stronie bliźniaka, pełen strachu, że to znajdę.

Kilka rzeczy, które dla mnie zrobił, można by uznać za oznakę uprzejmości, gdyby nie robił ich ewidentnie po to, abym znalazła się jak najdalej od niego. A potem gość, o którym wspominał, Dennis Bress, przypadkowo wpada na mnie w sklepie z artykułami plastycznymi i mówi zagadkami, choć gdy porównać go z Warrenem...

Bress wydaje się aniołem.

Przynajmniej *jemu* nie brakuje manier.

Potrafi się ubrać i nie rzuca mi tego koszmarnego spojrzenia jak jakiś walący się w piersi Tarzan. Spojrzenia, które każe mi sądzić, że albo Warren najchętniej spaliłby mnie żywcem, albo przycisnął do ściany i sprowokował

coś o wiele bardziej występne niż kolejna runda obrzucania się błotem i przekleństwami.

Więc co jest tutaj grane?

Czy między Warrenem i Bressesem istnieje jakiś zatarg? Coś w rodzaju małomiasteczkowych krwawych porachunków?

Czy Bress jest przestępcą? Cholera, a Warren? Gangsterem, zbirzem, który chce przydybać tego drugiego za coś, co jest mu winny — albo dla czystej przyjemności?

Wykrzywiłam kwaśno usta. Żadna z tych opcji jakoś mi nie pasuje.

Bress jest zbyt miły. A Warren...

Cóż, miły na pewno nie jest. W najmniejszym stopniu.

Ale ma w sobie jakąś dogłębną honorowość i moralność, bo w przeciwnym razie uparłby się, żeby odholować mnie z posiadłości nawet po tym, gdy już wiedział, że nie mamy się z Tarą gdzie podziąć.

A może dałam się tylko omamić jego męskiej urodzie?

Może tracę rozum?

I nie chcę wierzyć w to, że mężczyzna, który w bokserkach mógłby zawstydzić każdego modela prezentującego bieliznę w Los Angeles, może być aż tak okropnym człowiekiem.

Nie zapomniałam o Warrenie w jego najlepszym wydaniu.

Ten lew, a nie mężczyzna, stanął w progu, jak gdyby sam Herkules po-wrócił na ziemię, wstępując po drodze do salonu tatuażu. Do tego rozczochrane podczas snu włosy i gumka od bokserów opinająca się ciasno wokół

skrawka ciała tuż poniżej kolców biodrowych.

Boże.

*Niech mi ktoś każe przestać.*

Wciąż wracam do tego myślami, zagryzając dolną wargę, zupełnie pochłonięta własnymi rozważaniami, gdy skręcam w boczną dróżkę, prowadzącą na tyły rozległej posiadłości Zajazdu Uroczysko, do naszego małego, prywatnego zakątka. Jestem tak zaabsorbowana wyciąganiem toreb i zamykaniem mustanga, że wchodząc po schodkach, nie patrzę nawet na domek, tylko szukam w pęku kluczy tego nowego, który do nich wpięłam.

Nagle Tara krzyczy.

Ostro, przenikliwie, przerażająco.



Krew w moich żyłach w jednej chwili robi się lodowata. Podrywam głowę i podbiegam, żeby złapać siostrzenicę i ją obronić.

Raptem zatrzymuję się ze zmarszczonymi brwiami, bo w końcu zauważam, co ją przstraszyło.

— Co u licha? — wydobywa się z moich ust, nagle równie odrętwiałych, co cała reszta mojego ciała.

Pierwsze zimne palce autentycznego, lepkiego strachu szczypią moją skórę. Nie jestem w stanie odwrócić wzroku od obsmarowanych drzwi do mojego domku.

Krew.

Surowa, świeża krew, ociekająca szkarłatem, układająca się w litery napisane pospieszną, wściekłą ręką.

**ZNIKAJ STĄD NATYCHMIAST Z WŁASNEJ WOLI  
ZANIM WYJAZD STANIE SIĘ NIEMOŻLIWY  
TO TWOJE JEDYNE OSTRZEŻENIE**

Przyciskam dłoń do ust, żeby zdusić okrzyk paniki, który usiłuje się wyrwać z mojej piersi.

W krew zatknięto miękkie, podwinięte, brązowe pióra, które w straszliwy sposób wskazują na jej źródło. Jaki człowiek zrobiłby coś takiego niewinnemu zwierzęciu, żeby tylko przekazać dobitnie wiadomość?

I przekazuje ją głośno i wyraźnie.

A jeśli wystarczył kaprys, żeby zrobić coś takiego z ptakiem...

*To co mógłby zrobić z kobietą i małą dziewczynką?*

— Tara, wracaj do samochodu — szepczę, na oślep szukając jej dłoni, i schodzę tyłem po schodach. Ciągnę za sobą swoją przerażoną, pociągającą nosem siostrzenicę. — Wsiadaj do samochodu, skarbie. Wyjeżdżamy.

Uspokoimy się i zadzwonimy na policję z...

— Nie trzeba dzwonić na policję. — Gdzieś za mną odzywa się głos niczym grzmot czy ponury warkot.

Zamieram, mam zablokowane kolana, oddech utyka mi w klatce piersiowej na dźwięk zbliżającego się Warrena.

Pierwsza rzecz, która przychodzi mi na myśl to: *jasna cholera, właśnie on chce się mnie pozbyć!*

Nie potrafię oddychać. Nie potrafię myśleć. Nie potrafię zdecydować.

Nogi mam jak z betonu. Odwracam się powoli i instynktownie chowam siostrzenicę za sobą, żeby ją osłonić. Zauważam, że pikap Warrena stoi za moim mustangiem, zderzak w zderzak — *blokuje nas* — a mężczyzna patrzy nad moją głową ostrym wzrokiem, wpatrując się w domek.

Nagle jestem aż nazbyt świadoma, jaki ten facet jest wielki, przerażający, masywny, potężny. Śmiertelna zapora w postaci człowieka, który wygląda tak, jakby został stworzony po to, by jego ciało było murem.

Nie jestem tylko pewna, czy chce chronić czy krzywdzić.

Ludziom takim jak on zbyt łatwo przychodzi wykorzystanie własnej siły w złym celu. A jeśli postradał zmysły, jeśli zupełnie oszalał...

Lecz przeciska się obok, nawet się na mnie nie oglądając. Jego twarz zastyga w ciemnych, ponurych zmarszczkach, gdy omiata drzwi spojrzeniem.

— To nie jest wiadomość dla ciebie — mówi łagodnie. — Nie martw się.

Jesteś bezpieczna.

Zerkam najpierw na Tarę. Jej nieduże oczka są wytrzeszczone i mokre.

Mała się trzęsie.

Już się nie boję, widząc, że moja dziewczynka się boi. *Jestem wściekła.*

— Idź, kotku — szepczę, gładząc ją delikatnie po ramieniu, a potem popychając lekko. — Do samochodu. Zaraz do ciebie przyjdę.

*I tak zrobię. Ale najpierw zamienię kilka słów z panem „co to ma, kurwa, znaczyć”.*

Tara odwraca się i oddala na bezpieczną odległość. Patrzę, jak wsiada na tylne siedzenie mustanga, a potem kładzie, żeby się schować w swojej kryjówce jak przestraszony szczeniak.

Grzeczna dziewczynka. Jeśli sytuacja wymknie się w nieprzewidywalny sposób spod kontroli i będziemy musiały uciekać, będzie gotowa do drogi.

Cofam się o kilka kroków, żeby znaleźć się trochę dalej od domku — i Warrena. Jestem spięta, gotowa... ale nawet jeśli przy tym się boję, to z każdą mijającą sekundą robię się coraz bardziej wściekła.

Chcę poznać prawdę. *Teraz.*

— Jak mogę być bezpieczna, skoro ktoś pisze mi coś na drzwiach? — warczę. — Co masz na myśli, mówiąc, że to nie było przeznaczone dla mnie?

Facet w skupieniu i ciszy ocenia przenikliwym wzrokiem wiadomość nabazgraną na drzwiach. Nagle kojarzy mi się z policjantem. Poważnym i skoncentrowanym, szukającym poszlak na miejscu zbrodni.

Ta myśl nie powinna poprawiać mi samopoczucia, umniejszać gotowości do ucieczki. Z tego, co wiem, właśnie przez niego wdepnęliśmy w jakieś wielkie gówno.

Ale po prostu nie wyczuwam z jego strony żadnego zagrożenia.

Z jednej strony chcę zaufać intuicji, z drugiej — to intuicja doprowadziła mnie do zaręczyn z Eddym.

Mimo to odprężam się odrobinę, gdy Warren na mnie spogląda.

Jego wzrok przesuwają się po moim ciele, łagodniejąc. Błyszczące, niebieskie oczy ciemnieją z niepokoju, przenikając mnie szybciej niż jakiegokolwiek stalowe spojrzenie.

— Ktokolwiek za tym stoi, popełnił ten sam błąd co ty. Drań nie wiedział, po której stronie domku mieszkam. Jesteś ranna? — Gdy wypowiada ostatnie dwa słowa, w jego głosie jest jakaś zaciętość.

Coś mrocznego. Coś słodkiego. Coś zaborczego.

— Ja... nie. Ja tylko... Nic mi nie jest. — Jestem wytrącona z równowagi.

Jąkam się, bo przeżywam kolejny wstrząs.

Czy ten palant właśnie wypętlzył ze swojej jaskini na wystarczająco długo, żeby się o mnie niepokoić?

— Na pewno? — dudni znowu, mierząc mnie dla pewności wzrokiem z góry na dół.

— Wciąż w jednym kawałku. — Tym razem kiwam głową bardziej stanowczo.

— To dobrze. — Odpowiada zdecydowanym kiwnięciem, a potem znów wbija wściekłe spojrzenie niebieskich oczu w drzwi. — Napis zostawił ktoś, kto mnie zna. Zaszifrowana wiadomość. *Sua sponte*. Z własnej woli.

— Jego usta zaciskają się w wąską linię. — To motto Army Rangers. Ktoś chce mi przekazać, że mnie namierzył.

— Jesteś rangersem?

— Byłem. — Warren przykuca, przez co uda mocno napierają na dżinsy.

Zmrużonymi oczami przygląda się kępce zakrwawionych, splątanych piór na wycieraczce.

Potem prostuje się i odwraca do mnie. Jego ruchy robią się nagle cięższe, jakby raptem poczuł się zmęczony, a potężne ciało zaczęło mu ciążyć.

— Warren? — Jego imię wydobywa się z moich ust w formie pytania.

Mężczyzna schodzi z westchnieniem ze schodów, zbliżając się do mnie.

— Teraz rozumiesz, dlaczego chcę, żebyś wyjechała? Masz dziecko, Haley.

Ty i twoja córka nie powinnyście zostać w to przypadkowo wplątane.

— Siostrzenica — poprawiam i krzyżuję ręce na piersi. — I nie do końca wiem, w co miałybyśmy zostać wplątane.

Wyraz jego twarzy twardnieje.

— To akurat nie twoja sprawa. Uwierz mi.

— Jakoś trudno mi w to uwierzyć, gdy ktoś wypisuje dziwne rzeczy na domku, za który sporo zapłaciłam.

— Formalnie rzecz biorąc — zauważa — to ja za niego zapłaciłem.

— Formalnie rzecz biorąc, jesteś dupkiem. — Jestem opryskliwa, ale nic nie mogę na to poradzić.

Właśnie opuściliśmy terytorium Agathy Christie i weszliśmy prosto na teren Stephena Kinga. Teraz tylko czekać, aż za oknem pojawi się seryjny morderca z zakrwawionym nożem w dłoni.

*Słodki Jezu.*

Robię kilka drżących wdechów, zdejmuję szarpnięciem klamerkę z włosów i przeczesuję je palcami, żeby załagodzić ból głowy, który z napięcia zaczyna pulsować mi pod czaszką.

— Niech zgadnę. Mam nie dzwonić na policję w związku z tym, że ktoś ukatrupił gołębia i rozmazał jego krew na moim oknie...

— Rozmazał farbę — przerywa łagodnie. — To tempera i sztuczne piórka. Pewnie z tego samego sklepu, w którym dziś byłaś.

Nieruchomieję i wybałuszam oczy. *Co takiego?*

Ze sklepu z artykułami plastycznymi... w którym spotkałam Bressa?

Człowieka powiązanego z Warrenem w jakiś sposób?

Człowieka, któremu Warren ewidentnie nie ufa, skoro uważał mnie za jego szpiega?

Człowieka, przy którego samochodzie majstrował, kiedy zajechałam pod sklep?

Nie jestem ślepa. Widziałam, że coś robił, nawet jeśli nie wiedziałam co.

Czy za fasadą zmęczzonego dżentelmena kryło się coś więcej, niż zauważyłam?

Czy Dennis Bress przyjechał tu w jakiś sposób przede mną, zostawił ostrzeżenie dla Warren'a i odjechał, zanim ktokolwiek go przytapał?

Po co?

Co, do cholery, jest ukryte pod ładną jak z obrazka powierzchnią tego dziwnego miasteczka?

— Hay.

Nagle Warren stoi tuż przede mną i kładzie masywne dłonie na moich ramionach — są dużo delikatniejsze, niż mogłabym się spodziewać, ściskają mnie jedynie na tyle mocno, żeby mnie uspokoić i przywrócić do równowagi jego ciepłem, jego solidnością.

Przez kilka kolejnych sekund poddaję się jego urokowi. Nie przeszkadza mi nawet to, że nazywa mnie „Hay”, może dlatego, że nie towarzyszy temu słowo „ciocia”.

Warren pochyla się, obejmując mnie żarem swojego ciała, i próbuje zajrzeć mi w oczy.

— Boisz się, prawda? — pyta łagodnie.

Przetykam z trudem ślinę i zerkam na niego.

— A ty byś się nie bał, gdybyś utknął w obcym mieście, w którym dzieje się coś takiego?

— Nie utknęłaś. W każdej chwili możesz wyjechać. — Uśmiecha się lekko. Nie jednym z tych bezczelnych, cynicznych uśmieszków, które widziałam wcześniej, ale kpiąco, niemal autoironicznie. Niemal krzepiąco.

— Do diaska, może po prostu zatrzymaj się gdzie indziej. Znam kilka miłych osób w okolicy, które z chęcią przejmą rolę dyżurnego Airbnb. Będziesz u nich bezpieczna. Wszędzie będziesz bezpieczna, byle nie tu. — Dotyka mojego policzka i gładzi go kciukiem. Jego zrogowaciała skóra jest szorstka.

— Wszystko będzie dobrze, o ile będziesz się trzymać ode mnie z daleka, Haley. Obiecuję.

Jego zapewnienie nie powinno nic znaczyć.

Ale i tak się w niego wpatruję, oddychając z drżeniem.

— Kim ty, do diabła, jesteś? — szepczę. — O co tu chodzi?

— Nie chcesz tego wiedzieć. — Patrzy na mnie jeszcze przez chwilę, przenikając mnie głęboko spojrzeniem swoich płomiennych, niebieskich oczu, a potem zabiera ręce, prostuje się i odsuwa. — Zrobię tylko zdjęcia, na wypadek gdybyśmy potrzebowali dowodu. A potem poproszę Flynn'a, żeby ty posprzątał. Dziś możecie spać z Tarą u mnie, a jutro podzwonię po ludziach.

Wpatruję się w niego, zagryzając wargi, podczas gdy on wchodzi z powrotem po schodkach.

— Po co nam dowód, skoro nie będziemy dzwonić na policję?

— Nie ma potrzeby mieszać w to policji. Jeszcze nie — mówi i już samo to sprawia, że zaczynam się jeszcze bardziej martwić.

Bo nawet jeśli to nie było jego dzieło, nietrudno zauważyć, że nie chce, aby przedstawiciele prawa weszli wokół tego, czym się zajmuje w Heart's Edge, a co spowodowało na nasz próg takie ostrzeżenie.

Odwraca się i znów na mnie patrzy.

— To mój problem, nie twój. Na wszelki wypadek wolę być przygotowany.

Na wszelki wypadek?

Na jaki wszelki wypadek?

Mam to pytanie na końcu języka... ale boję się je zadać.

*W co ja się, u licha, wpakowałam?*

\*\*\*

CZUJĘ SIĘ DZIWNIE I NIESWOJO, gdy razem z Tarą wracamy do naszej części bliźniaka, żeby zabrać to, co będzie nam potrzebne u Warrena.

Z jednej strony nie mogę uwierzyć, że przyjmuję jego propozycję.

Ale z drugiej znacznie bardziej się martwię, co by się nam przydarzyło, gdybym tego nie zrobiła.

Gdyby ten psychol, który zostawił sztuczną krew i pióra, znów napadł na niewłaściwą stronę bliźniaka — naszą.

W międzyczasie zza ściany dobiegają mnie odgłosy krzątania. Warren coś chowa, myślę od razu, skoro tak się wczoraj wściekł, gdy zastał nas u siebie. Mam mętlik w głowie.

Najpierw stwierdza, żebym dla własnego dobra trzymała się od niego z daleka.

A potem mówi: „Zatrzymaj się u mnie, żebym mógł zapewnić ci bezpieczeństwo”.

To znaczy, ma to sens. Nie możemy tak po prostu zabrać się i wyjechać, a on musi zorganizować nam pobyt w innym miejscu. Ale do tego czasu chce mieć pewność, że odgradza nas od nadciągającej fali kłopotów, od powodzi, która grozi zatopieniem nas w jego bałaganie.

Jednak to nie dlatego czuję się dziwnie.

Może nie chodzi o sytuację.

Może to przez niego odnoszę wrażenie, że mam do czynienia z dwoma zupełnie różnymi mężczyznami.

Jeden jest niebezpieczny, zimny i ponury — to nieufne zwierzę, które się najeża i szczyrzy kły, żeby bronić swojego terytorium.

A drugi — zaniepokojony, zmartwiony, wycofany, smutny... zraniony zwierz, który mimo wszystko ostania mnie przed niebezpieczeństwem, bo taka jest jego natura.

Obaj mężczyźni, obie bestie sieją we mnie zamęt i nie pozwalają zapomnieć o tym, co czułam, gdy położył dłonie na moich ramionach, zapomnieć tego lekkiego dotyku na moim policzku, muśnięcia szorstkiej skóry.

Patrząc na Warrena, nie wiem, jak pogodzić te dwie osoby.

Ale nie wiem też, jak je rozdzielić.

Kiedy kończę pakować torbę i upewniam się, że nie zostawiłyśmy nic cennego wśród rzeczy, które jutro będziemy ładować z powrotem do samochodu, Warren zdążył już zrobić zdjęcia krwawej jatki i zostawił Flynnowi sprzątanie bałaganu. Stary gdera przez cały czas.

Farba nie chce zejść, nie do końca, nie za pomocą mydła i wody, których używa. Więc teraz na szybie widnieje czerwona smuga, od której wpadające do środka światło robi się różowe.

Ale pióra zniknęły. Więc mogę powstrzymać wyobraźnię przed rozważaniem różnych brutalnych możliwości, skoro chodzi tylko o umazaną farbą paczkę sztucznych piór za pięćdziesiąt centów.

*A jednak...*

Niemal ogarnia mnie ulga, gdy Warren otwiera drzwi i staje z wyciągniętą ręką, żeby je przytrzymać, zapraszając nas do środka. Zmuszając mnie, żebym precyzyjnie przycisnęła się tuż obok.

Ocieram się o niego, natrafiając na tak twarde ciało, że czuję każde wysklepienie mięśni brzucha, gdy moja klatka piersiowa i brzuch przesuwają się wzdłuż Warrena. Ten człowiek gór jest niepokojąco doskonale wyrzeźbiony.

Podnoszę na chwilę wzrok i natychmiast żałuję, że to zrobiłam.

Bo dostrzegam gorące spojrzenie, które mnie parzy, omiata moją postać, przygniata każdy punkt, w którym ciało styka się z ciałem, podczas gdy mięknię, aby dopasować się do niego.

Myślałam, że określenie „pieprzyć wzrokiem” istnieje tylko w filmach i romansach, ale to... to czysty ogień. W najbardziej zwierzęcym wydaniu.

Patrzmy na siebie zbyt długo.

Jedno musi ustąpić, zanim Tara zacznie się gapić na nas tak, jakby nam odbiło, więc robię to ja. Odwracam głowę, a w brzuchu czuję małe, gorące supty i nagle nie mogę oddychać.

Przynajmniej do czasu, aż on zaciska zęby i wbija spojrzenie we wnętrze domku.

Zerwany łańcuch kontaktu wzrokowego chłostuje mnie i przywołuje do rzeczywistości. Wciągam z sykiem powietrze, pochylam głowę i wchodzę szybko do środka. Zanim błękitne płomienie w jego oczach znów mnie zniewolą.

*Jasna cholera, co się ze mną dzieje?*

Nagle żałuję, że nie mogę zamienić tego, co dalej mnie czeka, na wszystkie kiepskie przeżycia ze współlokatorami, które mam za sobą w Seattle.

Będę musiała jakoś przeżyć coś więcej niż nachodzących nas, szurniętych popaprańców o złych intencjach, wyposażonych w tanie materiały do prac ręcznych.

Będę musiała przeżyć huragan o imieniu Warren Ford.

## ROZDZIAŁ 4. GEM, SET (WARREN)



C hyba podjąłem właśnie najgłupszą decyzję w dorosłym życiu.

Nie wiem, co, u licha, sobie myślałem, proponując tej dziekiej jak ogień dziewczynie i jej siostrzenicy, żeby zostały dziś u mnie na noc.

Jasne, udało mi się upchnąć cały mój majdan w garderobie zamykanej na łańcuch z kłódką, żeby na nic się nie napatoczyły — ani na dowody, ani na cholerną broń — więc nie w tym problem.

Prawdziwy problem stanowi badawcze spojrzenie, którym Haley wciąż mnie obrzuca.

Jakby nie mogła uwierzyć w to, na co patrzy.

Jakby rozpaczliwie starała się dowiedzieć, kim tak naprawdę jestem.

A do tego dotyk jej ciała przyciśniętego do mojego, bardziej sprężystego niż membrana bębna — ja pierdolę!

Jej cycki były miękkie, bujne, niemal nabrzmiate przy moim brzuchu.

Te iskrzące, ogniste oczy rozpuły się, zupełnie stopniały, gdy spojrzała na mnie, jakby chciała zadać jakieś pytanie, ale sama nie wiedziała jakie.

Nie mogę sobie pozwolić na pytania.

A tym bardziej na to, żeby ta kobitka, która jest aż zbyt seksowna, odkryła, kim jestem i na co poluję. Ani na to, aby odwracała moją uwagę.

Z tego właśnie powodu, kiedy ona i Tara zwijają się w kłębek na moje kanapie i dojadają resztki pizzy, ja dzwonię do tylu osób, że mam wrażenie, jakbym rozpalał płótkami małomiasteczkową sieć połączeń telefonicznych.

Musi być ktoś, kto uratuje mnie w tej sytuacji.

Moi kumple, Blake i Doc, nie mają gdzie ulokować dziewczyn. Obaj są zatwardziały kawalerami i żyją na tak małej przestrzeni, jak to tylko możliwe.

Dawna nauczycielka ze szkoły podstawowej, pani Petty, *umieściaby* je w wolnym pokoju, ale jej siostrzenica przyjechała na lato z college'u, więc

„przykro mi, złotko, możesz mi przypomnieć, dlaczego dziewczyny nie mogą zatrzymać się w zajeździe?”.

A ja nie mam odpowiedzi na to pytanie.

Nie mam też odpowiedzi dla mojej ciotki Gracie — tak naprawdę nie przez pokrewieństwo, a jedynie starszej sąsiadki zajmującej się mną, gdy byłem mały — której pokój gościnny jest właśnie remontowany po awarii rury z wodą. Ani dla dawnej koleżanki Jenny — Shany, i jej męża. On z chęcią by je ugościł, ale Shana sprzeciwia się zgorzkniałym: „Przypomnij mi, dlaczego mam pozwolić twojej nowej dziewczynie pomieszkiwać u nas za darmo? Jest mnóstwo ludzi, którzy mają u ciebie dług wdzięczności, War”.

Takie są skutki nieudanej randki z Shaną późnym wieczorem w barze na wiele lat przed tym, zanim stanęła na ołtarzu.

Pieprzona karma.

Nie mam nawet szansy zaprotestować, że to nie jest moja dziewczyna, bo Shana wcześniej się rozłącza.

Stewart to ostatnia deska ratunku, ale jest we mnie jakaś wściekła zaborczość, która nie chce przekazać Haley w jego ręce. On może i jest dobrym człowiekiem, ale jest przy tym zbyt czarujący, zbyt przystojny i zdecydowanie miłszy, niż ja mogę sobie na to w tej chwili pozwolić.

Czy się boję, że mój dobry kumpel podkradnie mi dziewczynę, której nawet nie znam i którą nie mogę się teraz interesować, bo wiąże się to ze zbyt dużym ryzykiem?

Może.

Ja pierdolę.

Wzdychając, pocieram sobie grzbiet nosa i ciskam telefon na wyspę kuchenną. Pochylam się i opieram łokciami o drewno.

— Nic nie załatwiłem, Hay. Rano zadzwonię jeszcze w kilka miejsc — mówię.

W rzeczywistości mam na myśli to, że znajdę w sobie siłę, żeby do rana wziąć się w garść i zapytać Stewarta.

W jego przypadku mam pewność, że ją obroni, bardziej niż w przypadku kogokolwiek innego. Tak jak ja jest byłem żołnierzem. Troszczył się o Jennę. Zreperował niemal każdy cholerny wóz, który kiedykolwiek posiadałem, jakby to było jego własne dziecko, nawet kiedy musiałem przyjechać nim ze Spokane, zanim całkiem padł.

Nie ma żadnego rozsądnego powodu, żeby odrzucać jego kandydaturę, skoro może pomóc.

Szkoda tylko, że nie ma też nic rozsądnego w absurdalnym ego, które siedzi mi we łbie.

— Powinnyście chyba odpocząć. Sypialnia jest wasza — mówię, starając się nie ugryźć się w język.

Haley podnosi wzrok znad rantu pizzy, którym się bawi, choć tak naprawdę go nie je.

— A ty gdzie będziesz spał?

Uśmiecham się półgębkiem.

— Kanapa mi w zupełności wystarczy. Przez wiele lat sypiałem w dużo gorszych warunkach.

Odpowiada na mój uśmiech własnym smutnym, zmęczonym uśmiechem.

Pod warstwą wściekłej złoźnicy ukrywa delikatniejszą stronę swojej osobowości. Stronę, przez którą ten nieoczekiwany dylemat ze współdzieleniem mieszkania staje się jeszcze trudniejszy.

A nie miałem nawet okazji poznać jej w pełni, bo wkurzyłem ją w tej samej chwili, w której się poznaliśmy. Dopiero teraz zaczyna dawać o sobie znać.

Hay opuszcza nieco gardę, bo widać, że jest zmęczona, a znużenie i smutek w jej uśmiechu sprawiają mi ból. *To wszystko przeze mnie.*



To ja wplątałem ją w to gównno.

To przeze mnie uśmiecha się tylko po to, żebym nie widział strachu w jej ciemnych, lśniących, jadeitowych oczach.

Odkłada rant do pustego pudełka po pizzy i wstaje. Patrzę, jak mierzwi włosy Tary, podczas gdy mała ziewa, a potem pochyla się i całuje ją w czubek głowy, by na koniec wyprostować się i spojrzeć na mnie.

— Mogę skorzystać z prysznicza przed spaniem?

— Korzystaj, ile chcesz.

Posyła mi jeszcze raz ten rozdzierający uśmiech i wsuwa palce pod brodę Tary.

— Idź do sypialni przebrać się w piżamę — mówi. — Ja niedługo do ciebie przyjdę.

Mała jest przygaszona, ale zeskakuje z kanapy, potakując głową, i staje na palcach, żeby cmoknąć Haley w policzek, a potem czmycha do sypialni.

Hay zostaje jeszcze chwilę i patrzy na mnie długo i z namysłem.

Nie mam odwagi odpowiedzieć tym samym. Nie ponownie.

W końcu pochyla głowę i wychodzi z pokoju.

Wypuszczam powietrze nosem, co za ulga. *Kryzys zażegnany.*

Mam wrażenie, że to ogromne osiągnięcie, że udało mi się znów jej nie wkurzyć, a ona nie doprowadziła mnie do kolejnego wzwodu, wystarczająco potężnego, żeby zdobyć nim wszystkie bazy naraz.

Opadam na kanapę i odchylam głowę na oparcie, zamykając z jękiem oczy.

Słyszę odkręcaną wodę w łazience. Nic nie idzie zgodnie z planem. *Nic.*

Ale ponieważ zostałem na chwilę sam, biorę laptop z rogu stolika kawowego, otwieram go i odpalam aplikację śledzącą połączoną z modułem GPS. Mam teraz uruchomiony tylko jeden, reszta jest wyłączona, a ich nazwy widnieją na liście niepodłączonych urządzeń w menu po lewej stronie.

Klikam w aktywny moduł i zmieniam nazwę na „Cel B”, a potem pomniejszam mapę, żeby zobaczyć, gdzie w tej chwili może znajdować się Bress.

Marszczę brwi i otwieram większą mapę.

Jego kamper wyjeżdża właśnie z miasta.

Jedzie na północ główną drogą w kierunku autostrady.

Dziwne, ale jednocześnie nie zaskakujące.

Jeśli ma w planie to, co podejrzewam, było to do przewidzenia.

Jedzie pewnie na spotkanie z ludźmi w Missoula.

Masuję się po brodzie i ze zmarszczonym czołem śledzę poruszającą się po autostradzie kropkę. Missoula nie jest aż tak daleko. Do rana może stamtąd wrócić.

Powinienem znaleźć się jutro w takim miejscu, żeby się na niego natknąć.

Zobaczyć, czy jest zmęczony, a raczej — czy jest wystarczająco zmęczony, żeby popełnić błąd. Żeby powiedzieć coś, co go obciąży.

Ta cholerna gra na przeczekanie zaczyna mnie wkurzać. Ścigam Bressa wyłącznie z jednego powodu, a jego brudne interesy mogą być dla mnie

możliwością, żeby go dorwać i unieszkodliwić.

Potrzebuję tylko twardych dowodów na to, że był odpowiedzialny za śmierć Jenny.

Dowodów i pozwolenia na wykonanie koniecznych kroków, żeby go przymknąć.

Nie będę kłamał.

Gdybym mógł to zrobić po mojemu, zwyczajnie obdarłbym skurwiela żywcem ze skóry.

Ale zadowolę się przywaleniem mu w twarz, złamaniem zęba, jeśli będzie agresywny i zacznie stawiać opór legalnemu obywatelskiemu zatrzymaniu.

Jestem tak zaabsorbowany tą myślą, że nie słyszę odgłosu zakręcania wody w łazience i nie uświadamiam sobie, że nie jestem już sam, póki mojej uwagi nie przykuwa delikatne chrząkanie. Zadzieram głowę niemal tak, jakbym czemuś zawinił, i zamykam z trzaskiem laptop.

Jasna cholera, ależ jestem wdzięczny za komputer leżący mi na kolanach.

Bo w ułamku sekundy, w którym zauważam Hay, mój fiut puchnie i robi się tym twardszy, im dłużej ona stoi w drzwiach do salonu, ociekając wodą.

Nie ma na sobie nic poza obcisłym, szarym, bawełnianym topem na cienkich ramiączkach, przyklejonym do skóry tak, jakby chciał się do niej przyssać. Do kompletu założyła kuse, szare, bawełniane spodenki do spania, które marszczą się między udami, podjeżdżając tak wysoko, że przestają być w zasadzie spodenkami.

Oczywiście, kurwa, nie ma stanika.

Zbyt łatwo jestem w stanie to stwierdzić po ciężkim kołysaniu jej piersi, po tym, jak słodkie cycuszki napierają na koszulkę.

Co gorsza, jest całkowicie mokra.

Jej włosy stanowią ociekającą wodą gęstwinę, zagarniętą na jedną stronę.

Kropelki ściekają z nich na policzki, całując usta. Ramiona również ma zroszone, ale mój wzrok najbardziej przykuwa kusa piżama.

Kilka mokrych plam, ciemnych na tle bawełny, tak bardzo przykleja się do jej ciała, że widzę wszystko od zagłębienia pępka po rozmiar sutków wznoszących się twardymi wzgórkami pod cienkim materiałem. Ona...

ja pierdolę.

Ja pierdolę!

Pod spodenkami nie ma majtek.

Ciekawe, skąd to wiem.

Gapię się na nią jak zwierzę w rui.

Nie minęło aż *tak* dużo czasu od ostatniego bzykania. Wystarczy zalotne spojrzenie, muśnięcie dłoni i postawienie drinka w barze komuś, kto rano wezwie sobie Ubera. Klasyk.

Ale minęło cholernie dużo czasu, odkąd na sam widok jakiejś kobiety poczułem równie wybuchową, *natychmiastową* reakcję. Może nie chodzi tylko o sam wygląd, ale o to, jak bardzo ona mnie wkurza, a cała ta wściekłość musi znaleźć sobie jakieś ujście, więc zamienia się w tę nagłą, gorącą falę pożądania.

Muszę jakoś nad sobą zapanować.

Ona mi w tym nie pomaga.

Zwłaszcza gdy patrzy na mnie spomiędzy mokrych, zlepionych w kępki rzęs, jej zielone oczy błyszczą, przestonięte powiekami, a ona wsuwa wilgotną, lśniąca dolną wargę do ust, bawiąc się nią zębami, podczas gdy sama kiwa się na jednej nodze. Równie niewinna jak sukkub.

Drugą stopę krzyżuje za kostką i patrzy na mnie niepewnie.

Cholera. Czy ona coś powiedziała?

— Co? — Odrywam wzrok od jej ust, jej piersi i przenoszę go na oczy.

Robi mi się cholernie gorąco na całym ciele. — Przepraszam, co powiedziałaś?

Unosi brew i przygląda się mi sceptycznie.

— Mówiłam, że skończyły ci się ręczniki kąpielowe. — Wzrusza ramionami, niemal nieśmiało, jakby nie wiedziała co zrobić bez swojego obronnego pancerza. — Nie wiem, czy powinieneś sam je wyprać, czy też zajmuje się tym obsługa, ale pomyślałam, że lepiej dam ci znać.

— Aha. — Chrząkam i siłą odwracam wzrok od tej tortury. Moja twarz musi być czerwona jak pożar lasu. — Dobrze. Rano zadzwonię do recepcji po nowe. Przepraszam. Nie będzie ci przeszkadzać, że pójdziesz spać mokra?

Fatalny dobór słów.

W momencie, gdy mówię „mokra”... myśli wędrują mi wszędzie tylko nie tam, gdzie trzeba. Głównie na południe.

Wszystkie moje zmysły kierują się do miękkich fałd tkaniny między jej udami, do kropli wody na skórze, do materiału klejącego się do jej ciała, nadającego kształt czemuś więcej, czemuś apetycznemu, czemuś *ponętnemu*...

Jej śmiech brzmi sucho — jest zupełnie nieświadoma tego, gdzie błądzę w tej chwili myślami.

— Jakoś przeżyję. Jest środek lata. Wyschnę, zanim będę miała szansę zmoczyć ci pościel. Ale nie miej mi za złe, jeśli rano moje włosy będą wyglądać jak u narzeczonej Frankensteina.

*Zmoczyć ci pościel.*

Chryste, czy ta dziewczyna w ogóle siebie słyszy?

Usta mam suche jak wiór, język skołowaciały i wbijam wzrok w jakiś punkt w kuchni, byle tylko nie patrzeć na nią. Jeśli spojrzy mi w oczy, będzie wiedziała.

Szybko się dowie, że myślę o tym, żeby przycisnąć ją do ściany.

Że myślę o tym, aby ją całować.

Że myślę o tym, żeby zlizać każdą zabłąkaną kroplę z jej skóry, a potem przyssać się do jej brodawek przez warstwę koszulki, aż materiał stanie się całkiem mokry, a jej sutki nabrzmią w moich ustach jak małe, czerwone czeresienki.

Nic nie mówię.

Chwila milczenia przeciąga się, długa i niezręczna, aż w końcu Hay znów chrząka i mówi:

— W takim razie... dobranoc, Warren.

— Tak — mruczę, ledwie wydobywając z siebie głos, zachrypnięty i szorstki.  
— Dobranoc, Hay.

Zapada chwila ciszy, po czym rozlega się niewyraźny odgłos kroków jej bosych stóp na drewnianej podłodze. Oddala się.

Odprężam się dopiero wtedy, kiedy słyszę otwieranie drzwi do sypialni, a potem stłumiony dźwięk głosu Haley i Tary. *Dzięki Bogu.*

Z jękiem unoszę laptopa i patrzę na twarde wybrzuszenie napierające na dżinsy.

— Ty — mruczę — czasami jesteś naprawdę cholernie wkurzający.

Mój fiut nie odpowiada.

Musiałbym naprawdę zwariować, żeby to się stało, ale zaczynam myśleć, że faktycznie mi odbija.

Coś w tej kobiecie wyjątkowo mnie rusza.

I zastanawiam się, czy to dlatego, że ona mnie teraz potrzebuje, bo to wszystko jest w *dalszym ciągu* moją winą.

Więc oto jestem. Wróciłem do rodzinnego miasta, bawię się w gospodarza dwóch nieznanymi dziewczyn, próbuję dorwać mordercę i pragnę jak cholera zerznąć kobietę, której nie jestem w stanie znieść i która w ogóle nie powinna być wplątana w całą tę sytuację.

Brawo.

Koncentruję się na siłę, zmuszając do dalszej pracy na komputerze. Ignoruję krnąbrne myśli, które nie dają mi spokoju, i modlę się, żeby mój fiut się, kurwa, uspokoił. Pomaga mi w tym myślenie o innych rzeczach.

Myślenie o Bressie i Jennie pomaga mi wrócić na właściwy tor.

Siedzę do późnej nocy, grzebiąc w starych plikach. Śledzę ruchy, lokalizacje, godziny, starając się znaleźć cokolwiek, co ukruszy starannie pielęgnowaną maskę Bressa. Nie jest miejscowym chłopakiem, który przyjął

rolę wybawiciela i tchnął nowe życie w ekonomiczną stagnację miasteczka, a wszyscy właśnie za takiego go mają.

Ludzie nie kochaliby go aż tak bardzo, gdyby wiedzieli, skąd płyną te brudne pieniądze.

Wraz z nadejściem północy muszę przyznać, że jestem człowiekiem i potrzebuję odpoczynku.

Czuję się już co prawda spokojniejszy, ale to nadal nie moja najlepsza forma.

Dla pewności zakradam się do sypialni, żeby zerknąć na dziewczyny.

Wątpię, żeby ktoś zdołał się dostać do domku przez okno tak, abym tego nie usłyszał.

Mimo to muszę się przekonać na własne oczy, że w pobliżu nie ma żadnych gryzących pluskiew.

Dziewczyny mocno śpią, splecione pod przykryciem. Hay przesunęła się i objęła opiekuńczo Tarę. Tuląc ją do siebie jak laleczkę, owinęła się wokół niej, by osłonić ją swoim ciałem. Obie stanowią otuloną pościelą plątaninę kończyn, a na poduszce widać kilka mokrych śladów od włosów Haley.

Na *mojej* poduszce. Ich widok w moim łóżku sprawia, że dzieje się ze mną coś dziwnego.

Gdybym prowadził normalne życie, gdybym był normalnym człowiekiem, to może spędzałbym tu teraz wakacje z żoną i córką.

Miałbym jakąś nudną jak flaki z olejem robotę w dużym mieście, ale latem pakowalibyśmy mustanga i jechali do mojego rodzinnego miasta, aby na okrągły miesiąc zatrzymać się w zajeździe babci.

Ta mała dziewczynka nie byłaby dla mnie kimś obcym, tylko moją córką.

Nosiłbym ją na barana podczas pieszych wycieczek i pokazywałbym wszystkie miejsca z dzieciństwa. Opowiadałbym jej historie o Heart's Edge, a ona w wieku trzynastu lub czternastu lat być może poznałaby jakiegoś miejscowego chłopaka, w którym by się zakochała.

Wtedy opowiedziałbym jej historię o zrzucaniu kwiatów z klifu i wy-jaśnił, dlaczego miasteczko nazywa się Heart's Edge. O całej miejscowej tradycji opartej na miłości, o rzewnych bzdurach, które każdy miejscowy chłopak uważa niby za nieważne, ale tak naprawdę trzyma się ich, bo z tego między innymi słynie jego rodzinne miasto.

I gdybym wiódł zwyczajne życie, ta kobieta leżąca w moim łóżku byłaby moją żoną, moją miłością, moją kochanką.

A nie tym dziwnym płomieniem, który wdarł się w mój świat i nabruździł w każdy możliwy sposób.

Jednak moje życie *nie jest* zwyczajne. Bress tego dopilnował.

A to marzenie, któremu się poddaję, gdy one śpią mocnym snem, w pełni świadome, że zapewnię im bezpieczeństwo...

Nie jest dla mnie.

Nie jest przeznaczone dla Warrena Forda.

Czuję ból w piersi, mroczny ciężar. W ogóle nie powinno go tam być.

Nie wiem, o czym w tej chwili myślę, ale przykuwa to moją uwagę dużo bardziej niż jędrne ciało Haley w tej kusej piżamce.

Ale wiem, cholera, jedno.

Za nic nie pozwolę jej zatrzymać się u Stew.

Sam ten pomysł, że miałaby chodzić po jego domu *tak* ubrana? Mokra, ponętna, pełna cudownych krągłości? To jedno wielkie NIE.

Bardzo proszę. Możecie mnie oceniać.

Nie mam prawa do zaborczości. Hay jest dla mnie nikim; tylko nieznaną, której w ogóle nie powinno tu być. Nawet się nie przyjaźnimy.

Lecz zwierzę we mnie mówi, że mam za zadanie ją chronić, bo to ja jestem dupkiem, który naraził ją na niebezpieczeństwo. Nie mogę spuścić jej z oka przez kilka najbliższych dni, które tu spędzi.

To moja wina, że znalazła się w tej sytuacji, więc to ja mam za zadanie wszystko naprawić.

Rano coś wymyślę.

Może odrobina snu pomoże mi odzyskać jasność widzenia.

A może wraz z nastaniem dnia będę wiedział, co robić.

Będę wiedział, co mam, u licha, począć z Haley West.

\*\*\*

BUDZI MNIE ZAPACH smażonego bekonu.

Nie pamiętam nawet, kiedy zasnąłem, ale wiem, że tak się stało, bo słońce atakuje mi powieki gorącymi, pomarańczowymi eksplozjami. Moje plecy są przyklejone do kanapowej poduszki, a pręt konstrukcyjny pod tapicerką wbija się w kręgosłup. Gdzieś w pobliżu słyszę pomruk cichych kobiecych głosów, ożywionych, ale przytłumionych, jakby starały się mnie nie obudzić.

To nie one mnie obudziły.

Tylko mój żołądek, który burczy jak cholerny niedźwiedź i naciera na powłoki brzuszne, jakby chciał się ze mnie wydostać i wyruszyć na łowy w poszukiwaniu uwodzicielskiego zapachu smażonego mięsa.

Z jękiem otwieram jedno oko i mrużę je w słońcu.

Musi być pewnie koło dziesiątej, sądząc po tym, jak jest jasno. Chyba się wczoraj naprawdę wykończyłem, ale choć nadal jestem zmęczony, goszczące u mnie dziewczyny są wesolutkie i radosne.

Haley i Tara szykują śniadanie i krzątają się po kuchni tak, jakby tu mieszkały. Dwie patelnie skwierczą na kuchence. Dziewczyny są po łokcie utyłane w mące, bo lepią ciastka na blacie. Obserwuję je zaspany, przestaniając twarz przedramieniem, i widzę, że Tara zostawia na nosie Haley kleks mąki, na co jej ciotka robi śmiesznego zeza, wywołując wybuch śmiechu dziewczynki.

Nie jestem pewny, kiedy zacząłem się tak uśmiechać.

To jest do mnie niepodobne.

*I co to, u licha, za tępy ból?*

Zmuszam się do tego, żeby przestać szczerzyć się jak głupek, i wstaję, krzywiąc się, bo kręgi się wyrównują, jakby ktoś wziął do ręki mój kręgosłup i strzelił nim jak batem. Dziewczyny podnoszą wzrok i patrzą na mnie, gdy się podnoszę. Nagle Haley uśmiecha się szeroko i wyciera nos z mąki.

— Dzień dobry, Ripie Van Winkle — mówi.

— Bardzo śmieszne. — Przeciagam się, poruszam ramionami i ryzykuję pełne spojrzenie na Haley.

Dziś ma na sobie džinsy i koralową bluzkę, która jest luźna, niemal przezroczysta, ukazująca zarys koszulki na ramiączkach pod spodem. Wygląda ładnie i kobieco, ale znacznie mniej dekoncentrująco. Nie powinienem czuć tego ukłucia rozczarowania.

— Widzę, że bardzo szybko przestałaś się bać — zauważam.

Wzrusza wesoło ramionami, formując kolejne ciastko w dłoniach, a następnie odkłada je w rzędzie obok innych na blaszce.

— Jak się nad tym dobrze zastanowić, to dość dziecinne. Farba i sztuczne pióra? Naprawdę... trudno się bać kogoś, kto robi takie głupie rzeczy.

*A powinnaś, myślę, ale trzymam język za zębami.*

Nie chcę znów jej wystraszyć.

Zamiast tego przyłączam się do nich w kuchni i krzątam obok w sposób, który przychodzi mi zdecydowanie zbyt naturalnie. Nastawiam kawę i sprawdzam, czy bekon się nie przypala.

— To zasadniczo niegroźny akt wandalizmu. Ale po śniadaniu wykończę jeszcze kilka telefonów i sprawdzę, czy uda mi się znaleźć dla was bezpieczniejsze miejsce.

Haley mruczy coś cicho pod nosem, wpatrując się z namysłem gdzieś w dal za oknem.

— Naprawdę wielka szkoda. To bardzo ładny zajazd. Bardzo bym chciała móc spędzić trochę czasu, malując na tylnym tarasie.

— Z miasta też widać góry.

— Tak, ale to nie to samo. — Zerka na mnie. Jej uśmiech jest ciepły.

Nie jestem nawet pewny, co zrobiłem, żeby sobie na niego zasłużyć, zważywszy na to, że wczoraj syczeliśmy na siebie i opluwaliśmy się nawzajem jak dwa wściekłe koty. — To naprawdę piękne miejsce. Nawet jeśli miasteczko skrywa kilka tajemnic.

*Żebyś wiedziała.*

— Posłuchaj, Hay...

— Hm?

Poruszam szczęką, bo nagle zabrakło mi słów.

Po wczorajszej nocy jestem chyba jeszcze ociężały umysłowo. Ponieważ w przeciwnym razie nie rozumiem, dlaczego oferowałbym jej gałązkę oliwną.

— Skoro zostajesz tu jeszcze kilka dni, to może mógłbym pokazać ci miasto?

Patrzy na mnie jak na wariata.

Cholera.

Na tyle się zdały fatalne pomysły w rodzaju propozycji wspólnego zwiedzania. Głupie pomysły, które z pewnością nie ułatwią sytuacji.

Mimo to pomyślałem, że dobrze by jej zrobiło, gdyby zobaczyła wszystkie urokliwe, ładne miejsca w okolicy Heart's Edge, które ludzie tak uwielbiają. Jasne, zyskałbym też dzięki temu nową wymówkę, żeby wyjść z domu i trochę powęszyc, nie rzucając się przy tym za bardzo w oczy.

Ale może jakaś część mnie chce jej pokazać, za co jeszcze można pokochać moje rodzinne strony, poza widokami i poczuciem nieuchronnego zagrożenia, wiszącym nad nami jak gilotyna, która ma zaraz opaść.

A może rzeczywiście zwariowałem, jak sugeruje jej mina?

Nim udaje mi się wycofać z oferty, w tylnej kieszeni zaczyna wibrować jej telefon. Z nieśmiałym uśmiechem rzuca kulkę ugniatanego ciasta na blat, unosi umączoną dłoń i mówi:

— Zaraz do tego wrócimy. Naprawdę.

A potem bierze wilgotną ściereczkę, szybko wyciera sobie palce i wyławia z kieszeni komórkę.

Nie powinno mnie aż tak bardzo ciekawić, kto jest w stanie sprawić, że jej twarz rozjaśnia się, jakby po drugiej stronie słuchawki spodziewała się usłyszeć Świętego Mikołaja. Nie mam przecież pojęcia, czy Hay nie posiada męża, chłopaka lub nawet dziewczyny i — kurwa.

Czy to dlatego patrzyła na mnie z taką konsternacją? Bo jest zajęta?

*Nie moja sprawa.* Wielka szkoda, że tak cholernie trudno mi w to uwierzyć, gdy uświadamiam sobie, jak mocno zaciskam pięści.

— Cześć, Jules — mówi do telefonu z ciepłym uśmiechem. — Co tam?

Staram się nie podstuchiwać zbyt otwarcie, gdy zaglądam do dzbanka z kawą i wyciągam z szafki kubki, ale trudno nie usłyszeć, co mówi, kiedy

praktycznie szturchamy się w kuchni łokciami.

Zerkam na Haley — a potem zauważam, że mała Tara mi się przygląda.

Posyła mi znaczące spojrzenie i cmoka językiem, kręcąc głową.

— Podstuchiwanie jest niekulturalne, proszę pana — szepcze surowo.

Uśmiecham się mimo woli. Podchodzę do niej i pochylam, żeby znaleźć się na wysokości jej twarzy.

— Nie wygadaj mnie, dobra? Może będę miał później dla ciebie snickersa

— szepczę i patrzę, jak na jej twarz wyływa promienny uśmiech.

Hay jednak się nie uśmiecha.

Marszczy czoło.

Zaczyna chodzić po kuchni, wsuwając dłoń we wciąż rozczochrane włosy i pozostawiając na nich lśniąącym brązie ślady mąki.

— Nie... Nie, w porządku. Rozumiem. Nie, naprawdę nie ma sprawy.

Jules, musisz teraz zadbać o siebie. Ja sobie poradzę. — Milknie ze smutnym, zmęczonym uśmiechem. — Wiem. Znam to uczucie, uwierz. Przykro mi po prostu, że to musiało się tak boleśnie zakończyć.

Tym razem to ja marszczę brwi. Cokolwiek ją zdenerwowało, ani trochę mi się to nie podoba.

Kolejna chwila milczenia, a potem skupione spojrzenie.

— Jesteśmy w takiej małej miejscowości w górach, Heart's Edge. Tutaj jest naprawdę *pięknie*. Powinnaś tu kiedyś przyjechać! Śliczne miejsce, żeby się zrelaksować i zapomnieć na chwilę o niewiernych mężach.

Siłą rzeczy jestem zaciekawiony.

O *niewiernych mężach*. Podszyty rozgoryczeniem głos zdradza, że ma w tej kwestii o wiele za duże doświadczenie.

Czy to z tego powodu znalazła się tutaj z tą małą? Wspominała raz o Chicago, ale nie wiedziałem, skąd wyjechała ani dlaczego zapakowała dzieciaka do samochodu i postanowiła wyruszyć w drogę, wcisnąwszy do bagażnika mustanga chyba prawie wszystko, co posiada.

Czy jakiś facet ją skrzywdził? Zmusił do tego wyjazdu?

Czy jakiś egoistyczny gnój zamachnął się młotkiem na jej serce?

Na samą myśl o tym wszystko się we mnie gotuje znacznie bardziej, niż powinno. *Hay, zalana łzami, z twarzą przyciśniętą do poduszki, ukrywa to, jak bardzo oberwało jej się od jakiegoś zdrańca.*

Zerkam znów na Tarę i zmuszam się do uśmiechu. Podobno jeśli robi się to wystarczająco często, człowiek czuje się szczęśliwszy.

Na mnie to nie działa, ale przynajmniej pomaga mi nie nakręcić się maksymalnie we wściekłości.

Kiedy Haley się rozłączy i zerka na mnie, skupiam się szybko na kawie.

Udaje jej się jednak spojrzeć mi w oczy, zanim chrząkam i odwracam wzrok, jakbym wcale nie podstuchiwał.

— Wiesz, myślałam, że może jesteś jakimś superszpiegiem, ale po tym beznadziejnym podstuchiwaniu... już tak nie uważam. Masz zerowe umiejętności, Warren. — Jej głos jest nadal zmęczony i jednocześnie rozbawiony z mojego powodu.



— Nie masz żadnego pojęcia o moich zdolnościach szpiegowskich, kobieto.  
— Oglądam się przez ramię. — Jaką pijesz kawę?

— Dwadzieścia procent śmietanki, pięćdziesiąt procent cukru. Dzięki.

— Podciąga się i siada na blacie kuchennym obok blachy, podczas gdy Tara przygląda się jej z zaciekawieniem. Dziewczynka nadal formuje w dłoniach ciastko.

— No więc... — wzdycha Haley. — Wygląda na to, że na razie nie wyjeżdżam z Heart's Edge.

Podrywam głowę tak gwałtownie, że oblewam sobie rękę gorącą kawą i syczę. Cofam dłoń i odstawiam dzbanek, a potem biorę papierowy ręcznik.

— Co takiego?

— Przykro mi, że sprawiam ci zawód. Wiem, że robisz wszystko, żeby się mnie stąd pozbyć. — Jej głos znów robi się jadowity, nadżerając chwilową swobodę, jaka między nami zapanowała. — Miałam zatrzymać się u koleżanki w Chicago, Julie, do czasu, aż dostanę pracę i znajdę własne mieszkanie, ale...  
— Głos więźnie jej w gardle, wydobywa się z trudem.

— Jej cholerny mąż zdradza ją ze swoją sekretarką. Właśnie jej powiedział, że chce rozwodu i że Julie ma się wyprowadzić z domu do końca tygodnia.

Więc nie sądzę, żeby *couch surfing* u niej był dla mnie nadal jakąś opcją.

— Opłata za brzydkie słowo! — wtrąca Tara.

Hay rzuca jej słabe spojrzenie.

— Nie teraz, skarbie.

— To może wrócisz do domu? — Słowa wychodzą z moich ust, zanim jestem w stanie się pohamować. Odwracam się do niej gwałtownie. — Wróc po prostu tam, skąd przyjechałaś, Hay.

— Nie rozumiesz? *Nie mogę!* — Jej oczy są mokre, twarz skrzywiona w sposób, który mówi mi, że jest zbyt dumna, żeby przy mnie płakać, ale stres i zdenerwowanie zżerają ją żywcem. — Nie mam domu, do którego mogłabym wrócić, Warren. Straciłam pracę. Mój narzeczony przespał się z moją najlepszą przyjaciółką i druhną. Na kilka tygodni przed durnym ślubem, który pochłonął większość moich oszczędności... Nie mam wystarczająco dużo pieniędzy, żeby po prostu pojechać do Chicago i zacząć od nowa jakby nigdy nic. Potrzebowałam pomocy Jules. Potrzebowałam Missoula. — Nabiera z drzeniem powietrza i trze kłykciami oczy, patrząc na mnie z wściekłością.

*Ty cholerny durniu, nie mogłeś trzymać języka za zębami?!*

Nie mogłem. Teraz będę musiał znaleźć sposób na to, żeby naprawić wyrządzone szkody.

— Hay, posłuchaj...

— Czego mam posłuchać? Chwilowo tu utknęłam. Dobrze, że nie będę już dla ciebie problemem, kiedy tylko znajdziesz kogoś, komu będziesz mógł mnie przekazać, prawda?

Nie wiem, co odpowiedzieć.

Od samego początku nie powinna była stać się moim problemem.

W tej samej chwili uświadamiam sobie, że w ogóle trudno mi traktować ją jak *problem*.

Zwłaszcza kiedy stoi tu przede mną kompletnie załamana, starając się powstrzymać wybuch płaczu ze względu na siostrzenicę.

Problem? Nie.

Tylko ktoś, kim muszę się zaopiekować. Kogo muszę dobrze potraktować. Nawet jeśli jej przedłużony pobyt w Heart's Edge wywoła skutki, z którymi nie będę umiał sobie poradzić.

Z nią też nie wiem, co zrobić, gdy pęka jej maska dumy i zaciętości.

Drżenie warg, sztywne ramiona — wszystko to sprawia, że mam ochotę zamknąć ją w objęciach.

Chcę ją pocieszyć. Powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, nawet jeśli teraz nie jest. Nawet jeśli w tej chwili nie mogę składać tego rodzaju obietnic, a na dodatek jestem pewny, że gdybym spróbował to zrobić, ona by mi przywaliła.

Tara wyciera starannie ręce, a potem opiera głowę o udo Haley, zaciskając dłoń na jej kolanie.

— Nie płacz, ciociu Hay. Ja z tobą zostanę.

Haley się uśmiecha, łzawo, ale dzielnie, i gładzi siostrzenicę po włosach.

— W takim razie na pewno wszystko będzie dobrze, mała — mruczy.

— Zawsze jest dobrze, kiedy jesteś przy mnie.

Opieram się biodrem o kuchenny blat i patrzę na nią ze skrzyżowanymi rękami.

— To co masz zamiar zrobić?

— A co innego mogę zrobić? — odpowiada gorzko, a potem zrzuca bombę tak wielką, że czuję w całym ciele jej wybuch. — Chyba po prostu poszukam pracy.

## ROZDZIAŁ 5. MECZ (HALEY)



Zaczynam się czuć jak amulet przynoszący pecha.

Tyle że jedyną osobą, którą doprowadzam do katastrofy, jestem *ja sama*. Najpierw tracę pracę. Potem wystawę w galerii. Potem narzeczonego, najlepszą przyjaciółkę i wszystkie pieniądze włożone w ślub — co od początku powinno być sygnałem ostrzegawczym, bo pochodziły z mojej własnej kieszeni — i wiarę w ludzi.

Wszystko w jednym płynnym ruchu.

A kiedy próbuję się z tego otrząsnąć i zostawić za sobą tę fabrykę gówna, wyruszając w podróż, kończę awarią samochodu w uroczym miasteczku, które powinno być wakacyjnym spełnieniem marzeń.

Okazuje się jednak koszmarem od chwili, gdy natknęłam się na tego powalająco przystojnego drania, patrzącego teraz na mnie takim wzrokiem, jakbym obraziła jego matkę.

A wszystko dlatego, że los rzucił mi kolejną kłodę pod nogi, a ja próbuję radzić sobie, jak mogę.

— Co masz zamiar zrobić? — pyta Warren z miną niewróżącą niczego dobrego. — Pracę? W mieście? Wykluczone.

Zeskakuję z blatu i staję, patrząc na niego z wściekłością.

— Z tego, co mi wiadomo, nie masz prawa mi mówić, co robić, Warren.

I o ile nie obdzwonisz wszystkich pracodawców w mieście, mówiąc, żeby mnie nie zatrudniali...

— A jeśli to zrobię?

Prycham. Czy *on mówi serio*?

— Przypuszczam, że wtedy powiedzą ci, żebyś się pieprzył, chyba że wszyscy mieszkańcy Heart's Edge są tak samo nienormalni jak ty — odpowiadam. — A nie sądzę, żeby tak było. Ludzie robią tu raczej miłe wrażenie.

Z jednym *dużym*, rzucającym się w oczy wyjątkiem.

— Opłata za brzydkie słowo — szepcze cichutko Tara.

Świetne wycucie czasu. Cała ta rozmowa jest tak absurdalna, że muszę wstrzymać oddech, żeby nie wypluć sobie płuc ze śmiechu.

— Nie masz pojęcia, jacy są tutaj ludzie, Hay — warczy. — Ani co się kryje pod całą tą miłą otoczką.

— No i? — Krzyżuję ręce na piersi i mierzę go wzrokiem z góry na dół.

— Przypuszczam, że mam w związku z tym docenić *ciebie*, bo przynajmniej uczciwie stawiasz sprawę i otwarcie pokazujesz, że jesteś dupkiem?

— *Opłata za brzydkie słowo* — powtarza z uporem Tara, trąc nos.

— Nie jestem... — Warren wydaje z siebie sfrustrowane prychnięcie, mruży coś pod nosem i odwraca wzrok. Przeczesuje ręką włosy, strosząc je tak, że przypominają puchate kępki czerni, które wpadają do kipiących z wściekłości niebieskich oczu. — Słuchaj, ile potrzebujesz, żeby zacząć od nowa?

Mrugam oczami.

— Słucham?

— Ile, złotko? — Krzywi się z niezadowolenia. — Pokryję wszystkie koszty. Transport, naprawę samochodu, pierwszy i ostatni miesięczny czynsz. Cholera, dopilnuję nawet, żeby starczyło ci na śniadanie, obiad i kola... Dość tego.

Podchodzę do niego, kładę dłonie na jego piersi i popycham go z całej siły. Nie przynosi to żadnego efektu.

Nie, żebym kiedykolwiek modliła się o to, aby móc przesunąć górę w ludzkim ciele, ale Warren przynajmniej się zamyka. Wpatruje się we mnie, wyciągając bezradnie ręce przed sobą, jakby chciał mnie złapać i powstrzymać, ale zmienił zdanie.

— Ty dupku — warczę, zmagając się z zaciśniętym gardłem i łzami napływającymi do oczu. — Ty dupku!

— Ciociu Hay... — wtrąca jeszcze raz Tara z kolejną „opłatą za brzydkie słowo” na końcu języka.

Ale mnie już poniosło, wybucham, zaraz mnie wystrzeli z wyrzutni raketowej. I nawet jej wypowiedziany ulubiony żarcik nie może powstrzymać mnie od wygarnięcia panu Popularnemu.

— Nie znam cię — rzucam kąśliwie. — Jesteś tylko kutasem, który wynajmuje drugą połowę domku, ale zachowujesz się tak, jakbyś miał prawo decydować o moim losie, o moim życiu. Jakbyś mógł mi rozkazywać, mó-

wić, co mogę, a czego nie mogę robić. A ja próbuję tylko poskładać do kupy swoje życie! Nie jestem ci nic winna, a już na pewno nie udzieliłam ci prawa głosu w związku z tym, co robię i jak radzę sobie z problemami.

A już na pewno nie chcę, do cholery, twojej...

Każde następne słowo w moich ustach zasycha i kruszy się w pył, gdy Warren rusza z miejsca.

Obejmuje mnie silną ręką w pasie i przysuwa blisko, przyciskając do siebie i wgniatając w kształtną, zabójczą tarczę swojego ciała.

Kipiące wściekłością, iskrzące, niebieskie oczy wbijają we mnie gorące spojrzenie.

Skręcają mi wszystko w środku, gdy instynktownie chwytam go za ramiona.

Jego gołe ramiona, tatuaże wijące się pod moimi dłońmi, skóra gorąca jak piec, opalona, jędrna i przyciskająca się do mnie tak mocno, aż mam wrażenie, że zaraz bez najmniejszego trudu spali mnie na popiół.

Spoczywająca na dole moich pleców dłoń jest ogromna. Obejmuje całą talię, wżera się we mnie, a ja nie mogę oddychać.

Płuca przestają mi pracować, usta rozchylają się w niewypowiedzianych słowach, gdy on pochyla się, rozdzielając swoje surowe, niemal okrutnie piękne wargi, jakby chciał...

O. *Mój. Boże.*

Początkowo nie wiem, czy to stukanie do drzwi, czy tylko moje serce.

Ale na ten dźwięk Warren sztywnieje, nieruchomieje i wypuszcza mnie z objęć. Odskakujemy od siebie jak magnesy o przeciwnych biegunach.

Natładowana ujemnie siła odpycha nas od siebie.

Oddycham ciężko i przyciskam dłonie do rozgrzanych policzków, wpatrując się niewidzącym wzrokiem przed siebie.

*Niewiele brakowało, do diaska.*

Warren odsuwa się ode mnie, wydając z siebie taki pomruk, jakby też zdawał sobie z tego sprawę. Kiedy podchodzi do drzwi, porusza się tym swoim powolnym, drapieżnym krokiem.

Tara wpatruje się we mnie. Odpowiadam jej spojrzeniem, robiąc z sykiem płytkie wdechy, i usiłuję nakazać moim wnętrznościom spokój.

Co to, do cholery, w ogóle było?

Przez chwilę myślałam, że zaraz mnie pocałuje.

Unoszę głowę na dźwięk surowego, lecz i ciepłego, kobiecego głosu, dochodzącego spod drzwi. Warren otwiera zadbanej, wysokiej, starszej kobiecie o rzeczowym wyglądzie — od upiętych w ciasny kok siwiejących włosów po schludną spódnicę ołówkową i rozpinany sweter.

Nawet w ten gorący letni poranek wygląda, jakby była ubrana na elegancki podwieczorek. Natychmiast uderzają mnie jej niebieskie oczy. Są w tym samym odcieniu co oczy Warrena. Muszą być spokrewnieni, wzięwszy pod uwagę to, z jaką pewnością kobieta chwyta go za kark i przyciąga do siebie jego głowę, żeby w paryskim stylu móc lekko musnąć w pocałunku oba policzki. Zaraz potem odsuwa się z dezaprobatą.

— Naprawdę — mówi z odrobiną rozbawienia w głosie. — Tak otwierasz drzwi?

— Nie spodziewałem się ciebie, babciu — odpowiada sucho Warren głosem skarconego, małego chłopca.

Unoszę brew. *Babcia, tak?*

Nagle cieszę się, że postanowiłam się ubrać przed zaanektowaniem w celach śniadaniowych kuchni Warrena.

A skoro mowa o śniadaniu, to jeśli nie będę uważać, wszystko spalę.

*Szlag by to trafił.*

Odwracam się i szybko zmniejszam płomień na kuchence. Mieszam szpatułką bekon i jajka, sprawdzając, czy się nie przypaliły i czy nie są do wyrzucenia. Jednak gdy się schylam, żeby włożyć ciastka do piekarnika, wyczuwam, że ktoś za mną stoi.

Bez ostrzeżenia stoję oko w oko z babcią Warrena. *Jezu!*

Zataczam się z okrzykiem zaskoczenia do tyłu i przypadkowo zamykam tyłkiem piekarnik.

Jeszcze jedna rzecz, która łączy ją z Warrenem: też porusza się jak cholerny kot i podkrada do ludzi.

Przynajmniej udaje mi się powściągnąć stek przekleństw. Babcia ma miłą twarz poznaczoną zmarszczkami od śmiechu.

Mierzy mnie spokojnym wzrokiem, choć z jej ust nie schodzi uprzejmy uśmiech. Przyciskam dłoń do piersi i biorę kilka wdechów na uspokojenie, a potem posyłam jej uśmiech i niepewnie odgarniam włosy z twarzy.

— Przepraszam — udaje mi się wydusić. — Po prostu mnie pani przestraszyła. — Podaję jej dłoń, a zaraz potem ją cofam i wycieram o udo, bo widzę, że wciąż jest brudna od mąki. — Haley West.

— Tak, moja droga. Wiem, jak się nazywasz. Odkąd przygnało cię w nasze strony, jesteś tematem gorących plotek. — Ujmuje moją dłoń lekko, jak przystało na damę, ale nadal serdecznie. Ścisza ją i wypuszcza. — Jestem Wilma Ford. Babcia Warrena i właścicielka Uroczyska.

— Och! Oczywiście. Nie wiedziałam. — Mam nadzieję, że nie jest na mnie zła za zniszczoną szybę, mimo że to nie była moja wina.

Uważam jednak, że to dziwne, iż Warren jest spokrewniony z właścicielką zajazdu, a mimo to wynajmuje najbardziej odludny domek na całej posesji. Płaci za niego i w ogóle. Wciąż z uśmiechem na twarzy obejmuję się rękami.

— To urocze miejsce, pani Ford. Widoki są przepiękne.

— Tak, miałam nadzieję, że uda mi się stworzyć miłą atmosferę dla przyjeżdżających na wypoczynek par. — Posyła Warrenowi znaczące spojrzenie, a ja czuję, że płoną mi policzki, gdy on pochyla głowę z wściekłym, niemal nadąsanym grymasem. — Może mój wnuk uraczy cię opowieścią o klifie, od którego miasteczko wzięło swoją nazwę. Tymczasem jednak... czy nic ci nie jest, droga Haley? — Skinieniem głowy wskazuje na Tarę. — A kim jest ta urocza młoda dama?

Tara się rozpromienia.

— Jestem Tara! Pomagierka cioci Hay.

— A zatem siostrzenica, rozumiem. — Kobieta schyla się przed Tarą z przesadnym dygnięciem, a ja od razu wiem, że Tara będzie miała nową idolkę, bo ta kobieta do złudzenia przypomina mi Meryl Streep z filmu *Diabeł ubiera się u Prady*.

Pocziwa Tara przez całe dwa tygodnie ćwiczyła eleganckie „to wszystko” i wyniosłe odwracanie się, gdy moja siostra, Marie, pozwoliła jej po raz pierwszy obejrzeć ten film.

— Miło mi cię poznać, Taro. Mam nadzieję, że nic nie narobiło ci stracha, odkąd tu przyjechałaś.

Tara kręci szybko głową.

— Nie boję się. Ciocia Hay też nie.

— To była tylko odrobina farby — mówię. — Zapewniam panią, że nic nam nie jest. Przykro mi jednak z powodu zniszczenia domku.

— Nonsens. — Wilma zbywa to machnięciem dłoni. — To tobie należą się przeprosiny, moja droga. Tego rodzaju rzeczy się tu nie zdarzają.

Pokryjemy koszty twojego pobytu tak długo, jak długo zechcesz tu zostać. Jesteś mile widziana w Heart's Edge, nawet jeśli ten potwornie dziecinny głupi żart mógłby wskazywać na coś innego.

— Och, eee... dziękuję.

Wow. Więc może natychmiastowa chęć wkraczania do akcji i naprawiania świata też jest zapisana w genach tej rodziny. Szkoda tylko, że Warrenowi brakuje finezji jego babki.

Nietrudno się domyślić, że gotuje się z wściekłości, bo stoi za tą kobietą ze szczęką zacisniętą tak mocno, że grube mięśnie na jego szyi wybrzuszają się i napinają. Jest też podejrzenie milczący, więc zaczynam się domyślać, kto rządzi w tej rodzinie. Uśmiecham się nieśmiało.

— Naprawdę nie chcę się narzucać ani nadużywać pani gościnności.

Być może zostanę tu przez jakiś czas. Okazuje się, że straciłam właśnie cel mojej podróży, a ja... no cóż, nie mam gdzie wracać. Więc szukam pracy, żeby trochę zaoszczędzić i móc ruszyć dalej z odrobiną gotówki w kieszeni.

To może potrwać kilka tygodni, jeśli nie ma pani nic przeciwko...

— Nonsens. Potrwa tyle, ile będzie trzeba, a ty jesteś i tak mile widziana

— oznajmia stanowczo Wilma. — Prawdę mówiąc, być może będę miała dla ciebie rolę.

Warren wydaje z siebie stłumiony dźwięk i chce zakłóć, ale się powstrzymuje, bo Wilma rzuca mu ostre spojrzenie. Niemal się uśmiecham, ledwie się hamując.

Jest w tym jakaś magia. Patrzenie, jak ten wielki, wytatuowany, niebieskooki twardziel zostaje przywołany do porządku przez kobietę o połowę mniejszą od siebie, trzy razy starszą i mądrzejszą.

Przez to wydaje się mniej przerażający. Przypomina bardziej wielkiego niedźwiedzia grizzly, który nadal kocha swoją babcię.

Robi mi się przez to trochę cieplej na sercu. Czuję się mniej samotna, wyobcowana i skazana na wiecznego pecha, mając obok tę kobietę, która traktuje mnie z taką stanowczością, jakbym należała do rodziny, a ona chciałaby mi tylko pomóc.

Nawet moja rodzona siostra tego nie robi.

Nie chodzi o to, że źle się między nami układa. Dorastając pod opieką ojca przyssanego do flaszki, obie nauczyłyśmy się samowystarczalności i rezerwy, może nawet odrobinę zbyt dużej.

Trudno jest nam na sobie polegać. Albo proponować, żeby się przed sobą otworzyć, skoro gdy ojciec przychodził do domu, śmierdząc wódką i whisky, każda z nas była pozostawiona samej sobie.

Odrywam się od tych wspomnień, od ich mroku, i wracam do jasnego salonu oraz oferty pracy od babci Warrena.

— Cokolwiek to jest, z przyjemnością pomogę. Robiłam po trochu wszystkiego. W Seattle pracowałam jako rzeczoznawca w firmie ubezpieczeniowej, ale mam też doświadczenie w obsłudze klienta, w call center i jestem malarką...

— Tak słyszałam. Będziesz mi musiała pokazać kiedyś swoje obrazy.

Może mogłabym zamówić jeden czy dwa do domu. — Wilma bierze mnie pod ramię i opiera się o mnie niemal przyjacielsko, lecz jej oczy błyszczą złośliwością nieprzystającą do wieku. — Ale tymczasem... jak ci się widzą studenci i krótkie spódniczki?

O-o.

Bez względu na to, co spodziewałam się od niej usłyszeć, to na pewno nie było to.

A delikatny, lekko rozbawiony grymas jej ust mówi mi, że czekają mnie kłopoty.

\*\*\*

CZYLI WYCHODZI NA TO, że zostaję w Heart's Edge.

Jako kelnerka.

W jedynym pubie w mieście.

*Pamiętaj o oddychaniu*, powtarzam sobie.

To praca. A ponieważ Wilma pozwala mi mieszkać za darmo — i obiecuje, że mogę wpadać do niej do głównej części zajazdu, kiedy tylko zechcę, w sytuacji gdy część dużego budynku stanowią prywatne kwatery rodziny — dam sobie z tym radę.

Z tym, czyli z najbardziej szalonym, poniżającym stanowiskiem, jakie pełniłam... kiedykolwiek.

Ale będę mogła odkładać napiwki i pensję na fundusz chicagowski. Nie wiem, jak długo mi to zajmie. Przy odrobinie szczęścia może miesiąc lub dwa.

Oczywiście za dwa tygodnie będę musiała odejść Tarę do domu, do matki, bo zbliża się rok szkolny, ale do tego czasu po prostu spędzimy miło czas. Przed codziennym wyjściem do pracy dopilnuję, żeby leżała bezpiecznie w łóżku. Wilma powiedziała mi, że choć Tara może spokojnie sypiać w domku, to ona naprawdę będzie czuła się lepiej, jeśli moja siostrzenica będzie spędzać noce u niej, a ja będę odbierać ją po pracy.

Nie wiem, dlaczego o wiele łatwiej jest mi godzić się na pomoc Wilmy, niż przyjmować jałmużnę Warrena.

Może dlatego, że Wilma podaje mi po prostu pomocną dłoń, żebym mogła zająć się wszystkim sama, podczas gdy Warren wciąż usiłuje mnie kupić, jakby liczyły się tylko pieniądze i jakby w pełni odpowiadało mi to, że ktoś będzie za mnie płacił.

Zupełnie mi nie odpowiada.

W tej jednak chwili nie zastanawiam się nad tym.

Nie myślę o drętwej rozmowie telefonicznej z Marie, której w ogóle nie chciałam przeprowadzać, skoro zakłócam w ten sposób jej pierwsze od lat wakacje. Czuję się niezręcznie.

Jeśli tylko da się tego uniknąć, nie rozmawiamy o naszych uczuciach ani nieszczęściach. Duch ojca wciąż nie pozwala nam zachowywać się jak na prawdziwe siostry przystało.

Wiem, że z jakiegoś powodu cierpi. Słyszę to w jej głosie. Opowiada o Maui i o tym, jak jest tam pięknie, o tamtejszych plażach i o tym, jak wiele lat temu zakochali się w sobie z Johnem, kiedy pierwszy raz przemierzali Road to Hana wraz z jej paskudnymi, ostrymi jak szpikulec zakrętami.

Ale kiedy pytam, czy poczuła się jak kiedyś, w jej głosie czegoś brakuje.

Nie ma w nim iskry. Nie ma uczucia. A ja nie mam zielonego pojęcia, co to oznacza dla niej i jej chwiejącego się w posadach małżeństwa.



*Biedna Marie. Biedna, zamknięta w sobie, skołowana Marie.*

I biedny John. Jeśli im się nie uda, to nie wiem komu.

Uczucia stanowiły jeden z powodów, dla których zakochałam się w Eddym, mimo że był żmiją. Potrafił sprawić, że się przed nim otwierałam, miał w sobie ten naturalny urok, pozwalał mi się wygadać, kołt. Ale dopiero teraz widzę, jak powierzchowny i wyrachowany był ten urok.

Chciał, żebym z *nim* rozmawiała wyłącznie dlatego, że łechtalo to jego ego. Prezentował cholerny kompleks psychopatycznego wybawcy, jeśli coś takiego w ogóle istnieje.

W swoim przekonaniu miał tak dobre podejście do kobiet, że uległa mu nawet nastroszona, wybuchowa Haley West.

Podejrzewam, że wraz z zakończeniem podboju, związane z tym trudności nie były już aż tak pociągające.

*Nie.*

Nie będę teraz o tym rozmyślać. Jestem w swoim miejscu zen.

Spakowałam się i przenieśliśmy do swojej części bliźniaka, z dala od tego barana Warrena. Tara z radością ogląda komedię romantyczną w salonie z rudym kotem na kolanach.

Nie mam pojęcia, czyj to kot. Przypałał się, kiedy przenosiłam nasze rzeczy z domku Warrena, więc chyba teraz jest nasz.

Nie mogę się nim zajmować, kiedy jestem na tarasie z tyłu domu ze sztalugą, płótnem, farbami i zachwycającym widokiem podświetlonych od dołu chmur. Przybrały kolor neonowego, brzoskwiowego różu, tak że świecą niczym bioluminescencyjne stworzenia na ciemnym oceanie nieba.

Teraz, gdy wpatruję się w horyzont i pozwalam umysłowi błędzić wśród mało ważnych myśli związanych z kompozycją i mieszaniem kolorów, jestem szczęśliwa.

Póki za plecami nie słyszę skrzypienia otwieranych drzwi.

Spinam barki.

Po jeżdżącym mi włoski na karku burzowym napięciu od razu poznaję, że to nie Tara.

Wzdycham, wnosząc modły o cierpliwość, ale nie odwracam wzroku od nieba.

Ostrzega mnie tylko delikatny jęk desek ganku, po czym Warren opiera się obok mnie o balustradę, wspierając się na łokciach i składając razem masywne dłonie.

Czy się odważę?

Tak. Rzykuję spojrzenie kątem oka.

Między ciemnymi, ciężkimi brwiami widnieje zmarszczka namysłu, nadając jego przystojnej twarzy ponury wyraz. Ciężki zarostu podpowiada, że albo mu on nie przeszkadza, albo jest zbyt zmęczony, żeby zawracać sobie głowę goleniem. Mam przeczucie, że chodzi o to drugie.

— Gratulacje, Hay — mówi powoli. — Postawiłaś na swoim.

— Nie *chodzi* o stawianie na swoim — odgryzam się, a potem urywam i odkładam pędzel oraz paletę na mały składany stolik, który sobie rozstawiłam.

Odwracam się do Warrena z błyskiem wściekłości w oczach.

— Wiesz co? Masz rację. *Chodzi o stawianie na swoim*. Bo w dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego moje życie albo to, co z nim robię, ma być w jakikolwiek sposób twoją sprawą tylko dlatego, że ty tutaj mieszkasz, a ja jestem tu tylko przejazdem. Wynajmowanie sąsiedniej części domu nie daje ci prawa do podejmowania za mnie życiowych decyzji i naprawdę za cholere nie potrafię pojąć, dlaczego uważasz *inaczej*.

Z jakiegoś powodu jego milczenie jest dużo gorsze niż jakikolwiek do-cinek, który mogę sobie wyobrazić.

Krzyżuję ręce na piersi.

— Więc owszem. *Postawiłam na swoim*, nie bez udziału twojej babci, która trochę lepiej niż ty zdaje się rozumieć ideę autonomii.

— Babcia nie rozumie, że osoba, która to zrobiła, nie ograniczy się do czerwonej farby i sztucznych piór — warczy, sypiąc iskry oczami. Prostuje się i patrzy na mnie z taką wściekłością, jakby samym spojrzeniem zamierzał zmusić mnie do uległości. — Mało mnie obchodzi, co robisz ze swoim życiem, pod warunkiem że nie zostaniesz zamordowana na mojej warcie.

— *Ale ty nie stoisz na mojej warcie*. Pilnowanie mnie nie jest twoim zadaniem — wypalam. Napięcie między nami narasta, ale jest gorące, naładowane energią, iskrzące, aż za bardzo rozgrzewa powietrze wokół mnie.

— Dlaczego tak w ogóle uważasz, że Dennis Bress miałby mnie zabić?

— W pierwszej kolejności może dlatego, że rzucasz na niego podejrzenia

— warczy, mrużąc oczy. — Dlaczego, do cholery, uważasz, że to był Bress?

— Nie uważam. Ty tak uważasz. Ty o nim gadałeś, kiedy przydybaleś mnie pierwszego dnia po naszym przyjeździe. — Wbijam w niego wzrok.

— Pan Bress jest miły. Nie sądzę, żeby cokolwiek zrobić, a gdyby chciał cię dorwać, to by oznaczało, że ty musiałeś coś zrobić.

— Nie zrobiłem... — Urywa z przypominającym grzmot sykiem. Odchyła głowę, jakby się modlił o cierpliwość, i oddycha powoli, przesuwając dłońią po twarzy. — Postuchaj, Hay. Naprawdę nie masz pojęcia, co się dzieje, ani co wygadujesz. Ale skoro tak bardzo potrzebujesz pracy, to mogę zadzwonić do kilku osób w Spokane. W Missoula. Coeur d'Alene. *Gdziekolwiek indziej, byle nie tutaj*.

— Jasne. Wszędzie ciągle dzwonisz. — Uśmiecham się złośliwie. — I co z tego wyszło?

— Do jasnej cholery, Haley! — Nagle znów staję blisko mnie, zanim nawet mam czas mrugnąć.

Chwyta mnie za ramiona, czuję jego obezwładniający żar i siłę. Mimo że jest bezwzględny jak dzikie góry, jego dotyk jest delikatny, jakby starał

się mnie nie zmiażdżyć w swoim uścisku, gdy wbija we mnie płonące spojrzenie.

— Warren...

— Nie. Nie rozumiesz? Nie jestem jakimś dupkiem, który próbuje kontrolować cię dla zabawy. Nie mogę ci powiedzieć, co się tutaj dzieje. *Nie mogę*.

Zwyczajnie nie mogę ci powiedzieć, dlaczego musisz trzymać się jak najdalej ode mnie. Ale gdyby był inny sposób, zostawiłbym cię w spokoju.

Żyj i pozwól żyć innym. Uwierz, kiedy mówię, że nie mogę i że to dla twojego własnego dobra.

Kręcę głową, znów czując ukłucia wściekłości w brzuchu. Zaciskam mocno powieki.

— A na czym polega to dobro?

— Tak będzie dobrze dla wszystkich. Nie mógłbym znieść, gdyby z powodu moich spraw tobie lub Tarze stała się krzywda lub poniosłybyście śmierć.

Krzywdą? Śmiercią? Mój język sam zawiązuje się w supeł.

Nie rozumiem, dlaczego on ma na mnie taki wpływ za każdym razem, kiedy jest blisko. Czuję się tak, jakby ten zapach — ten ostry, surowy zapach wody kolońskiej, wymieszany z czymś przypominającym gorący metal i czystą, męską seksualność — po prostu wnikał we mnie i dławiał wszystkie myśli.

Aż jedyne, o czym jestem w stanie myśleć, to sposób, w jaki jego żar szczypie moją skórę, sprawiając, że wszelkie słowa tracą znaczenie.

*Jasna cholera.*

Jeśli to jest zauroczenie, pociąg, to chyba wcześniej nigdy go nie doświadczyłam, bo *nikt* dotąd nie rozbudził we mnie tego rodzaju odczuć.

Ani Eddy. Ani chłopczy, z którymi chodziłam na studiach. Ani nawet zbyt idealni, żeby mogli być prawdziwi, bohaterowie z filmów i książek.

A najgorsze jest to, że Warren nawet się nie stara wzbudzić we mnie tych namiętnych, absurdalnych odczuć.

Jest zbyt intensywny. Promieniuje to z niego w postaci jakiejś aury, pola energetycznego złożonego z trzaskających błyskawic.

Stań zbyt blisko, a złapie cię i pochłonie.

Gdy na mnie patrzy, wyraz jego twarzy nagle się zmienia. Pojawia się na niej jakieś napięcie, jakiś żar, które zaraz potem czuję w przepływającym przeze mnie ładunku elektrycznym, zaczynającym się na wysokości ust i schodzącym coraz niżej. Czuję je w każdym maleńkim skrawku przestrzeni znikającej między nami, gdy Warren nachyla się bliżej.

Tylko po to, żeby rozdzieliło nas tupanie stóp i wrzask Tary, stojącej w otwartych tylnych drzwiach bliźniaka.

— Zostaw ją! — krzyczy, wyskakując na zewnątrz, furia wcielona w postać filigranowej dziewczynki. Zaciska drobne piąstki i bezskutecznie okłada nimi udo Warrena. — Ani się waż skrzywdzić moją ciocię!

To sygnał, że musimy się od siebie odsunąć i zakończyć tę dziwną, zawołowaną rzecz, która wciąż się pojawia, ale nigdy nie dochodzi do skutku.

Warren unosi obie dłonie, oddychając płytko, i patrzy na Tarę szeroko rozwartymi niebieskimi oczami.

— Spokojnie. Hej. Hej, już dobrze. Zwolnij, kotku. Nikomu nie robiłem krzywdy.

Tara mierzy go wściekłym wzrokiem, garbiąc ramiona. Jej twarz wykrzywia maska obronnej wściekłości. Przytuliłabym ją, gdybym nie czuła się tak wstrząśnięta, gdybym nie drżała na całym ciele. Przyciskam dłonie do twarzy i próbuję uspokoić oszalałe bicie serca.

— Kłamiesz! — rzuca oskarżycielsko mała. — Ona się zaraz popłacze.  
Kręcę szybko głową, opuszczając dłonie i zmuszając się do uśmiechu.  
— Nikt tu nie płacze, Taro. Nic mi nie jest. Tylko trochę się przestraszyłam.

Warren mnie zaskoczył, nic poza tym.

Warren wodzi wzrokiem między nami, wciąż trzymając w górze ręce, jakby stał naprzeciwko policjantek.

— Tak dla twojej wiadomości, mała... — Oblizuje wargi, a potem mówi:

— Nie zamierzałem zrobić twojej cioci krzywdy. Zamierzałem ją pocałować.  
Że co?! Jego słowa fizycznie rzucają mnie w tył.

Opuszcza powoli ręce i posyła mi niepewne spojrzenie, po czym znów patrzy na Tarę, uśmiechając się do niej krzepiąco.

— Chciałem ją objąć, bo chciałem ją pocałować.

Zamiast zwolnić, moje serce wykonuje niemal pełne salto. Wpatruję się w niego z zaschniętymi ustami.

On żartuje, prawda? Próbuje tylko uspokoić Tarę i wyjaśnić jej sytuację tak, żeby się nie przestraszyła?

Ale po tej elektryzującej chwili, gdy nasze spojrzenia się połączyły, a Warren nachylał się coraz bliżej...

Nie jestem już niczego pewna.

I nie jestem pewna, co bym zrobiła, gdyby ten dominujący, uparty dureń *faktycznie* mnie pocałował.

Tara marszczy brwi i przechyla głowę. Grymas niezadowolenia znika, gdy patrzy zdezorientowana na Warrena.

— To ty... lubisz ciocię Hay?

Warren szczerzy się w uśmiechu, swobodnym i ciepłym.

— Tak.

— Lubisz jak... chłopak dziewczynę? — szepcze mała.

— Jak chłopak dziewczynę.

— Aha — mówi Tara i zaraz potem jej twarz się rozjaśnia, a ona się rumieni, chichocze i zakrywa dłonią usta. — *Ahaaa*. Wow.

Nie.

O Boże.

Muszę położyć temu kres.

Wystarczająco niedobrze, że siedzę tu i zastanawiam się, ile gorącej krwi może napłynąć mi do policzków, zanim zemdleję albo stanę w płomieniach.

A sytuacja tylko się rozkręca.

Teraz moja dziesięcioletnia siostrzenica jest przekonana, że spodobałam się mieszkającemu po sąsiedzku kutasowi. Tłumiąc jęk, wsuwam palce we włosy i patrzę znów na horyzont oraz przepiękny zachód słońca, który mnie omija, podczas gdy chciałam przynajmniej uchwycić ogólne wyczucie palety kolorów na płótnie.

— Wracaj, kotku, do środka, żebym mogła porozmawiać z Warrenem

— proszę, zmuszając się do uśmiechu. — Zaraz przyjdę zrobić kolację.

Tara zagryza wargi i kiwa się na piętach. Wiem, że podczas posiłku będę musiała odpowiedzieć na tysiąc pytań dotyczących tego, czy lubię Warrena, czy się pocałujemy i czy zostaniemy chłopakiem i dziewczyną.

*Nie. Nie ma mowy. Absolutnie wykluczone.*

Niech szlag trafi tego dzieciaka za to, że w ogóle zasiał we mnie taką myśl.

Ale dziewczynka uśmiecha się zbyt promiennie, żeby się na nią gniewać.

Doskakuje do mnie i unieruchamia mnie w szybkim uścisku, a potem się odsuwa i z kolejnym wybuchem śmiechu pędzi do środka.

Nuci coś pod nosem. Dopiero po trzydziestu sekundach rozpoznaję melodię. „Zakochana para, Jacek i Barbara, siedzą na kominie i CA-ŁU-JĄ świnię”.

Tymczasem Warren tylko się patrzy, drapiąc po karku, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie, że moja mała siostrzenica uważa nas za parę. Oraz że on stoi tutaj, zwierzęcy jak nigdy, a burza w jego oczach zwiastuje rozmowę, która może być ostatnią rzeczą, jakiej oboje potrzebujemy.

Ktokolwiek, proszę.

*Dobijcie mnie.*

\*\*\*

GDY DRZWI ZAMYKAJĄ SIĘ z trzaskiem, opieram się o balustradę i pocieram z furią skronie.

— Jak chłopak dziewczynę, co? Dzięki. Naprawdę wielkie dzięki. Jej matka mnie zabije za to, że przyspieszyłam o kilka lat tę rozmowę.

— Przepraszam. Mój błąd — odzywa się ze skruchą Warren i naprawdę wygląda, jakby mówił szczerze. — Musiałem wymyślić coś na szybko, Hay.

Żeby się nie zdenerwowała.

Ale usta mu drgają, moje zresztą też. Nie możemy wiecznie się powstrzymywać.

Wybuchamy śmiechem.

Zmęczonym, chropawym, złamanym śmiechem, ale mimo to śmiechem

— tak ostrym, że przypomina szpilkę przebijającą balon napięcia między nami, znużonym, ale absolutnie niezbędnym.

Bardzo go potrzebuję. Potrzebuję, żeby rozplątał moje poskręcane wnętrze, żeby załagodził mrowienie skóry, mętlik w głowie.

A Warren wygląda tak, jakby w ogóle od bardzo dawna się nie śmiał.

Gdy mija atak histerycznego rechotu, Warren opiera się obok mnie o balustradę, krzyżuje nogi w kostkach i zakłada ramiona na piersi. Jego bicepsy wyrzuszają się mocno pod rękawami T-shirta.

Już się nie śmieje, lecz wokół jego oczu wciąż widać ciepło, a kąciki ust podwijają się mu do góry, gdy wzdycha.

— Naprawdę — mówi. — Przepraszam, Hay. Nie chciałem jej przestraszyć. Ani ciebie. Ja tylko... Ja pierdolę.

Urywa. Patrzą na niego z ukosa, a potem uśmiecham się półgębkiem.

— Kiedy ci zależy, naprawdę podchodzisz do różnych spraw z wielką pasją, co? — Przysuwam się i szturcham go w ramię. — Nawet do zapewniania bezpieczeństwa ludziom, których nie znasz. A potem się denerwujesz i wybuchasz.

Warren chrząka i pochyla głowę.  
— Coś w tym stylu.  
Uśmiecham się szeroko.  
— Zawstydziałam cię, Warren?  
Rzuca mi posępne spojrzenie.  
— Skończ już.  
— Nie. — Patrzę przed siebie i pochylam się, by skrzyżować ręce na barierce. — Czym się tak w ogóle zajmujesz?  
— Wydaje mi się, że nie muszę ci tego mówić.  
— A co się stanie, jeśli powiesz?  
— Może nic. A może stanie ci się krzywda. — Patrzy obok mnie na płótno. — Chciałaś namalować góry?  
— Może. — Zastanawiam się, obserwując olśniewającą feerię barw, podczas gdy słońce chowa się całkowicie za odległymi szczytami, formując koronę wokół górskiej grani. — Chciałam raczej namalować to, jak wszystko się przekształca i zmienia, w tym miejscu, w którym opada klif.  
— Opieram brodę na dłoni. — Słyszałeś kiedyś o *ukiyo-e*?  
— Nie jestem znawcą sztuki. Wiem, że lubię oglądać obrazy. Są ładne i podziwiam ludzi, którzy potrafią ożywić wytwór swojej wyobraźni. Ja na pewno tego nie potrafię.  
Uśmiecham się do siebie.  
To lepsza odpowiedź, niż się spodziewałam.  
Większość ludzi lekceważy sztukę, uznając ją za coś mało poważnego, robionego dla zabawy.  
— To styl w malarstwie japońskim. Większość ludzi potrafi go rozpoznać, nawet jeśli nie wiedzą, co to jest. Został zapożyczony z malarstwa chińskiego, a potem przekształcił się w odrębny styl. Ale oba łączy jedna rzecz, a mianowicie sposób tworzenia perspektywy. Plan układa się warstwowo: pierwszy, środkowy i dalszy. Mniejsze przedmioty stają się większe na pierwszym planie. Duże robią się mniejsze w oddali. — Kiwam głową w kierunku pejzażu, gdzie dramatyczny, nierówny klif opada do doliny, za którą w oddali malują się góry. — Widzisz? Dokładnie tak.  
— A więc tutejszy widok, Heart's Edge... — Ogląda się przez ramię na klif. — Jest *u-ki-jo-e*?  
Mimo woli wybucham śmiechem.  
— Może stanowić inspirację.  
— Do diabła. Chyba chciałbym to zobaczyć, Hay. Jak ładnie namalujesz Heart's Edge w tym stylu. — Odwraca się przodem do panoramy, opierając się dłońmi o balustradę. Jego szerokie ramiona napierają z mocą, gdy przekłada ciężar ciała na ręce. — Skoro tak bardzo polubiłaś się z babcią...  
Opowiedziała ci historię o tym, skąd się wzięła nazwa miasteczka? Heart's Edge?  
— Nie. Zasadniczo powiedziała mi, że ty tylko szczekasz, ale nie gryziesz. Uśmiecha się z przymusem. Odpowiadam tym samym.

— Nie wierz jej. Potrafię ugryźć — mówiąc to, parska śmiechem i kręci głową. — Więc to tylko miejska legenda, ale wszyscy tutaj ją znają. Pozna-jesz ją, kiedy dorastasz w tych stronach. Widzisz kształt tego klifu? To, jak ta duża, zaokrąglona część się zwęża?

Przekrzywiam głowę, wodząc wzrokiem wzdłuż krawędzi klifu, a zaraz potem wciągam z sykiem powietrze.

— Wygląda jak... połowa serca, prawda? — Dociera do mnie, że mam rację, i na twarz wyływa mi uśmiech.

— Tak. I wiąże się z tym historia o tym, że w czasach pierwszych osad-ników żył tutaj biedny, młody rolnik, który zakochał się w córce burmistrza. Burmistrz był rolnikiem tak jak on. Wszyscy ciężko pracowali, żeby jakoś przeżyć i zbudować prawdziwe miasto, prawdziwe miejsce do życia, ale stary mimo to uważał, że brudny chłopak jest zbyt nisko urodzony dla jego córeczki.

Szorstki, warkotliwy głos Warrena jest teraz podszyty nutą nostalgii, która nadaje mu większej miękkości; sprawia, że robi się wystarczająco ochryply, żeby przyprawiać o dreszcz, niczym dotyk aksamitu na skórze.

Łapię się na tym, że się w niego wpatruję. Słucham uważnie, widząc, że Warren lekko się uśmiecha.

— Mów dalej — szepczę cicho.

— Ale oni byli zakochani. Więc oczywiście postanowili, że uciekną.

Pobrali się w tajemnicy na skraju klifu, tylko w obecności Boga, ślubując przed niebem, skoro żaden ksiądz nie chciał im towarzyszyć. Potem zrzucili kwiaty z urwiska i zaszyli się w górach, żeby razem żyć. Doprowadzili do szczęśliwego zakończenia, mając jedynie aprobatę nieskończonego błękitu nieba.

Uśmiecham się, przekrzywiając głowę.

— To ładna historia. Może wciąż tam mieszkają. Szczęśliwi, w jakimś małym domku, z dziećmi i wnukami zebranyimi wokół.

— Musieliby mieć jakieś sto pięćdziesiąt lat. Ale to miła myśl. — Parska śmiechem, niskim i dudniącym, który przechodzi w westchnienie. — Wszyscy chodzą tam latem w gimnazjum i ogólniaku. Idziesz z chłopakiem lub dziewczyną, z kimś, kto ci się podoba, i rzucasz kwiaty, bo chcecie na zawsze być razem. Albo idziesz sam, myśląc o osobie, za którą najbardziej tęsknisz, i rzucasz kwiaty z nadzieją, że te płatki znajdą drogę do jej serca.

W takim razie to coś w rodzaju studni życzeń.

To bardzo ładna historia, urocza legenda, której zupełnie nie spodziewam się usłyszeć od *niego*. Nie spodziewam się też, że na jej wspomnienie pojawi się w nim taka ładność.

Dociera do mnie, że to miejsce jest naprawdę jego domem, nawet jeśli on sam zachowuje się dziwnie i ewidentnie coś knuje. Zależy mu na Heart's Edge i chciałabym wierzyć, że w cokolwiek jest zaangażowany, nie wyrządziłby w związku z tym nikomu krzywdy.

Może nawet nie panu Bressowi.

Nie zrobiłby nic, co odbiłoby się negatywnie na miasteczku, które tak bardzo kocha. Albo na tej surowej, ale jednocześnie uroczej kobiecie, którą

nazywa swoją babcią.

Odwracam się do niego, opierając łokciem o barierkę.

— No to jak, Warren... Stałeś kiedyś na krawędzi tego urwiska i rzuciłeś kwiaty, szepcząc imię jakiejś dziewczyny?

— Nie — dudni, a potem spogląda na mnie. Jego niebieskie oczy niemal świecą w zapadającej ciemności. Są w tym samym kolorze, co zakradające się nocne niebo. — Jeszcze nie. Rzuciłem raz kwiaty, ale nie miało to związku z miłością.

W jego głosie jest jakiś mroczny ton. I słodczy, kiedy mówi „jeszcze nie”.

Coś chwyta mnie za serce, kiedy na niego patrzę. Zalewa mnie fala ciepła, paląc mi policzki i gardło, paląc całe ciało i...

Stop. Nie, to Tara włożyła mi te myśli do głowy — odwracam się szybko, wsuwam włosy za ucho, chrząkam i robię krok w tył.

— Muszę nakarmić Tarę i odprowadzić ją do twojej babci — mruczę.

— Potem pora zameldować się po raz pierwszy w pracy. Dobranoc, Warren. Życz mi szczęścia?

Nic nie mówi, gdy odwracam się i odchodzę cicho. Dopiero kiedy drzwi prawie się zamykają, dogania mnie jego cichy pomruk, niczym nocny myśliwy.

— Dobranoc. Powodzenia, Hay.



## ROZDZIAŁ 6. GRA NA PRZECZEKANIE (WARREN)



W ygląda na to, że nie uda mi się przegonić Hay.

Do diabła, mam wrażenie, że za każdym razem, kiedy próbuję tego dokonać, przynosi to skutek odwrotny do zamierzonego. Ostatecznie jeszcze mocniej wrasta w moje życie, wnika głębiej w tkankę Heart's Edge.

Nie jest dobrze, ale trzeba sobie jakoś radzić.

Skoro mieszka tuż obok, mogę mieć na nią oko.

To kolejny obosieczny miecz. Kiedy Haley jest tak blisko, ktoś, kto przyjdzie po mnie, może wyrządzić krzywdę także jej i Tarze. Ale mogę też oddzielić ją od Bressa, dopilnować, żeby nie położył łapy ani na niej, ani na małej.

Mimo to mając Haley tak blisko... nie potrafię się, do cholery, skoncentrować.

Magnetyczna siła, która przyciąga nas do siebie, nabiera coraz większej mocy, przez co w ogóle trudno jest mi myśleć o mojej misji.

Nazwijcie to, jak chcecie — nawet szczytem *absurdu*.

Nie znam jej.

W ogóle nie znam tej laski, ale właśnie to częściowo nakręca ten wilczy głód.

Coś gwałtownego, szalonego, nadopiekuńczego sprawia, że chcę ją poznać na wylot.

Chcę znać wszystko, od tych ślicznych zielonych oczu po delikatne odcienie błękitu, których używa, żeby malować niebo na płótnie.

Chciałbym się dowiedzieć, co ją tu przygnało, tak naprawdę, poza beznadziejnym narzeczonym. Wspominała o pracy i kłapie w galerii. Znajoma pechowa historia, na którą nie zasługuje.

Hay jest słodką tajemnicą owiniętą w *pragnienie*.

Pragnę się dowiedzieć, co stara się udowodnić.

Pragnę się dowiedzieć, co rozpałiło w niej ten płomień.

Pragnę się dowiedzieć, co sprawia, że jest tak nieznośnie uparta i tak nieznośnie piękna.

Pragnę się dowiedzieć, co sprawia, że wzdycha, że się zachwyca; co zamienia te szkliste iskry w jej oczach w pożądanie.

I naprawdę pragnę się dowiedzieć, jak jęczy podczas orgazmu, kołysząc się mocno pode mną, podczas gdy ja odciskam na materacu kształt jej drobnej sylwetki.

Tak. Jestem pomyłony.

Jestem cholernym głupcem.

A wszystko przez to, że Hay mi się postawiła. Że wielokrotnie kazała mi spadać na drzewo, zamiast mizdrzyć się do mnie i próbować się przymilać z maślanym wzrokiem, jak robi to większość dziewczyn w jej wieku.

Może dlatego nigdy nie byłem w poważnym związku.

Nikt nigdy nie pokazał mi ognia.

Nie wzbudził mojego zainteresowania, nawet jeśli pomszczenie Jenny jest prawdziwym powodem, dla którego w moim życiu nie ma miejsca na kobietę — złośnicę czy nie.

Niech to szlag. Nie powinienem w ogóle o tym myśleć.

Przestałem koncentrować się na ekranie laptopa i kropeczce z modułu GPS śledzącego ruchu Bressa. Wrócił do miasta. Wygląda na to, że był w...

warsztacie Stewarta?

*Cholera.* Zastanawiam się, czy gnój znalazł lokalizator i pojechał do Stew, żeby ten rzucił na to okiem.

W tej chwili męczy mnie jeszcze bardziej fakt, że lokalizator pokazuje, iż kamper Bressa stoi pod barem U Brody'ego.

Pod pubem.

Tam, gdzie dziś pracuje Hay.

Klnę pod nosem, odwracam wzrok, a potem znów patrzę na ekran.

Zaczynam się podnosić, aby zaraz potem ponownie usiąść.

*Chwila. Nie.*

Nie ma się o co martwić, znajdują się w miejscu publicznym. Nie muszę wpadać tam jak szarżujący byk. Bress nie ma powodów sądzić, że ona podejrzewa go o zagrożenie mi i o akt wandalizmu w zajeździe.

Do diaska, ona sama nawet tak nie myśli — według niej w tym zestawieniu to ja jestem draniem, a Bress panem Rogersem.

Oczywiście on o tym nie wie.

Może szukać sposobności, żeby dopaść ją samą, usunąć przeszkodę.

Zaciskam pięść.

*Kurwa mać.* Nie mogę zostać w domu.

Chcę skontrolować sytuację. A jeśli Bress już się na mnie zasadza, to lepiej, żeby wiedział, że go obserwuję i że będę miał w dupie literę prawa, jeśli zbliży się do Haley choć na krok.

Jeśli tknie ją lub małą, skończą się skrupuły i zacznie się prawdziwa walka. Własnoręcznie wyślę go w drogę do piekła, nie dając mu szansy, żeby zgnił za kratami.

Migiem się ubieram i wsiadam do samochodu, cały czas przeklinając w duchu samego siebie. Powtarzam sobie, że postępuję właściwie.

Działam powoli, naprawdę ostrożnie, tak jak chciałaby tego Jenna.

Ale mam cholerne wrażenie, że robię coś więcej. W głębi brzucha czuję ciasny węzeł podenerwowania.

Zajeżdżam pod Brody'ego, ale nie widzę na parkingu wozu Bressa.

Widzę natomiast stary, podrasowany pikap Stewarta, pieprzoną bestię na wysokich kołach z płomieniami wymalowanymi po bokach szoferki.

Rozpoznaję niemal każdy samochód w mieście.

Ponieważ w Heart's Edge mieszka mniej niż dwa tysiące osób, człowiek zna ludzi i wie, czym jeżdżą, nawet jeśli przez jakiś czas nie było go na miejscu.

W pubie panuje spory ruch. Choć nie jest to uniwersyteckie miasteczko w całym tego słowa znaczeniu, to przyciąga studentów, którzy przyjeżdżają z kumplami lub dziewczynami na randkę na odludziu. To wymarzone miejsce dla dwudziestoparolatka, żeby się upić, uprawiać seks, a potem zasnąć pod rozgwieżdżonym niebem.

Wchodzę do środka. Wnętrze jest jasno rozświetlone, znajome. Z grającej szafy leci jakiś stary zespół grunge'owy z lat dziewięćdziesiątych. Na szarej, zniszczonej podłodze kłębią się ludzie. Siedzą grupkami przy stołkach, w boksach, podpierają ściany. Nad ich głowami świecą stare, klasyczne neony, wyszperane w jadłodajniach i na autostradach w całym kraju.

W środku pachnie piwem, krążkami cebulowymi i hormonami.

*Nie ma jak w domu.* To miejsce przywołuje wiele wspomnień z młodości.

U Brody'ego zatrudniają głównie ładne dziewczyny poszukujące pierwszej pracy. To coś w rodzaju małomiasteczkowego Hootersa. Obowiązują dość luźne stroje: obcięte, dżinsowe mini, które odstaniają wszystko poza tym, co między nogami, oraz koszulki drużynowe zawiązane w supeł nad brzuchem.

Jest tylko jedna zasada: lepiej, żeby koszulki nie były w barwach Cardinals, Patriots ani Rams.

Większość tutejszych dziewcząt jest w wieku studenckim. Czuję się nieswojo, patrząc na te wszystkie odstanięte brzuchy i gołe uda, kiedy sam mam prawie trzydzieści pięć lat — bez roku.

Wchodzę do środka i od razu zauważam Haley.

Nie wiem, czy była na zakupach, czy ktoś pozwolił jej zrobić najazd na swoją szafę, ale odnoszę wrażenie, że ta dziewczyna próbuje mnie, kurwa, zabić.

Ma na sobie kawałek dżinsu o wystrzępionych brzegach, który ledwie muska dolną część pośladków.

Całość jest tak nisko zawieszona na biodrach, że widzę układające się w literę V zagłębienie w ciele po obu stronach jej gładkiego, umięśnionego brzucha. Dokładnie w miejscu, w którym zaczyna opadać w stronę majtek, a ich nie może na sobie mieć, bo inaczej bym je zobaczył, skoro spódniczka ledwie starcza, żeby gładkie uda i umięśnione krągłości nie zostały wystawione w pełni na pornograficzny widok.

Gruby, skórzany pasek jest niemal większy niż spódnica, którą przytrzymuje w miejscu. Jedynym, co nie pozwala jej piersiom wylać się na zewnątrz, jest zawiązany po środku, tuż pod nimi, ciasny supeł, naciągający za dużą, męską koszulkę tak, że dekolot w kształcie litery V odstania rowek między piersiami.

*Ja pierdolę.*

Rowek między piersiami, który w tej chwili znajduje się na wysokości wzroku Stewarta, gdy Haley nachyla się nad jego stolikiem i stawia przed nim kufel spienionego piwa w towarzystwie porcji frytek. Jej rozpuszczone włosy opadają, tworząc luźną burzę potarganych fal, które mam ochotę owinąć sobie wokół pięści, gdy będę przyciągać ją do swojego ciała.

Nie powinienem aż kipieć w środku, ale ona, do cholery, uśmiecha się zalotnie spod rzęs. Stewart jest wcieleniem wdzięku i czaru — swobodny, spokojny, przyjacielski z tym swoim leniwym, miłym uśmiechem.

Krew zalewa mi oczy.

Szeptają coś do siebie. Chyba *zupetnie* mi odbija, bo przychodzą mi do głowy różne nieprzyjemne myśli, które w ogóle nie powinny się pojawić.

Nie mam do niej żadnych praw.

Stewart jest moim najlepszym przyjacielem.

Hay jest dla mnie obcą osobą, a skoro ma pracować U Brody'ego, flirtowanie jest w zasadzie wpisane w zakres jej obowiązków.

*Otrząśnij się, Ford*, powtarzam sobie. *Zapomnij o tej cholernej dziewczynie.*

A potem dowiedz się, dlaczego lokalizator pokazuje, że Bress tutaj jest, skoro na pewno nie ma go w zebranych tłumie.

Stewart daje mi wymówkę, żebym nie stał dłużej jak kotek w drzwiach, bo zauważa mnie ze swojego boksu i unosi rękę.

— War! — woła, kiwając na mnie, żebym podszedł. — Hej, stary.

No proszę. Nie spodziewałem się dziś ciebie tu zobaczyć.

Podchodzę do niego z ociąganiem.

Przynajmniej z prawdziwym ociąganiem, bo w chwili, w której Stewart wymawia moje imię, Haley sztywnieje. Rzuca mi ostre, oskarżycielskie spojrzenie, a jej zalotny uśmiech znów zamienia się w truciznę.

Cholera. Pewnie myśli, że przyjechałem jej pilnować.

Może ma trochę racji, ale nie mogę pozwolić sobie na to, żeby na nią patrzeć, bo nie będę w stanie odwrócić wzroku.

Hay jest gładka i opalona, jej skóra kusi, żeby ją polizać. Jeszcze sekunda patrzenia na przerwę między jej udami albo cień, który sygnalizuje coś więcej, to, co kryje się pod spódniczką, a mój fiut przestanie mieścić się w džinsach.

Wsuwam się do boksu, a Hay nachyla się, przysuwając odrobinę bliżej z rękami skrzyżowanymi pod piersiami, przez co robią się okrągłe i przypominają wzgórki wprost stworzone do ssania. Istnieje ryzyko, że od-wrócę moją uwagę od znaczącego uśmiechu kumpla.

— Co podać? — pyta Hay sztucznym, słodkim jak miód głosem.

— Piwo z kija — mówię z zaschniętymi ustami. — I burgera z pieczarkami i szwajcarskim serem.

— Nie potrzebujesz karty?

— Znam ją na pamięć od dwunastego roku życia — wyjaśniam. —

Tylko zamiejscowi korzystają U Brody'ego z karty. Ale oczywiście pomaga, że babcia jest właścicielką pubu.

— A on zawsze zamawia to samo — rzuca Stewart z przebiegłym uśmiechem. — Nie mów nikomu, ale jako dziecko pomagał układać menu. Ten burger to jego znak rozpoznawczy. Ja lubię różnorodność. Powiedz kucharzowi, żeby mnie czymś zaskoczył, złotko.

W oczach Hay pojawia się błysk. Ta iskra poirytowania niemal mnie cieszy, gdy odpowiada mu ze zjadliwą uprzejmością:

— Nie ma sprawy, „złotko”.

Mam przecucie, że gdyby nie musiała zarabiać, kazałaby pewnie Stewartowi wsadzić sobie jego złotko w tyłek. A on sobie na to zasłużył, skoro zdradził jej o mnie tych kilka faktów związanych z menu.

Z mimowolnym uśmiechem patrzę, jak Haley się odwraca i odchodzi, kołyszac ładnymi biodrami, a jej miękkie uda ocierają się o siebie.

— Podziwiasz widoki? — pyta Stew. Jego brązowe oczy lśnią w bezgłośnym śmiechu.

— Jeszcze nie umarłem. — Przesuwam spojrzenie na niego. — Co tu robisz?

— Nie chciało mi się gotować. Kawalerskie życie robi się powoli nudne.

Poza tym później miałem zamiar podjechać do ciebie.

Marszczę brwi.

— Do mnie?

Z bardziej trzeźwą miną zerka przez ramię, omiatając wzrokiem wnętrze pubu. Zatrzymuje spojrzenie na grupce starszych mężczyzn, którzy grają w rzutki na dogorywającej tarczy, po czym znów wbija je we mnie.

Nachyla się nad stołem, a potem jego dłoń znika na chwilę i pojawia się ze znajomym przedmiotem.

Z moim lokalizatorem GPS.

*Cholera.*

Podaje mi go, nakrywszy dłonią. Zabieram urządzenie, zanim ktokolwiek zdąży je zobaczyć. Rozglądam się wokół i szepczę:

— Co to ma, kurwa, znaczyć, stary?

— Widziałem cię dziś rano — mruży. — Masz szczęście, że nikt inny cię nie zobaczył. Co ty, u licha, wyrabiasz, War? Wiesz, jakich problemów możesz sobie przez to narobić? To ciężkie przestępstwo. Ratuję ci tyłek, stary.

— To *biznes*. Mam swoje powody — odgryzam się, chowając lokalizator do kieszeni. — Kurwa. To wyjaśnia, dlaczego widziałem przez cały dzień jego samochód przed twoim warsztatem.

— Musisz bardziej uważać. — Przygląda mi się uważnie zaniepokojonym spojrzeniem, ściągając brwi. — Tym razem uchroniłem cię przed niebezpieczeństwem. Wiesz, co Bress może ci za to zrobić? Nie wiem nawet, co ty knujesz. Nie mogę cię kryć, jeśli o niczym mi nie mówisz.

— Nie mogę ci powiedzieć. Zaufaj mi, Stew. — Kręcę głową. — Będzie bezpieczniej dla wszystkich, jeśli nie będziesz wiedział.

— Chcesz powiedzieć, że bezpieczniej dla wszystkich oprócz ciebie. —

Stewart przygląda mi się kwaśno przez chwilę, a potem odwraca głowę i patrzy na Haley, która przekazuje nad barem zamówienia do kuchni, a potem robi rundkę wokół stolików. Śledzi ją z zaciekawieniem wzrokiem.

— A w tej kwestii co jest grane? Na jej temat też będziesz milczeć?

— Już wiesz. O awarii, samochodzie i całej reszcie. — Wzruszam ramionami.

— Chyba miała się zatrzymać u koleżanki po pospiesznym wyjeździe ze swojego miasta. Próbuje zacząć nowe życie, ale plany jej się posypały, w związku z tym zostanie tu trochę dłużej. Babci zrobiło się jej żal, więc teraz jest raczej gościem niż klientką. Uparciuch próbuje zarobić, żeby móc stąd wyjechać. Zaoszczędzić, aż będzie ją stać na przeprowadzkę.

Stewart w dalszym ciągu się w nią wpatruje, przez co czuję narastający w gardle głuchy warkot.

Mimo woli też ją obserwuję zazdrosnym spojrzeniem. Porusza się z takim wdziękiem i pewnością siebie, że człowiek nigdy by się nie domyślił, że to jej pierwszy dzień w pracy. Nie domyśliłby się po uśmiechu do-prawionym kroplą bezczelności, po błysku w oczach, gdy młodziaki dla zabawy wyciągają do niej zalotnie łapy... Sprawia im ogromne rozczarowanie, gdy uskakuje zręcznie i rzuca im ostrzegawcze spojrzenie, na wpół żartobliwe, na wpół z udawaną powagą.

Kurwa. Ależ ta kobieta ma waleczne serce, po całym tym syfie, który ją spotkał. Każda inna zalewałaby się łzami z żalu nad samą sobą.

Ale nie Hay.

W pierwszej kolejności zaczęła szukać sposobu na rozwiązanie swojego problemu.

— War? Jesteś tu jeszcze? — Żartobliwy ton Stew sprawia, że odwracam głowę. — Czy ja wyczuwam lekki podziw?

— To laseczka — przyznaję, wruszając ramionami. — Muszę jej to przyznać. To samo powiedziałbym w przypadku wielu innych dziewczyn.

*To tylko połowiczne kłamstwo.*

— Owszem, niezła — przyznaje Stewart. — Ale też młoda. Niewiele starsza od tych studenciaków. Ile ona ma lat? Dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć?

— Nie wiem dokładnie. — Staram się mówić bezbarwnym głosem. —

A co, jesteś zainteresowany?

— Nie, znasz mnie, stary. Trzymam łapy przy sobie, kiedy kumpel już sobie kogoś upatrzył — odpowiada podstępnie Stewart.

Niech to szlag.

Moja pięść zaciska się przy kolanie.

Ten chłopak aż za dobrze wie, jak mi dogryźć. Cały się jeżę, choć właściwie nie mam pojęcia dlaczego.

Stew jest moim *przyjacielem*, zawsze miałem do niego zaufanie. Wiem, że dobrze traktuje kobiety, ale irytuje mnie sposób, w jaki mówi o Hay.

Zaciskam szczękę, zmuszając się, żeby mówić opanowanym głosem, spokojnym i serdecznym.

— Niczego sobie nie upatrzyłem — mówię. — Nie musisz gadać o niej w ten sposób.

Unosi powoli brew.

— W jaki sposób?

— Jakby była przedmiotem przekazywanym z ręki do ręki.

Stewart mruga, a potem uśmiecha się szeroko.

— Czyli *jednak* ci się podoba.

W środku wszystko we mnie kipi.

— Lubię traktować ją jak człowieka, Stew. Nic poza tym — mruczę.

— A tak swoją drogą, nie wydaje mi się, żeby lubiła, gdy mówi się na nią „złotko”.

Rozkłada przepaszająco dłoń.

— W takim razie pani West. — Odwraca głowę i przygląda się jej jeszcze przez chwilę. — Chociaż to *panna* West, prawda? Nie zauważyłem obrączki.

Skąd ta ciekawość? — mam ochotę ryknąć, ale zachowuję tę myśl dla siebie. Lecz pod stołem zaciskam już obie dłonie w pięści.

Chryste. *Spokojnie*.

Dlaczego to tak bardzo mnie *rusza*?

— No — mruczę. — Wspominała coś o jakimś chujowym narzeczonym, który ją zdradzał, więc chyba w tej chwili nie ma zbyt dużej wyrozumiałości w stosunku do mężczyzn.

— Jesteś pewny, że nie jest tak tylko w stosunku do ciebie, słoneczko?

Patrzę z wściekłością na szeroki, przyjacielski uśmiech Stewarta.

— Ugryź się w tyłek.

Wszelka inna wymiana zdań zamiera, bo Haley podchodzi do nas, z łatwością trzymając tacę. Stawia przede mną talerz z grubym, parującym burgerem, ociekającym szwajcarskim serem, z dodatkiem tony krążków cebulowych.

Dzięki Bogu za zmianę tematu.

— Twoje piwo i burger — mówi cierpko znów z tym jadowitym uśmiechem, który mam ochotę natychmiast z niej scałować, gdy pochyla się nad naszym stolikiem, przysuwając mi kufel ze spienionym piwem. — I niespodzianka dla ciebie — dodaje, zręcznie opuszczając przed Stewartem drugi talerz. Znajdują się na nim ułożone w spiralę, smażone krewetki i mały, plastikowy pojemniczek z czerwonym sosem.

Stewart bierze jedną do ręki i macza ją w sosie, a potem zagryza na niej z chrzęstem zęby. Przetyka i mruczy z zadowoleniem.

— Krewetki i ostry sos koktajlowy! — mówi, oblizując wargi. — Moje ulubione.

Hay się uśmiecha i przyciska tacę do brzucha, obrzucając nas obu przenikliwym spojrzeniem.

— Podać coś jeszcze, panowie?

— To wszystko, dzięki — mówię, podczas gdy Stewart patrzy mi w oczy i szczyrzy się w uśmiechu.

— Tak jak powiedział — dodaje, ani na moment nie odwracając ode mnie wzroku, choć głos kieruje do Haley. — Ale nie zapomnij jutro do mnie zadzwonić!

— Zadzwonić? — rzucam bez namysłu, chociaż dobrze wiem, że podpuszcza mnie, żeby doprowadzić do awanturki o dziewczynę.

Jednak już jest za późno. Z twarzy Hay znika uśmiech. Rzuca mi ostre, poirytowane spojrzenie.

— Pilnuj własnych spraw.

A potem odwraca się na pięcie i praktycznie odbiega, smagając włosami jak biczem, który może mnie pochłostać do krwi, jeśli posunę się za daleko.

Stewart patrzy na mnie porozumiewawczo, bawiąc się kawałkiem krewetki przy ustach.

— W sprawie nowego gaźnika — wyjaśnia. — Dlatego musi się ze mną zadzwonić. Rozmawialiśmy o marce i modelu, zanim zamówię część. Za kilka dni

powiniennem być w stanie ją ściągnąć, zanim rozwali się to, co skleciłeś taśmą! — Uśmiecha się jeszcze szerzej. — A ty myślałeś, że po co ma dzwonić, War?

Przeżytkam kolejny pomruk.

Nie pozwolę mu na to. Nie, kurwa, dzisiaj.

Zawsze mnie podpuszczał, od ogólniaka. Jedną z jego ulubionych rozrywek było wkurzanie mnie z powodu dziewczyn. Po śmierci Jenny wyluzował, ale kurwa, nie da się na zawsze uciszyć klasowego klauna.

Lecz nie jesteśmy w ostatniej klasie ani w tym okresie, kiedy zabijałem się w Tammy Preacher tak bardzo, że na jej widok za każdym razem ro-biłem zęza.

W przypadku Hay chodzi o coś innego.

Nie jestem nią zainteresowany. Nie mam na to czasu.

Muszę zwyczajnie trzymać ją z daleka od moich porachunków z Bressem, tylko na tym mi zależy. Tylko na tym ma prawo mi zależeć.

Nie patrzę już więcej na nią, gdy idzie na drugą stronę sali. Zamiast tego biorę burgera i odgryzam duży kawałek, mocno wpijając się w niego zębami.

— War? Między nami wszystko gra? — Stewart znów mnie szturcha.

— Wiesz, że tylko się z tobą...

— To nie ma znaczenia — parskam znad burgera. — Po prostu żryj.

Stewart nic nie odpowiada.

Nie musi.

Jego uśmiech mówi za siebie, gdy wzrusza ramionami i zabiera się za swoje krewetki, spojrzeniem brązowych oczu cały czas śledząc Haley.

\*\*\*

ZARAZ PO JEDZENIU wychodzę z pubu. Nie ma powodu, abym tam zostawał, a gdybym został, kusiłoby mnie, żeby...

Sam nie wiem.

Mówiłem, że nie będę o tym myślał, ale pewne pomysły robią się... ciekawe.

Po powrocie do domu paracetamol i łóżko brzmią jednak znacznie lepiej. Przez całą drogę nie daje mi spokoju głos klienta nadającego z ze-stawu głośnomówiącego, żądający, abym w przyszłym tygodniu ruszył

dupsko do Boise i rozejrzał się za jakimś nieudacznikiem, który miga się od płacenia alimentów, odłączył media i ponoć nie da się go znaleźć.

Ponoć.

Dla mnie zawsze da się każdego znaleźć.

Jestem urodzonym tropicielem, tak jak Jenna. Cholera, podczas wojny zrobiliśmy zakład o to, kto zdoła wykurzyć z jaskiń czy innych nor wysoko postawionych terrorystycznych zasrańców. Ten, kto przegrał, wisił zwycięzcy roczną dostawę fajek.

Wyglądało na to, że przyjdzie mi jej płacić, bo wyprzedzała mnie o dwóch, zanim...

Kurwa.

Kiepskie zakłady i tani tytoń to kolejna rzecz, która nas łączyła.

Dwa następne nawyki, które porzuciłem po jej śmierci.

Jednak tym będę się martwił rano.



Chwilowo mam bazę w Heart's Edge, ale przyjmuję zwykle zlecenia w całym kraju. Zazwyczaj nie mam stałego adresu, lecz teraz muszę się skoncentrować na tym, co dzieje się tutaj, a potem zdecydować, gdzie pojechać dalej po rozprawieniu się z Bresse.

Czekałem trzynaście cholernych lat na swoją chwilę chwaty, obserwując go z daleka i czekając, aż potknie się wystarczająco, żeby warto było przyjechać z powrotem. Kiedy zaczął rozszerzać swoją działalność poza miasto, wiedziałem, że nadszedł czas.

Miejscowy znajomy dał mi znać, że Bress zaczął skupować ziemię w miasteczkach w promieniu osiemdziesięciu kilometrów. Z nielegalnymi interesami kłopot jest taki, że im bardziej się rozrastają, tym trudniej utrzymać je w ukryciu.

I tym łatwiej o potknięcie.

Tym łatwiej dać się złapać.

Jednak Bress nigdzie się stąd nie wybiera. Urządził się w Heart's Edge; tak głęboko wrósł w miejscową ekonomię, że gdyby uciekł, sam by siebie zrujnował.

Śledziłem jego finanse niezbyt oficjalnymi kanałami. Tak dużo utopił w nieruchomościach i inwestycjach biznesowych, że nie zostały mu prawie żadne środki płynne.

Jeśli ucieknie, będzie uciekał w zasadzie bez grosza przy duszy, nie mając gdzie się podziać. Krótko mówiąc, znalazł się w pułapce, zapędzony w kozi róg.

*Dokładnie tak, jak chciałem.*

Co prawdopodobnie oznacza, że mogę sobie pozwolić na krótki wypad do Boise, żeby zrealizować szybkie zlecenie i zapewnić przepływ własnych środków płynnych.

Rozmyślałam nad tym, wchodząc do jacuzzi na tyłach domku, żeby pozwolić gorącym strumieniom wody — i kilku browarom chłodzącym się w wiadrze z lodem — pomóc mi pozbyć się napięcia, a razem z nim również bólu głowy, taką mam nadzieję.

To powinien być łatwy zarobek. W pięć lub sześć godzin dojadę do Boise, w mniej niż dwadzieścia cztery dorwę gnojka i przekażę go przedstawicielom prawa, a potem wrócę do domu, zanim nawet łóżko zdąży mi wystygnąć. Góra dwa dni.

W takim razie dlaczego myśl o wyjeździe budzi we mnie taki niepokój?

Nie chodzi o Bressa. Tak naprawdę nie. Wiem, o co chodzi. Nie chcę tylko się do tego przyznać.

Chodzi o Hay.

O tę przeklętą potrzebę, aby przez cały czas mieć na nią oko. Bo jakaś popieprzona część mnie jest przekonana, że jeśli zbyt długo zostanie sama, następnym razem to nie czerwona farba zostanie rozsmarowana na drzwiach.

Bo nie będzie mnie, żeby temu zapobiec.

Nie mogę brnąć w ten makabryczny ciąg myśli.

Bress nie jest kompletnym szaleńcem. Nie posunie się do krwawego ataku na nieznaną kobietę, bo to ściągnęłoby do miasteczka federalnych.

Haley nic się nie stanie, jeśli wyjadę na dwa dni. Stanie się wręcz spokojniejsza, gdy nie będziemy się ciągle ścierać. Boże, ależ ona jest upierdliwa.

Wiecznie musi wszystko kwestionować i doprowadzać do konfrontacji.

W życiu nie poznałem nikogo równie upartego, ale dzięki temu krótkie chwile łagodności tym bardziej się wyróżniają.

To podejście do siostrzenicy.

Nieobecny, rozmarzony wyraz jej twarzy, gdy obserwuje zachód słońca z okiem wyczulonym na piękno i pędzlem w dłoni.

Spojrzenie, które rzuca mi od czasu do czasu, jakbym był zwierzęciem, które wbiło sobie cierń w łapę, a ona czuje się rozdarta między chęcią delikatnego usunięcia kolca — a wciśnięcia go głębiej, żeby zobaczyć, jak się krzywię.

*Niech szlag trafi tę małą sadystkę.*

Nawet jeśli mam wrażenie, że tylko *mnie* w ten sposób traktuje.

Nie jestem chodzącym uśmiechem, ale do cholery.

Nie jestem nawet pewny, jak długo siedzę tutaj i rozmyślam o Hay, chociaż staram się o niej *nie* myśleć, gdy zapatrzony w gwiazdy daję za-mroczyć się piwu. Przez krótką chwilę to działa.

Nagle słyszę szelest w krzakach. Niemal wyskakuję z wody, ale to, co się z nich wysuwa, jest o wiele za małe na człowieka.

— Niech cię, Mozart. To znowu ty?

Odpowiada mi głośne, bojownicze *miau*. Kiedy kot wydobywa z siebie głos, nie da się z niczym pomylić wysokiej tonacji, ogłuszającej muzyki, której zawdzięcza swoje imię.

To duży, bezpieczny kocur, którego babcia dokarmia od zimy. Ja też nabrałem takiego zwyczaju, widząc, że od mojego powrotu zaczął częściej kręcić się koło domku.

Znów się do mnie odzywa, kołysząc rudym ogonem w ciemności.

— Dziś nie ma żarcia. Próbuję się zrelaksować. Sam sobie poszukaj! —

Zanurzam się z powrotem w jacuzzi, klepiąc dłońmi w taflę wody. Słyszę, jak kot czmycha.

W nagrodę dostaję kilka minut błogiej ciszy. *Nareszcie.*

Odpywam z otwartymi oczami, patrząc, jak Droga Mleczna eksploduje jasnością na ciemnym niebie. To jedna z moich ulubionych rzeczy w Heart's Edge, nie ma tu w zasadzie żadnych świateł, które mogłyby przestonić niebo.

Jestem tak skupiony, że nie słyszę powrotu Hay do domu. Ani nawet nie zauważam, że tu jest, póki z mojego snu na jawie nie wyrwa mnie skrzypienie otwieranych drzwi.

Dziewczyna wychodzi na ganek z pochyloną głową, składając w rękach ręcznik. Nagle widzę, co ma na sobie — a raczej czego nie ma — i szczęka niemal wpada mi z pluskiem do wody.

Hay jest szczupła i śliczna. Ma jędrne, zaokrąglone gdzie trzeba ciało, niemal nagie w jasnoturkusowym bikini. Takim ze sznureczkami zawiązanymi przy biodrach, które człowiek ma ochotę rozwiązać cholernymi zębami, a potem językiem wyznaczyć ścieżki na nagim ciele, gdy skrawek materiału opada.

Kolejne wiązanie znajduje się na staniku, zamykającym w swoich objęciach jej cycki, pomiędzy którymi również widnieje kokardka. Miękkie, opalone ciało napiera na elastyczne trójkątne materiały, które nie są w stanie w pełni pomieścić biustu.

*Ja pierdolę.*

Nie wiem, co jest gorsze.

Że widzę Hay w takim stroju... czy że jestem, kurwa, *rozebrany do rosołu* pod skłębioną, ledwie cokolwiek maskującą pianą, utworzoną przez bąbelki w jacuzzi. Nagle mam bardzo dużo do ukrycia.

Stękam, zmieniając pozycję z nadzieją, że lekki nacisk nakłoni mojego nabrzmiewającego fiuta do tego, żeby się, kurwa, uspokoił.

Na ten dźwięk Hay podskakuje i wciąga z sykiem powietrze. Podnosi głowę akurat wtedy, gdy mnie udaje się uciec spojrzeniem i nie zostać przytąpanym na tym, że się na nią gapię.

Na chwilę zapada cisza. A potem daje się słyszeć ciche:

— Och.

Tylko to „och” i nic więcej. Chyba byłoby łatwiej, gdyby wyrażało nie-smak lub złość, jakąś irytację z powodu tego, że zająłem jej miejsce.

Nie ma mowy, żebyśmy mogli razem zrelaksować się w tym jacuzzi, nie w sytuacji, gdy wzajemna obecność sprawia, że powietrze iskrzy gorącym, dzikim napięciem, które zamienia noc w bezgłośną burzę. Po kilku chwilach nabrzmiałych milczeniem jej ciche kroki zbliżają się do mnie, delikatne na drewnianych deskach tarasu. Potem rozlega się przytłumiony plusk, a ja ryzykuję spojrzenie kątem oka.

Haley siedzi na brzegu jacuzzi, machając nogami w wodzie. Opiera się rękami po obu stronach gołych ud i zatacza stopami kółeczka w bąbelkach.

Jej żywe, zielone oczy wpatrują się we mnie leniwie, zamieniając się w błyszczące gwiazdy, bo odbija się w nich światło umieszczonych pod wodą reflektorów.

Wzrok Hay wyraża ciekawość, namysł i wyraźnie widać, że zatrzymuje się powyżej tafli wody. Jej policzki są zaróżowione.

— Ciężki wieczór? — pyta cicho.

Mam wrażenie, że to biała flaga. Rozejm. Jakby mówiła: „Przychodzę w pokojowych zamiarach, nie strzelajmy do siebie”.

— Chyba ja powinienem ciebie o to spytać — ryzykuję pytaniem. —

Od dawna nie widziałem takiego ruchu U Brody'ego.

— Czyli to nie było normalne? Dzięki Bogu. Nogi mi odpadają. — Ze śmiechem porusza lekko wspomnianymi nogami w wodzie, ochlapując mnie delikatnie.

— Ciężki pierwszy dzień w pracy?

— Nie był ciężki. Po prostu dawno nie pracowałam jako kelnerka, a ostatnim razem byłam przynajmniej na kótkach.

Mrugam i przechylam głowę.

— Na kótkach?

— Sonic. — Uśmiecha się szeroko. — No wiesz, te kelnereczki, które wirują na rolkach w kusych spodenkach i czapkach Sonica? Robiłam to na studiach. Musiałam mieć skądś pieniądze na podręczniki.

Kolejna całkowicie zbędna wizja.

Usilnie próbuję nie wyobrażać sobie jej sunącej po parkingu w szortach niemal tak maleńkich jak ten kuszący dół od bikini. Żeby o tym nie myśleć, sięgam do wiaderka z lodem i wyjmuję piwo.

— Proszę — mówię, podważając kapsel o brzeg wiadra, i podaję jej butelkę. — Zasłużyłaś sobie.

Bierze ją ode mnie z uśmiechem i wznosi szkło w niemym toastie.

— Masz rację, do diabła. Przez cały wieczór nikogo nie ugryzłam.

Parskam śmiechem i biorę tyk browaru.

— Nie sądziłem, że to należy do twoich obowiązków.

— Powinno. — Przewraca oczami. — Stosunki między pracownikami a klientami, podpunkt 12A: mam prawo ugryźć każdego studenta, który mówi na mnie „lalunia”. Potem mam prawo oblać go piwem.

— Wydaje mi się, że dzisiejsze dzieciaki nie używają określenia „lalunia”.

— Używają, kiedy są pijane i wygłupiają się z kumplami z bractwa.

Nie pytaj mnie, skąd to wiem. — Hay zsuwa się z westchnieniem niżej, zanurzając się w wodzie z cichym, zmysłowym jękiem, od którego dostaję gęsiej skórki.

Jej gibkie ruchy przypominają mi wyraźnie o pulsowaniu w członku, które staram się ignorować.

Sadowiąc się naprzeciwko mnie, z wodą pieniącą się wokół jej ramion, dziewczyna opiera głowę o brzeg jacuzzi i postukuje butelką o wargi.

— Aż tak źle, co? Cholera. Przykro mi, że babcia posłała cię tam bez przygotowania.

— Nie jest tak źle. Napiwki są dobre. Ciebie powinno to cieszyć. Im więcej zarobię, kręcąc tyłkiem za minimalną krajową i kilka napiwków, tym szybciej wyjadę z twojego ukochanego miasta.

No i proszę. Padł pierwszy strzał.

Zaciskam zęby, odwracam głowę i przysięgam, że nie dam się w to wciągnąć.

— Myślałem, że Heart's Edge tak cię oczarowało, że chciałaś zapuścić tu korzenie?

— Nie. To nie miejsce dla mnie, nawet jeśli jest tu ładnie. Potrzebuję większego źródła inspiracji do malowania. — Wykrzywia usta. — Chociaż teraz nie mam, do diabła, pojęcia, gdzie pojedę. Moim celem chyba nadal jest Chicago... ale muszę mieć jakiś plan awaryjny, kiedy tam dojadę.

— Zabierasz ze sobą matę?

— Nie wiem. Zależy, jak długo zostanę tutaj. — Z ponurym uśmiechem bierze duży tyk piwa. — Równie dobrze może mi zająć lata, zanim zaoszczędzę wystarczająco dużo, żeby stąd wyjechać. W Wietrznym Mieście wynajem mieszkań sporo kosztuje. Może wrosnę w ścianę. Wtedy nawet jeśli nie będę planowała zapuścić korzeni, utknę tu dużo wcześniej, niż ty zdążysz znów uciec.

Warczę.

— Dlaczego uważasz, że ucieknę?

— Możesz to nazwać intuicją — odpowiada. — Ludzie, którzy próbują przepędzić innych, zwykle robią to po to, żeby samemu zaoszczędzić sobie fadygi.

— Bzdura. To chyba twoja projekcja — mruczę z ustami przy butelce.

— Jeśli ktokolwiek tu ucieka, to ty. Naprawdę uważasz, że porzucenie wszystkiego i rejterada przez cały kraj rozwiąże twoje problemy?

— Wziąwszy pod uwagę to, że moim największym problemem był facet, który nie potrafił utrzymać fiuta w spodniach, to tak — rzuca w odpowiedzi. — To, co zrobił Eddy, nie jest moją winą. Nie możesz winić mnie za to, że chcę się znaleźć jak najdalej od niego. Nie naprawi to moich problemów, bo przeprowadzka nie zmieni jego w lepszego człowieka, ale rozpoczęcie od nowa jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziło.

Wzdycham i przyciskam zimne piwo do czoła. W jacuzzi zaczyna robić się dla mnie za gorąco. Nie wiem, czy to przez narastającą złość, czy żar wywołany bliskością Haley. Robię wszystko na opak i ciągle mówię nie to, co trzeba.

— Posłuchaj, nie chodziło mi o to... — urywam, klnąc. — Twój narzeczony to skończony gnój, okej? To nie jest twoja wina. W najmniejszym stopniu. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Przepraszam, Hay.

Nic nie odpowiada.

Denerwuje mnie to — ta cisza, krzycząca pustka, która mówi, że coś jest *nie tak*, ale nie chcę patrzeć, bo Haley ma swoją dumę. Jeśli teraz na nią spojrzę, może to odebrać w niewłaściwy sposób.

Dopiero po kilku kolejnych minutach spędzonych w ciszy, ryzykuję spojrzenie, nagle pragnąc, by to cholerne uczucie, które mnie przy niej dopada, było na tyle silne, żeby pozwoliła mi się dotknąć, pozwoliła mi się pocieszyć.

Hay patrzy ponad tarasem na klif i góry. Ma mokre końcówki włosów, które kleją się do jej ramion, kropelki rozchlapanej wody na policzkach i wargach, ale to nie woda lśni w jej oczach.

To zbierające się w nich łzy. Usta jej drżą, twarz jest spięta i zamyślona.

Nietrudno stwierdzić, że niewiele w tej chwili widzi.

Ani mnie, ani gwieździstego nieba, ani wody.

Tylko wspomnienia egoistycznego gnojka, który doprowadził ją do tego, bo nie był w stanie traktować jej jak człowieka.

— Wiesz, że to coś, czego on nigdy mi nie powiedział? — szepcze w końcu.

— Był wcieleniem uprzejmości i uroku, do wszystkich uśmiechał się serdecznie, wszyscy go lubili. Ale nie potrafię przypomnieć sobie ani *jednej* sytuacji, w której by przeprosił. A ty jesteś największym palantem, jakiego kiedykolwiek poznałam, bez urazy, ale przynajmniej potrafisz przeprosić.

Czasem nawet brzmi to tak, jakbyś mówił szczerze.

— Bo mówię. — Uśmiecham się blado. — Muszę mieć jedną czy dwie dobre cechy, prawda? Wolę być uczciwym dupkiem niż zakłamanym, miłym gościem.

— Mam wrażenie, że każdy facet, który twierdzi, że jest miły, kłamie.

— Dziewczyna pociąga mocno nosem, a potem parska drżącym śmiechem i pociera ręką nos. — Uch, od tej pary oczy zachodzą mi łzami.

*Jasne. Od pary.*

Mogę być świnia do kwadratu, ale nie będę dodatkowo zawstydzat cierpiącej kobiety. Niech zachowa dumę.

— Hej — mówię, starając się jakoś odwrócić jej uwagę. — Prawda czy wyzwanie.

Mrugając, patrzy na mnie z lekkim zdziwieniem. Ociera mokre krople sklelejające jej rzęsy.

— Prawda czy co?

— To taka zabawa. Za dzieciaka razem ze znajomymi podkradaliśmy babci piwo i moczyliśmy się w jacuzzi poza sezonem. Patrzyliśmy na gwiazdy i graliśmy w prawdę i wyzwanie. Więc wprowadzam cię niniejszym w tradycję Heart's Edge, ale to oznacza, że musisz wybrać. Prawda czy wyzwanie?

Kolejne mrugnięcie, po którym na jej usta wyływa powolny, niemal nieśmiały uśmiech.

— Prawda. Nie wiem, czy mogę ci zaufać z wyzwaniem. Wygląda na to, że masz o wiele większe doświadczenie ode mnie w tym względzie.

— Och, przecież nie dam ci nic strasznego do zrobienia w ramach wyzwania.

Nie. Absolutnie.

Może poprosiłbym tylko, żeby zdjęta stanik. Cienkie ramiączka bikini, zsuwające się z jej ramion na tyle, żeby podrażnić moje — *nie*.

Nie będę takim facetem. Odrywam wzrok, który zaczął wędrować wzdłuż łuku jej ramienia, i skupiam go na piwie.

— No dobra. Prawda. Przedziurawiłaś swojemu byłemu opony przed wyjazdem?

Jej nagły wybuch śmiechu wyraża zaskoczenie i rozbawienie.

— Nie!

— A *chciałaś*?

— O nie, nie uda ci się to. — Z szerokim uśmiechem celuje we mnie ręką.

— To dwa pytania, Warren. Zachowaj je na następną rundę. Twoja kolej.

Prawda czy wyzwanie?

— Prawda.

W jej oczach pojawia się złośliwa iskra.

— A nie wyzwanie? Nie ufasz mi?

— *Nie*.

To wywołuje kolejną salwę śmiechu, na którą odpowiadam szerokim uśmiechem.

Jasna cholera, jest przepiękna, kiedy tak się śmieje, gdy jej oczy marszczą się w kącikach i łnią, gdy jej usta się rozchylają, gdy odrzuca głowę do tyłu, śmiejąc się całą sobą. Wolę ją widzieć roześmianą niż zapłakaną, choć rozumiem potrzebę wyrzucenia z siebie tych uczuć, wyplakania się, żeby już tak bardzo nie ciążyły.

W tej chwili Haley buja myślami gdzie indziej. Przygląda się mi i postukuje butelką o swoją wydatną, różową, dolną wargę, namyślając się.

— Co jest grane między tobą i Stewartem?

Mrugam. Dziwne pytanie.

— Stew?

— Nie potrafię stwierdzić, czy jesteście przyjaciółmi czy wrogami. Dziś U Brody'ego krążyliście wokół siebie jak wilki walczące o kość.

Cholera. Czy to było aż tak widać?

Przynajmniej tak jak ona mogę zrzucić uderzenie gorąca na twarzy i szyi na parę. Bo nie mogę jej powiedzieć, że krążyliśmy wokół siebie z jej powodu, a Stewart starał się sprowokować mnie do przyznania, że ona mi się podoba. Więc mimo że wybrałem prawdę, muszę skłamać.

— To jeden z moich najbliższych przyjaciół — mówię. — Tacy po prostu jesteśmy. Twardziele. Okazujemy przywiązanie docinkami. To naprawdę nic nie znaczy.

— Wszystkich tak traktujesz?

— Co to znaczy wszystkich?

Wzrusza ramionami.

— Babcię, innych znajomych, współpracowników... swoją dziewczynę?

Prycham.

— Babcia obdarłaby mnie żywcem ze skóry, gdybym odezwał się do niej takim tonem. Pozostali kumple to skomplikowane przypadki opóźnienia w rozwoju. Żaden terapeuta temu nie podoła. Nie mam współpracowników, a jeśli pytasz, czy mam dziewczynę, to już dwa pytania.

Cholera, co ją obchodzi, czy mam dziewczynę?

Na jej twarz powraca triumfujący uśmiech.

— Właściwie to trzy. Odpowiedziałeś mi na pytanie, czy wszystkich tak traktujesz, więc dostałam jedną odpowiedź ekstra.

Biorę kolejny łyk piwa.

— Czy to oznacza, że ja tym razem też mogę zadać dwa?

— Nie powinienes, bo sam się nie potapałeś, ale... — Pokazuje mi wesoło czubek języka. — Niech ci będzie. A skąd wiesz, że wybiorę prawdę?

Nie mogę się powstrzymać. Mój wzrok przesuwają się po jej postaci, zatrzymując się w miejscu, w którym woda zamienia jej ciało w kolorowy wir.

Wiem już, jak wygląda, i mogę sobie tylko wyobrazić wilgotny potysk jej skóry, dzięki któremu lśni jak karmel. Karmel, który czeka tylko na to, aby go lizać, lizać i lizać, od czego ona zacznie się wić. Gdy podnoszę znów wzrok, jej oczy są odrobinę zbyt rozszerzone, usta w kształcie serca rozchylają się, a kiedy na mnie patrzy, zaciska obie ręce na butelce z piwem.

— Chcesz wybrać wyzwanie? — pytam cicho.

Haley przetyka ślinę i wsuwa pasmo wilgotnych włosów za ucho, spuszcza wzrok.

— Prawdę. Będę trzymać się prawdy.

*Powiedz mi prawdę. Podobam ci się?*

Nie mogę o to zapytać.

Nie mogę pozwolić sobie teraz na tego rodzaju komplikacje i zaangażowanie.

Naprawdę myślę w tej chwili wyłącznie o jednym — ale muszę przekierować swoją uwagę, zanim jedno z tych opuszczonych spojrzeń przeniknie tafłę wody i zauważy coś, czego nie jestem w stanie ukryć tak, żeby nie zrobić tego w zbyt oczywisty sposób. Jedynie załamujące się światło, tańczące na powierzchni wody, zapewnia mi przyzwoitość.

Więc szukam czegoś innego, czegokolwiek, i w końcu znajduję.

— Mówiłaś, że byłaś rzeczoznawcą w firmie ubezpieczeniowej... ale malowałaś. Myślałem, że jesteś artystką?

— Niedoszłą — odpowiada gorzko, po czym ciągnie: — A nie, czekaj.

Podobno mamy na siebie mówić „początkujący”. Albo „walczący o uznanie”, jeśli chcemy wyrazić się dobitnie. To brzmi pewnie lepiej niż „przymierający głodem”. — Kręci głową. — Nie poddaję się. Próbuję od lat. Ale...

myślałam, że nastąpił przełom, kiedy miejscowa galeria wystawiła moje prace. Nikt jednak niczego nie kupił. Przez miesiąc. Więc galeria wywaliła mnie na zbity pysk. Który już był obolały po ciągach zebranych od losu, gdy zostałam zwolniona z pracy na etat, a narzeczony zerznął moją najlepszą przyjaciółkę.

— Wygląda na to, że nie była z niej zbyt dobra przyjaciółka — stwierdzam. — Zakładając, że to była kobieta.

Haley znów parska śmiechem, ale już innym niż wcześniej. Ostрым i autoironicznym.

— Mniej by mnie to obeszło, gdyby to był facet. Gdyby Eddy musiał po prostu... odnaleźć siebie czy coś w ten deseń. Wolalabym się dowiedzieć, że mój narzeczony jest gejem, niż wiedzieć, że nie szanuje mnie wystarczająco, żeby trzymać łapy z daleka od innych kobiet.

— Moim zdaniem nie ma znaczenia, kto to był. Jeśli z kimś jesteś, szanujesz zawarty układ. Jeśli nie możesz, to zdobądź się na tyle przyzwoitości i uczciwości, żeby najpierw się, kurwa, rozstać. Zanim zaczniesz pieprzyć się z innymi.

— No cóż, wygląda na to, że ten kretyń nie odebrał tej lekcji. — Drży i bierze głęboki wdech. — Masz jeszcze jedno pytanie.

W ten sposób daje mi do zrozumienia, że nie chce dłużej rozmawiać na ten temat.

W porządku. Potrafię wyłapać aluzję.

— No dobra. Chcesz, żeby to była prawda? Czy wyzwanie?

— Wiesz co? Walić to. — Wzrusza buntowniczo ramionami. — Wyzwanie. Zastrzel mnie.

— Pokaż mi jeden ze swoich obrazów — mówię.

Zamiera tak, jakby sama została uchwycona na martwej naturze — kobieta namalowana pociągnięciami pędzla. Wpatruje się tylko we mnie, a jej szerokie, zielone oczy przypominają czyste, płynne szkło. Rozchylone wargi są nabrzmiałe i różowe.



— Ja... co? Co takiego?

Wzruszam ramionami.

— Chcę się przekonać, jakim głupkiem musiał być właściciel galerii.

Haley uśmiecha się blado.

— Nie są aż tak dobre.

— Nie to ładne, co ładne, ale co się komu podoba, znasz to powiedzenie.

— Tak?

Odstawia piwo na brzegu jacuzzi i zaplata mocno ręce na piersi. W tym momencie wydaje się taka drobna i bezbronna, że muszę przypominać sobie nieustannie, że jestem goły, aby do niej nie podejść, nie przytulić jej, nie pocieszyć.

Wygląda na to, że sprawa z obrazami zraniła ją znacznie bardziej niż jej były i nie wiem, czy Hay zdaje sobie z tego sprawę — a ja nie będę na tyle głupi, żeby jej o tym mówić — ale ma w sercu znacznie więcej miejsca dla swojej pasji, niż kiedykolwiek miała dla mężczyzny, który ewidentnie nie pasował do niej pod każdym możliwym względem.

Z drżącym oddechem mówi:

— Zastanowię się nad tym. Jakie są konsekwencje, jeśli tego nie zrobię?

— Żadne — odpowiadam. — To tylko zabawa, Hay. Odprężamy się przy piwku.

— Może... No tak, dobrze. — Zmusza się do uśmiechu, po czym bierze swoje piwo i wypija wszystko kilkoma łykami. Jej przetyk pracuje ostro.

Hay odstawia z trzaskiem butelkę na krawędzi jacuzzi i oddycha głęboko.

— Dobrze!

Unoszę brew.

— Dobrze? Dobrze się czujesz?

— Nie, głuptasie, dooobrze. Teraz ja zadaję pytanie *tobie*. — Wyciąga rozczapierzone palce w stronę wiaderka, poruszając żartobliwie dłońmi, mimo że pojemnik znajduje się poza jej zasięgiem. — Prawda czy wyzwanie.

Przewracam oczami. Chwytam aluzję i wyławiam jej kolejne piwo.

Podważam kapsel i podaję jej butelkę.

Bierze ją w obie dłonie, tuląc ją jak wiewiórka, żwawa i nazbyt wesolutka.

Patrzę na nią z westchnieniem, zastanawiając się nad przyjemnym uczuciem ciepła w mojej piersi. Zaraz potem kręcę głową.

— Prawda. W dalszym ciągu nie ufam ci na tyle, żeby wybrać wyzwanie.

— Spokojnie. Przecież nie każę ci biegać na golasa po mieście.

Gdyby tylko wiedziała.

Hay bierze z namysłem kolejny łyk, a potem pyta:

— Czym się zajmujesz? Jesteś bardzo dziwny. Taki tajemniczy. Wiem, że byłeś żołnierzem, ale nie wydaje mi się, że armia wysłała cię na misję do twojego straszego rodzinnego miasteczka, żeby odkryć jego niechlubne tajemnice w imię jakiejś rządowej operacji specjalnej. — Porusza palcami, wydając z siebie ciche *uuu-UUU-uuu*, a potem się uśmiecha. — Więc wyrzuć to z siebie. Co takiego sprawia, że zachowujesz się jak agent Mulder?

Nie wiem w ogóle, co to znaczy, ale wiem jednocześnie, że nie mogę odpowiedzieć na jej pytanie.

Nie chodzi nawet o to, że się domyśli, iż na kogoś poluję. Lub co gorsza, że wcale na nikogo *nie* poluję, że cała ta sprawa z Bresse wyływa z całkowicie osobistych pobudek.

Chodzi o to, że wiem, że zacznę się zastanawiać.

Zastanawiać nad tym, co zrobię.

Kogo skrzywdziłem.

Kogo zabiłem.

A boli mnie myśl, że miałyby mieć o mnie jeszcze gorsze zdanie, niż ma już w tej chwili.

— Nie mogę ci tego powiedzieć — odpowiadam i się uśmiecham. Ten uśmiech jest dla mnie zbyt trudny, ciężki i smutny, to uśmiech, do którego nie jestem przyzwyczajony. — Ścisłe tajne. Wychodzi na to, że biorę w zamian wyzwanie.

— No dobra — odpowiada. — Rzucam ci wyzwanie, żebyś mi powiedział, czym się zajmujesz.

— W takim razie chyba przegram. — Pochylam się i z bladym uśmiechem stukam się z nią butelką. — Ponieważ nie ustaliliśmy, o co gramy...

zrobmy kolejną rundę.

Po kilku sekundach Hay patrzy mi w oczy, uśmiechając się szelmowsko.

Zastanawiam się, czy wie, co jej proponuję. Głównie możliwość zajęcia czymś myśli.

Dla nas obojga.

Jedną słodką chwilę, żeby zapomnieć, kim jesteśmy, jakie mamy zmartwienia i co tu robimy. Że ona uciekła, bo mężczyzna zranił ją tak, jak nigdy nie powinien był jej ranić, i podciął jej skrzydła po tym, jak życie wystarczająco dało jej popalić, podczas gdy ja ścigam demona, który odebrał mi to, co kochałem.

Haley przechyla głowę, a na jej usta wyływa blady, tęskny uśmiech.

Tak.

Wie.

Wie i ze znużonym wzruszeniem ramion i uśmiechem mówiącym

„do diabła z tym” stuka się ze mną butelką.

— W takim razie dawaj. Prawda.

Tym razem ostrożniej zadaję pytania.

Mniej przez to, że się boję, że wydobędzie ze mnie moje tajemnice, a bardziej dlatego, że obawiam się zranić ją jej własnymi.

Więc tym razem padają pytania o drobiazgi.

Najbardziej żenujące wspomnienie szkolne. Ulubiony kolor. Wyzwanie, żeby pobiła mnie w bitwie na stopy.

Dowiaduję się, że stanęła raz na dachu ogólniaka w sukience balowej, deklarując miłość do rozgrywającego — szkolnej gwiazdy futbolu. Tylko dlatego, że powiedział, że się z nią umówi, jeśli to zrobi.

Okazuje się, że to był tylko okrutny żart, żeby się przekonać, czy ona naprawdę posunie się aż tak daleko.

Hay opowiada mi o ulubionych kolorach jak malarka.

Że uwielbia szaroniebieski odcień horyzontu o poranku w Seattle, kiedy słońce już wstało, ale miasto jeszcze o tym nie wie.

A potem ta laska pokazuje, że wie, jak wygrać bitwę na stopy.

W mgnieniu oka kopiemy się i ochlapujemy nawzajem wodą, a ona dobiera się do mojej podeszwy i łaskocze mnie palcami u stóp, aż jestem bliski poddania. Śmieję się i robię falę, żeby przestała.

Ma też naprawdę słabą głowę.

Po czwartym piwie, kiedy pytam, o czym marzyła jako mała dziewczynka...

— O szczęściu — szepcze tylko, a zaraz potem krzywi się i wybucha płaczem.

*Kurwa mać.*

To by było na tyle. Koniec gry.

Hay ewidentnie za dużo wypita. Jej rana jest jeszcze zbyt świeża, by udawać, że o wszystkim zapomniała i wszystko odepchnęła na bok, żeby poczuć się lekko, swobodnie i beztrudnie.

Nie musi moczyć się w jacuzzi i gryźć z własnymi uczuciami na oczach faceta, który ukrywa goliznę i którego towarzystwa nie znosi. Powinna odpocząć.

Ostrożnie wyciągam jej butelkę z luźnych palców i odkładam na bok, a potem wyłączam jacuzzi.

Podczas gdy ona trze oczy, podciągam się i kradnę jej ręcznik, którym owijam się w pasie. Potem przyklękam na brzegu obok niej, chwytam ją delikatnie pod pachami i podnoszę.

— No już — namawiam. — Chodź. Położę cię do łóżka.

— Jestem dużą dziewczynką, Warren. Potrafię chodzić. Pozwól mi...

— Hay. Zajmę się tym. Zajmę się tobą.

Posyła mi tylko spojrzenie, mówiące „okej”. Jej wargi drżą, a ciało wiotczeje.

Nie protestuje, a wręcz przytula się do mnie, gdy ją podnoszę i biorę w ramiona, przyciskając do piersi. Nie jestem nawet w stanie zauważyć teraz gładkiej skóry, odstosowanego ciała, miękkich kształtów.

Wcześniej kusiła mnie jak syrena. Teraz porusza we mnie czułą strunę.

Bardziej martwi mnie to żałosne pociąganie nosem i czerwone oczy niż mój własny roz hulany fiut.

Cicho wsuwam się za drzwi po jej stronie bliźniaka. Tary nie ma w środku, musiała zasnąć u babci. Niosę milcząco Haley do sypialni i kładę ją na łóżku, wciąż mokrą i ociekającą wodą.

— Zaczekaj tu — mówię, unosząc palec.

Idę do łazienki po drugi ręcznik, a potem robię nalot na szufladę w sypialni. Jest w niej za duża koszulka Pittsburgh Steelers — to nie czas na dobry gust — i czyste spodnie.

Klękając przed nią, owijam ją ręcznikiem i pocieram lekko jej ciało i włosy. Patrzę na nią ze słabym uśmiechem.

— Proszę. Odwróć się na chwilę, żebyś mogła się przebrać.  
Osiem słów, których wcale nie chciałem mówić.

Patrzy na mnie żałośnie, zaciskając palce na brzegach ręcznika, starając się niezdarnie mi pomóc, chociaż bardziej przeszkadza, niż pomaga.

Wymijam po prostu jej ręce, pozwalając jej zrobić to po swojemu. Pod warunkiem, że nie wyrządza sobie krzywdy.

— Co w ciebie wstąpiło? Dlaczego jesteś dla mnie taki miły? — pyta.  
Unoszę obie brwi.

— Jesteś pijana, Hay. I wcale nie jestem aż *takim* draniem, za jakiego mnie masz.

— Ale zawsze robisz się bardziej wredny, kiedy starasz się być... opiekuńczy. Na przykład wciąż mówisz, że chcesz mnie uratować, ale nie powiesz przed czym.

Zaciskam szczęki. Nie, kotuś, i nigdy nie powiem.

— Bo niemówienie ci jest częścią chronienia cię — mówię w zamian i wsuwam delikatnie palce pod jej brodę. — Teraz natomiast chronię cię przed tym, żebyś nie obudziła się na kacu jak zbity pies. Więc przebierz się, a ja przyniosę ci wodę.

Kręci głową.

— Nie chce mi się pić.

— Najlepszy sposób na to, żeby nie mieć kaca, słońeczko.

Haley piorunuje mnie wzrokiem.

— Nie nazywaj mnie słończkiem. Eddy tak na mnie mówił.

Żenada. Wiesz, że ktoś jest piramidalnym głupkiem, kiedy na zawsze potrafi zepsuć jakieś słowo.

— Rozumiem. Koniec z takimi bzdurami, obiecuję. — Nie powinno mnie boleć, że zostałem porównany do tego śmiecia, nawet jeśli ona nie jest w najlepszej formie, ale prędzej złag mnie trafi, niż dopuszczę do tego, żeby choć trochę go przypominać. Wstaję i ściskam krzepiąco jej ramię. — Przebierz się. Zaraz wracam.

Idę do kuchni, nasłuchując jednym uchem na wypadek, gdyby Haley była bliska śmierci w zmaganiach z koszulką. Wydaje z siebie kilka pełnych frustracji stęknień, ale nic świadczy o tym, że jej życie jest zagrożone, więc wyciągam z lodówki kilka butelek zimnej wody, robiąc to powoli, żeby miała szansę doprowadzić się do przyzwoitego stanu, zanim wrócę do sypialni.

Kiedy tam wchodzę, siedzi na brzegu łóżka z ponurą miną. Kolana podciągnęta do piersi, usuwając się na bezpieczną odległość od mokrych śladów, które zostawiła na pościeli.

Stawiam dwie butelki na stoliku nocnym i podaję jej trzecią.

— Jedna teraz, dwie rano. Wypij wszystko.

Marszczy nos i wystawia język.

— Strasznie się rządysz.

— Wiem.

— I jesteś głupi.

— Głupiego poznasz po jego czynach. — Śmieję się i krzyżuję ręce na piersi.  
— Chcesz jeszcze mnie jakoś obrazić?

— Naprawdę źle kłamiesz — mruczy, a potem zatyka usta butelką i pije.

Tych kilka słów po pijaku mrozi mnie, budzi mój niepokój.

Na jaki, kurwa, temat jej zdaniem kłamię?

Staratem się unikać nieuczciwości za pomocą starannych, wymijających odpowiedzi, ale jeśli pozostawiłem ślad, który nieznamy osoba pokroju Hay może wychwycić, to nic dziwnego, że Bress mnie rozgryzł. Wystarczy, żeby zacząć wysyłać skierowane pod błędny adres groźby.

*Cholera.*

Trzeźwiejąc, przykucam przed nią.

— Myślisz, że uda ci się zasnąć?

Tłumiąc stęknienie, Haley wzrusza ramionami, pada na łóżko i chowa twarz w poduszce.

— Nie.

— Jesteś jeszcze gorszą kłamczuchą niż ja. — Uśmiechając się słabo, zauważam zmiętą pościel i przykrywam ją porządnie. — Śpij dobrze, tygrysyco.

Dziewczyna natychmiast się podrywa. Jej mokre włosy lecą na wszystkie strony, oczy są wytrzeszczone.

— Czekał. Kot!

Rozglądam się po pokoju.

— Jaki kot... Aha. Mozart was zaadoptował?

Marszczy brwi.

— Tak się wabi?

— Tak. Stał się tutejszym ulubieńcem. Regularnie adoptuje sobie nową rodzinę w którymś domku, ale głównie trzyma się mnie i babci. — Szturcham ją ramieniem. — Nie martw się o niego. Chłopak potrafi sobie poradzić. Wróci, kiedy będzie gotowy. Odpocznij, Hay. Jutro kolejny wieczór wypełniony piwem i studentami z bractwa.

— Ja pierdolę. — Z jękiem pada znów na poduszki. — Wiesz, że jeden klepnął mnie w tyłek?

*Który? Urwę mu łapę w nadgarstku, myślę natychmiast, ale ze względu na nią nie mówię tego na głos, tylko zaciskam zęby.*

— *Dobranoc, Hay* — mówię z naciskiem.

Jej jedyną odpowiedzią jest ospała, wiotka ręka uniesiona w moim kierunku. Wzdycham i patrzę na dziewczynę jeszcze przez chwilę, po czym odwracam się w stronę wyjścia.

Jest słodka, kiedy jest pijana, ale do diabła, ile z nią roboty.

Mam tylko nadzieję, ze względu na nią, że rano nie będzie niczego pamiętać.

Nie robi wrażenia kobiety, która lubi okazywać słabość.

Ale przecież jeszcze kilka godzin temu ja nie uważałem się za faceta, który przejmowałby się jej uczuciami, skoro odkąd się tu zjawiała, jest wiecznie o włos od wydtubania mi oczu.

Szkoda, że nie umiem zignorować tego, co skrywa pod ciętym językiem i jeszcze bardziej ciętym umysłem.

Nawet jeśli odreagowuje na mnie swoje cierpienie przez to, że zachowywałem się w stosunku do niej po świńsku, to nie ja byłem draniem, który ją zranił, i jak się okazuje — nie przeszkadza mi rola worka treningowego dla pary zielonych oczu, jeśli tylko dzięki temu ona poczuje się lepiej.

Stoję pod drzwiami, patrząc przez szybkę na skrawek sypialni i leżącą na brzuchu, spokojną postać — nagle odsuwam się gwałtownie.

Czuję, że nie powinienem być w środku. Sam już, do diabła, nie wiem, co myślę.

Wiem tylko, że nie mogę sobie pozwolić na tego rodzaju nieuwagę.

Bo każde opóźnienie sprawia, że Jenna przewraca się niespokojnie w grobie o jeden dzień dłużej.

Bo każdy błędny krok odsuwa Dennisa Bressa coraz dalej poza zasięg moich rąk.

\*\*\*

NIECH TO SZLAG, kocham babcię, ale *naprawdę* nie po to wróciłem do Heart's Edge.

*Życie towarzyskie*. Tak, jest równie do dupy jak brzmi.

Planowałem spędzić niedzielny wieczór w akcji. W dalszym ciągu nie wiem, gdzie pojechał Bress, gdy był poza miastem tamtego wieczora, zanim

Stew ukradł lokalizator GPS i wszystko schrzanił. Albo ocalił mi tyłek, nie jestem pewny.

Mimo to właśnie w chwili, kiedy zbierałem się do wyjścia — chcąc jednocześnie uniknąć spotkania z Hay po piątkowym wieczorze pełnym dziwnych wyznań — babcia wparowała do mojej części domku i praktycznie wyprowadziła mnie na zewnątrz chwytem zapaśniczym.

Niedzielną kolacja, oznajmiła, była *dokładnie* tym, czego potrzebowałem.

A ja przecież nie ośmieliłbym się sprawić jej zawodu ani nie odważyłbym wzburzyć jej nie najmłodsze już serca, odrzucając propozycję, prawda?

*Nie najmłodsze serce, akurat*. Przysięgam, że ta kobieta ma serce ze stali.

I skutecznie go używa, żeby zmuszać mnie do wykonywania swoich poleceń z uśmiechem na twarzy.

W ten sposób trafiam do głównego budynku, do wydzielonej prywatnej części mieszkalnej, gdzie siedzę w kuchni, w której dorastałem, podczas gdy babcia nakłada swoje słynne duszone mięso z warzywami i sos.

I podczas gdy z przeciwnej strony stołu Flynn Bitters wodzi za mną niespokojnym wzrokiem.

Nie wiem, co on tu w ogóle robi. Jedynym wytłumaczeniem jest gościnność babci.

To strefa rodzinna — kuchnia obwieszona zdjęciami w ramkach, przedstawiającymi dziadków, rodziców, mnie, moją siostrę. Flynn nie należy do rodziny i wygląda na równie skrępowanego co ja.

— Wiecie co — odzywa się babcia. — Moglibyście spróbować coś powiedzieć. „Dziękuję, Wilmo, za przemiłą kolację”.

— Dziękuję, Wilmo — mamrocze Flynn. — Dobre jedzenie.

— Dzięki — dodaję sucho. Ona z tymi swoimi staroświeckimi manierami.

— Co prawda nie miałem wyboru i musiałem przyjść na kola...

Wystarczy jedno ostre spojrzenie, żeby uciszyć moje paplanie, ostre jak sztylet. Zaraz potem babcia uśmiecha się uprzejmie.

— No już, nie lubię myśli, że ktoś je w samotności. Flynn przychodzi tu ostatnio na kolację, a wiem, że jeśli zostawię cię w tym domku, to po prostu odgrzejesz sobie w mikrofalówce jakieś ohydztwo z paczki, niewiele lepsze od wojskowych racji żywnościowych. — Unosi lekko brwi i sama zajmuje miejsce u szczytu stołu.

— Chyba że ta miła Haley znów dla ciebie gotuje?

O kurwa. No i zaczyna się...

— Nie. Haley jest zbyt zajęta serwowaniem drinków w *twoim* pubie, żeby dla kogokolwiek gotować — zauważam, odruchowo składając serwetkę na kolanach.

To stary nawyk. Przywykłem do jedzenia byle jak, w samotności, do surowego życia. Cholera, babcia w zasadzie nie żartuje na temat racji żywnościowych. Od miesiący żywię się głównie bekonem i jajkami, o wiele dłużej niż na jakiegokolwiek misji.

Ale w obecności babci Wilmy wychodzi ze mnie przyzwoity chłopak, którego wychowała.

— W ogóle nie wiem, jak ona sobie radzi z Tarą — mówię, kręcąc głową.

— Ma małą pomoc — odpowiada babcia, poprawiając kołnierzyk. —

Tara jest taka urocza! Zaczęłam uczyć ją kilku kuchennych sztuczek. Ale zdziwiłbyś się, jaka zaradna jest twoja Haley. Ma cudowne podejście do swojej siostrzenicy. Mogę sobie tylko wyobrazić, jaka wspaniała będzie kiedyś w stosunku do własnych dzieci.

*Twoja Haley? Ona nie jest moja.*

I nie powinienem czuć się tak dziwnie, wiedząc, że tak właśnie jest.

Co gorsza, zacząłem właśnie wkładać do ust kawałek pieczeni, kiedy babcia zrzuciła tę bombę z dziećmi.

Chwilę później zaczynam się krztusić, mięso staje mi kołkiem w gardle, aż w końcu udaje mi się je przełknąć. Ocieram usta i wpatruję się w babcię.

— To było... subtelne niczym młot pneumatyczny.

Babcia patrzy na mnie przebiegle znad kwiatów, ustawionych na stole nakrytym koronkową serwetą.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz, skarbie. Jaki jest kłopot w zastanawianiu się nad przyszłością młodej Haley?

— To nieznajoma osoba, babciu. Jej przyszłość to nie nasza sprawa.

Babcia uśmiecha się z zakłopotaniem. Uśmiechem godnym Oscara.

— Nie, zapewne nie — mówi, ocierając kąciki ust serwetką. — Ale mogłaby być.

— Do diaska. To był nie tyle młot pneumatyczny, co strzał między oczy kulą do wyburzania.

Babcia parska delikatnym, przystającym damie śmiechem.

— Naprawdę, Warren? Czy to takie straszne, że zauważyłam, że coś między wami iskrzy?

— W tych stronach iskry prowadzą do pożaru lasów, babciu. Szczęśliwie mamy teraz porę suchą, więc nie kuśmy losu.

Flynn parska śmiechem — a zaraz potem babcia przeszywa go kolejnym twardym jak kamień spojrzeniem.

Mężczyzna nagle zabiera się za jedzenie i pochylony nad talerzem napycha usta tłuczonymi ziemniakami i groszkiem umoczone w sosie.

Ale po kilku kęsach mruczy:

— Warren próbował przegonić tę biedaczkę.

*Cholerny zdrajca.*

Teraz palące spojrzenie babci ląduje na mnie, a ja czuję się jak mały chłopiec, który nie wie, gdzie się podziać, gdy ona mówi łagodnie:

— Czyżby? A dlaczego miałbyś przeganiać naszą klientkę z małą dziewczynką?

Nie mam na to dobrej odpowiedzi.

Nie takiej, która by ją zadowolila bez wciągania jej w mój bajzel, a na to na pewno nie mogę sobie pozwolić.

Ta rodzina już za dużo straciła. Babcia nie mogła oddychać tego dnia, kiedy w Uroczysku zjawili się dwóch umundurowanych mężczyzn z „proszę pani, z przykrością musimy zawiadomić” na ustach.

Mnie nie było w kraju, wciąż byłem na misji. Usłyszałem o wszystkim później od tego samego pijaczyny, który siedział teraz obok mnie i wbijał mi nóż w plecy. Musiał zawieźć ją na ostry dyżur, żeby nie dotoczyła do Jenny.

*Kurwa.*

Nic nie odpowiadam, spuszcza tylko wzrok na talerz. Po kilku długich chwilach babcia mówi dalej.

— Wiesz, zastanawiam się mimo woli, skąd ona bierze na to wszystko siły, ale z drugiej strony... mnie akurat ostatnio brakuje energii. Obawiam się, że zaczynam zwalniać, że jestem bliżej emerytury, niż chciałabym przyznać.

Uśmiecham się blado.

— Daj spokój. Nie opuścisz nas, póki mnie do czegoś nie namówisz, prawda? Patrzy na mnie niewinnie.

— Czy nie taka jest rola babci?

— Tak. I dlatego cię kocham. Ale jeśli rozważasz przekazanie pałeczki...

czy naprawdę uważasz, że możesz mi powierzyć zarządzanie zajazdem oraz pubem, oraz kilkoma innymi nieruchomościami, które posiadasz, a o których nawet nie mam pojęcia?

— Dlatego właśnie potrzebujesz właściwej kobiety, przy której się uspokoisz — odpowiada natychmiast, a ja jęczę.

Byłem na to gotowy.

Jeszcze nie skończyła.

— A mimo to ty zdajesz się ignorować zdrowy rozsądek oraz oczywisty fakt, że dziewczyna nie ma obrączki na palcu.

— To, że jest singielką, nie oznacza...



Cholera. Nie mogę.  
Nie tylko z powodu Bressa, ale również z powodu wczorajszego wieczora.  
Bo nie mogę być kolejnym mężczyzną, który złamię Hay serce, a czasem mam wrażenie, że tylko to potrafię robić.  
Łamać serca i tracić ludzi.

\*\*\*

*Trzydzieści lat wcześniej*

— DO JASNEJ CHOLERY, WAR. — Jenna siada obok mnie i opiera się odrobinę za mocno o moje ramię w ten typowy dla siebie sposób, który doprowadza do tego, że subtelnie zaczyna mnie spychać. Odpycham ją ze śmiechem.

— Na co teraz narzekasz, siostra?

— Nie wysyłają nas razem! Wiem, różne jednostki, ale ciebie chcą na granicy, cholernie blisko Pakistanu. — Wydyma wargi. Dziwnie się na to patrzy: kobieta w pustynnym mundurze polowym, z ciemnymi włosami związanymi w ciasny kok, bez makijażu, idealna żołnierka... wydymająca usta. — Dlaczego musisz jechać z rangersami? Wysyłają cię w same

najlepsze miejsca. Myślałam, że nastąpił przełom, że nie utknę w jakimś bunkrze, przetwarzając dane na arkuszach logistycznych. Nuuda.

— Te dane to jedyny powód, dla którego ludzie pozostają przy życiu

— mówię jej. — Zapewniasz mi bezpieczeństwo, nawet kiedy nie jesteśmy blisko siebie.

— Tak? — Naburmuszona mina zamienia się w uśmiech. Jenna bierze mnie pod rękę i opiera głowę na moim ramieniu. — To zawsze jakieś pocieszenie. Ale mam też za zadanie cię chronić.

Przysuwam się do niej.

— Zabawne, bo myślałem, że to ja mam za zadanie chronić ciebie.

— A nie może tak być w przypadku nas obojga? — Z błyszczącym wzrokiem odsuwa się i podaje mi swój mały palec.

— Uważaj na siebie — mówię bardziej poważnie. — Usuwanie starych min przebiega zwykle spokojnie, ale na polu bitwy syf zdarza się w najmniej spodziewanym momencie.

— Tak, tak. Chyba dam sobie radę z chłopakami podczas eskorty tego wielkiego, ciężkiego czegoś, służącego do usuwania min. Łatwa robota.

*Bardziej niebezpieczna, niż się wydaje, myślę, choć jej tego nie mówię.*

— Daj spokój, braciszku. Obiecujemy sobie, że wrócimy razem.

Prycham i patrzę na nią kątem oka.

— Przysięga na złęczone paluszki? Czy nie powinnaś tego robić ze swoim nowym chłopakiem?

Jej krzywy uśmiech znika. O wiele za szybko jak na mój gust.

— Co jest? Nie mów tylko, że on źle cię traktuje?

— Nie, nie o to chodzi. Dennis jest cudowny. Tak naprawdę chodzi o niego i tego drugiego. Doprowadzają do dramatu w jednostce.

— Do dramatu? — Krzyżuję przed sobą ręce i mierzę ją wzrokiem z góry na dół. — Jakiego rodzaju dramatu, do diaska? Postępuj, Jenna, jeśli wiąże się to z narażaniem kogokolwiek na niebezpieczeństwo, musisz to zgłosić dowództwu. Albo powiedz mi po prostu, jak ten koleś się nazywa, a ja...

— Nie. — Wstaje, wysoka i prosta, oczy jak sztylety. — Nie jesteśmy już w Heart's Edge, War. Sama sobie poradzę, z tym również. Pewnie tylko coś mi się wydaje...

Krzywię się kwaśno. Zastanawiam się, o czym ona, do cholery, mówi, zastanawiam się, czy ten „dramat” łączy się z kimś, kogo znam. Wielka szkoda, że wiem, że nie zmieni zdania i nic mi nie powie, kiedy patrzy na mnie takim wzrokiem.

— Wracając do naszej przysięgi...

Patrzę na jej ugięty mały palec i wybucham śmiechem.

— Jezu, dziewczyno. Nie jesteśmy w podstawówce. Mam wrażenie, że to przynosi pecha.

— Nie bądź niemądry! Przysięga to przysięga, a ty *nigdy* dotąd żadnej nie złamałeś. — Patrzy na mnie wyzywająco z uniesionym palcem. — Obiecuj.

Rozglądam się z zażenowaniem. W pokoju nie ma nikogo poza nami.

Po chwili z sykiem splątam swój mały palec z jej palcem.

— Dobra. Obiecuję. Zadowolona?

Jenna kręci ze śmiechem głową.

— Czasami jesteś strasznym jeżozwierzem. Ale za to cię kochamy.

Kiedy zaczynam się odsuwać, ona zaciska swój palec mocniej i przytrzymuje mój, szczerząc się do mnie w intensywnym uśmiechu.

— Ej, niczego nie obiecałeś. Żeby zadziało, musisz coś powiedzieć.

Nieruchomieję z językiem przyciśniętym do podniebienia.

Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego to wszystko nagle wydaje się aż nazbyt realne, żartobliwa atmosfera się rozplywa, a mnie przejmuje chłód, ogarniają złe przeczucia. Ale dochodzę do wniosku, że ona ma rację. Zachowuję się niemądrze.

Więc zaplątam mocniej palec wokół jej palca i szepczę:

— Obiecuję, Jenno. Obiecuję, że zawsze po ciebie wrócę.

Zostały mi trzy dni.

Trzy dni, po których upływie ta obietnica okaże się kłamstwem.

## ROZDZIAŁ 7. DUMNY KROK BEZPAŃSKIEGO KOTA (HALEY)



Niespodzianka! Okazuje się, że poinformowanie studentów, że mogą patrzeć, ale nie dotykać, daje efekty w postaci świetnych napiwków.

To jak doprowadzanie na skraj orgazmu.

Z tą różnicą, że na koniec wieczoru ostateczna nagroda należy tylko do mnie. Wyciągam wtedy banknoty wepchnięte w stanik i wkładam trochę do wspólnego stoika na napiwki dla barmana oraz pozostałych kelnerek.

Moja przymierająca głodem artystyczna dusza nie każe mi unieść się dumą, jeśli to oznacza więcej forsy, żeby wyrwać się z tego miasta.

Tego ranka przeliczam banknoty podczas drugiego śniadania; układam je nominałami na wyspie kuchennej, postukując piętami o stółek barowy. Głównie mam jedno- i pięciodolarówki, kilka dziesięciodolarówek i dwudziestek oraz jednego bardzo hojnego benjamina. Myślałam, że to pomyłka, póki raczej miły, starszy facet powiedział mi, że nie, że mam to sobie zatrzymać, bo przypominam mu jego córkę.

Hm, mam nadzieję, że jednak nie.

Nikt nie powinien oglądać swojej córki z tyłkiem wystającym spod spódniczki wielkości znaczka pocztowego, jaką zakładam co wieczór do pracy.

Po pięciu wieczorach U Brody'ego mam czterysta dwadzieścia siedem dolarów z napiwków. Więcej niż wystarczająco, żebym przetrwała do pierwszej wypłaty.

Całkiem nieźle sobie radzę.

Pozwoli mi to utrzymać się bez problemu w Heart's Edge w okresie oszczędzania na ostatni wielki skok do Chicago. Za dwa tygodnie może nawet zacznę aplikować online o pracę, żebym miała jakieś perspektywy i umówione rozmowy, kiedy dotrę do Wietrznego Miasta.

Dzisiaj jednak chyba odrobinę zaszaleję i zafunduję sobie i Tarze jakąś małą przyjemność.

Mam dziś wolne. Wilma poinformowała mnie, że w środy ruch jest najmniejszy, więc powinnam ciut odpocząć i zobaczyć miasto. Chciałabym spędzić trochę czasu z siostrzenicą, zwłaszcza że wiem, co nieuchronnie się zbliża.

Niedługo będę musiała odejść ją do domu.

Może tu utknęłam, ale jej rodzice mniej więcej za tydzień wracają z Hawajów i wtedy Tara pojedzie do domu, stamtąd zaś na letni obóz, a potem wróci do szkoły. Zostawi mnie samą z moimi problemami.

Odrobinę przeraża mnie myśl, że na początku roku szkolnego wciąż mogę tkwić w Heart's Edge.

Wciąż w Heart's Edge. Wciąż na wpół sptukana. Wciąż tańcząca wokół cholernego Warrena Forda.

Nadal nie mogę uwierzyć, że upiłam się z nim w jacuzzi — i że był wtedy *nagi*.

Naprawdę sądził, że tego nie zauważę?

Potem położył mnie do łóżka. Nie jestem pewna, czy się cieszę, czy jestem zażenowana, że od tego czasu wyraźnie mnie unika.

No bo... kto chciałby gadać z dziewczyną, która zaczęła się mazać z powodu swojego byłego w towarzystwie cholernie seksownego, wytatuowanego, *nagiego* dryblasa?

Gdyby to była komedia romantyczna, patrzyłabym na tego cholernie seksownego, wytatuowanego dryblasa i zastanawiała nad wieloma, bardzo wieloma sposobami, jakimi mógłby mi pomóc zapomnieć o moim byłym, zanim moje życie potoczy się dalej i zapomnę o nich obu.

Zamiast tego usilnie się zastanawiam, jak go zapytać, czy powiedziałam coś naprawdę żenującego. Nie pamiętam wszystkiego, co się wydarzyło tego wieczora.

Pamiętam tylko, że Warren zaniósł mnie do środka i że był bardzo ciepły.

Jak wtedy, gdy opierasz się o rozgrzane słońcem drewno lub skórę, które są trochę za gorące, ale jednocześnie absolutnie idealne, a ty chcesz wchłonąć całe to ciepło. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że on może być taki cudowny.

Taki delikatny.

Tamtego wieczora był wobec mnie bardzo kochany. Położył mnie do łóżka, przyniósł ubranie, pozwolił zachować przyzwoitość i godność, dopilnował, żebym nie wstała rano na potwornym kacu.

Wciąż czuję wokół siebie jego ramiona, masywne i silne; dzięki niemu odnosiłam wrażenie, jakbym szybowała w powietrzu i odpytywała, i nie miało to *nic* wspólnego z piwem.

O Boże.

Nie mogę przecież pozwolić, żeby ten baran zaczął mi się podobać.

Czy mogę?

Zachował się tylko tak, jak nakazują względy przyzwoitości. Nic poza tym.

Zrobił to samo, co zrobiłby każdy z pijaną nieznajomą, wieszającą się mu na szyi.

To nic nie znaczy. To nie znaczy, że jesteśmy przyjaciółmi. A już na pewno nie znaczy, że nie jest kompletnym i skończonym kretynem.

— Ciociu Hay!

Przenikliwy głos Tary rozbrzmiewa w domku, wyrывая mnie z niemądrych rozważań.

Serce podchodzi mi do gardła i niemal wyskakuje na podłogę.

Nie pamiętam, kiedy się podnoszę.

Ledwie odnotowuję, że stołek prawie się przewraca. Wiem tylko, że jestem na nogach i wybiegam za drzwi tak, jakby moje stopy miały skrzydła.

Przerażenie zamienia krew w coś lurowatego i zimnego, gdy pędzę w kierunku wrzasków siostrzenicy.

— Tara?! Co się stało? Kotku, co się dzieje...

Urywam, widząc, że dziewczynka stoi na ganku od frontu.

Nic jej nie jest, uświadamiam sobie, omiatając szybko wzrokiem jej postać. Nie ma siniaków, nie ma krwi, nie jest nawet brudna, ale płacze i trzyma w rękach coś, co się porusza.

Nie wiem, czego się spodziewałam, ale na pewno nie tego, że będzie tulić ze wszystkich sił rudego kocura, podczas gdy on wydaje z siebie niezadowolone, głębokie *rrr*, które może oznaczać wszystko: od „nie czuję się zbyt dobrze” po „zaraz zdrapię ci skórę z twarzy i będę ją nosić jak kurtkę”.

Zatrzymuję się bez tchu, przyciskając ręce do piersi.

— Co się stało? Tara, co się dzieje?

Pociąga nosem, a potem wyciera twarz o futro Mozarta.

— Mozart jest ranny — mamrocze. — Znalazłam go i on utyka!

O Boże. Przyprawiła mnie niemal o zawal, jednak nic nie mogę poradzić na to, że mój niepokój obejmuje teraz również biednego kota.

— Daj mi go — mówię i wyciągam ręce. — Pozwól mi go obejrzeć.

Tara z ociąganiem przekazuje mi zwierzaka.

Jest niemal wielkości rysia, o wiele za duży na jej małe ręce, ale mnie udaje się ułożyć go odrobinę delikatnej. Martwi mnie, że kot mi na to pozwala...

Zawsze był raczej dumnym zwierzęciem; wchodził do domu, jakby to on w nim rządził i tylko łaskawie raczył nam, ludziom, zajmować jego przestrzeń. To, że dziś jest taki potulny, wydaje się niepokojące.

Dość szybko odkrywam przyczynę takiego stanu rzeczy. Sprawdzam mu łapy, a w międzyczasie mruczę do niego i drapię go po brzuchu.

Jedna jest zakrwawiona, jakby coś ją ugryzło.

Marszczę brwi i z bólem serca delikatnie próbuję ocenić uszkodzenie poduszeczki, podczas gdy kot wydaje zbolące, potwornie smutne, ciche miauknięcia i próbuje się ode mnie odsunąć.

— No chodź, kolego — szepczę, pieszcząc futro między szpiczastymi uszkami, czym nakłaniam go do uległości. — Chcę tylko zobaczyć, żebyś mogła ci pomóc.

— Czy... Czy ktoś mu zrobił krzywdę? — pyta Tara, zalewając się łzami.

— Ciociu Hay, kto mógłby zrobić coś takiego?

Czuję zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa, bo po prostu nie wiem.

Jakakolwiek jest przyczyna — człowiek, zwierzę, wypadek — nie wygląda to dobrze.

— Nie wiem, skarbie, ale w mieście musi być weterynarz. Możemy zapytać panią Wilnę, czy...

— Nie musicie pytać Wilny — odzywa się szorstki głos za moimi plecami. Warren.

Nie słyszałam go od kilku dni. Pojawia się tak nagle i niespodziewanie, że głęboki pomruk jego głosu przetacza się przeze mnie jak trzęsienie ziemi.

Odwracam się. Na wpół zaspany i rozczochrany, opiera się o drzwi. Nietrudno zauważyć, że spał w ubraniu. To tylko wzmacnia dręczące mnie wątpliwości dotyczące tego, kim on jest, co robi i jakich tajemnic pilnuje.

— Musimy coś zrobić — mówię przez zaciśnięte zęby. — Jest ranny i nie wiem, czy...

— Hay.

Przez chwilę patrzymy na siebie. Wzrokiem, który wyraża zbyt wiele.

Głównie jest to ta sama poważna prośba, tłąca się w głębinie jego niebieskich jak noc oczu.

*Zaufaj mi.*

*Zaufaj mi tym razem.*

*Zaufaj mi, że zajmę się nim tak samo, jak tamtego wieczora zająłem się tobą.*

Chcę to zrobić. Ale w tej chwili nie potrafię myśleć o kwestiach związanych z ufnością wobec tego człowieka gór, który jest jak trąba powietrzna.

Nie, kiedy w ramionach trzymam wielkie, miauczące dziecko, a Warren wychodzi na ganek i zakłada buty.

— Znam odpowiedniego człowieka. Weź koc, zawiń kota i jedziemy.

\*\*\*

I ZNÓW WARREN PRZYCHODZI mi na ratunek.

No może tym razem, technicznie rzecz biorąc, przychodzi na ratunek Mozartowi, ale znów mam okazję zobaczyć go z innej strony.

Po jeździe przez miasto na złamanie karku — z Tarą wciśniętą między nami na przednim siedzeniu jego pikapa i Mozartem na jej kolanach,

zawiniętym jak niemowlę w becik — Warren bierze od niej delikatnie kota.

Patrzę, jak układa sobie futrzastą kulkę w zagięciu ręki, mrużąc coś kojąco pod nosem i drapiąc kota pod brodą, a potem otwiera łokciem drzwi prowadzące do niedużego, niepozornego budynku.

Nigdy bym się nie domyśliła, że to gabinet weterynarza — wciśnięty między delikatesy i nieczynny sklep obuwniczy z oknami zabitymi deskami.

Nad drzwiami nie ma żadnej tabliczki. Żadnych naklejek na oknach.

Żadnego znaku, wskazującego, gdzie można awaryjnie zostawić zwierzę.

Ale w chwili, w której wchodzę do środka, uderza mnie ten ciepły zapach futra, który zdaje się zawsze roznosić w gabinetach weterynaryjnych, a z zaplecza słychać szczekanie, miauczenie i krakanie różnych zwierząt.

W poczekalni jest jeszcze tylko jedna osoba — chuda, starsza blondynka z golden retrieverem opierającym łeb na łapach i kołnierzem wstydu na karku.

Kobieta jedną ręką pisze esemes, a wokół drugiej ma owiniętą smycz.

Podnosi wzrok i uśmiecha się współczująco, gdy wpadamy do środka jak burza zbudowana z plątaniny ludzi i kota. Tara jest praktycznie przyklejona do nogi Warrena i nie odrywa wzroku od Mozarta.

Recepcjonistka zaczyna podnosić głowę z wesołym powitaniem na ustach.

Nie ma jednak okazji się odezwać, bo Warren, nie podnosząc wzroku znad kota, którego tuli do siebie, krzyczy głośno:

— Doc! Chodź tu natychmiast.

— Widzę, że komuś znów się pomyliła hierarchia. — Z tylnej części kliniki odzywa się kpiący, chłodny, przytłumiony męski głos.

Chwilę później pojawia się jego właściciel — wysoki mężczyzna charakteryzujący się elegancją, która wydaje się kompletnie nie na miejscu w miasteczku tak przyziemnym, jak Heart's Edge. Ciemnowłosy, dziwnie wyrzeźbiony, ostry i prosty jak skalpel w swoim fartuchu lekarskim.

Poprawia okulary. Jego zielone oczy błyszczą. „Doc” opiera się o blat i zerkna na Mozarta, po czym wzdycha i zaciska usta w wąską linijkę.

— Znowu, Warren? To chyba już trzydzieste z dziewięciu żyć tego kota. Zanieś go do gabinetu, tam go lepiej obejrzę.

Warren zaczyna iść za recepcję, ale nagle zatrzymuje się i patrzy na Tarę, która uczepiła się go jak rzep.

— Hej — mówi łagodnie, pochylając się do niej — daj Mozartowi buziaka na szczęście.

Tara kiwa poważnie głową, a potem nachyla się i przyciska wargi do puszystego czółka Mozarta. Kot wygląda na absolutnie poirytowanego, a tymczasem łagodny uśmiech Warrena wyraża aprobatę. Kiwa głową do mojej siostrzenicy.

— No to idziemy. Teraz już wiemy, że nic mu nie będzie.

Potem prostuje się i patrzy na mnie, a do mnie dociera, że za długo się w niego wpatrywałam.

Gapiałam się z cholernym zdumieniem, starając się domyślić, kogo, u licha, mam przed sobą i dlaczego jest on łudząco podobny do Warrena Forda, pajaca do kwadratu.

Moje nogi nie chcą się poruszyć. Są jak skamieniałe na środku pomieszczenia, unieruchomione między strachem o kota i tym dziwnie poruszającym, wspaniałym uczuciem w piersi, które pojawia się, gdy patrzę na tego

„drugiego” Warrena.

Na to, jak delikatnie obchodzi się z kotem.

Jak delikatnie obchodzi się z moją *siostrzenicą* i jak słodko się do niej uśmiecha.

I jak kiwając stanowczo głową, posyła mi ten sam uśmiech, który zapiera mi dech w piersi. Jego gęste, ciemne włosy są wciąż potargane w ten chłopięcy sposób i wpadają do porażająco niebieskich oczu, przestaniając je tak, że człowiek ma wrażenie, że ktoś wykroił dwa kawałki nocnego nieba.

— Nie martw się — mówi. — Doc jest najlepszy w stanie, nawet jeśli jest... trochę dziwny. Szybko postawi Mozarta na nogi. Zaczekaj tu.

— No tak — mruczę wciąż oszołomiona. — Dzięki.

Potem się otrząsam i sięgam po dłoń Tary.

— Chodź, skarbie. Zaczekajmy, aż doktor zajmie się Mozartem. Wygląda na to, że ma w tym wprawę.

— Nie ma pani pojęcia — odpowiada weterynarz cierpko, ale mimo wszystkich dziwactw jego dłonie są delikatne, gdy wsuwa je pod pyszczek Mozarta. — Z tym małym draniem łączy mnie wyjątkowa więź.

Tara chichocze, kiedy doktor podnosi wzrok i puszcza do niej oko.

To poprawia mi samopoczucie. Patrzę, jak mężczyźni znikają z kotem w gabinecie.

Tara też wydaje się trochę spokojniejsza. Co oczywiście nie powstrzymuje jej przed wdrapaniem się mi na kolana.

Ta mała dama ma *całe dziesięć lat*, kiedy chce zmanifestować swoją niezależność, ale kiedy potrzebuje pocieszenia i poczucia bezpieczeństwa, nagle znów staje się małą dziewczynką, która przytula się do mnie i przyciska twarz do mojej piersi.

Trzymam ją blisko siebie i gładzę po plecach, uspokajając nas obie.

To niemądre przywiązać się do kota w ciągu kilku dni, ale jak mogę ją winić? W pewnym sensie zamienił się w mój budzik, bo co rano skacze na szybę i dopomina się miauczeniem, żeby go wpuścić i nakarmić śniadaniem, którego jeszcze nawet nie zdążyłam przygotować.

Szczerze mówiąc, jest trochę uciążliwy, ale jest *naszym* utrapieniem.

Podobnie jak ten palant z drugiej części domku.

Boże.

Nie ma mowy, żebym zakochała się w tym kretynie.

A już na pewno nie dlatego, że dobrze traktuje kota i dziecko.

To najstarszy trik świata. *Ja i Warren Ford?*

To się nigdy, przenigdy nie wydarzy.

\*\*\*

MAM WRAŻENIE, że czekamy całą wieczność.

A kiedy Warren w końcu wychodzi z gabinetu sam, z twarzą pociemniałą i wzburzoną od furii, czuję, że robi mi się niedobrze z przerażenia *najgorszego* rodzaju.

Tara podskakuje na moich kolanach i podnosi na niego wzrok, a potem jęczy, wzdryga się i pochyła głowę, zerkając na niego rozszerzonymi, wypełnionymi lękiem oczami.

— Warren? — pytam z wahaniem, gdy idzie do nas przez poczekalnię.

— Co się stało? Czy... z Mozartem wszystko w porządku?

Zatrzymuje się gwałtownie i mruga, jakby nie do końca zrozumiał moje słowa, a potem wzdycha i opuszcza swoją masywną postać na sąsiednie krzesło. Jest czystą masą potężnych, zbitych mięśni, gdy tak pochyła się i opiera łokciami o kolana.

— Tak — odpowiada, przesuwając dłonią po twarzy. — Nic mu nie będzie. Doc zakłada mu teraz szwy. Najbardziej ucierpi na tym jego duma, bo będzie musiał przez tydzień nosić kołnierz. Przez jakiś czas zamieni się w kota domowego, trzeba dopilnować jego rekonwalescencji.

— Nie szkodzi — mówię szybko. — Zajmiemy się nim, prawda?

Tara kiwa z entuzjazmem głową.

— Przygotuję mu postanie, będę dawać tabletki i wszystko!



Głos Tary najwyraźniej wyrywa Warrena z rozmyślań. Posyła jej znużony uśmiech.

— Będzie zachwycony. Chłopak już zachowuje się jak król.

Marszczę brwi.

— W takim razie... dlaczego jesteś taki wściekły, skoro z Mozartem wszystko w porządku?

— Nie jestem. — Chce zakląć, ale się powstrzymuje, zerkając na Tarę.

— To nic takiego. Wygląda na to, że wpadł w sidła. A w granicach Heart's Edge nie wolno polować, do diaska. Wszystkie lasy wokół miasteczka są obszarem chronionym. Ludzie, którzy robią tu takie rzeczy, nie tylko łamią prawo.

Mogą w ten sposób wyrządzić krzywdę innym ludziom, dzieciom, zwierzętom domowym. Szczerze mówiąc, wkurza mnie to. A jeśli stawiają sidła na ziemi babci...

Krzywię się.

— Może nagrała ich jakaś kamera?

Posyła mi zmęczone, rozbawione spojrzenie.

— Nie jesteśmy tu aż tak nowocześni, kotuś.

Wszyscy podnosimy wzrok jak jeden mąż, gdy weterynarz wychodzi z gabinetu z Mozartem na rękach. Kocur jest ewidentnie oszołomiony jakimiś lekami, ospały i powolny, z zaszklonymi oczami.

Ma częściowo rozchylony pyszczek, ale zakrwawiona łapka jest czysta i porządnie zabandażowana. Szyję opina mu mały kołnierz. Tara się zrywa, bo chce do niego pobiec, ale nagle zatrzymuje się i cofa, patrząc z lękiem na zbliżającego się lekarza.

— Mogę... Czy mogę go wziąć na ręce, doktorze? — szepcze. — Czy to go będzie bolało?

Weterynarz patrzy na nią, a jego spojrzenie łagodnieje. Przykłęka na jedno kolano.

— Proszę — mówi, ostrożnie kładąc kota na ręce Tary. — O tak. Jak dzidziusia. Nie pozwól, żeby ci spadł, ale nie trzymaj go też za mocno. Daj mu oddychać.

Oczy Tary zachodzą łzami, gdy kiwa z drżeniem głową i zagryza wargi.

Przekłada Mozarta na zgięcie w łokciu.

— Lepiej — szepcze doktor, a jego cicha serdeczność zamienia się w niewyraźny uśmiech.

— Naprawdę nic mu nie będzie? — pyta znów Tara.

— Na najprawdziwszą prawdę. Zapewniam cię, że za jakieś dwa tygodnie będzie zdrow jak ryba — oświadcza, wciąż z bladym uśmiechem na twarzy.

Ta wiadomość sprawia tylko, że Tara zaczyna zawodzić, tuląc mocniej do siebie Mozarta. Kot wierci się z niewyraźnym mručeniem.

— W przyszłym tygodniu wracam do domu... Ja nie chcę! — szlocha Tara. Nagle oboje z Warrenem jesteśmy przy niej, klękamy po obu jej stronach, wyciągając do niej ręce, żeby ją pocieszyć.

Niemal się zderzamy. Mrugam. Patrzymy sobie w oczy nad głową mojej siostrzenicy, zanim kolejne pociąganie nosem i szloch Tary przyciągają nas do niej.

— No już, mała — odzywa się Warren. — Od dawna opiekuję się Mozartem. Nie masz się czym martwić. To mój kolega i nawet gdy wyjeżdżam, zawsze sobie radzi. Obiecuję ci, że nic mu nie będzie. Razem z twoją ciocią dobrze się nim zajmujemy.

— Będę wysyłać ci zdjęcia — dodaję i przytulam ją, aż zamieniamy się w płataninę mnie, małej dziewczynki i oszołomionego, zdezorientowanego kota. — Będzie w najlepszych rękach.

— Mhm. — Z nadąsanym pomrukiem Tara zanurza twarz w futrze kota i mocno się do mnie przytula. — Nie chcę wracać do domu.

Porusza mnie nagle ta niespodziewana świadomość. Szalone pragnienie Tary, żeby zostać.

Ja też nie chcę wyjeżdżać, nawet jeśli w tej chwili i tak nie za bardzo mam wybór. Utknęłam tu, ale teraz widzę powód, żeby zostać trochę dłużej.

Może tego właśnie potrzebuję.

Naprawdę nic innego tu dla mnie nie ma. Heart's Edge jak dotąd serwowało mi wyłącznie kłopoty.

Moje spojrzenie wędruje jednak do Warrena, który patrzy na naszą trójkę i posyła nam ten swój niewyraźny, tajemniczy uśmiech. Bardzo przypominający uśmiech weterynarza, ale choć doktor jest naprawdę przystojnym mężczyzną, nie może się równać temu krzepkiemu, głośnemu twardzielowi z gór.

*Nic tu nie ma, powiedziałam. A może jest?*

\*\*\*

DROGA POWROTNA do Uroczyska przebiega w ciszy. W pewnym sensie.

W takiej ciszy, jaka jest w ogóle możliwa w obecności Tary, kiedy na przemian cicho śpiewa Mozartowi do snu i patrzy na Warrena lśnącymi, pełnymi uwielbienia oczami.

Chyba znalazła sobie nowego bohatera.

Znów mu dziękuję za uratowanie kota.

Szczerze mówiąc, równie dobrze mogłoby mnie tu nie być, służę tylko za wsparcie moralne. Ale cieszę się, że mały, rdzawy futrzak wyzdrowieje.

Gdyby Warrena z nami nie było, pewnie sama zaczęłabym płakać razem z Tarą.

Małe stworzenia mnie wzruszają, okej? Moja siostrzenica. Słodkie, puchate zwierzątka. Typowe.

Nie potrafię natomiast podejść z czułością do wielkiego stworzenia za kierownicą pikapa.

Do stworzenia, które jest umięśnione, głośne, tajemnicze i wytatuowane.

Do stworzenia, do mężczyzny, do huraganu, którym jest Warren Ford.

Nie tylko wzrok Tary wędruje ku niemu. Mój również, ale z zupełnie innych powodów.

Obserwuję Warrena w drodze powrotnej.

Wydaje się zatroskany, zamyślony, kompletnie wyczerpany. Może wcale mnie nie unikał. Może był po prostu zajęty?

Zajęty swoimi dziwnymi, ale jakże ważnymi sprawami.

W dalszym ciągu nie wiem, co o nim myśleć. Kiedy już mi się wydaje, że go rozgryżłam, zaczyna pocieszać Tarę, reagując równie instynktownie co ja, choć ona nie jest przecież z nim spokrewniona.

Mam niemal wrażenie, jakby został stworzony w tak dużym rozmiarze, żeby pomieścić wyjątkowo duże serce. Ale musi chować je pod kolczastą warstwę maski palanta, żeby nikt nie był w stanie się do niego dostać.

Wciąż nad tym rozmyślam, gdy dojeżdżamy do zajazdu i naszego bliźniaka.

Jakoś udaje mi się pomóc Tarze wysiąść tak, żeby nie potrzebowała wypuszczać kota z rąk. Będę musiała pojechać później do miasta i wykupić dla niego lekarstwa i specjalną karmę, którą zalecił weterynarz.

To pochłonie sporą część moich napiwków, ale nie obchodzi mnie to.

Mogę sobie na to pozwolić, jeśli dzięki temu Mozart szybciej wyzdrowieje. Biedak jest tak wymęczony i zagubiony, że na jego widok boli mnie serce. Nie potrafię się powstrzymać i muskam go nosem, po czym wyganiaj Tarę do domku.

— Idź go położyć, kochanie — mówię. — Pamiętaj, żeby delikatnie postawić go na podłodze i nie pozwolić mu za dużo chodzić. Przez cały dzień będzie zamroczony i może zrobić sobie krzywdę.

Tara kiwa stanowczo głową tak, że podskakują jej warkoczyki.

— Jasne! — mówi pewnym głosem i maszeruje w stronę ganku ze swoim cennym pakunkiem. Nagle zatrzymuje się i rzuca Warrenowi nieśmiałe spojrzenie. — Jeszcze raz panu dziękuję — dodaje układowie, lecz niemal szeptem. — Mozart też mówi: „Dziękuję”.

Warren wygląda na skrępowanego — przeczesuje masywną dłońią włosy, ale potem się uśmiecha.

— Żaden problem, mała damo.

Tara tylko uśmiecha się do niego promiennie, wchodzi po schodach i znika w środku.

Cholera, nie zamknęłyśmy drzwi na klucz, bo tak się spieszyłyśmy, żeby pomóc kotu. *Uch.*

Moje myśli wracają do incydentu z piórami. Sprawa prześladowcy ucichła, ale muszę bardziej uważać. Tak czy inaczej nie pozwolę, żeby to zepsuło nasze dzisiejsze małe zwycięstwo.

Parskam więc cichym, smutnym śmiechem, który zamienia się w westchnienie i zaciskam sobie dłoń na karku.

— Przyłączam się do Tary. Dziękuję, Warren. Sama w życiu bym nie znalazła weterynarza. — Urywam. — O cholera. Właśnie sobie uświadomiłam... że nie zapłaciliśmy...

— Na koszt firmy — mruczy Warren. — Doc jest moim starym znajomym. Ma u mnie dług wdzięczności.

Jego głos wydaje się odległy, a Warren spogląda nad moją głową tak, jakby starał się na mnie nie patrzeć.

Pozwala mi zachować twarz.

Boże.

Powinnam powstrzymać swój niemądry język i nagłe, przyspieszone bicie serca. Ale chyba jestem w stanie zająć się tylko jedną z tych rzeczy naraz.

Posyłając mu jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie, spuszczam wzrok i drapię się w pierś, w której czuję tępy ból.

*To tylko przystuga. Dla zwierzęcia. Nawet nie dla ciebie.*

*A zatem...*

To tylko zwykły palant, znów sobie powtarzam.

To nie ma żadnego znaczenia. To się w ogóle nie liczy.

Nie dam się wkręcić w żadne absurdalne zauroczenie burkliwym góralem z powodu dwóch cholernych przystug... prawda?

— Posłuchaj, po prostu przez jakiś czas bądź ostrożna — mówi szorstko, jakby dostrzegał gwiazdy w moich oczach. — Przejdę się po posesji.

Sprawdzę, czy nie ma gdzieś jeszcze tych cholernych sideł. Nie mogę dopuścić do tego, żeby któraś z was nadepnęła na wnyki i zrobiła sobie krzywdę.

Najbliższa klinika znajduje się prawie pięćdziesiąt kilometrów stąd, a doktor nie przyjeżdża na wizyty domowe.

— Wizyty domowe? Dla ludzi czy...?

Warren patrzy na mnie, wytrzeszczając przez chwilę oczy, a potem kręci gwałtownie głową.

— Zapomnij o tym, co powiedziałem. Kiepski żart.

*Naprawdę? Mam co do tego wątpliwości, ale wiem, kiedy lepiej odpuścić.*

O cokolwiek chodzi z tym dziwnym, małomiasteczkowym weterynarzem, to nie jest pora.

Uśmiecham się słabo.

— To był długi dzień. I mam wrażenie, że zawsze się o nas troszczysz.

Wiesz, że to doceniamy. Ja, Tara... Mozart.

Niemal się wzdryga, choć nie wiem dlaczego.

— Warren?

— No tak... — Wzrusza ramionami, barki ma spięte. — Jeszcze nie jest po wszystkim. Jeśli przytapię kogokolwiek na rozstawianiu sideł na terenie zajazdu, cholernie drogo go to będzie kosztowało. — Odwraca się, unosząc dłoń w geście, który nie do końca jest machaniem na pożegnanie.

Raczej zbywaniem tematu. — Muszę lecieć, Hay. Daj znać, jeśli będziesz jeszcze czegoś potrzebowała dla Mozarta.

Dla Mozarta.

Cudownie.

Czy naprawdę mnie zabolalo, że bardziej mu zależy na kocie niż na mnie?

*Tobą też się zaopiekował, przypominam sobie.*

Tak było, do cholery. Stoję i odprowadzam go wzrokiem ze słowem „dziękuję”, które zamarło mi na ustach i nie chce się z nich wydobyć.

Nie jestem nieśmiała. Naprawdę. Nigdy nie miałam problemu z tym, żeby wyrażać własne zdanie.

A mimo to przy Warrenie wszystko mi się płacze tak, że nie jestem w stanie rozsuwać własnych myśli, uczuć i słów, żeby wiedzieć, co mu powiedzieć.

Jeśli w ogóle jest co mówić.

Bo teraz, chyba po raz tysięczny powtarzam sobie brutalną prawdę.

Jesteśmy dla siebie nikim.

Nie jesteśmy przyjaciółmi. Nie jesteśmy kochankami. Nie jesteśmy nawet na dłuższą metę sąsiadami.

Jesteśmy dwojgiem ludzi zagubionych w ruinach własnego życia. To nie jest miłość ani nienawiść, ani nawet głupie, desperackie zauroczenie.

To czyste urojenie.

\*\*\*

JEDNAK UROJENIE WCALE nie oznacza, że nie mogę wyrazić swojej wdzięczności.

A podobno czyny przemawiają głośniejsz niż słowa.

Z tego właśnie powodu wieczorem, po tym, jak udaje mi się w pełni opanować ostatni wybuch płaczu Tary — efekt pomieszania stresu i ulgi —

a ona tuli kota tak, że niemal widzę w oczach pacjenta wytrwałość, próbuję.

Stoję na progu domku Warrena. Pukam. Nie powinnam być aż tak zdenerwowana, ale...

Żadnych ale.

Próbuję tylko powiedzieć „dziękuję” na swój własny sposób, a lepiej wychodzi mi pokazywanie tego niż wyrażanie słowami. Nic poza tym.

Nic poza tym, że naprawdę nie lubię odpuszczać wyzwania.

Jednak wciąż jestem żalosnym kłębkiem nerwów i nierównego oddechu.

Jezu, muszę wyglądać dziwnie, kiedy tu stoję, wierząc się niespokojnie, nabieram powietrza krótkimi, płytkimi wdechami i ściskam w rękach torbę prezentową. Może dlatego Warren patrzy na mnie takimi dziwnym wzrokiem, gdy podchodzi do drzwi i staje jak wryty.

To tylko krótka chwila wahania, kiedy patrzy na mnie przez szybkę, jakby się wahał, czy otworzyć, czy nie. Moje policzki zakwitają gorącem.

O rany.

Pewnie się zastanawia, czy znów jestem pijana. I nie mogę go za to winić.

Wciąż sama nie wierzę, że tak bardzo się wtedy zrobiłam i że musiał się mną zająć, nawet jeśli to było z jego strony przeziębienie. To druga rzecz, za którą mu dziękuję.

Nawet jeśli za *nic* nie przyznam tego na głos.

Wolałabym nigdy więcej o tym nie wspominać.

Po kilku chwilach sceptycyzmu otwiera drzwi i opiera się jednym muskularnym przedramieniem o framugę, przeciągając swoje długie, jędrne ciało tak, że tworzy niemal wyrzeźbiony z mięśni łuk, a jego koszulka wyczynia różne obsceniczne — i mam na myśli *cholernie* obsceniczne —

rzeczy z jego klatką piersiową.

Wydaje mi się, że go *liże*. Czy koszulka może kogoś *lizać*?

— Potrzebujesz czegoś, Hay? — pyta leniwie.

Uch. Och. O raju.

Z wysiłkiem wracam spojrzeniem na jego twarz, biorę głęboki wdech i odnajduję w sobie odwagę.

Wciskam mu nagle torbę w pierś.

— Dziękuję! — rzucam jak zdenerwowane dziecko, a w sekundzie, w której udaje mu się ją złapać, gdy wytrzeszcza na mnie oczy i przytrzymuje ją niezdarnie masywnymi palcami, żeby nie spadła...

Uciekam.

Obracam się na pięcie i odbiegam, czmycham te kilka kroków do moich drzwi i zatraskuję je gwałtownie za sobą, po czym osuwam się wzdłuż nich na podłogę i modłę, żeby Warren nie poszedł za mną. Bolą mnie nogi. Jeszcze bardziej boli mnie serce, a głowa to czysty chaos.

Muszę oczyścić umysł. Nie pozwalać mu więcej błądzić myślami.

Bo nie mogę patrzeć na Warrena Forda w taki sposób. Ani w żaden inny.

To baran, pamiętasz?

Ja nie planuję zostawać tu na dobre, a on knuje coś podejrzanego.

A ja podobno skończyłam z podejrzanymi typami i nie mogę pozwolić sobie na to, żeby mnie w coś wplątał tylko dlatego, że kilka razy był dla mnie miły, a moja siostrzenica go uwielbia. Tylko dlatego, że wygląda jak małomiasteczkowy Samson, który trafił na ziemię, żeby mnie podniecać i wściekać.

*Tara nie jest jedyną osobą, która go uwielbia, szepcze we mnie jakiś paskudny, zdradziecki głos.*

— Zamknij się — syczę.

Tara zerka na mnie znad podłokietnika kanapy, na której siedzi z Mozartem.

— Ciociu? Z kim rozmawiasz?

Zamieram, a potem przyklejam na twarz nieco szalony uśmiech.

— Z nikim, skarbie — odpowiadam. — Twoja szurnięta ciotka rozmawia sama ze sobą.

Marszczę nos. *Wiesz, że jest źle, kiedy przez faceta zaczynasz mówić o sobie w trzeciej osobie.*

Wyrzucając Warrena z głowy, podnoszę się na nogi.

— Chodź, zdejmijmy Mozartowi na pięć minut to narzędzie tortur, żeby mógł zjeść.

## ROZDZIAŁ 8. ZAWRÓT GŁOWY (WARREN)



Czasem przez Haley West głowa boli mnie bardziej niż fiut.

Tych kilka dni, kiedy próbowałem wysledzić Bressa, który nagle wrzucił tryb incognito, było naprawdę zwariowanych. Wygląda na to, że nikt nie wie, gdzie on jest, co oznacza długie noce spędzone na czatach.

Przez połowę tego czasu koczuję przykucnięty między drzewami w pobliżu jego domu na odludziu, obserwując, jak wraca o drugiej lub trzeciej w nocy. Wsiada z samochodu z miną zbitego psa, poruszając się ze znużeniem, przez co zawsze wygląda tak, jakby potrzebował wsparcia przyjaciela, a nie pięści w twarz.

Między innymi w ten sposób zwodzi ludzi. Nikt nie oskarży weterana wojennego o tak zbolatym wyrazie twarzy o to, że jest przyczyną napływu twardych narkotyków do Heart's Edge — straszliwa cena, którą trzeba zapłacić za nagły zastrzyk gotówki, ożywiający miejscową ekonomię.

Nie miałem zbyt wiele czasu na myślenie o Hay.

Cholera, nie pozwolę sobie na myślenie o Hay.

Bo jeśli będę o niej myślał, to będę się martwił.

Martwię się od *tamtęgo* wieczoru w jacuzzi. To wszystko nie jest w porządku.

To, że dziewczyna utknęła tu dlatego, że jakiś śmieć przegonił ją i odebrał okruchy dawnego życia. Nie powinna znaleźć się w tej sytuacji. I chociaż

jest cholernie odważna i uparta, martwię się, że stres związany z całą sytuacją doprowadzi ją do załamania. Ale to uboczny problem, na który nie mogę sobie teraz pozwolić. Aż do incydentu z Mozartem udało mi się o niej nie myśleć.

Tylko że teraz mam coś, co nieustannie mi o niej przypomina. Patrzy na mnie znad stolika kawowego, nad którym to powiesiłem.

Obraz.

Nie wiem, czego się spodziewałem, kiedy wcisnęła mi do rąk torbę i uciekła, ale na pewno nie tego.

Malowidło jest małe, o bokach nie dłuższych niż trzydzieści centymetrów, ale jest w nim cała ona.

Odważne, jaskrawe kolory w tonacji, którą uchwyciła czystą, świetlistą dzikość zachodu słońca nad górami w Heart's Edge. Nie wiem nawet, kiedy znalazła czas pomiędzy zmianami U Brody'ego a opiekowaniem się Tarą, żeby to dokończyć.

Nie da się zaprzeczyć, że jest cholernie dobra. Cudownie utalentowana.

I odważna na tyle, żeby nie cofnąć się przed wyzwaniem.

Robi też dobre ciasto kawowe. Biorę kolejny gryz drugiej części jej prezentu i opieram się wygodnie na kanapie, bębniąc palcami o kubek z kawą.

Nawet nie lubię słodczy, ale to jest w sam raz. Tak samo jak obraz, dzięki któremu całe wnętrze nabiera innego wyrazu.

*Ludzkiego.*

Czasami, od śmierci Jenny, wydaje mi się, że zapomniałem, co to znaczy — wszystkie te drobne przejawy człowieczeństwa, z których składa się życie, w opozycji do wojskowego niemal poczucia celu, nadawanego każdemu dniu.

Zakopałem to głęboko, tak że przestało mi być potrzebne. Mam wrażenie, że Haley wygrzebuje to z powrotem, odstawiając kilka rzeczy, które wolalbym pozostawić w ukryciu. Chcę ją za to znieubić.

Ale kiedy czytam po raz kolejny liścik, który mi zostawiła, „Teraz jesteśmy kwita”, potrafię się tylko uśmiechać.

*Złoźnica. Kokietka. Syrena.*

Chcę być wściekły na tę myśl, ale coraz trudniej jest złościć się na tę małą wiązkę energii, która wpadła jak burza do mojego życia i wywróciła je do góry nogami.

W tej chwili Hay jest znów na tylnym tarasie. Dostrzegam ją zza żaluzji.

Pracuje nad kolejnym płótnem, starając się uchwycić poranne słońce.

Ale dostrzegam też coś więcej. Ta dziewczyna lubi zakładać na siebie jak najmniej się da. Króciutkie szorty i poszarpana koszulka koszykarska odstawiają ponętne fragmenty ud i brzucha.

Kiedy tamtego wieczora zorientowałem się, jak bardzo się upiła i jak bardzo cierpi, jej ciało i moje libido zostały zepchnięte w najgłębszą czeluść umysłu. Dziś mimo woli zatrzymuję się nad tym, czując rozlewające się w dole brzucha ciepło.

*Kurwa, dziewczyna ma coś w sobie.*

Bywało, że kobiety wiły się błagalnie na moich kolanach i mniej to na mnie działało, niż widok Hay i najmniejszego skrawka jej jędrnego, płaskiego brzucha.

Lub ud ocierających się o siebie, gdy się porusza w poszukiwaniu odpowiedniej pozycji przy płótnie.

Pamiętam te uda, mokre i śliskie po kąpieli w jacuzzi. To byłoby coś pięknego — móc zobaczyć ich wewnętrzną część, ociekającą i skroploną jej własną...

*Niech cię szlag, Warren.*

*Skup się.*

Narażam nie tylko siebie, ale również Haley i Tarę na niebezpieczeństwo, pozwalając sobie na fantazjowanie o tej kobiecie. Nie mogę się przywiązywać. Nie mogę.

Nie w sytuacji, w której tym sposobem malowałbym jedynie tarczę na środku ślicznego czółka Hay.

\*\*\*

*WRACAM NA ŁOWY.*

Muszę nakierować umysł na właściwe tory, a dziś oznacza to Bressa.



Nie rozumiem, jak człowiek, który zajmuje się tym, czym się zajmuje, może żyć w takiej nieświadomości.

Niesamowite, ale nie zauważył, że jadę za nim przez miasto, nawet jeśli miałem na tyle dużo rozumu, żeby skręcić w równoległą ulicę tak, że jego samochód migał mi tylko raz na jakiś czas na skrzyżowaniach. Od dawna podejrzewałem, że nie wszystkie nocne wypadki Bressa muszą się wiązać z jego nielegalną działalnością, a dziś wieczorem przekonałem się, że miałem rację.

Bress ma kochankę.

Chcąc nie chcąc, przychodzi mi na myśl, że Jenna byłaby oburzona.

Robi mi się żal żony i dziecka Bressa. Noworodek, szczęśliwa młoda matka i ten śmieć, który wychodzi z domu, żeby spotykać się z kimś na boku po drugiej stronie miasta.

Wiem nawet z kim — z Felicity Randall. Ostatnia przedstawicielka tej rodziny w mieście, odkąd jej uzależniony od narkotyków ojciec w końcu wyciągnął kopyta, czyniąc ją jedyną właścicielką małej kawiarni i piekarni, które lada dzień też padną, skoro ona została z tym wszystkim sama.

Pewnie nie mogę winić jej za to, że zwróciła się do kogoś takiego jak Bress, jeśli może jej w jakikolwiek sposób pomóc. W trudnych czasach człowiek ucieka się do ostateczności.

Jego jednak mogę winić.

Winię go za wiele rzeczy.

Ale dziś po raz pierwszy od mojego powrotu widzę, że u niej był — z tego, co wiem — więc skoro Bress nie wyjeżdża nocą, żeby regularnie widywać się z inną kobietą...

To gdzie jeździ?

Między Heart's Edge i Missoulą jest kilkanaście miast satelickich, każde większe od poprzedniego, w których ten człowiek ma coraz większe wpływy, bo skupuje tam kolejne nieruchomości. Praktycznie wszędzie może mieć współpracowników, a rozpracowanie tej sieci zajmie sporo czasu.

Nie jestem nawet pewien, czy chcę to robić.

Są szybsze sposoby na to, żeby dopaść Bressa. Mógłbym zacząć od jego interesów, rozpracować je, przekazać właściwe dowody właściwym agencjom, a potem patrzeć, jak jego życie się wali, gdy wyrok więzienia spada na niego z impetem rozpędzonej ciężarówki.

Ale to podejście nie jest wystarczająco osobiste.

Nie jest wystarczające. Nie dla Jenny.

A dziś wygląda na to, że Bress nie ruszy się z domu Felicity. *Szlag by to trafił.*

Nie mogę tu dłużej zostać, bo ktoś może mnie zauważyć.

Heart's Edge to typowe małe miasteczko. Wszyscy widzą, co robią inni, i można być pewnym, że informacja o tym dotrze do głównego zainteresowanego, a wtedy, nim się obejrzą, będę miał Bressa na karku. Pytającego, czy jestem zazdrosny, czy nie mam własnego życia.

Zabawne, że kiedyś się *znaliśmy*.

A teraz zawsze udaje nam się jakoś uniknąć rozmowy, jak dwa statki mijające się nocą.

Tak jest lepiej.

Jeśli musiałbym stanąć z nim twarzą w twarz, ryzykowałbym wybuchem. Nie da się utrzymać w ryzach tego, co mógłbym mu zrobić, zwłaszcza uzbrojony.

Ale dziś stąd spadam.

Czas jechać do domu. Muszę spróbować porządnie się przespać w normalnym wymiarze godzin, bo inaczej ludzie też to zauważą.

Zorientują się, że nigdy nie można mnie spotkać, że przesypiam całe dnie i całymi nocami jeżdżę po okolicy jak jakiś podejrzan typ.

To delikatne balansowanie, próba śledzenia przestępcy tak, żeby samemu nie zostać za niego uznanym.

Więc dziś będę grzecznym chłopcem. Jadę do domu i wracam do Uroczyska akurat na czas, żeby wyłapać salwy śmiechu, dochodzące zza otwartych okien sąsiedniej części domku razem z kuszącymi zapachami kolacji.

Hay i Tara pewnie się wygłupiają w oczekiwaniu na jedzenie. Takie uczucie mogłoby towarzyszyć powrotom do domu, gdyby to był mój dom.

*Ale nie jest.*

Kierując się do swoich drzwi, ignoruję to, jak bardzo ciągnie mnie na drugą stronę bliźniaka. Nagle zauważam błysk rudego futra za szybą frontowych drzwi. Jęczę i przeciągam dłońią po twarzy.

*Naprawdę muszę? Tak.*

Chcę sprawdzić, jak się czuje ten cholerny kot. Mozart jest w Uroczysku prawdziwą instytucją i równie dobrze może być uznany za mojego kota, nawet jeśli chwilowo zaadoptował sobie Hay i dziewczynkę.

Tylko o to tu chodzi.

O pytanie o zdrowie kota.

Dlatego podchodzę do jej drzwi i pukam. Jasne.

Ale przynajmniej otwiera Tara. Nie wiem, co bym, u licha, powiedział Hay bez zacinania się przy tym jak głupek.

Z dzieckiem sobie poradzę. Ta mała to prawdziwy promyczek. Rozjaśnia się w uśmiechu na mój widok.

— Warren!

Zaraz potem łapie mnie za rękę i wciąga do środka, powtarzając raz za razem: „Chodź, zobacz” i „Mozart tęsknił za tobą” oraz kilka innych wesółych zdań. Przynajmniej się cieszy, co oznacza, że z kotem musi być wszystko w porządku.

Chwilę później mogę się o tym przekonać na własne oczy. Wygląda jedynie tak, jakby był maksymalnie upalony, nic poza tym.

Tara ciągnie mnie do małego postania, które dla niego przygotowała w rogu kanapy. Mozart leży na plecach, zwisając częściowo głową w dół.

Jego łapy drgają leniwie w powietrzu, wielkie, złote oczy są na wpół przymknięte, a ogon kołysze się ospale.

— Dobra robota, Taro. Dbasz, żeby szybko wrócił do zdrowia.

Kiedy patrzę z rozbawieniem na kota i wyciągam rękę, żeby podrapać go po brzuchu, z głębi domu wychodzi Hay, dziwnie zdenerwowana.

Na jej twarzy maluje się coś burzliwego, coś mrocznego i wściekłego, co ostrzega, że w każdej chwili może paść grom. Uderza mnie, że jej oczy sypią iskrami. Ledwie dostrzegam kawałek papieru w jej ręce.

Zatrzymuje się w progu salonu jak wryta i patrz na mnie.

— O? — mówi słabo. — Warren?

Co, u licha?

Jest w aż tak złym humorze? Nie odgryzie mi głowy za to, że ją nachodzę?

Coś jest wyraźnie nie tak.

Gryzę się w język i wzruszam ramionami.

— Tara mnie zaprosiła. — Raczej wciągnęła na siłę, ale pomijam tę część i patrzę na kota wierzącego się ospale pod moją dłoń. Całe jego ciało wibruje od ochryplego mrużenia. — Nie nosi już kołnierza?

Hay uśmiecha się blado.

— Odkryliśmy, że jeśli nafaszerujemy go kocimiętką, robi się zbyt leniwy, żeby chciało mu się gryźć bandaż albo szwy. Poza tym w ten sposób może jeść, kiedy jest głodny, zamiast czekać. — Gdy patrzę na nią niedowierzająco, rumieni się i mruży oczy. — No co? To działa.

— Nie skomentuję w żaden sposób faktu, że narkotyzujesz naszego kota

— odpowiadam kpiąco, otrzymując w zamian uśmiech.

— Wow. To pierwsza mądra rzecz, którą powiedziałeś, odkąd się poznaliśmy.

— Każdy ma w sobie potencjał Einsteina.

— Być może. — Hay jest przygaszona. Idzie na drugą stronę pokoju i wsuwa kartkę do notesu, a potem odwraca się z ciepłym uśmiechem do Tary. — Kochanie, idź umyć ręce przed kolacją.

— Dobrze! Ciociu Hay...? — Tara podnosi wzrok znad uszu Mozarta, którymi się bawi, i zrywa się na równe nogi. — Może Warren mógłby zostać?

Niech to.

Oboje z Hay musimy mieć tę samą minę z gatunku „o cholera”. Jej oczy są rozszerzone i przestraszone. Protestuję jako pierwszy.

— Nie, Taro, muszę iść, żeby...

— Proooszę — nalega Tara, złączając błagalnie ręce. — Przekonał swojego kolegę, żeby za darmo wyleczył Mozarta. Należy mu się od nas kolacja, prawda?

Trzeba to przyznać tej małej.

Jest dobra.

Wymieniamy z Hay żałosne spojrzenia nad głową Tary, po czym Haley wzrusza ramionami i szepcze bezgłośnie: „Głodny”?

„Jasne” — odpowiadam w ten sam sposób, zastanawiając się, dlaczego czuję się tak, jakbym przepraszał, a potem mierzwię włosy Tary.

— To co jest na kolację?

\*\*\*

GDYBY NIE TARA, to pewnie byłby najbardziej niezręczny posiłek wszechczasów.

Hay jest naprawdę przygaszona. Bez apetytu bawi się jedzeniem.

Ja jestem potwornie skrępowany. Czuję, że nie powinno mnie tu być i nawet jeśli nie wydaje mi się, żebym tym razem to ja ją zdenerwował...

założę się, że moja obecność tylko pogarsza sytuację.

Bez względu na to w czym, do cholery, rzecz.

Wiem jedno: jeśli ulegnę tej absurdalnej potrzebie, żeby wziąć ją w ramiona i przytulić tak mocno, aż się rozluźni i wyrzuci z siebie wszystko, co ją dręczy, to pewnie po prostu mnie dzieli.

Więc zamiast tego wdaję się ochoczo w rozmowę z Tarą, przy stekach z cebulką i karmelizowanymi główkami szparagów. Dziewczynka nawija jak najęta o rodzicach, którzy wyjechali bez niej na Hawaje.

O tym, że chciała zobaczyć wulkany i że to niesprawiedliwe.

O tym, że nie chce wracać do szkoły, ale trochę może chce, bo będą tam jej koleżanki, za którymi tęskni.

Rewanżuję się historią o tym, jak wędrowałem po Kalderze Yellowstone i o uśpionym wulkanie, dzięki któremu powstają gejzery i gorące źródła, z których słynie ta okolica.

Kiedy zauważam, że Hay wygląda na zainteresowaną i zerka na mnie kątem oka, dodaję kilka kolejnych szczegółów na temat krajobrazu. Dzięki temu Yellowstone zapada w pamięć.

Rozlewające się po całym niebie zachody słońca, skalne granie w kolorze ochry, poszarpane urwiska, niebo, które wygląda w całości jak miliard rozproszonych światełek, wyciągających do nas od wieków ręce.

Tego rodzaju wielkie pytania lubię.

Za wyjątkiem tych chwil, kiedy przypominają mi o Jennie. Kiedy zaczynam się zastanawiać, gdzie ona teraz jest, jeśli w ogóle jest.

Hay przekrzywia głowę, a potem mówi:

— Wybrałeś się... na wędrowkę? Nie wiem nawet, czym się zajmujesz, ale wiem, że nie jesteś typem człowieka, który rzuca pracę, żeby pojechać na wakacje pod namiotem.

— Praca, Hay. Dlatego tam pojechałem — mówię bez zastanowienia.

Rozmowa z Tarą za bardzo mnie zrelaksowała, za bardzo rozwiązała mi język. — Śledziłem zbiega.

Haley ściąga brwi.

— Zbiega?

Kurwa mać. Rozwiązała aż za bardzo.

Syczę pod nosem, zachowując przekleństwa cisnące się na język dla siebie, żeby nie dotarły do ciekawskich małych uszu, ale prawda wyszła na jaw.

— Miałem podejrzanego, który wyszedł za kaucją i uciekł, zanim do-szło do procesu. Musiałem go złapać i doprowadzić na miejsce.

Widzę trybiki obracające się za tymi słodkimi oczami oraz moment, gdy zaskakują. Hay wytrzeszcza oczy i wciąga z sykiem powietrze, wpatrując się we mnie.

— Moment. Jesteś łowcą nagród?

— Kto to jest łowca nagród? — wtrąca się Tara.

— To nic takiego, nie musisz wiedzieć, skarbie — odpowiada szybko Haley stanowczym głosem, a jej ostre spojrzenie mówi, żebym ja też lepiej nie oświecał dziewczynki.

Wzdycham i wzruszam ramionami.

— A nawet jeśli jestem, to co?

— To by wiele wyjaśniło. — Mruży oczy. — Więc zamiast poświęcać życie na przeganianie ludzi, ty po prostu spędzasz je, uganiając się za nimi?

To nie jest sposób na życie.

— Wiadomość z ostatniej chwili, kotuś: nie wszystkim chce się siedzieć w jednym miejscu przez dziesięć godzin z rzędu, żeby idealnie oddać kolor chmury.

Hay prycha, ale atmosfera nieco się rozluźnia, gdy odwraca wzrok.

— Błagam. Myślisz, że tak właśnie robię? Każdy, kto *potrzebuje* dziesięciu godzin, żeby uchwycić jeden odcień, albo nie jest zbyt dobrym malarzem... albo jest najlepszym na świecie, całkowicie oddanym sztuce.

— A którym z nich ty jesteś?

Wzrusza ramionami, a jej uśmiech blaknie.

— Beztalenciem, które mniej się przejmuje wiernością, a bardziej przekazywanymi uczuciami.

— Na pewno nie beztalenciem — mrużę, zastanawiając się, dlaczego w ogóle tak pomyślała. — Cholernie dobrze oddałaś atmosferę Heart's Edge.

Nie kłamie. Nie przesadzam. Wisi u mnie na ścianie, prawda? Ale tego jej nie mówię.

Zastanawiam się tylko, jak oddałaby uczucie ciężaru w mojej piersi lub to, co gra w jej własnej duszy, a co zdradza zaskoczone spojrzenie, które mi rzuca.

Nagle odwraca się z rumieńcem na twarzy, łagodniejąc. Poskromiony diabeł, zamieniony w coś słodkiego, milczącego i wdzięcznego za moje słowa.

\*\*\*

POZOSTAŁA CZĘŚĆ KOLACJI przebiega spokojnie. W mniejszym napięciu.

Nie czuję się tak, jakbym nadużywał gościnności, ale stwierdzam, że może powinienem dać Hay odrobinę prywatności. Coś ją ewidentnie dręczy.

Odrzuca moją ofertę umycia naczyń w ramach zapłaty za kolację.

— Już zapłaciłeś darmową opieką weterynaryjną, pamiętasz? — zauważa z tym samym bladym, zatroskanym uśmiechem.

Ja pierdolę.

Nie mogę tak po prostu wyjść, kiedy ona wygląda na tak nieszczęśliwą.

— To Doc opatrzył Mozarta, nie ja — mówię i zaczynam zbierać brudne talerze. — Więc będziesz musiała przygotować jeszcze jedną gratisową kolację. Ja byłem tylko piątym kołem u wozu. A skoro o tym mowa... Jak twój samochód?

— Na chodzie. Póki co — odpowiada, idąc za mną do kuchni z garścią sztućców. — Stewart mówi, że jeśli dalej będę nim jeździć, to znów nawali.

A wtedy siostra mnie zabije.

Z jakiegoś powodu imię Stewarta na jej ustach sprawia, że cały się najeżam. Siłą woli uspokajam się i ostrożnie odkładam stos naczyń w zlewie, a potem

odkręcam wodę.

— Dlaczego w ogóle jeździsz samochodem siostry?

— Nie mam własnego — mówi. Pracujemy ramię w ramię, jakby to było najzwyklej naturalne. Ona nalewa płynu do naczyń, ja podkradam jej sztućce i wrzucam do szybko napełniającego się garnka, żeby się na-moczyły.

— Mieszkałam w Seattle. Funkcjonuje tam jeden z najlepszych systemów komunikacji publicznej na świecie. A parkowanie jest wszędzie absurdalnie drogie. — Krzywi gorzko usta. — Jeśli musiałam szybko gdzieś dojechać, brałam samochód Eddy'ego albo korzystałam z podwózki.

— Pieprzony narzeczony Eddy? — mówię to, zanim udaje mi się pohamować.

— Były narzeczony — rzuca.

Unoszę pełną piany rękę w geście poddania.

— Były. Cholerna racja.

— No. — Zerka subtelnie nad ramieniem na notes, następnie parska i kradnie kran, przekręcając go na swoją stronę, a potem odkręca zimną wodę.

— Ty myjesz, ja wycieram?

— Umowa stoi. — Biorę gąbkę i zaczynam szorować talerze, ale mimowolnie podążam za jej ukradkowym spojrzeniem. — Odzywał się do ciebie ostatnio?

Zapada długa chwila ciszy.

— *Napisał* do mnie — rzuca, gotując się z wściekłości. Mam lekkie obawy, że przełamie na pół następny talerz, który jej podam, bo tak mocno zaciska dłonie. — Jakby mail czy esemes nie wystarczyły.

— Możesz je wykasować bez czytania. Zablokować adres mailowy i numer telefonu — mówię. — Nie możesz zablokować kartki papieru.

— Nie wiem nawet, jak się dowiedział, że tu jesteśmy. Moja siostra nic mu nie powiedziała. Ale to cały Eddy. Podstępny. I żyjący w błogiej nie-

świadomości. Skoro nie odbieram od niego telefonów ani nie czytam maili, to mógłby mieć na tyle przyzwoitości, żeby zrozumieć aluzję... ale proszę chyba o zbyt wiele. Zamiast tego zmusza mnie do czytania swoich wypocin!

— wybuchają Hay. — Żałuję, że po prostu nie podarłam tego listu.

Zerkam nad ramieniem na Tarę, ale jest zajęta. Ogląda coś w telewizji i tuli do siebie Mozarta, opierając policzek na jego boku. Jednak staram się mówić jak najciszej, gdy pytam:

— Chcesz mi opowiedzieć, co napisał?

Patrzy na mnie nieufnie i wzdycha.

— A co zawsze mówią niewierne gnidy, kiedy sobie uświadomią, że przez własną głupotę stracili to, co mieli najlepszego w życiu?

— Nie mam pojęcia.

Naprawdę.

Bo jeśli kobieta taka jak Hay opuszcza gardę i wygładza swoje kolce, żeby mnie do siebie dopuścić, wówczas to, co wydarzyło się z Eddym Zjebem, musiało być tragiczne.

Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, że można aż tak bardzo coś spieprzyć.

Nie w sposób, w jaki ten kretyn zrobił to w stosunku do niej.

— Może w dużym skrócie? — Pociera papierowym ręcznikiem talerz tak, że naczynie aż błyszczy. — Jest mu przykro, czy może tutaj przyjechać, chce mnie tylko wyrwać z tej zapadłej dziury i... wszystko naprawić.

*Idiota.*

Marszczę czoło.

— Skąd miał twój adres?

— Och, teraz będzie *najlepsze* — rzuca z gorzkim, sardonicznym uśmiechem.

— On pracuje w moim banku. Czyż nie była z nas fantastyczna para?

Specjalista do spraw pożyczek i rzeczoznawca ubezpieczeniowy.

— W reality show ty byłabyś przymierającą głodem, ale wyrefinowaną artystką. A on lichwiarzem. — Marszczę brwi, nagle zaniepokojony. —

Zaraz. Sprawdził twoje transakcje z karty debetowej, żeby się dowiedzieć, gdzie jesteś?

— *Tak.*

— To jest, kurwa, nielegalne, Hay. Mało mnie obchodzi, że on pracuje w banku i ma dostęp do takich informacji. To, że *może* je sprawdzić, wcale nie oznacza, że mu *wolno*. To prześladowanie, i gnój powinien zostać zgłoszony na policję.

Hay rzuca mi ten swój hardy, zbolaty uśmiech, na którego widok mam ochotę ją przytulić, zanim się załamie.

— Ile byś policzył za odtransportowanie go stąd, panie łowco Nagród?

— Tobie? — Szturcham jej rękę łokciem i zabieram się za następny talerz. — Nic. Mam wakacyjną promocję na durniów, którzy dopuszczają się zdrady.

— Bardzo hojnie z twojej strony. — W jej głosie słychać lekkie rozbawienie, potem Hay milknie. Myjemy wspólne kilka kolejnych talerzy i w końcu mruczy: — Przepraszam za to, co wcześniej. Po prostu byłam zaskoczona.

— Tak?

— No chodzi mi o to... czym się zajmujesz. Nie wiem. Próbowatałm się wcześniej domyślić. Rozwazałam wszystkie te dziwne zawody jak: prywatny detektyw, policjant działający pod przykrywką, może nawet jakaś tajna operacja albo CIA. Mówiłeś, że byłeś rangersem. — Wzrusza jednym ramieniem. — Łowca głów brzmi nieco mniej stylowo i szlachetnie.

— Ej, musisz wiedzieć, że jestem niezwykle stylowy, a szlachetności mam na pęczki.

Parska cichym, pełnym zaskoczenia śmiechem i kręci głową.

— No bo wiesz, jak o tym myślę, przychodzi mi od razu do głowy *Dog, łowca bandytów* i wszystkie te telewizyjne bzdury, przez które ta praca wydaje się szemrana. Choć tak naprawdę robisz coś dobrego. Odszukujesz ludzi, którzy uciekają przed prawem, dzięki czemu policja ma trochę mniej pracy, bo podajesz im przestępców na tacy. — Unosi głowę i patrzy na mnie czystymi, ciepłymi, zielonymi oczami. — No więc... wiesz. Przepraszam, jeśli sobie pomyślałeś, że się przestraszyłam lub coś w tym stylu.

— Wydaje mi się, że trzeba czegoś więcej niż jeden łowca nagród, żeby cię przestraszyć, Haley.

Kąciki jej ust drgają.

— To zabrzmiało niemal jak komplement.

— I może nim było. — Śmieję się i zanurzam ręce po noże i widelce.

— Chodź, skończmy te naczynia, żebyś mogła położyć Tarę do łóżka.

Hay wydaje tylko cichy pomruk. Zgody.

A ja się zastanawiam, co, u licha, znów wyczyniam, zachowując się tak, jakbym był częścią tej dziwnej małej rodziny.



## ROZDZIAŁ 9. NIE TAŃCZĘ (HALEY)



**N**ie wiem, dlaczego nie podarłam tego listu na kawałki.

Nie podarłam, nie podpaliłam, a potem nie spuściłam spalonych resztek w toalecie.

Siedzę na kanapie, ponownie czytając pomięte strony w porannym świetle. Tara jeszcze śpi, męczą ją ciągle przenosiny między naszym bliźniakiem a domem Wilmy.

*Biedna mała.* Próbuje funkcjonować w tych samych godzinach co ja, żeby spędzać ze mną więcej czasu.

Czuję się winna, ale muszę patrzeć na to jak na pracę zarobkową, zapewnienie nam dachu nad głową i pełnej lodówki, nawet jeśli Wilma podarowała nam płacenie czynszu. Muszę udawać, że jestem odpowiedzialną dorosłą osobą do czasu, kiedy Tara będzie musiała wrócić do domu, do Marie i Johna.

W głębi serca wiem, że gdybym naprawdę chciała, mogłabym jechać z nią.

Moja siostra nie robiłaby mi problemów, gdybym została u niej przez jakiś czas, ale...

Byłoby coś między nami. Coś twardego, nieprzyjemnego i niewłaściwego.

Czułabym się jak nieudacznik, a ona, choć nie zamierzałaby mnie oceniać, to jednak by to robiła.

Kocham siostrę, ale życie z naszym ojcem odbiło się na nas w różny sposób. Obie uznajemy, że nasze problemy należą do nas i do nikogo więcej.

Wolimy na nikim nie polegać, być kompletnie samowystarczalne.

Ale lubię myśleć, że sama pomogłabym człowiekowi w potrzebie. Marie jest raczej typem osoby, która uważa, że każdy powinien radzić sobie sam.

Nie mogę się na nią o to złościć ani uważać, że jest z nią coś nie tak.

W bardzo młodym wieku musiałyśmy nauczyć się ukrywać, znikać, być cicho podczas pijackich wybuchów ojca. Czasem życie było tak przerażające, że jedyne, co dało się zrobić, to uciec i w ogóle się nie oglądać.

Nawet na własną siostrę, którą zostawiałam z *nadzieją*, że sama sobie jakoś poradzi.

Tak wygląda nasza relacja przez całe dorosłe życie.

Życzymy sobie jak najlepiej, ale nigdy nie wyciągamy do siebie ręki.

Tak bardzo przywykłyśmy do uczucia niestabilności, braku równowagi, że boimy się, iż wyciągając do kogoś rękę, spadniemy z powrotem w czeluść.

Czy to z tego powodu nie odpiszę Eddy'emu?

Bo boję się, że wyciągnę rękę i dam się znów wciągnąć w koszmar, że nie będę w stanie sama się wydostać?

Nie.

Nie, do cholery.

Zgniatam list w pięści, podnoszę się z sykiem i stanowczo podchodzę do kubła na śmieci.

Nie odpiszę Eddy'emu, bo jest świnią, która mnie zdradziła i odebrała mi nie jedną, a dwie relacje. Przyjaciółka ukradła mi narzeczonego... ale narzeczony też ukradł mi przyjaciółkę.

Mam nadzieję, że szczeną razem w piekle. Choć wnioskując po tym, że Eddy już próbuje wkraść się z powrotem w moje łaski, ich igraszki nie potrwały chyba zbyt długo.

Głęboki wdech. Wszystko będzie dobrze.

Wyrzucam zgnieciony list do kubła i zaglądam do lodówki, żeby zobaczyć, co przygotuję na śniadanie dla Tary i na kolację dla siebie, zanim zostawię siostrzenicę z jej szkiełkami i otumanionym kotem, podczas gdy sama będę próbowała się przespać.

Zanim jednak udaje mi się wyciągnąć pojemnik z jajkami, z zamyslenia wyrwa mnie ryk silnika i pisk opon. Mrugam, prostuję się i wyglądam przez okno w samą porę, żeby zobaczyć pikapa Warrena, który pruje centralną ścieżką, po czym zatrzymuje się przed głównym budynkiem.

Nie widzę go zbyt dobrze, gdy wysiada, bo przechodzi szybko przez trawnik i znika w środku.

Ale widzę na tyle dużo, aby wiedzieć, że jest wściekły.

Nie martwię się o tego krety. Naprawdę.

Jednak czuję się zaintrygowana, więc wsuwam na stopy sandały, obciążam spodnie od piżamy na tyle, żeby wyglądać przyzwoicie, i wychodzę na zewnątrz. Pójdę tam jakby nigdy nic pod pretekstem braku czystych ręczników.

Nie wiem, czy ktokolwiek mi uwierzy, że nie robię tego ze wścibstwa, ale cóż...

Wszelkie zaintrygowanie znika, gdy idąc ścieżką, zaczynam wyłapywać wściekłe, podniesione głosy.

Dwa. Męskie. Jeden należy do Warrena.

Moje serce przyspiesza podobnie jak krok. Rzucam się naprzód i biegnę ścieżką do schodów. Po wejściu na ganek otwieram drzwi i zamieram, widząc rozgrywające się przede mną szaleństwo.

Warren przyciska Flynn Bittersa do ściany, trzymając go obiema rękami za poły koszuli, i wymachuje facetem nad ziemią jak kukiełką. Flynn jest czerwony na twarzy i oddycha chrapliwie, podczas gdy Warren... Jasna cholera.

Nigdy nie widziałam go w takim stanie.

Myślałam, że widziałam go rozżłoszczonego, ale najwyraźniej moje doświadczenia ograniczały się jedynie do gderania i fochów. Teraz jest inaczej. Ten widok mrozi krew w żyłach.

Warren stoi w tak zupełnym bezruchu, jakby jego ciało opanowała czysta furia, która nie pozwala mu się ruszyć ani o centymetr. Jego twarz zastygła w

postaci zimnej maski, gdy mierzy wzrokiem starszego mężczyznę.

— Oczekujesz, że uwierzę — mówi Warren, powoli i groźnie, głosem przypominającym pomruk lwa — że gównu wiedziałeś?

Flynn pluje, celując w twarz Warrena, ale zamiast tego ślina spływa po jego własnej brodzie, kiedy facet miota się i ciska spojrzeniem gromy.

— Puszczaj, gnoju! To nie moja sprawa, więc się nią nie zajmowałem!

— wybuchła. — Puszczaj mnie, do cholery, chłopcze.

— *Chłopcze*. — Warren przekrzywia powoli głowę i mruży oczy. —

Wolę być chłopcem niż żalonym, zrujnowanym tchórzem.

Ich dalszą wymianę zdań przerywa mimowolny pisk, który wydobywa się z mojego gardła. *Co tu się, u licha, dzieje?*

Moja dłoń wędruje na usta. *Ups*.

Obaj sztywnieją. Flynn przekręca głowę w moją stronę, natomiast Warren ani na moment nie spuszcza go z oczu.

Mimo to zwraca się do mnie i wypowiada spokojnie moje imię.

— Hay.

Jakby witał się ze mną przy kuchennym stole nad talerzem jajecznicy.

Robi powoli krok w tył, puszczając Flynna na ziemię z czystą pogardą i tłącą się wściekle obietnicą w swoich ciemnoniebieskich oczach. Wydaje mi się, że gdyby nie był taki opanowany, prawie bym się go bała, bo Warren jest imponującym mężczyzną zbudowanym z brutalnej siły. To opanowanie mówi jednak, że ma nad wszystkim całkowitą kontrolę.

Flynn nie ma nawet jednego draśnięcia. Jest tylko wzburzony. Spada z gderaniem na podłogę i się otrzępuje.

Na krótką chwilę te burzowe, niebieskie oczy zatrzymują się na moich, a potem Warren przeciska się obok mnie i wychodzi. W jego surowym, ciężkim spojrzeniu nie ma już wściekłości.

Tylko ból.

Coś niemal jak... poczucie zdrady?

Stoję jeszcze przez chwilę w drzwiach jak skamieniata, rozdarta między chęcią pójścia za Warrenem a pilnowaniem własnych spraw. Ale nienawistne spojrzenie Flynna każe mi jak najszybciej wyjść.

Czuję się tak, jakby Warren trzymał mnie na postronku, ciągnąc za sobą, bo nie mogę znieść tego cierpienia na jego twarzy, tej ukrytej męczarni w jego oczach, bez względu na to, jak głęboko skrywana rana przywiodła go do równie zwierzęcej furii.

Nie wiem, co mogę zrobić, żeby ją załagodzić. Nie wiem nawet, dlaczego w ogóle *chcę* to zrobić.

Wiem jedynie tyle, że nie mogę go teraz zostawić samego.

Nie w takim stanie.

Znajduje się już w połowie drogi do domku, nim doganiam go na tyle, żeby móc go zawołać, ale on nawet nie zwalnia, gdy mówię:

— Warren!

Nic. Wchodzi tylko na ganek, pokonując po dwa stopnie naraz, i pót

sekundy dzieli go od zatrzaśnięcia drzwi, ale dobiegam do niego sprintem i wciskam się między skrzydło i ościeżnicę.

Zatrzymuje się i ledwie udaje mu się przytrzymać drzwi tak, żeby mnie nie uderzyły. RzUCA mi milczące, wściekłe spojrzenie, po czym chrząka i wchodzi do środka z impetem Hulka.

— Warren!

Nie reaguje na swoje imię, ale też nie zatrzymuje mnie, gdy idę za nim.

Na chwilę tracę oddech, po czym wsuwam się za drzwi i zamykam je delikatnie za sobą.

— Co się stało? O co chodziło? — pytam, patrząc, jak zatrzymuje się na środku pokoju. Robi długie, powolne wdechy i zaciska pięści. — Mogłeś mu zrobić krzywdę. To tylko starszy człowiek.

— To kłamiwy gnój i mam nadzieję, że zadławi się własnym językiem

— warczy Warren. Jego szerokie barki unoszą się w zwartych falach, przystojne szczęki zaciskają się mocno, mięśnie drgają pod ogorzałą skórą. Jego całe ciało jest tak napięte, że tatuaże wiją się na wyrzeźbionych sułach rąk, jakby były żywymi stworami, dzikimi bestiami odzwierciedlającymi wściekłość swojego pana. — Jeśli przez niego komuś stanie się krzywda, żadne moje działania nie będą wystarczające.

Nic z tego nie rozumiem. Flynn Bitters? Ten stary pijak? Prędzej robi krzywdę samemu sobie niż komuś innemu. Któregoś dnia wypije za dużo i coś pójdzie nie tak. Kręcę głową, przyciskając dłoń do piersi.

— Nie rozumiem — powtarzam. — Jak Flynn mógłby w zajeździe zrobić komuś krzywdę?

— I nie musisz — cedzi przez zęby Warren. — Nie musisz, Hay. Ten cyrk to nie twoja sprawa.

— Warren...

Z mocno bijącym sercem postanawiam zaryzykować. Podchodzę bliżej i kładę delikatnie dłoń na jego ramieniu. Jest twarde jak skała, gorące jak ogień w kuźni.

Warren odwraca głowę tylko na tyle, żeby jedna paląca jasnością szparka błękitu mogła na mnie spojrzeć, wwiercając się we mnie. To przerażające, a zarazem upojne uczucie, gdy patrzy na mnie w ten sposób, bo choć go nie znam, choć nic dla siebie nie znaczymy, to coś wyczuwam.

Czuję jego.

Czuję mężczyznę, którym wiem, że jest.

A ten mężczyzna nigdy nie zwróciłby okrutnej przemocy, do której zdolne jest jego ciało, przeciwko komuś takiemu jak ja.

Więc dreszcz, który mnie przenika, gdy Warren obejmuje mnie w pasie, tylko częściowo wypływa ze strachu. Pozostała część to czysta adrenalina.

Wspinaczka na mężczyznę takiego jak Warren jest jak wspinaczka na Mount Everest, pobudzenie zmysłów i haj dla duszy. Serce wali mi w piersi tak, jakby się do niego wyrывało, a on wychodzi mu na spotkanie i przyciska nas do siebie.

Nie ma oddechu. Nie ma przestrzeni między nami, tylko cienka tkanina i żar ciała. Uzmystawiam sobie, że wciąż jestem jedynie w cienkich spodenkach

piżamowych, które w żaden sposób nie powstrzymują ognia jego ciała przed szeptaniem między moimi udami.

Nagle robi mi się za ciepło i za mokro. Za gorąco na każdym skrawku skóry, a w żyłach płynie mi żywy ogień.

Jakaś część mnie zastanawia się, czy cała ta wściekłość i wzajemna niechęć były jedynie gwałtowną, daremną walką z dzikim, zwierzęcym pościąganiem.

Pozostała część mnie nie jest już w stanie nad niczym się zastanawiać.

Nie potrafię myśleć, kiedy on patrzy na mnie w ten sposób, pochylając się nagle, by pochwycić moje usta.

W jednej chwili pragnę ze wszystkich sił ukoić ból w jego oczach.

W kolejnej czuję się obezwładniona, jakby porwał mnie i pożarł dziki stwór.  
*Jasna cholera.*

Jego pocałunek jest ostry. Bezlitosne kły, pazury i piekielny ogień.

Kompletnie nieposkromiony pozostawia mnie ociekającą pożądaniem.

Zamiast bólu, daje mi rozkosz, gdy rozszarpuje moje zmysły na strzępy, dominującą, zniewalającą pieśczętą swoich warg, badawczym językiem, który pyta, a jednocześnie jest niezwykle pewny mojej zgody.

Tym razem ma całkowitą rację.

Trzęsę się i ściskam jego ramiona; dezorientowana i uwodzicielska mieszanina żaru, tęsknoty i rodzącej się potrzeby.

Warren smakuje zapomnieniem, którego potrzebuję. Smakuje wszystkim, co zakończy moją głównianą passę i da mi wreszcie coś *dobrego*. Chcę doświadczyć tej amnezji, zaplatając nogi wokół jego masywnego, silnego ciała. Jego mięśnie poruszają się przy wewnętrznej stronie moich ud, podczas gdy on przyciska się do mnie, wlewając w każdy swój ruch czystą siłę.

Potrzebuję tego. Pragnę tego. Pragnę jego.

Każdego skrawka Warrena Forda i tej niebieskookiej dziczy, którą nazywa duszą.

Z cichym jękiem wspinam się na palce i lgnę do niego namiętnie. Moje wargi rozchylają się na przyjęcie jego języka, pozwalając mu mnie *mieć*.

Posiąść.

Pozwalając mu pieścić wnętrze moich ust i smakować mnie w sposób, który odczuwam całym ciałem.

Pozwalając mu poznawać mnie tak intymnie, że mam wrażenie, jakbyśmy robili coś złego.

Och, i tak właśnie jest, do cholery.

Trzęsie mną cudowny dreszcz.

Warren jest tak wysoki, że ledwie dosięgam jego ust, ale wtedy masywne, silne dłonie chwytają mnie za tyłek, podnoszą i wpijają się w moje ciało tak mocno, że to istny cud, że w tym samym momencie nie mam orgazmu.

Autentycznie się rozplątuję. Śliska. Rozedrgana.

A gdy wsuwam palce w jego ciemne włosy i ocieram się o szorstki zarost, nie mogę powstrzymać błagalnego szeptu:

— *Warren.*

Mam wrażenie, jakbym wylała mu na głowę kubek zimnej wody.

Nieruchomieje z drzeniem, warcząc, gdy się prostuje. Jego dłonie są wciąż gorące i twarde, a on przesyła mi sprzeczne informacje, kiedy patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym zrobiła coś złego. Oskarżycielskim, ostrym i...

pełnym poczucia winy?

Nagle czuję nieprzyjemny ucisk w dole brzucha.

Wkurza mnie, że ponownie stawiam się w sytuacji, gdy jakiś facet mnie zwodzi.

I już zaczynam się zamykać, szykuję się na zranienie, gdy z przekleństwem na ustach Warren wypuszcza mnie z objęć, choć na szczęście nie opuszcza mnie tak po prostu na nogi.

Daje mi chwilę, żebym odzyskała równowagę, a potem całkiem się odsuwa. Zaczyna chodzić w tę i we w tę — uosobienie niepokoju i napięcia — i wsuwa szorstkie dłonie we włosy, strosząc je w atramentową czuprynę.

— Kurwa mać — przeklina. — Kurwa mać, Hay.

*Próbowałam, ty kretynie, myślę w duchu. Chciałam tego.*

Ale oczywiście nie mówię tego na głos.

Nic nie mówię. Staram się tylko oddychać głęboko, uspokoić się i zatrzymać kłębiące się myśli, bo ten pocałunek, praktycznie rzecz biorąc, wrzucił moje myśli do blendera.

Może Warren ma rację, chcąc zapobiec kolejnym komplikacjom, których żadne z nas nie potrzebuje w życiu.

Rzuca mi kolejne tygrysie spojrzenie. Przysięgam, że jeśli jeszcze raz to zrobi, to mu *przywalę*.

Jednak zatrzymuje moją małą pięść, gdy rzuca:

— Dostałaś, czego chciałaś?

Mrugam. Czy ja... co?

Teraz czuję się już tylko skołowana. Zaczynam mieć wątpliwości.

Wiem, że to ja tu za nim przyszłam, ale to on wciągnął mnie do środka, to on pocałował mnie tak, jakby właśnie zakończyła się wojna. Nie mam pojęcia, co jest grane. Wiem tylko, że cały żar w moim ciele w jednej chwili stygnie.

Chcę mu się odgryźć, sprzeciwić, powiedzieć, żeby wsadził sobie swoje oskarżenia sam wie gdzie, ale nie jestem w stanie znaleźć słów.

Bo to naprawdę *boli*.

*Niech to szlag.*

Boli tak bardzo, bo mam dość okłamywania siebie.

Chyba zadurzyłam się w tym kretynie.

Kiedy mu nie odpowiadam, patrzy na mnie z wściekłością.

— Co ty, kurwa, próbujesz ze mną zrobić? Zadowolona? Możesz sobie po prostu *iść*?

Nie wiem, jak na to zareagować. Nie wiem, co robię, ponieważ teraz, kiedy to przyprawiające o zawrót głowy, flące się między nami pożądanie wystrzeliło w kosmos, nie mogę zignorować wiszącego w powietrzu, gęstego jak mgła napięcia.

Nie mogę sama siebie okłamywać co do swoich uczuć za każdym razem, gdy ten facet mnie wkurza.

Ta magnetyczna energia narasta burzliwie między nami, przyciąga mnie jak grawitacja. Jeśli nie będę uważać, zatracę się w intensywności tego mężczyzny. A wszystko to dzięki mojej desperackiej potrzebie, żeby poczuć coś poza frustracją, beznadzieją, cieniami przeszłości.

I nie mam na to słów, jak również na to, co mi w tej chwili robi to wrzące, iskrzące wściekłością niebieskie spojrzenie.

Rozchyłam usta i próbuję coś powiedzieć, ale Warren tylko wzdycha, więc znów milczę.

Odwraca wzrok i patrzy ze złością na drugą stronę pokoju — na mój obraz, jak sobie uświadamiam.

Patrzy ze złością na obraz, który mu podarowałam pod wpływem impulsu, i nagle uchodzi z niego część furii. Garbi się i opuszcza bezradnie ręce po bokach.

— Przepraszam — cedzi przez zęby głębokim, szorstkim i wciąż pod-szytym wściekłością głosem. — Nie powinienem być tego mówić. Ani jednego słowa. Kurwa mać. To nie na ciebie jestem zły, Hay. Tylko na Flynna, że ukrywał różne rzeczy. Na babcię. Na Dennisa Bressa. Na całą tę popieprzoną sytuację, w której nie powinnaś była się znaleźć ze mną, kapitanem dupkiem na czele.

Te słowa wywołują na mojej twarzy blady uśmiech, który jednak nie łagodzi zadry w sercu.

— Mógłbyś spróbować nie być takim dupkiem — podsuwam. — Wtedy nie musiałbyś przeproszać. Zdziwiłbyś się, jak to działa.

— Równie dobrze mogłabyś poprosić, żebym zmienił sobie geny. —

Jego usta wyginają się odrobinę w żalnym uśmiechu, który zaraz potem znika. — Staram się tylko chronić innych. Ciebie. Babcię. Chce wejść w interesy z ludźmi, którzy mogą ją skrzywdzić. Flynn o tym wiedział i nic mi nie zdradził.

— W jakie interesy, Warren? — pytam, choć wiem, że pewnie dostanę jakąś wymijającą odpowiedź lub odpowie mi milczeniem.

Dociera do mnie, że to nie przez swoją pracę Warren tak się zachowuje. Unika konkretów, bo taki po prostu jest.

Uparty i zdeterminowany, żeby wszystkim zająć się samemu.

Zastanawiam się, czy zdradził go ktoś, na kim kiedyś polegał.

Lub ktoś polegał na *nim*? Może czuje, że zawiódł, i nosi w sobie ten ciężar od tak dawna, że brzemień przekształciło się w pancerz?

Warren nie ma jednak czasu mi przerwać, nie może mnie uciszyć, bo rozlega się pukanie do drzwi. Oboje tężejemy i odwracamy gwałtownie głowy, ale po drugiej stronie progu stoi tylko Tara i zagląda sennym wzrokiem do środka.

— Ciociu Hay? — woła cicho. — Jestem głodna.

— Już idę, skarbie. Zaraz przyjdę — mówię, ze względu na nią zmuszając się do uśmiechu. — Zrobię jajecznicę.

— Mam lepszy pomysł — odzywa się Warren. — Zabiorę was obie do miasta na śniadanie. Musisz być zmęczona po nocnych zmianach. Nie powinnaś gotować, kiedy jesteś taka wyczerpana.

Zaskakuje mnie trochę, że to zauważył. Nie chcę przykładać zbyt dużej wagi do szczegółów.

Nie jestem typem osoby, która rzuca się bezmyślnie w romans na poprawę humoru po poważnym rozstaniu.

Jeśli mam być szczerą, to się boję.

Boję się, że jeśli się poddam tym dziwnym uczuciom, które się we mnie przy nim rodzą, to mogę zacząć czuć coś, co wydaje się prawdziwe.

O wiele zbyt prawdziwe, zważywszy, że wciąż jeszcze liżę rany po Eddym.

Bez sensu, żeby wszystko się schrzańło, kiedy mój temperament i jego temperament zamienią coś, co mogłoby być lekką i przyjemną formą wzajemnego pocieszenia, w gorzkie kłótnie, aż w końcu bym się otrząsnęła i odeszła od niego, zaspokoiwszy jego potrzeby. Nie podoba mi się nawet samo *myślenie* w ten sposób, jakby w porządku było wykorzystywać go w celu zagożenia własnych ran i odwrócenia uwagi, więc po prostu sobie na to nie pozwolę.

Ale on składa mi propozycję zawarcia pokoju i czeka na moją odpowiedź. A ja jestem głodna.

— Pewnie — mówię wargami, które wciąż pulsują jego smakiem, jego ciepłem. — Daj mi tylko coś na siebie założyć.

\*\*\*

WYDAJE MI SIĘ, że to ze względu na Tarę udajemy, że wszystko jest normalnie.

Na tyle normalnie, na ile to możliwe, gdy nie wiem, czym *jest* normalność w naszym przypadku. Ten namiętny, zachłanny pocałunek na pewno nie pomógł w ustaleniu tej definicji.

Był po prostu kolejnym przypomnieniem, że ja i Warren tak naprawdę się nie znamy. I może nie powinniśmy.

Ledwie można by nas uznać za znajomych. A mimo to dwadzieścia minut później staramy się odnosić się do siebie z sympatią podczas śniadania w małej, słonecznej jadłodajni urządzonej w stylu lat pięćdziesiątych.

Wygląda jak ostatnie sympatyczne miejsce ze zdrowym jedzeniem, gdzie ludzie zatrzymują się przed dalszą drogą, w kiepskiej powieści z dreszczykiem, w której potem zostają zamordowani.

A może to, że tak myślę, świadczy raczej o stanie mojego umysłu?

Atmosfera między nami jest potwornie napięta, ale jakoś dajemy radę.

Pojawia się nawet kilka uśmiechów, niewinne żarty obracające się głównie wokół tego, że Tara jest wybredna, jeśli chodzi o serwetki. Zabawne, bo wiem, że to jej mama nauczyła ją czegoś dziwnego w związku z papierem z grubą fakturą i spierzchniętymi wargami.

W dzieciństwie Marie miała prawdziwą obsesję na punkcie rozmazanej szminki. I wygląda na to, że jej obsesja mogła się przenieść na córkę, jeszcze zanim Tara zdążyła nałożyć pierwszą próbkę pomadki.

Jest z niej prawdziwa mała księżniczka, ale kocham ją taką.

Nie mogę się więc powstrzymać i odrywam ją od naleśników, żeby ją uściskać, przytulić mocno.



Tylko to się liczy. Bez względu na to, co jeszcze przydarzy mi się w Heart's Edge, przynajmniej zbudujemy własne wspomnienia.

Tara jest moją rodziną, ważną, prawdziwą, i kiedy już poradzę sobie z tym durnym kryzysem wieku średniego i zerwanymi zaręczynami, ona wciąż tu będzie. Podobnie jak moja miłość do niej i do Marie.

— Ciociu Hay? — pyta, wciąż ściskając w dłoni zroszony syropem widelec.  
— Wszystko dobrze?

*Jezu. Czy to aż tak widać?*

— Dobrze, skarbie — mówię, zmuszając się do śmiechu, i opieram się brodą o czubek jej głowy. — Wszystko jest w najlepszym porządku.

Gdy wypuszczam ją z objęć, Warren podnosi wzrok znad talerza ze stekiem i ziemniakami, bo dzwonek nad drzwiami oznajmia ich otwarcie.

Oglądam się przez ramię, żeby sprawdzić, w kogo się tak wpatruje.

Do środka zagląda Stewart, wysoki i skąpany w słońcu, ze zmarszczonymi brwiami. Kiwa brodą na Warrena, przywołując go krótkim, gwałtownym gestem.

Dziwne. Niemal złowieszczę.

Podobnie jak kompletne milczenie Warrena, który patrzy ponuro Stewartowi w oczy.

Chwilę później zwraca wzrok na mnie i kiwa głową.

— Przepraszam. To zajmie tylko chwilę. Zamówcie cokolwiek, na co macie jeszcze ochotę, i każcie doliczyć do mojego rachunku.

Potem wysuwa z boksu swoją wysoką postać, poruszając się z lwią gracją i siłą, i wychodzi na zewnątrz do Stewarta. Patrzę przez okno, jak opierają się o gigantycznego, leczącego kompleks małego członka, pikapa Stewarta.

Stoją blisko siebie i rozmawiają gorączkowo.

Warren wygląda na wzburzonego. Stewart wydaje się z jakiegoś powodu niezadowolony.

Niezależnie od tego, o co chodzi, obaj są całkowicie pochłonięci rozmową, swoimi gestami... i wygląda to poważnie.

O Boże.

O wiele poważniej od roboty łowcy nagród, która sprowadziła tu Warrena i z której robi taką tajemnicę.

Jest coś w jego postawie, w towarzyszącej mu intensywności.

Przenika mnie zimny dreszcz, przepędzając gorące lato. Nie powinnam oceniać.

Naprawdę, naprawdę go nie znam.

Nie wiem, o co chodzi, i nie mam prawa domagać się, żeby mnie oświecono. Nie mam prawa do niczego.

Znów muszę sobie przypominać, że on jest dla mnie obcym człowiekiem.

Wielka szkoda, że całuje obłądnie i że wciąż czuję na ustach jego smak.

## ROZDZIAŁ 10. NA SKRAJU WYBUCHU (WARREN)



**B**oże, spieprzyłem po całości.

Nie wierzę, że pocałowałem Haley.

Pocałowałem ją, a potem naskoczyłem na nią, jakby w jakiś sposób mnie zmusiła, choć przecież zrobiłem to sam, pod wpływem chwili, po-stępując w jedyny znany mi sposób.

Zaraz po tym, jak cała moja wewnętrzna furia zamieniła się w piekło.

Jedynym ujściem było poddanie się tłącemu zauroczeniu, potrzebie, głodowi, które ta doprowadzająca mnie do absolutnego szału kobieta wzbudza we mnie jednym kokieteryjnym spojrzeniem czy upartym uśmieszkiem.

Muszę sobie przypominać, że jej i mój pobyt w Heart's Edge jest tylko tymczasowy.

Zapomnimy, że w ogóle doszło do tego pocałunku, i każde z nas pójdzie w swoją stronę.

— Hej. *War*.

Cholera.

Odplynąłem, myśląc o Haley zamiast słuchać Stewarta. Unoszę głowę i mrugam.

— Przepraszam. Co mówiłeś?

— Pytałem, co, do cholery, jest grane między tobą a Dennisem Bressesem?

Marszczę czoło.

— Nic. W zasadzie nie rozmawiałem z nim od powrotu do miasta.

Nie jesteśmy już blisko. Nie od czasu...

Nie jestem, cholera, w stanie wymówić jej imienia. Nie dzisiaj.

— Tak, stary. Wiem. Wiem. — Klepie mnie po ramieniu. — Słuchaj, nie chciałem tego mówić...

— W takim razie *nie mów* — cedzę przez zęby.

Niezależnie od tego, jak dobrym jest przyjacielem, wolałbym, żeby pilnował własnych spraw.

Patrzy na mnie badawczo. Wiem, co powie, bo wszyscy to mówią.

— Warren, czasami na misjach dochodzi do tragedii — mruży. — To wojna. I to nie jest niczyja wina. Wiem, że łatwo zrzucać winę na Bressa, bo był dowódcą Jenny...

— *Przestań*. — Odtrącam jego rękę, patrząc na niego spode łba.

Przecież wie.

Właśnie on był świadkiem, on mi powiedział. Powiedział, że Bress ją wrobił, zostawił, a postąpił tak, żeby kryć swój własny zachłanny tytek.

Dzięki Stewartowi wiem, że Bress jest kimś więcej, niż ktokolwiek w tym mieście podejrzewa — za wyjątkiem kilku pracujących dla niego ludzi.

Dopiero później Stew zaczął kwestionować własną pamięć, kwestionować to, co widział w zamieszaniu bitewnym, ale, kurwa, ja wiem. Znam brutalną prawdę.

Poruszam szczęką, piorunując go wzrokiem, lecz staram się zachować uprzejmość.

— Przyjąłem twoje obawy do wiadomości. Nie mieszaj się w to.

— W takim razie to ty musisz śledzić go w mniej oczywisty sposób, do cholery — zauważa. — Wpadł dziś do mnie rano na regulację. Pytał, czy z tobą rozmawiałem. Czy zauważyłem, że dziwnie się zachowujesz.

Zaciskam szczękę.

— I co mu powiedziałaś?

— Że przyjechałeś do miasta, bo masz zlecenie, które cię stresuje, skoro poszukiwany jest tak blisko domu. — Przygląda się mi przez dłuższą chwilę.

— Bo to dlatego jesteś w mieście, prawda? I dlatego mieszkasz w jednym z domków? Chodzi o jednego z letników Wilmy?

To łatwe kłamstwo. Najbardziej sensowne, a Stew praktycznie sam mi je podsuwa.

Więc mruczę i kiwam głową. Nie jestem w stanie potwierdzić tego na głos, bo nie lubię oszukiwać ludzi, a zwłaszcza przyjaciół. Ciche kłamstwo w formie przemilczenia prawdy będzie musiało wystarczyć.

Stew marszczy brwi.

— Myślisz, że to twój uciekinier groził panie Mustang tym trikiem z farbą rodem z Halloween?

— Tak musiało być. — To przynajmniej jest prawda.

Wziąwszy pod uwagę, że Bress jest moim uciekinierem.

Stewart patrzy nad moim ramieniem przez okno restauracji i unosi brew.

— A skoro o tym mowa, widzę, że masz towarzystwo. Jak ci się z nią układa, stary?

— Nie układa, bo nie ma co się układać — warczę, a on się uśmiecha.

— Więc tylko dla zabawy wchodzisz w rolę zastępczego tatusia?

— Nic takiego *nie robię*. — Uderzam go lekko w rękę. — Słuchaj, boję się po prostu, że ten przestępca obierze ją sobie za cel, żeby się do mnie dobrać.

Łatwiej zapewnić jej bezpieczeństwo, mając ją blisko, skoro postanowiła na jakiś czas zapuścić tu korzenie.

— Jest bardzo popularna U Brody'ego. Wszyscy chłopcy wyją za nią jak wilki.

Wpatruję się w niego.

— Widujesz ją w pracy?

— Człowiek musi coś jeść, a to najlepsza miejscówka w mieście. Razem z chłopakami chodzimy tam kilka razy w tygodniu na lunch.

— Mamy w mieście sklep spożywczy. Korzystaj z niego. — Wzdycham, bo wiem, że zachowuję się jak wariat. Więc opieram się mocniej o samochód z rękami skrzyżowanymi na piersi. — Czyli radzisz mi zapomnieć o porachunkach z

Bressem, skończyć robotę, którą mam tu do zrobienia, i znów wynieść się z miasta?

— To ci wychodzi najlepiej. — Opiera się przyjacielsko obok mnie i chowa ręce do kieszeni džinsów. — Spójrz prawdzie w oczy, War. W głębi serca jesteś włóczykijem. Nie umiesz nigdzie się osiedlić. Cholera, niemal się boję namawiać cię, żebyś startował do panny Mustang, bo pewnie tylko złamiesz jej serce, gdy znów dasz stąd nogę.

— To już się stało. I to nie byłem, kurwa, ja — warczę. — Nie martw się.

Wątpię, że da mi wystarczająco dużo kawałków, żebym mógł bardziej je złamać.

— Czyli przeszło ci to przez myśl.

*Niech to szlag.* Tylko się pograżam.

— Nie mogę się nad tym zastanawiać — przyznaję. — Mam za dużo na głowie. Babcia rozważa wejście w spółkę z Bressem. Mówi, że ktoś musi przejąć Uroczysko, kiedy ona będzie gotowa przejść na emeryturę, a Flynn w ogóle się do tego nie nadaje.

Stewart chichocze.

— Wiesz, że to była sugestia dla ciebie. Pewnie równie subtelna, co przywalenie baseballą w twarz. Znam twoją babcie.

— Tak, ale... jak sam powiedziałeś, jestem włóczykijem. Nie mogę zostać w jednym miejscu. Spokane najbardziej przypomina mój dom.

Tak jest. Nawet jeśli od wyjazdu z Heart's Edge po zwolnieniu honorowym z wojska nigdy nie zwracałem sobie głowy szukaniem tam innego mieszkania niż takiego opłacanego z miesiąca na miesiąc.

Chociaż naprawdę zaczynam się zastanawiać, czy ten niepokój to mój wybór. Albo czy Hay ma co do mnie rację.

Może przenoszę się z miejsca na miejsce, bo uciekam przed czymś, z czym nie potrafię się zmierzyć.

*Jenna.*

Oglądam się przez ramię. Haley i Tara obserwują nas przez okno restauracji, a kiedy patrzę Hay w oczy, ona natychmiast odwraca wzrok; Tara natomiast uśmiecha się szeroko i macha. Unoszę dłoń i udaje mi się uśmiechnąć do dziewczynki, a gdy skupiam się znów na Stew, widzę, że kumpel patrzy na mnie znacząco.

— No co? — warczę.

— Nic. Po prostu od dawna nie widziałem, żebyś się tak uśmiechał.

— Dość tych aluzji. — Odsuwam się od pikapa Stewarta i stoję prosto.

— Słuchaj, dzięki za ostrzeżenie.

— Po prostu mi powiedz, że tym razem mnie postuchasz — mówi cicho.

— Obiecuj, że zakończysz te brednie z Bressem, zanim zrobi się taki bałagan, z którym sobie nie poradzisz, War. Zrób, co masz tutaj do zrobienia, i spadaj.

Z moich ust wydobywa się powolne, pełne napięcia westchnienie.

— Nie mogę, Stew. Naprawdę żałuję, że nie mogę ci tego obiecać.

Nie wiem, dlaczego bronie się przed tym, by mu powiedzieć, że to, co mam tu do zrobienia, dotyczy Bressa.

Stewart jest mądrym facetem. Musi zdawać sobie z tego sprawę, ale może dla bezpieczeństwa godzi się na moje kłamstwa.

— No cóż, przemyślisz sobie to wszystko i na pewno wróci ci rozsądek.

W odniesieniu do Bressa i panny Mustang. — Kiwa mi głową.

Żegnamy się klepieniem w dłonie. Uściskiem żołnierza, chwytem wojownika — dłonie na nadgarstkach, mocno zaciśnięte — po czym Stew puszcza mnie i macha, a ja wracam do środka.

Co do jednego miał rację — jeśli czegoś nie zrobię, ten burdel z Bressem zeżre mnie żywcem.

Hay obserwuje mnie z milionem pytań w oczach, ale ja zmuszam się tylko do uśmiechu i siadam naprzeciwko nich w boksie.

— Jeśli skończyłyście już jeść, to co powiecie na małą wycieczkę?

Tara wybucha głośnym entuzjazmem. Haley jęczy i zwiesza przygarbiona głowę.

— Chcesz mnie zmuszać do durnych spacerów, kiedy wieczorem mam się stawić w barze?

— Obiecuję, że wrócisz na czas, żeby porządnie się przespać i wziąć prysznic przed swoją zmianą. — Podnoszę rękę, prosząc o rachunek. —

Daj spokój, Hay. Ponieważ tak bardzo lubisz malować Heart's Edge, chcę ci pokazać naprawdę piękne miejsca w okolicy.

\*\*\*

PIESZA WYCIECZKA BYŁA impulsywną decyzją, mającą zapobiec ewentualnym pytaniom i narastającej we mnie wściekłości.

Ale kiedy jesteśmy już wyposażeni w odpowiednie buty, liny, butelki z wodą i kilka innych niezbędnych rzeczy i znajdujemy się już na szlaku, jestem zaskoczony tym, że wędrówka sprawia mi przyjemność.

Okoliczne szlaki zaczynają się łagodnie na otwartym terenie porośniętym wysoką, falującą trawą i pojedynczymi krzakami, a potem wchodzi

w coraz gęściej rosnące drzewa. Zanim człowiek się obejrzy, znajduje się już na przedgórzu i wędruje w kierunku gór i rezerwatów przyrody.

Wszystko tutaj wydaje się dziewicze i nieskalane. Można sobie wyobrazić, jak wyglądało to miejsce tysiące lat wcześniej, zanim masowy wyrąb i rolnictwo przekształciły te tereny i doprowadziły do zaniku dużej części dawnej roślinności.

Tutaj, w cieniu porośniętych mchem drzew, wśród poszarpanych, starożytnych, skalistych zboczy, wszystko wygląda pierwotnie.

I zachwycająco.

Wspinamy się wyżej w kierunku czystego letniego nieba, spoglądającego na świetność wielkiego klifu za miastem i doliny rozciągającej się poniżej od wieków.

Gdzieś po drodze zgubiliśmy całe napięcie.

Tara bawi się najlepiej. Goni bladezielone motyle, zbiera liście i kwiaty i przybiega z nimi, żeby poznać ich nazwy. Niemal skacze wokół nas w kółko, bo ma więcej energii, niż powinna mieć jakakolwiek mała dziewczynka.

Hay jest bardziej milcząca, z wyjątkiem chwil, kiedy śmieje się z wygłupów Tary, ale nawet wtedy wydaje z siebie urzeczony, nabożny dźwięk.

Widzę zachwyt w każdym jej spojrzeniu, gdy rozgląda się wokół oczami artystki. Chcąc nie chcąc, zastanawiam się, co stworzy po tej wycieczce.

Co ta cudowna pasja, talent i pomysłowość wycisną z emocji obudzonych widokiem wspaniałych, zachwycających krajobrazów.

Co jakiś czas Hay patrzy mi w oczy. I się *uśmiecha*.

Niech to! A myślałem, że to pejzaż jest tu najładniejszy.

Dużo trudniej jest iść dalej z członkiem tak sztywnym jak pnie okolicznych drzew.

Ona nawet nie próbuje być seksowna. Chodzi raczej o delikatny, dziwny uśmiech — zamysłony, ale obecny.

Jakbyśmy dzielili jakąś tajemnicę, potwierdzali ją ukradkowymi spojrzeniami, które biorą mnie z zaskoczenia i sprawiają, że serce wali mi mocniej w piersi.

Kiedy dochodzimy do końca szlaku i się zatrzymujemy — wciągając w płuca ciepły, leśny aromat i orzeźwiające górskie powietrze podszyte delikatnym, odległym zapachem śniegu — jesteśmy na miejscu.

*W strefie.*

Oniemiali wpatrujemy się w rozciągający się przed nami widok. Patrzymy na wielki, rozległy, przepiękny świat, który w jakiś sposób sprawia, że jesteśmy mali, ale nie bez znaczenia.

Jesteśmy jego częścią. Częścią tego wspaniałego cudu natury, częścią uczucia *bezkesu*, które nas przenika. Milczymy przez długą chwilę, razem.

To coś, czego od dawna nie doświadczyłem.

Bycia *razem* z kimkolwiek, bycia częścią, przynależenia.

Nie jestem pewny, czyja dłoń sięga po czyją jako pierwsza.

Może po prostu w oniemieniu ocierają się o siebie, a to uwalnia w naszych ciałach impuls elektryczny.

Ale wtedy wszystko się zmienia. Trzymamy się za ręce, bardzo mocno splatając palce, a jej dotyk jest jak iskra, która wędruje przeze mnie. Tara podchodzi i opiera się o nas.

Dziś nie ma Hay i jej popieprzonego bytego. Ani Tary i jej zamartwiania się o powrót do domu. Ani mnie i moich druzgocących wspomnień.

Jest trójka szczęśliwych ludzi, do diaska.

I trwamy tacy — *szczęśliwi* — gdy ogarnia nas spokój, jakby sam wielki świat próbował przestać nam wiadomość. Nagle zauważam uśmiech Hay i nie mam już najmniejszych wątpliwości.

Życie toczy się dalej, a ja któregoś dnia się obudzę i przekonam, że toczy się beze mnie.

Chyba że zdołam wyrwać się ze szponów tej chorobliwej obsesji i docenię teraźniejszość.

Docenię chwile takie jak ta, i kiedy nadejdą, będę mocno się ich trzymać, bo trafiają się bardzo rzadko.

To samo tyczy się pięknej, zachwycającej kobiety, która wsunęła swoją miękką dłoń w moją.

\*\*\*

NIE UDAJE MI SIĘ cieszyć tym zbyt długo.

Klient nadal nie odpuszcza. Jeśli chcę zachować pracę i reputację, nie mogę zawalać kontraktów na rzecz prywatnych projektów.

Współpracuję zwykle z prokuratorami okręgowymi i poręczycielami.

W momencie, w którym zauważają, że nie mogą polegać na łowcy głów, przestają zwracać się do niego z nowymi zleceniami.

Więc wyruszam do Boise, otulając się tym spokojnym dniem na szlaku jak pancernikiem. Myśli o Hay sprawiają, że pokonuję kolejne kilometry, nawet tego nie zauważając.

Wracam pamięcią do tej popołudniowej chwili, kiedy słońce zaczęło opadać łagodnie coraz niżej, a kolor światła zmienić się na wypolerowany brąz, zabarwiając wszystko wokół nas.

Zacząłem się przebiekiwać, że trzeba wracać, jeśli Haley ma przetrwać swoją zmianę. Spojrzeliśmy na siebie i przez chwilę znów tego chciałem.

Tak cholernie bardzo.

Chciałem ją pocałować.

Pocałować ją tak naprawdę, a nie rzucać się w to pod wpływem wściekłości, impulsu i adrenaliny.

Pocałować ją tak, jak na to zasługuje.

Pokazać jej, że nie jestem skończonym kretykiem, może tylko w dziewięćdziesięciu procentach.

Chciałem oczyścić atmosferę między nami, wyciąć trochę pokrzyw i kolców, i może położyć fundament pod coś mniej skonfliktowanego.

Przynajmniej pod przyjaźń.

A na pewno pod burzę. Taką, podczas której przylgnę do niej wargami, jakbym ją posiadał, jakbym ją wielbił, jakbym był gotowy nazwać ją swoją.

Jasne, doprowadza mnie do obłędu z pożądania i jest najseksowniejszą kobietą, jaką widziałem od lat. Ale wybór przyjaźni nie jest wcale taki zły, skoro wciąż objamy się o siebie jak piłeczki we flipperze.

Dzięki temu ostatnie wspólne dni w Heart's Edge upłyną dużo spokojniej. Oraz mniej stresująco, nie tylko dla nas, ale również dla Tary.

Ona nie jest moim dzieckiem. Nie jest nawet dzieckiem Hay, ale polubiłem ją — tę uroczą dziewczynkę z delikatnymi, wyolbrzymionymi nawykami, które miewają tylko dzieci.

Naprawdę uwielbia Mozarta i gdy tylko nadarza się okazja, potrafi zagadać mnie na śmierć na temat tego kłębka sierści. Być może Haley i ja nie jesteśmy jej rodzicami, ale jeśli będziemy krążyć wokół siebie jak dwa

skorpiony z nastroszonym kolcem jadowym, to na pewno będzie to miało na nią wpływ.

Znów jednak zmuszam się, żeby odsunąć na bok te myśli. Melduję się w hotelu w Boise i przygotowuję do właściwej roboty.

Szczerze mówiąc, jest niemal śmiesznie łatwa.

Większość przestępców na tyle głupich, by uciec po zwolnieniu za kaucją, jest zbyt tępą, aby zniknąć w przekonujący sposób, choć raz na jakiś czas

zdarza się prawdziwy mózg, rozpływający się bez śladu.

Mężczyzna, którego tropię, Thad Roshank, nie jest kryminalnym geniuszem.

Po całym czasie i przygotowaniach poświęconych rozpracowywaniu działalności Bressa, Roshank jest jak małe dziecko. Szczeniak w porównaniu do wilka.

Wszędzie zostawia ślady — wśród kolegów i za pomocą transakcji kartą debetową. Nie ma nawet minimum rozumu, żeby płacić gotówką. Każda płatność jest jak mapa pokazująca jego ruchy.

Od czasu, kiedy uciekł po zwolnieniu za kaucją, znam jego pozycję z dokładnością mniej więcej do dwunastu godzin.

Został postawiony w stan oskarżenia przed sądem w Coeur d'Alene.

Domyślam się, że miał choć tyle rozumu, żeby wiedzieć, że próba opuszczenia stanu jedynie pogorszy sytuację, jeśli zostanie złapany.

Ale choć Boise jest dużym miastem, to jest też zwarte. Wystarczy ledwie tydzień starannego śledzenia i odrobina nocnej obserwacji, żeby doprowadzić mnie na próg Roshanka.

Mieszka w motelu na godziny, który człowiek wynajmuje albo wtedy, kiedy razem ze swoim „gościem” potrzebuje pokoju tylko na godzinę, albo wówczas, gdy wynajmuje go na tydzień, bo nie zamierza zostać w mieście na tyle długo, żeby ktoś go wyszedł.

Miejsce jest brudne i obskurne, a zaułek po przeciwnej stronie ulicy, w którym się przyczaiłem, śmierdzi gorzałą, szczykami i zużytymi prezerwatywami. Wielokrotnie obserwowałem, jak Roshank wracał tutaj późną nocą, zataczając się z towarzyszką pod ramieniem i ciągnącym się za nim zapachem alkoholu. Jest takim śmieciem, że naprawdę mam nadzieję, że kobieta, której nie płaci, nie będzie chciała go z powrotem.

Ale jeśli może wydawać tyle pieniędzy na chłanie i prostytutki, to na pewno może sobie pozwolić na płacenie alimentów.

Jest jasną plamą w moim noktowizorze, gdy wytacza się spod budynku z koszulką luźno opuszczoną na spodniach. Ma ziemistą, suchą skórę. Na całe, kuźwa, szczęście jest dziś bez towarzystwa żadnej dziewczyny.

Sam. Idealnie.

To bardzo ułatwi sprawę.

Czekam, aż znika w pokoju sto siedemnaście — tym samym, w którym zadekował się na cały tydzień, pijąc, pieprząc się i dorabiając zapewne kilku potencjalnych zarzutów związanych z narkotykami.

Jeszcze tylko chwila. Moment, żeby się wyluzował, po czym wysiadam z samochodu, sprawdzam glocka w kaburze na plecach i idę przez parking, żeby załomotać do jego drzwi.

Początkowo nie otwiera.

Pukam ponownie, tym razem głośniej, i słyszę przeklinanie i łomot.

Staję w gotowości, na wypadek gdyby nie był sam, jak przypuszczam.

Ale nie, jest tylko pijany. Bardzo, bardzo pijany.

Gdy uchyla drzwi i zerka na mnie zaczerwienionymi oczami, jego wąska twarz krzywi się z poirytowania.



— Co jest? Zapłaciłem za tydzień z góry — bełkocze. — Czego chcesz? Uśmiecham się ponuro.

— Thad Roshank? Jesteś aresztowany za złamanie warunków zwolnienia za kaucją.

Wytrzeszcza oczy. Nieruchomieje i gorączkowo wodzi wokół wzrokiem, ale nie jest w stanie nigdzie uciec.

Z pokoju nie ma innego wyjścia, a ja blokuję mu drzwi.

I tak się odwraca i odskakuje, pędząc w stronę łazienki. *Idiota.*

W sekundę jestem przy nim, łapię go w pasie i jedną ręką unoszę nad podłogę. Kopie, szamocze się, syczy, warczy i klnie, ale waży tyle co nic, a ponieważ jest nietrzeźwy, jego ręce są jak mokry makaron spaghetti.

Rzucam go twarzą na łóżko tak, że materac podskakuje. Nie próbuję zrobić mu krzywdy — choć sprawiłoby mi to przyjemność — muszę tylko poskromić gnojka.

Kilka sekund później trzymam go mocno, wykręcając mu ręce za plecami, i przygniatam go ciężarem swojego ciała podczas zapinania kajdanek.

Dla pewności unieruchamiam mu również kostki. Wygląda na takiego, co lubi biegać.

Na kogoś, kto rzuci się do ucieczki, nawet gdy straci wszelką nadzieję.

Nie pozwolę mu na to.

Na tego dupka czeka cela.

Nie mogę sobie wyobrazić posiadania rodziny i porzucenia jej jak złego nawyku.

Ale kiedy się odsuwam, rozglądając po obskurnym, zatęchłym pokoju motelowym, wzdycham.

To, cholera, aż nazbyt typowe.

Wszędzie leżą akcesoria do zażywania narkotyków. Wygięta tyżka, zapalniczka, gumowy wężyk. Torebeczki z przezroczystymi kryształkami w środku. Roshank odleciał na długo przed tym, zanim porzucił rodzinę i obowiązek płacenia alimentów.

Katalogowanie wszystkich tych dowodów zajmie wieki, jeśli chcę to zrobić jak należy.

Chrzanić to.

Wybieram szybko numer komendy policji w Boise i ucinam sobie krótką rozmowę z jednym z moich kontaktów w dziale antynarkotykowym. Zostanę tu tylko do czasu, aż przekażę pojmanego i upewnię się, że mój klient zostanie o tym poinformowany. Zwykle nie działamy w ten sposób, ale o ile gość trafi do aresztu, liczy się tylko to, żeby uznać umowę za zrealizowaną i żebym mógł wyjechać. Wrócić do Heart's Edge.

Do Haley.

Nie mogę powtarzać sobie tego dwa razy. Nie mogę pozwolić, żeby to dla mnie aż tyle znaczyło.

Ale niech mnie, czuję ją tak, jakby ciągnęła za coś w środku mnie, za coś zahaczonego gdzieś głęboko.

Czekam niespokojnie na gliny.

Kiedy patrol w końcu się zjawia, informuję ich krótko o tym, że jako łowca głów mam prawo do zatrzymania obywatelskiego, powiadamiam ich o wydanych nakazach i orzeczeniach sądowych w hrabstwie Kootenai i wciskam im w ręce wijące się, wciąż klnące, zakutego Roshanka.

Kilka sekund później siedzę w swoim wozie. Poszło niemal zbyt łatwo.

Nie musiałem nawet sięgać po broń. Tydzień obserwacji i parę godzin jazdy, żeby mieć za sobą szybką robotę.

To jedynie oznacza, że nie jestem zbyt zmęczony na powrót jeszcze dziś w nocy.

Staram się nie zastanawiać nad tym, co mnie aż tak goni, tylko wracam do swojego hotelu, pakuję się, wymeldowuję i ruszam w drogę. Mogłem tutaj przenocować, przespać się porządnie i wrócić rano.

Nikt na mnie nie czeka w Heart's Edge. Mam tam tylko sprawę do załatwienia.

*A jeśli Haley czeka na ciebie, kretynie?*

*A jeśli czeka, aż wrócisz?*

Wciąż zadaję sobie te pytania i się zastanawiam.

Jeden płomienny pocałunek nie zmienia faktu, że została bardzo skrzywdzona. Rana jest jeszcze świeża, a ja wcale u niej nie punktuje, bo jesteśmy jak ogień i lód. Ścieramy się, parzymy i mrozimy, doprowadzając do za-mieszania, które tylko zniszczy nas oboje.

Co nie powstrzymuje mnie od wciśnięcia nogi w pedał gazu nieco mocniej, żeby szybciej pokonać dzielące mnie od rodzinnego miasta kilometry.

Mam okazję obejrzeć wschód słońca pojawiającego się nad górami, gdy wjeżdżam na bardziej znajome międzystanowe drogi, które mówią mi, że jestem prawie w domu. Nie spodziewam się, że w torbie zaczną dzwonić mi telefon.

Dziwne. Ludzie dzwonią do mnie tylko w interesach, ale o tej porze rano?

Nie udaje mi się odebrać wystarczająco szybko, bo jedną ręką trzymam kierownicę, więc zatrzymuję się na chwilę, żeby wyciągnąć komórkę, a potem włączam głośnik i jadę dalej, podczas gdy uruchamia się poczta głosowa.

Nagle niemal wjeżdżam w znak drogowy.

W telefonie odzywa się cichy głos Tary, odtwarzany w formie pospiesznych, nerwowych słów.

„Warren?”. Brzmi na bardzo przestraszona, bardzo zagubiona. Serce podskakuje mi ze strachu, od którego włoski na przedramionach aż mi stają.

Zaciskam mocniej palce na kierownicy. „Wszystko jest złe. Chciałabym...

Chciałabym, żebyś tu był. Boję się, nie widziałam cioci Hay i... zwykle jest już w domu, a on tu jest. Kiedy wracasz? Będziesz niedługo w domu?”.

Kurwa mać.

Jakiegokolwiek ciepło, które rozlało się w moim sercu, gdy usłyszałem, że ta kochana dziewczynka nazywa Heart's Edge *domem*, zostaje całkowicie zalane falą nagłych mdłości.

*On tu jest. Co miała na myśli? Kogo?*

*I dlaczego Haley nie wróciła jeszcze z pracy?*

Przychodzi mi do głowy tylko jeden człowiek.

Bress. Pierdolony Dennis Bress musiał się zorientować, że zaczynam się do niej przywiązywać, i uznał, że będzie stanowiła dobrą kartę przetargową.

Jeśli coś jej zrobił, to...

Sam nawet nie wiem.

W tej chwili nie mam do siebie zaufania. Jednak w jego przypadku nie mogę niczego wykluczać. Nie mogę też wykluczać niczego w swoim przypadku, jeśli się okaże, że przez moje sprawy coś jej się stało.

W tej chwili to o jej bezpieczeństwo się obawiam.

Po tym, co zrobił Jennie, jego moralny kompas zapewne nawet nie odnotuje faktu pozbycia się Haley. Dłonie mnie bolą, bo wciskam je w kierownicę. Dociera do mnie, że jadę trzydzieści kilometrów powyżej dozwolonej prędkości, wpatrując się intensywnie w drogę. Wybuchowa mieszanina wściekłości, endorfin i nieustępliwego, kłusającego przerażenia sprawia, że ramiona trzęsą mi się z napięcia.

Nie mam czasu przejmować się ani policją, ani radarami. Nie w sytuacji, gdy Hay mogła zostać wzięta na cholerną zakładniczkę lub gdy mogło jej się przydarzyć coś jeszcze gorszego.

Może być martwa.

Martwa jak twoja siostra.

Ledwie zerkam w lusterko wsteczne, po czym przyciskam pedał gazu i pikap rwie naprzód, w rytm szalonego bicia mojego serca.

Kolejne dwadzieścia minut mija w napięciu, gdy pokonuję ostatnie kilometry do Heart's Edge. Niebo rozpala się światłem poranka, zbyt jaskrawym jak na mój ponury, mroczny nastrój. Chmury pyłu ciągną się za moimi oponami, gdy pokonuję ostatni zakręt w kierunku Uroczyska i domków.

Wjeżdżam w tylną alejkę i wyskakuję z pikapa, ale nie widzę nigdzie mustanga Haley.

Stoi tu za to inny samochód, którego nie rozpoznaję — nowszy chrysler w lśniącej czerni. Za dzieciaka takie wozy nazywaliśmy *miastowymi*. Nikt w Heart's Edge nie jeździłby czymś takim, bo na tutejszych drogach pewnie zgubiłby zawieszenie.

Nie ufam temu samochodowi.

Przynajmniej nie należy do Bressa, ale niech to.

Niemal wyskakuję z własnej skóry, gdy drzwi bliźniaka otwierają się gwałtownie.

Tara wybiega ze środka, jeszcze w pizamie, i przyciska się do mojej nogi.

— Warren!

— Hej. Hej, smarkulo. — Ze względu na nią próbuję mówić łagodnym głosem, bo widać, że jest zdenerwowana. Ma wilgotne oczy, zachrypnięty głos i cała się trzęsie, przyciśnięta do mnie. Chwytam ją za ramiona i ściskam lekko, jakby to miało ją powstrzymać przed wycuciem mojego niepokoju. — Co się stało? Gdzie jest Hay? Czy on ją skrzywdził?

Mała kręci szybko głową i chowa twarz w moim brzuchu.

— N-nie, ale był obrzydliwy i go nie lubię.

— Kto to jest? — Głos mi się niemal załamuje. — Taro, kto? Gdzie zabrał Hay?

— Głupi brzydal Eddy — mruczy przy moim brzuchu. — Nie *lubię* go.

Pojechali na śniadanie beze mnie. Ciocia kazała mi tu zostać. Powinnam była pojechać z nimi i go *kopnąć*.

Eddy? Noż *ja pierdolę*.

Nie jestem pewny, co jest gorsze — telefon od przestraszonej dziewczynki, po którym stworzyłem w głowie wszystkie te scenariusze z porwaniem, co skończyło się złamaniem kilku przepisów, żeby w rekordowym tempie dotrzeć na miejsce i uratować Hay.

Czy fakt, że ona tylko je śniadanie ze swoim gównianym byłem.

Mimo że uchodzi ze mnie strach, pojawia się wściekłość.

*Co u licha?*

Dała mi jasno do zrozumienia, że z nim skończyła. Że nie chce go więcej widzieć, a ja już jestem cholernie sceptycznie nastawiony do człowieka wykorzystującego swoje stanowisko do wyśledzenia kobiety, która słusznie go rzuciła, bo ją zdradzał.

Nie powinienem wściubiać w to nosa. To nie moja sprawa.

Ale kiedy Tara podnosi na mnie wzrok i z żalną miną błaga:

— Przegonisz go, prawda?

Nie musi prosić dwa razy.

Zaraz wkroczę na pole minowe i stracę na nim nogę, ale niech to, pojedę się upewnić, że z Hay wszystko w porządku.

— Pewnie, smarkulo — mówię. — Idź się ubrać, a ja zabiorę cię na śniadanie. Pojedziemy sprawdzić, czy ten głupi brzydal Eddy nie denerwuje twojej cioci.

Dziewczynka w mgnieniu oka jest ubrana i zapakowana do mojego samochodu. Milczę, przekonując samego siebie w myślach, że nie mam prawa zachowywać się zaborczo. Wielka szkoda.

I bardzo dobrze, że Tara mówi za nas dwoje.

Opowiada mi, że Eddy przyjechał dziś rano i walił do drzwi, póki Hay mu nie otworzyła. Podobno gadał. Dużo. O wiele za dużo.

Haley nie była w stanie nic wtrącić, aż w końcu powiedziała, że go wysłucha, ale nie tutaj.

Więc kazała Tarze zamknąć drzwi na klucz i nie otwierać nikomu poza Wilmą, ale małej nie podobało się, że została sama. Chciała po prostu pozbyć się obrzydliwego faceta, a ja byłem najlepszą osobą, do której mogła w tym celu zadzwonić.

— Kto ci dał numer? — pytam.

Nie przypominam sobie, że bym podawał go nawet Haley.

Tara się rozpromienia.

— Babcia Wilma — odpowiada. — Wpadła zobaczyć, co u mnie. Powiedziała, że będziesz chciał wiedzieć o tym całym Eddym.

Oczywiście.

Oczywiście, kurna, że babcia się wtrąca, bawi w swatkę, uruchamia w najgorszy możliwy sposób wszystkie moje neandertalskie odruchy.

Ja pierdolę.

Osiągnęła swój cel. Czuję szaloną potrzebę, żeby przerzucić sobie Hay przez ramię i zaciągnąć ją do mojej jaskini zaraz po tym, jak rozkwaszę nos Popaprańcowi Eddy'emu.

Jakby akurat babcia musiała mnie do tego zachęcać.

W ogóle nie powinienem myśleć w ten sposób. Ale myślenie mam już za sobą, teraz muszę działać.

\*\*\*

MUSTANG HALEY stoi przed restauracją.

Gdy parkujemy, widzę ją przez okno. Siedzi naprzeciwko jakiegoś mężczyzny. Idiota grzebie widelcem w solidnej porcji stojącego przed nim jedzenia, które wybrał.

Haley nie zamówiła niczego poza kawą. Siedzi skulona, zamknięta w sobie, odgradzona, jakby chciała utrzymać obronną pozycję, która nie dopuści do okazania żadnej słabości. Nie w sytuacji, w której on mógłby to wykorzystać.

Kto może ją winić? Koleś wygląda jak sprzedawca-wazeliniarz, wcielenie powierzchownego uroku. Nie cała moja niechęć bierze się z tego, jak potraktował Haley. Jest w nim coś oślizgłego — od zaczesanych do tyłu rudawozłotych włosów po uśmiech, który nie sięga jego małych oczek, nawet kiedy szczyrzy się do niej tak przymilnie i sztucznie, że mam ochotę wybić mu zęby.

*Spokojnie, kolego, warczę sam do siebie.*

Na szczęście nie wygląda na to, żeby rozmowa szła dobrze. Facet mówi dużo, pewnie za dużo, natomiast Hay zaciska mocno usta. Kręci raz za razem głową.

Zobaczyłem wystarczająco.

Gdy wchodzimy z Tarą do środka, docierają do mnie ciche, stanowcze słowa Hay, którymi przerywa Eddy'emu.

— Nie — mówi nieprzejeđnana. — Nie, Eddy. Schrzaniłeś i musisz teraz z tym żyć. Ja nie muszę.

— Ale kotuś. — O cholera, ależ mam ochotę trzasnąć go w gębę za tego „kotusia”. — Każdy czasem coś spieprzy. Każdemu zdarza się potknięcie.

Zdarza się stracić nad sobą panowanie, a ja po prostu... Po prostu musiałem to z siebie wyrzucić. Trochę mi odbiło. Teraz już mi przeszło i tęsknię za tobą. Bardzo za tobą tęsknię.

Usta Haley drżą, jej oczy lśnią tak bardzo, jakby mogła wytworzyć błyskawicę swoim przyszywającym spojrzeniem.

— Mówiąc to wszystko, chcesz powiedzieć, że tak się bałeś ze mną być, że się potknąłeś i twój kutas wylądował w mojej najlepszej przyjaciółce?

— Co? Nie, ja... chcę po prostu, żebyś wróciła do domu. Daj spokój, kotku. Łączyło nas coś dobrego. Pozwól zabrać się z powrotem do domu, jak najdalej od tej zapadłej dziury, w której połowa mieszkańców wygląda tak, jakby nie potrafiła zawiązać sznurówek.

Nie jestem pewna, kto szybciej się krzywi z powodu jego złośliwego przytyku — ja czy Hay.

— Widzisz, problem w tym, że nie wydaje mi się, żeby to było potknięcie — wtrąca Hay. Nawet nas jeszcze nie zauważyła, skupiona na swojej ofierze, którą patroszy każdym kolejnym słowem. — Nie wydaje mi się nawet, żeby problem tkwił we mnie. Chodzi o ciebie, Eddy. Taki jesteś naprawdę i nie mogę uwierzyć, że zmarnowałam tyle lat, pieniędzy, wysiłku i *miłości* na ciebie.

— Haley...

— Nie. — Jej głos jest zachrypły, oczy lśnią wilgocią. — Musisz natychmiast stąd wyjść. Nie kontaktuj się ze mną więcej. Zmienię bank. A jeśli jeszcze kiedyś się do mnie zbliżysz, bez względu na to gdzie będę, wezwę policję.

Jej głos załamuje się na ostatnim słowie, a wtedy Tara odrywa się ode mnie i rzuca przez salę restauracyjną, wpadając do boksu obok Haley, by przykleić się do jej boku w mocnym uścisku.

— Nie płacz, ciociu! — prosi. — Przyjechałam z Warrenem, żeby ci pomóc!

Haley blednie i podrywa głowę, patrząc na mnie ponad ramieniem tego zadufanego w sobie dupka.

— Och — szepcze. — O cholera.

— Nie martw się — mówię. — Nie przyjechałem, żeby pogorszyć sprawę.

Podchodzę bliżej z gniewnym spojrzeniem. Eddy mierzy mnie z góry na dół z tak szyderczym uśmiechem, tak wyraźnie poirytowany, że mu prze-rwano, że muszę go trochę wkurzyć. Bo w przeciwnym razie wyszarpię mu tę atrapę, którą nosi zamiast kręgosłupa.

Więc ignoruję go całkowicie, jakby nie był na tyle ważny, aby zwracać na niego uwagę, i skupiam się na Haley.

— Wszystko w porządku, kotuś?

Kiwa głową, sztywno i nerwowo.

— Właśnie kończyłam to spotkanie — odpowiada, obejmując siostrzenicę za ramiona.

Eddy marszczy brwi.

— Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy.

— Ty nie skończyłeś — odpowiada, szturchając Tarę, żeby wysunęła się z boksu, aby obie mogły wstać. — Ja nie mam ci nic więcej do powiedzenia i nawet nie mam już ochoty cię słuchać.

Eddy podnosi się szybko, stając pomiędzy mną i Hay. Zaczyna wyciągać do niej rękę.

Hay odsuwa się i ustawia pomiędzy Eddym a Tarą, piorunując go wzrokiem. Facet zamiera, unosząc obie ręce w górę.

— Jeszcze nie powiedziałem wszystkiego. — Zarozumialec... Jakby tylko to się liczyło. — Kochasz mnie, Haley. Chciałaś spędzić ze mną resztę życia.

— A teraz nie chcę spędzić z tobą ani chwili dłużej. — Zaczyna się przeciskać obok niego, ale on się przesuwa i zagradza jej drogę swoim ciałem.

Dość tego pajacowania.

Marszczę czoło i stoję tuż za nim. Tak blisko, żeby mnie poczuł, żeby poczuł, na co się zanoszą. Wiem, że mam nad nim co najmniej trzydzieści kilogramów

masy mięśniowej przewagi, nie wspominając o wzroście.

— Jesteś głuchy? — warczę. — Ona nie chce już z tobą rozmawiać. Prosiła, żebyś wyszedł.

Eddy odwraca się do mnie szybko, omiatając mnie pogardliwym wzrokiem. Prawdopodobnie uznaje mnie za małomiasteczkowego prymitywa i ignoranta, a może sprawdza, skąd, u licha, znam kobietę, którą uważa za swoją własność.

— To nie twoja sprawa — mówi lodowatym tonem. — Dlaczego niepokoisz Haley?

Przysuwam się bliżej. Bliżej. *Bliżeeej*, aż znajdujemy się niemal oko w oko, a kiedy się uśmiecham, wygląda to tak, jakbym obnażał kły.

— Moim zdaniem to nie ja tu ją niepokoję. Ale masz trzy możliwości.

Możesz wyjść stąd na własnych nogach. Możesz zostać stąd wyniesiony, kiedy zarzucę sobie twój tyłek na ramię i wyciągnę cię stąd siłą. Albo możesz wyjść w kajdankach, gdy przyjedzie policja i oskarży cię o prześladowanie.

Eddy prychnął z oburzeniem. — Prześladowanie? To jakiś absurd!

— Nie. To ty jesteś absurdalny. Bo ja akurat wiem na pewno, że Hay nie dała ci swojego adresu, więc musiałeś jakoś go zdobyć. — Krzyżuję ręce na piersi, tworząc mur ze swojego ciała. — Więc podejmij decyzję: sam zostawisz moją dziewczynę czy trzeba cię wyciągnąć siłą?

*Moją dziewczynę.* Słowa wydobywają się z mych ust — w obecności kilkunastu wścibskich klientów, przysłuchujących się nam z zainteresowaniem — zanim jestem w stanie je powstrzymać.

Kuźwa. Mówię to tylko po to, żeby Eddy się odpierdolił i zdał sobie sprawę, że jest na przegranej pozycji, ale do cholery, to brzmi dobrze.

Eddy wodzi wzrokiem między mną i Hay z czymś w rodzaju pogardy.

Obrzydzenia. Szyderstwa.

Zaraz potem parska drwiącym śmiechem, wpatrując się w nią, i wskazuje na mnie.

— Serio? To jest twoje pocieszenie? Ależ nisko upadłaś.

Tara marszczy brwi, pokazuje mu język i rzuca:

— Nie mów tak o Warrenie, ty brzydalu.

Chwilę później wysuwa się szybko naprzód i kopie Eddy'ego w goleń.

Facet cofa się chwiejnie z okrzykiem, lecąc prosto na mnie.

Nie ruszam się, tylko przytrzymuję tego idiotę. Nie pozwolę mu upaść, ale nie będę go też łapał.

Zatacza się, odbiwszy ode mnie, i odzyskuje równowagę. W restauracji rozlega się cichy śmiech.

Eddy się prostuje, wygładza marynarkę i rozgląda z urazą i jaskrawoczerwonymi policzkami. Znam ten typ.

Zagroź mu przemocą, a uzna cię za niewychowanego chama.

Upokorz go publicznie i uraż nieco narcystyczne ego, a weźmie nogi za pas i ucieknie.

Gość udowadnia, że mam rację, gdy pociąga nosem, poprawiając spinki od mankietów.

— Zabawiaj się ze swoim neandertalczykiem, jeśli masz ochotę, Haley —

mówi zimnym głosem. — Jeśli twoim zdaniem w ten sposób musisz mnie ukarać, w porządku. Wróć do domu, kiedy będziesz gotowa znów zachowywać się jak dorosła.

W jego słowach pobrzmiwa celowa złośliwość. Zastanawiam się, czy Haley po raz pierwszy ma okazję zobaczyć go od tej strony, bo robi się blada i wygląda na wyczerpaną i pustą.

— Mój dom nigdy nie był przy tobie — odpowiada Hay cicho, ale stanowczo. — I nigdy nie będzie.

Eddy milczy przez chwilę — tylko tyle czasu dostaje. Potem łapie go za ramiona i wynoszę gnoja na zewnątrz. Rzucam go na chodnik, gdy tylko wychodzimy za drzwi.

— Ty prymitywie, to była na...

— Napaść? Tak. A będzie pobicie w samoobronie, jeśli nie zabierzesz swojego tchórzliwego tyłka z mojego miasta — warczę, widząc, jak jego usta drgają z wściekłości, więc wskazuję palcem na okno. — Nawet nie myśl o żadnych prawnikach. Mam świadków. Wszyscy obecni w tej restauracji potwierdzą moją wersję.

Eddy wstaje powoli z niezręcznym prychnięciem. Czekam, aż się odsunie, po czym wracam do środka.

Patrzę przez okno, jak stoi niezdarnie, jakby właśnie sobie przypomniał, że zostawił samochód w zajeździe. Potem z wyprostowanymi jak struna plecami i zadartym nosem odwraca się i odchodzi poboczem w swoich włoskich, skórzanych półbutach, od których szybko zrobią mu się odciski.

I dobrze.

Znika, a Haley wiotczeje i z jękiem opiera się mocno o Tarę. Podchodzę do niej szybko i zaczynam wyciągać do w jej kierunku ręce, a potem postanawiam chrzanić wszystko i kładę dłoń na jej plecach.

— Hej — mówię. — Nic ci nie jest?

— Nie. Może — odpowiada, a potem kręci szybko głową. — Jest.

— Chodź. — Czuję, że to najbardziej naturalna rzecz pod słońcem, że obejmuję ją ramieniem i przyciągam do siebie, a potem prowadzę do drzwi.

— Pojedźmy w bardziej ustronne miejsce, gdzie będziesz mogła trochę się odprężyć.

Hay sztywnieje na chwilę, a potem opiera się o mnie, jakby potrzebowała, żebym ją podtrzymał, i wtula się w zagięcie mojego ramienia. Robi mi się ciepło na sercu. Czuję się niemal zadowolony, kiedy jestem w stanie coś dla niej zrobić.

Kiedy jestem jej fizyczną i metaforyczną tarczą.

Zrobiłbym to dla każdego, kto znalazłby się w sytuacji, w której nie chce się znajdować, zwłaszcza ze skurwielem pokroju jej eks; jednak robienie tego dla Hay wydaje się jeszcze właściwsze.

Po tym wszystkim mam pewność, że jesteśmy, formalnie rzecz biorąc, przyjaciółmi. I wtedy to do mnie dociera.

Okłamywałem sam siebie.

Nigdy w życiu nie wystarczy mi bycie tylko „przyjaciółmi” z tą dziewczyną.



Muszę zrobić jakiś krok. Krok o wiele przyjemniejszy niż wyrzucenie na zbity pysk drania, który złamał jej serce.

Stanie się to pewnego pięknego dnia, kiedy ona będzie w lepszej formie, kiedy jej oczy nie będą takie puste i zszokowane, kiedy wróci w nich iskra.

Haley i ja musimy porozmawiać.

## ROZDZIAŁ 11. TEREN KLĘSKI ŻYWIOŁOWEJ (HALEY)



**N**ie byłam gotowa znów zobaczyć Eddy'ego.

Wciąż to sobie powtarzam w drodze powrotnej do Uroczyska. Przy okazji dowalając sobie przez całą drogę.

Szczerze mówiąc, nie byłam gotowa znów go zobaczyć, bo nie chciałam go już *nigdy* oglądać na oczy. A kiedy pojawił się przed domkiem z tym swoim aroganckim uśmiechem i zaczęło się całe to błaganie... Musiałam oszczędzić Tarze scen.

Po części z jej powodu nie przywaliłam mu od razu w gębę. Drugi powód był taki, że na sam widok jego twarzy wróciło to okropne, mdlące uczucie.

To samo, które ogarnęło mnie w salonie sukien ślubnych, w przymierzalni, w sukni, którą zamierzałam założyć na nasz cholerny ślub. Nie mogłam nigdzie znaleźć ani jego, ani Britney, więc podążyłam za znajomymi głosami i przytapałam ich na pieprzeniu się w przymierzalni. Britney miała na sobie suknię drużny, którą podciągnęła na wysokość bioder.

Jeśli chcieli mnie całkowicie zniszczyć w ciągu trzech sekund, to znaleźli na to dobry sposób.

Zawsze szczyliłam się tym, że jestem silna. Praktyczna i rzeczowa — aby zrównoważyć napady kreatywnej fantazji.

Ale tego dnia pękło we mnie coś delikatnego i emocjonalnego; coś cennego, czym miał się opiekować Eddy.

Roztrzaskał to jak podwórkowy łobuz, zamachujący się kijem baseballowym na biedronkę.

A teraz pojawił się właśnie tutaj i wykorzystał ostre, poszarpane resztki, żeby znów próbować mnie zranić.

Tylko dlatego, że ten samolubny dupek nie jest w stanie znieść przegranej.

Tylko dlatego, że nigdy nie nauczył się przyjmować odmowy.

Tylko dlatego, że to był zbyt duży cios dla jego dumy.

Ale musiało go to wtedy jarać, tamtego dnia, kiedy został przytapany — gra, w której ryzykował, że zostanie nakryty, przekonanie, że uda mu się ogarnąć i mnie, i Britney w tym samym budynku, bo nikt się nie zorientuje.

Dziwne, jak wyraźnie go teraz widzę.

Nie wiem, dlaczego w ogóle spodobała mi się jego płaska, sztuczna, zbyt gładka twarz. Dlaczego uznałam go za kogoś, kim nie był. Dlaczego byłam przekonana, że go kocham, choć teraz wiem, że mogę mieć w życiu coś dużo lepszego.

Nie żeby mężczyzna, który siedzi w milczeniu za kierownicą, był rozsądną opcją na coś lepszego, ale... nie mogę zaprzeczyć jednemu.

Jeśli serce zamarło we mnie na widok Eddy'ego, to niemal poszybowało pod słońce, gdy Warren nazwał mnie swoją dziewczyną.

Nie zwariowałam. Wiem, że powiedział to tylko pod wpływem chwili, żeby przepłoszyć Eddy'ego, ale pozwoliło mi to uświadomić sobie, że żywię wobec niego dużo bardziej sprzeczne uczucia, niż sądziłam.

Ale nie mogę się w tej chwili nad tym zastanawiać. Nie będę kłamać — jestem przybita i dołowana. Kiedy Warren zajeżdża pod nasz domek i wysiadamy, w pierwszej kolejności mówię Tarze, żeby poszła do głównego budynku sprawdzić, czy pani Wilma nie potrzebuje pomocy przy szydełkowaniu.

Tak będzie w tej chwili lepiej. Dla wszystkich.

Tara śle mi ciągle te żałosne spojrzenia, które mówią, że jej dziesięcioletnia główka jest aż nazbyt świadoma tego, co czuję. Nie chcę, żeby udzieliło jej się moje paskudne samopoczucie i też ją dołowało. Jest za młoda,

może nabrać przez to jakichś przekonań, które zostaną z nią na zawsze, a to nie byłoby sprawiedliwe.

Eddy wyrządził mi już wystarczająco dużo zła.

Nie pozwolę, żeby to zło objęło i ją.

Tara to najszcześliwsza dziewczynka, jaką znam, i jeśli mam w tej kwestii coś do powiedzenia, to tak pozostanie.

Warren niemal wisi nade mną, gdy wchodzimy po schodach. Zamiast podejść do swoich drzwi, rzuca mi zaniepokojone spojrzenie.

— Mogę wejść, Hay?

*Na Boga, nie wiem.*

Marszczę czoło i ponoszę na niego wzrok. Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co zrobił, walcząc o mnie w tamten sposób.

Nie wiem nawet, skąd wiedział, gdzie mnie znaleźć, ale domyślam się, że miały w tym swój udział dwa warkoczyki.

— Po co?

— Ponieważ. — Porusza dłońmi i kręci głową. Dzika czupryna ciemnych włosów ociera się o srogie brwi, które nie wyglądają tak surowo jak zwykle. Nie wtedy, gdy patrzy na mnie tak, jakbym w każdej chwili mogła się załamać. — Bo nie powinnaś, do cholery, zostawać teraz sama.

— Trzymaj wrogów blisko — mruczę cierpko, ale chwilowo... nie czuję, żeby był moim wrogiem.

Już od jakiegoś czasu.

Czuję, że jest raczej mężczyzną, który wciąż próbuje ratować mnie z opresji, raz za razem.

Jasne, czasem nie potrzebuję ratunku.

Ale dzisiaj? Wydaje mi się, że mógł mnie właśnie ocalić przed większym cierpieniem, niż byłabym w stanie obecnie znieść.

Kiwam na niego głową i wchodzę do środka. Idzie za mną, a kiedy opadam na kanapę, siada na tyle blisko, żebym czuła ciepło jego ciała i ciemny,

ziemisty, kojący zapach, który zdaje się wyciągać mnie ręce, jakby Warren otulał mnie pocieszeniem. Jakby sam ten zapach był w stanie odgradzić mnie bezpiecznie od świata zewnętrznego.

Nie wiem, co teraz powiedzieć, kiedy siedzimy tu obok siebie w niezręcznej ciszy. Wbijam więc wzrok w swoje dłonie i ściskam je razem na kolanach, a potem zaplątam na rzepkach.

— No więc — mówi z wahaniem.

— No więc? — odpowiadam.

— Jak się czujesz?

Uśmiecham się gorzko.

— Jak rozjechana przez samochód. A nawet gorzej... jak idiotka.

Warren przygląda się mi z namysłem. Obecna zwykle w jego oczach zaciekłość zniknęła, zastąpiona delikatniejszym, łagodniejszym ciepłem, którego nie spodziewałam się nigdy w nich zobaczyć. Nie w sytuacji, gdy wiecznie się ze sobą ścieramy i skaczemy sobie do oczu.

— Nie jesteś idiotką, Hay — zapewnia. — Idiotka to ktoś, na kogo zasługuje taki śmieć, a on ciebie *nie* ma.

Niski, zaborczy pomruk w jego gardle sprawia, że drzę na całym ciele.

— Ja tylko... — Kręcę głową i pocieram nasadą dłoni jedno oko, czekając, aż zacznie łzawić, bo już jest gorąco i suche. — To był on. To był prawdziwy Eddy. A ja mam wrażenie, że aż do dziś nigdy go nie widziałam. Nie wiem, jak dałam się mu tak łatwo zwieść, ale powinnam była mieć więcej rozumu. Naprawdę, jak mogłam być aż tak *głupia*?! Budowałam całe to wymyślone życie i wyimaginowaną przyszłość, jakby były prawdziwe, podczas gdy on przez cały ten czas tylko udawał.

Początkowo Warren nic nie mówi.

Odważam się na niego spojrzeć.

Wyciąga szeroką, opaloną dłoń i podaje mi ją cicho.

O Boże. Zastanawiam się, ile razy w ciągu jednego dnia mogę mieć złamane serce.

Raz przez zdradę. Drugi raz przez życzliwość.

Zagryzam wargi, potem wsuwam dłoń w jego, czując przyjemne, szorstkie ciepło, spowijające moje palce w kojącej bliskości, od czego zaciskają się komory mojego serca. Czuję się tak, jakby wszystkie drzwi prowadzące do wrażliwej części mojej duszy próbowały się zatrzasnąć i nie pozwolić mi zrozumieć, co oznaczają te uczucia.

— Hay, posłuchaj mnie uważnie — mówi stanowczo Warren. — To, co wydarzyło się z tym gnojkiem, to nie twoja wina. Jeśli cię oszukał, to dlatego, że sam postanowił cię oszukać. A nie dlatego, że ty zrobiłaś coś złe i temu nie zapobiegłaś. To oszust najgorszego rodzaju. Sprzedał ci kłamstwo

i chciał, abyś w nie uwierzyła, i to jego wina, że to kłamstwo zamieniło się dla niego w zabawę.

— Ale... — To dla mnie za dużo, więc próbuję mu przerwać. Zanim pojawią się łzy.

— Postuchaj, kotuś. To żadna zbrodnia kogoś kochać. W żadnym wypadku. Kochałaś człowieka, za którego go uważałaś, kochałaś swoje wyobrażenie o Eddym. To nie twoja wina, że na to splunął i zamienił twoją miłość w kłamstwo.

Gardło zaciska mi się potwornie i boleśnie. Przetękam z trudem ślinę, ściskając jego dłoń jak kotwicę, jak coś, co mnie ukorzenia. *Nie płacz, nie płacz...*

— Czy na pewno kochałam *jego*? — szepczę, pociągając nosem. — A może tylko jakiś ideał? Wszystko, co powinnam chcieć od życia? Męża. Dom. Dzieci...

Wargi mi drżą. To bolesne i straszne uświadomić sobie coś takiego.

Nie tylko to, że mój narzeczony nigdy mnie nie kochał. Może ja też go nie kochałam.

Akceptowałam go, albo raczej to, za kogo go uważałam, bo zdrowy rozsądek podpowiadał, że właśnie tego powinnam szukać w mężczyźnie.

Powinnam szukać kogoś stabilnego, czarującego, z dobrej rodziny. Kogoś, kto ożeni się z rzeczoznawcą ubezpieczeniowym, ale nawet nie spojrzy na pełnoetatową artystkę, kto będzie zbywał śmiechem „nieszkodliwe hobby”

swojej żony. Pod warunkiem, że będę malować wyłącznie pomiędzy produkowaniem kolejnych dzieci po nieuchronnym zakończeniu swojej kariery zawodowej. Pod warunkiem, że będę dbać o rodzinę i dom w czasie, gdy on będzie zajęty pieprzeniem się ze swoją ósmą sekretarką.

Do tego właśnie to wszystko zmierzało. Do samobójstwa z miłości, która nie była nawet prawdziwa.

Do zamordowania jedynej części mojej osoby, która wydaje się autentyczna. Do zamordowania własnych marzeń na rzecz mirażu. A wszystko dlatego, że za bardzo skupiłam się na celu podróży, a za mało na tym, z kim się w nią wybiorę.

Sztuka, kreacja wewnątrz mnie to burza, pożoga, huragan kolorów i emocji.

A ja zamierzałam odłożyć to na bok, aby poślubić mężczyznę, który pieprzy się z moją najlepszą przyjaciółką w przymierzalni.

To źródło prawdziwego wstydu, który odczuwam.

Nagle tama wewnątrz mnie pęka. Próbuję pohamować skowyt narastający w głębi gardła, ale nadaremnie.

Pochylam się i zaczynam rozpaczliwie szlochać, wybucham płaczem i zalewam się gorącymi łzami. Wysuwam dłoń z ręki Warrena, bo chcę zamknąć się w sobie, dopóki nie uda mi się tego *zatrzymać*.

Jedyny kłopot w tym, że on nie ma zamiaru na to przystać.

Nie spodziewam się twardego ciała, które nagle mnie otula, osłania mnie *Warrenem Fordem*, jakby mógł wykorzystać swoją masywną postać, żeby odgrodzić mnie od moich własnych uczuć.

— Haley. — Wypowiada moje imię tak łagodnie, tak zapalczywie. Szorstki pomruk, ocierający się o kości.

Z miękкими, łagodnymi, kojącymi dźwiękami przyciąga mnie do siebie, a ja mu na to pozwalam.

Dobrze jest się do niego przytulić i to nie tylko dlatego, że jest umięśniony i powalająco przystojny, a pod dłońmi wyczuwam ponętne ścięgna, gdy przyciskam się do niego i łapię go za ramiona.

Ale dlatego, że jest ciepły. Że jest ludzki. Że pod spowijającą go wiecznie otoczką zrzędy kryje się przyzwoity człowiek.

Dobry, troskliwy człowiek, który może i nosi maskę palanta, który może tkwi po uszy w jakimś szaleństwie niedającym się objąć umysłem, ale robi to po to, żeby ukryć własną łagodność.

To właśnie ona sprawia, że sadza mnie sobie teraz na kolanach i przytula mocno, pozwalając mi się wyplakać.

— Warren, ja...

Sama nie wiem. Bo to dopadło mnie jak kataklizm.

Tak naprawdę nie pozwoliłam sobie wcześniej na taki potężny płacz nad zaprzepaszczonymi zaręczynami i zdradą.

I uderza mnie to ot tak — katharsis, którego potrzebuję, by odsunąć te wydarzenia na bok, aby stały się tylko wspomnieniem, dzięki czemu będę mogła naprawdę się pozbierać i żyć dalej.

— Nic ci nie jest — mruczy Warren, wciągając mnie jeszcze mocniej w swoje objęcia. — Dopóki jesteś przy mnie, jesteś bezpieczna. Nic ci nie jest. Jesteś wolna.

O słodki Jezu, nie ma nawet pojęcia jak bardzo.

Rozpadam się na kawałki. Mam wrażenie, jakbym płakała przez godzinę.

Przez ten cały czas Warren tuli mnie cierpliwie, trzyma blisko, mówi do mnie łagodnie coś, czego do końca nie rozumiem. Ale spokojny pomruk jego głosu koi mnie tak, że nie mam już poczucia, jakbym miała się rozpaść przy każdym głębokim, chrapliwym szlochu.

A gdy stopniowo cichnę i przytulona do niego trę oczy, on pyta:

— Lepiej?

— Lepiej — odpowiadam z wahaniem, opierając głowę o jego ramię.

— Przepraszam. To musi wyglądać śmiesznie.

— Nie masz za co przeproszać, Hay. Słyszałaś mnie za pierwszym razem.

— Ściska mnie ciepło i łagodnie. — W tej chwili masz prawo czuć to, co, kurwa, chcesz, i to jest w porządku.

Uświadamiam sobie, że może ma rację.

To nie są z jego strony jakieś frazesy. Czyny przemawiają głośniej niż słowa, a przynajmniej tak się mówi.

On mnie wspiera. Całą swoją wielką, wytatuowaną, twardą jak skała postacią.

Więc przekrzywiam głowę i patrzę na niego, studiując surowe linie jego szczęki i czysty zarys brodatego profilu, przebłysk górskiej szorstkości, przez którą przypomina trochę dzikie zwierzę.

Zagryzam wargę.

— Dzięki, Warren. Nie zapomnę ci tego.

Pochyla się i patrzy na mnie z nieśmiałym uśmiechem.

— Dziękować też nie musisz — żartuje cicho. — Robię to tylko po to, żeby spłacić karmiczny dług.

— Niezła próba, drogi panie. Wybaczam ci, ale myślę, że musiałbyś uratować jeszcze dziesięć sierot, żeby wkupić się znów w łaski bogów — odpowiadam, czując, że uśmiech przedziera się przez moje własne posępne chmury.

Warren odpowiada uśmiechem, który rozjaśnia jego oczy.

— Uratowałem przybłędę. Możesz uznać go za dziewięć sierot, Hay.

— Martwi mnie, że nie jestem pewna, czy mówisz o Mozarcie, czy o mnie.

— Wziąwszy pod uwagę to, że przez większość czasu wściekasz się jak mokry kot...

— *Ej.* — Ze śmiechem szturcham go lekko w pierś. — Chociaż właściwie masz rację. Ja... próbowałam się tak nie złościć, ale to *trudne*. Czuję się tak, jakby cały świat postanowił się na mnie wypiąć jednocześnie, więc tak, jestem wkurzona. Na Eddy'ego, na byłą przyjaciółkę, na waźniaków w garniturach, którzy dali mi wypowiedzenie, na właściciela galerii, na ludzi, którzy oglądali moje obrazy i w ogóle ich one nie obeszyły. — Wydobywam z głębi gardła prychnięcie frustracji, wiedząc, że brzmię przez to jak sfochowana artystka. Boże. — Ale... nikogo z nich nie obchodzi, czy jestem na nich wściekła. W zasadzie nie pamiętają, że w ogóle istnieję.

Więc mam wrażenie, że to bezcelowe, i owszem, ostatecznie wściekam się na *wszystkich*. To bez sensu. To wszystko niczemu nie służy.

— Nie jest bez sensu. — Warren znów mnie ściska. Jego wielka, silna ręka wokół mnie sprawia, że czuję się bezpieczniejsza, pewniejsza po tym, jak przez wiele dni znajdowałam się w kompletnej rozsypce. — Wściekam się z jakiegoś powodu, Hay. Często jest tak, że to właśnie złości potrzebujemy najbardziej, żeby iść naprzód w obliczu syfu, który w innym wypadku sprawiłby, że się zamkniemy, poddamy, znieruchomiejemy. Trzeba tylko wiedzieć, kiedy gniew jest przydatny, a kiedy rani tak mocno, że czas się go pozbyć.

To, co mówi, ma sens. Dużo większy niż chcę przyznać.

Gdyby to wszystko nie rozbudziło we mnie takiej złości, mogłabym w ogóle nie trafić do Heart's Edge.

Mogłabym po prostu pojechać do siostry, zwinąć się na kanapie w jej pokoju gościnnym i przez kilka miesięcy odmawiać normalnego funkcjonowania. Zamiast tego postanowiłam się spakować i wcisnąć przycisk reset.

I jasne, od tego czasu wszystko poszło zupełnie nie tak, a ja poniekąd utknęłam w jakimś zaściankowym górskim miasteczku, świecąc cyckami, żeby dostać napiwki, które pozwolą mi zacząć nowe życie w Chicago, ale nie jest tak całkiem źle.

Nie popadłam w stagnację. Mam nad wszystkim kontrolę. I w sumie nawet dobrze się bawię.

A patrząc na Warrena, wiem coś jeszcze — sceneria w Heart's Edge nie jest wcale taka najgorsza.

Zatem może, ale tylko może... jestem też gotowa, żeby przestać się wściekać.

— Więc jeśli nadszedł czas, żeby przestać się złościć — pytam ostrożnie

— to co wtedy?

— Wtedy? — Wypuszcza powoli powietrze. — Dowiadujesz się, co chcesz czuć. Co musi się wydarzyć, żeby to było prawdziwe.

Nie wiem, co to jest. Wydaje mi się, że przede wszystkim chcę się czuć szczęśliwa. Pełna nadziei.

Chcę mieć poczucie, że jeśli będę dalej drążyć skałę, po drugiej stronie czeka mnie coś dobrego.

W tej chwili, kiedy Warren mnie przytula, a jakaś część bólu w sercu została ukojona, wcale nie jest trudno w to uwierzyć. Nawet jeśli nie chciałam dziś widzieć Eddy'ego, to było to zakończenie, którego potrzebowałam.

W głębi serca jakaś część mnie była przekonana, że zrobiłam coś, co popchnęło Eddy'ego w ramiona Britney. Że może zasłużyłam na to, że oboje zachowali się jak dwulicowe szuje.

Ale teraz czuję prawdę w sercu.

Nie zrobiłam nic złego. Nie zasłużyłam sobie na to.

Nie muszę żyć z bólem, który mi zadali, bo to tak, jakbym dała im wygrać.

A wiem to dzięki tej ogromnej, przystojnej komplikacji, która patrzy na mnie z góry.

Uśmiecham się do niego mimo woli. Warren przekrzywia głowę.

— Ta mina dużo bardziej mi się podoba, Hay. Ten uśmiech, który masz na twarzy?

Nagle wkłada palce do ust i gwizdże. Wybucham śmiechem i klepię go żartobliwie w pierś.

— Mamuśka, pozamykaj chłopaków...

— Przestań! — Znów trzepię go w pierś, tym razem trochę mocniej.

— Zachowujesz się absurdalnie.

— Nie. Mamy tu dziką kotkę. Jest piękna i szczęśliwa.

Kręcę głową.

— Po prostu przemyślałam sobie kilka rzeczy. Staram się zmienić swoją sytuację na lepsze.

— To dobrze — mruczy ciepło i znów mnie ściska.

Mimo woli wtulam się w niego. W tej chwili dzięki niemu wszystko wydaje się takie stabilne.

— Hej — mruczę.

— Hm?

— Wiesz, że nie potraktowałam cię sprawiedliwie na początku? Chcę cię po prostu za to przeprosić.

Warren parska swobodnie i serdecznie, delikatnie i ani trochę kpiąco.

— Mówisz poważnie, Hay? Kiedy się poznaliśmy, złapałam cię znieczeka i zacząłem na ciebie wrzeszczyć.

Uśmiecham się szeroko.

— No dobra, racja.



— A ty dzieliłaś mnie torebką.  
— *Zasłużyłeś* sobie — piszczę i dźgam go palcem w bok.  
— Może i tak. — Kręci z rozbawieniem głową. — Chodzi o to, że zaczęliśmy źle na wszystkich możliwych frontach. Od tego czasu kilka razy ogłaszaliśmy zawieszenie broni, ale...

— Nie prawdziwy rozejm — kończę.  
— Dokładnie. — Przekrzywia głowę, wbijając we mnie spojrzenie swoich niebieskich oczu. — Co powiesz, żebyśmy dziś to zmienili? Jeśli się zgadzasz, jeśli jesteś gotowa...

Przytrzymuje mnie inaczej, przyciąga bliżej, aż udem przyciskam się do potężnego wybrzuszenia mięśnia na jego nodze. O wow.

Moje ciało aż za dobrze dopasowuje się do jego biodra, do jego boku. Dopasowuje się w sposób, który gdzieś głęboko we mnie wiruje ciepłem i sprawia, że przychodzi mi na myśl znacznie więcej niż samo powiewanie białą flagą na znak pokoju. A kiedy Warren wyciąga do mnie rękę, prawie zaczynam drżeć.

Bo myśl o dotknięciu go *robi* ze mną różne rzeczy, podsuwa mi grzeszne, ciemne i szalone pomysły.

— Ogłaszam rozejm — mówi. — Wchodzisz w to?

Wiem, o co pyta.

Czy możemy zacząć od nowa? Czy możemy spróbować zostać przyjaciółmi? Czy możemy widzieć w sobie ludzi, choć wydaje mi się, że na to już za późno?

Już jakiś czas temu przestałam postrzegać go jako kompletnego, piramidalnego palanta i zaczęłam widzieć w nim kogoś, dzięki komu nie żałuję swojego pobytu w Heart's Edge.

Kogoś, kto złości mnie tylko dlatego, że czuję frustrację na myśl o tym, jak silnie na niego reaguję, jak łatwo temu obcemu mężczyźnie mnie rozśmieszyć i zranić. Jak bardzo jestem przerażona, że mogę być przy kimś równie *bezbronna*.

Przeraża mnie to, ale w głębi serca podoba mi się ten dreszczyk emocji. I to on popycha mnie, aby zrobić coś szalonego. Coś narwanego.

Coś, co chciałam zrobić od chwili, gdy mnie pocałował.

— Hay? — wypowiada znów szeptem moje imię, patrząc mi pytająco w oczy.

Więc przysuwam się bliżej i wsuwam dłoń w jego dłoń.

— Zgadzam się — szepczę. — Zgadzam się całą sobą, Warren.

A potem podciągam się wyżej, przesuwając ciało wzdłuż jego ciała, i całuję go tak, jakby świat właśnie stanął na głowie.

On zamiera tylko na chwilę, zagubiony w zdumionym oddechu, a kiedy myślę, że być może mnie odepchnie, zbędzie to śmiechem, powie: „Nie, nie o to mi chodziło”...

Nagle podejmuje decyzję.

Nie ma nic poza nim, mną i zderzeniem naszych ciał, gdy Warren odpowiada na pocałunek, gdy mocno przyciska wargi do moich, z jękiem

upodobniającym go do zwierzęcia zerwanego z uwięzi, jękiem, w którym pobrzmiewa niemal ból.

Palący, dziki, wściekły, bierze moje usta i nie pozostawia najmniejszych wątpliwości, kto tutaj kontroluje sytuację, nawet jeśli to ja wszystko zapoczątkowałam.

Zapiera mi dech, zwala mnie z nóg, kiedy miażdży moje usta pocałunkiem będącym brutalnością, słodyczą i wszystkim, czego potrzebuję, żebym znów mogła poczuć się sobą.

Żebym znów mogła poczuć się żywą, oddychającą kobietą, a nie jakimś pogrążonym w żałobie, obszarpanym rozbitkiem na brzegach własnego życia.

Nie wiem, jak nagle ląduję okrakiem na kolanach Warrena, a jego ciało rozpycha mi uda tak, że otwieram się dla niego.

Czuję tylko przy sobie, pod sobą, niekończącą się siłę, a potem jego dłonie chwytające mnie mocno za tyłek.

Pociąga mnie gwałtownie w dół, nacierając na mnie jeszcze głębszym pocałunkiem. Za każdym razem, gdy jego język dogania mój, czuję to w najbardziej wilgotnych głębinach mojej cipki.

Jakby już wszedł we mnie, choć ledwie mnie dotknął.

To, że czuję, jaki jest twardy, wcale nie pomaga.

Jego fiut ociera się między moimi udami, szarpie moje spodenki, już pulsuje.

To wściekłe drganie wzwołu wywołuje jakąś szaloną reakcję w moim krwiobiegu. Sama świadomość, że tak na niego działam jednym ostrym, wygłodniałym pocałunkiem...

Mogę sprawić, że pragnie mnie równie mocno, jak pożąda go żar w mojej krwi.

Przerywa pocałunek i przyciska się czołem do mojego czoła, charcząc w rwanym oddechu.

— Ja pierdolę. Ja pierdolę, Hay.

Te masywne palce ugniatające mój tyłek niemal sprawiają, że dochodzę tu i teraz.

Wpija się we mnie mocno, przyciskając bliżej do siebie. Jego ocieranie się i rytm wprawiają w drżenie całe moje ciało od stóp do głów, piersi tkwią ciężko między nami, brodawki pulsują boleśnie pod cienką koszulką, gdy ocierają się o jego tors.

To jak gra wstępna z ocieraniem się i pieszczotami, rozlewająca się po całym ciele.

Przylega do mnie każdy skrawek jego umięśnionej postaci. Każda moja wypukłość przesuwa się wzdłuż niego tak, że wszędzie sypią się iskry. A te iskry zamieniają się w płomienie, gdy skubie zębami moje wargi, otwiera sobie drogę do środka, zaplata palce na moim karku, bierze w garść włosy i wciąga mnie *głęboko*.

— Warren — dyszę, przesuając rozczapierzone dłonie po jego piersi.

Chwytam go za koszulkę i ciągnę.

Boże.

Chcę skóry. Chcę poczuć pod rękami twarde, poskręcane supeł mięśni z brązu i szalone tatuaże. Warren drży pode mną jak ogromna maszyna, której silniki wchodzić właśnie na najwyższe obroty.

— Kurwa — szepcze mi przy ustach, kładąc dłonie na moich biodrach, unieruchamiając mnie, podczas gdy ja chcę tylko kotęsać się przy jego wypukłości, aż coś we mnie w końcu pęknie. — Chcesz poczuć mnie w środku, Hay?

Zasycha mi w ustach, ale nie mogę zaprzeczyć.

Odrywam się od jego warg, patrząc na niego, a potem kiwam powoli głową, wypowiadając na wydechu nieśmiało, ale stuprocentowo pewnie: „Tak”.

On rzuca mi wtedy takie spojrzenie... Jasna cholera.

Jakby nigdy wcześniej mnie nie widział, nie w pełni, a jakby to, co teraz widzi, kompletnie go urzekło.

Niemal martwi mnie głęboka intensywność tego spojrzenia; sposób, w jaki otula wzrokiem moje ciało.

Ale nagle wyrwam się z tego drżenia, bo Warren podnosi się pode mną gwałtownie. Piszczę, gdy jego ręce zaplatają się wokół mnie i przytrzymują przy jego piersi. Wstaje, zamykając moje ciało w klatce swoich szerokich mięśni.

Kiedy wynosi mnie z salonu, czuję się bezpieczna, osłonięta i rozpalona.

Ledwie udaje nam się dojść do sypialni, nim ogarnia nas szaleństwo.

On szarpie moje ubrania. Zdziera ze mnie koszulkę.

Moje nagie piersi wyswobadzają się, spragnione dotyku, a skóra jest tak wrażliwa, że krzyczę i odrzucam głowę na bok, gdy on przesuwa palcami po wypukłościach i wyznacza ścieżki na mojej skórze. Czuję na sobie jego ciężar; ciemność blokuje dostęp światła i spowija mnie w cieniu tego mężczyzny, czyniąc mnie jego więźniem.

Czyniąc mnie też więźniem przenikliwych, surowych doznań.

Warren krąży powoli opuszką wokół jednego sutka, a potem drugiego.

Szorstka faktura jego palca maluje żar na mojej skórze i sprawia, że zaczynam się wić, ocierając o siebie uda.

Jestem już mokra, jestem zdesperowana i chcę błagać — ale nie jestem w stanie wydobyć z siebie dźwięków innych niż westchnienie, skomlenie i jęk, gdy on daje mi blady przedsmak tego, czego pragnę.

Jestem niemal aż zbyt gotowa, gdy zsuwa się w dół mojego ciała.

Mój brzuch drży od drapania jego brody po skórze i słodkiego nacisku warg poniżej pępka. Szybko zdejmuje ze mnie spodenki i jeszcze szybciej odgarnia na bok majtki — nieruchomieje na chwilę, gdy przesuwa palcami i wyczuwa mokrą bieliznę.

Oczy Warrena świecą się jasno, skrzą znacząco, gdy uśmiecha się powoli i przywiera wargami do wilgotnego miejsca, wciąga w płuća mój zapach, mrużąc oczy, po czym odrzuca skrawek tkaniny na bok i pozostawia mnie nagą.

Otwartą na jego natarcie.

Delikatny dotyk nigdy aż tak mnie nie zniewolił.

Ciało reaguje jak błyskawica na najłżejsze muśnięcie jego palców na sromie, na najdelikatniejszy ślad kciuka przy pulsującym żarze łechtaczki, na najłagodniejszą pieśczołę badawczego, wprawnego języka.

Jestem elektrycznością, a on kablem. Naprowadzającym, nadającym kształt, biorącym w posiadanie.

Dręczy mnie, kołysze, zalewa falami głębokiej rozkoszy, które uderzają we mnie tak mocno, że aż boli.

Sprawiają, że się trzęsę, drżę i faluję.

Nie czuję wstydu. Ani trochę, więc rozsuwam szeroko nogi i pozwalam mu się gładzić, całować, lizać, omiatać i pieścić szorstką powierzchnią jego języka.

A potem po prostu znikam w beładzie roztrzęsionych nóg i płytkich oddechów.

Zaczyna szybciej poruszać językiem, wciska się we mnie, łagodząc w pewnym stopniu tępy ból w cipce, to uczucie, które błaga o więcej.

Nie mogę znieść więcej.

Nie mogę.

Między jego niepohamowanym, wędrującym językiem a wsuwającymi się powoli, masywnymi, szorstkimi palcami rozsypuję się całkowicie. Ociekam wilgocią, zaciskam palce stóp na pościeli, zanurzam dłonie w jego włosach.

Zdążyłam już zatracić się w sobie, gdy wyprężam plecy, wciągam brzuch i próbuję nie doprowadzić do samozapłonu.

Czy tak się może zdarzyć? Czy seks może być tak potężnym doświadczeniem, że zamieni człowieka w kupkę popiołu?

Przy nim to jedno wielkie być może.

A kiedy przerywa... kiedy Warren przerywa, znajduję się na samej krawędzi, niemal się załamuję jak nigdy dotąd i błagam go, żeby mnie zerznął.

On jest tuż przy mnie, obserwuje mnie gorącym spojrzeniem, gdy rozpina rozporek i wyciąga na wierzch swój członek.

Niedługo potem mam nowy powód do westchnień.

Ogromny to rażące niedomówienie. To, co trzyma w dłoni, jest grube, twarde, napięte. Z koniuszka członka wyływa na dłoń perłowa strużka.

Mam tylko chwilę, żeby ją zauważyć, bo zaraz potem on ociera śliską, rozkloszowaną główkę penisa o moje wargi sromowe.

— Pigułka, kotuś?

— C-co? — Nie jestem nawet w stanie myśleć, a tym bardziej sformułować zdania.

— Bierzesz pigułki antykoncepcyjne albo coś? Czy mam wziąć cholerną gumkę? — „Cholerna gumka” brzmi tak, jakby wycedził te słowa przez zęby.

— Tak. Biorę. Nie trzeba. Warren... Proszę.

W jego oczach odmalowuje się ulga. Pochyla się i zamyka mnie w kolejnym namiętym pocałunku. Żar jego członka powraca do mojego sromu, mojej wilgoci, mojej łechtaczki.

— Dobrze. Teraz zerznę cię tak mocno, że zapomnisz, że popieprzony Eddy kiedykolwiek istniał. — Jego pomruk jest jak obietnica.

Sekundę później jego fiut wchodzi głębiej, rozdziela mnie, otwiera, sprawia, że trzęsę się, bo nagle czuję od środka gwałtowną pieśczoć rozgrzanego ciała.

*Jaasna cholera. Zaczyna się.*

Wciskam zgięte palce w usta i tłumię jęk.

Jest on niczym w porównaniu z okrzykiem, który narasta mi w gardle, gdy Warren ociera się we mnie, wciska każdy centymetr swojego fiuta, rozwierając mnie w sposób, w jaki nigdy dotąd nie zostałam rozwarta.

Rozklejam się, unoszę w słodkim szaleństwie, wyciągając ręce do Warrena.

Przychodzi do mnie z ochotą, zamyka mnie w swoich ramionach, sprawia, że czuję się *bezpiecznie*.

Że czuję, iż należę do *niego*.

Nie ma co do tego wątpliwości, gdy znów przywiera do moich ust, całuje mnie głębiej, wciąga mnie w siebie, aż jest tylko Warren Ford i nic więcej.

Wsuwa się głębiej, ugniatając moje ciało tak, by pasowało do jego ciała.

Pokazuje mi rozkosz niepodobną do niczego, co do tej pory znałam.

To nie jest coś, co ze mną robi.

To nie jest coś, co przydarza się tylko mnie.

Chodzi o *nas*. O niego i o mnie.

Razem — poruszamy się niczym jedno ciało, kiedy napływa na mnie powoli i głęboko, całuje z nabożną i pełną zachwyty czcią, zamieniając całą brutalność i dzikość między nami w coś świętego, podniecającego i niesamowicie *wszechogarniającego*.

Mam wrażenie, że moje ciało jest przedłużeniem jego ciała, a jego jest częścią mnie. Poddaję się mu całkowicie, gdy ten piękny, dziki człowiek-bestia wypręża się i daje mi całą swoją siłę, a jego plecy drżą pod moimi palcami.

Nie powinnam tak się czuć przy praktycznie nieznanym człowieku.

Iskry nie powinny zamieniać się w całe galaktyki. Nie powinniśmy dyszeć we wspólnym rytmie, ze splecionymi kończynami, gdy mój tyłek zapada się głęboko w materac, a jego pchnięcia grzebią mnie żywcem.

Ale Warren jest dla mnie kimś więcej niż nieznanym. Kimś więcej niż ciągiem szalonych, niesamowitych, obejmujących władanie nad cipką pchnięć.

A gdy wchodzi we mnie coraz mocniej, coraz głębiej, coraz dalej, po prostu wiem, że zakocham się w nim na zabój.

Eddy? Ktoś taki w ogóle istniał?

Ledwie pamiętam jego imię, gdy szepczę zadyszana:

— Warren!

A potem obejmuję go ramionami, rozpadając się w eksplozji białego światła, gorącego napięcia i fali słodyczy.

Jego kość łonowa ociera się o moją łechtaczkę, gdy posyła mnie na szczyt. Staję się zbitką krzyku, zaciśniętych rąk i ciężkiego oddechu, zbyt rozpaloną, żeby być choć w stanie znów wymówić jego imię.

*Szczytuję!*

To jak polizanie całego ciała. Jak poduszka z ognia, impuls rozpalający mózg, jak elektryczny pomruk, który bierze początek w mojej cipce i eksploduje wzdłuż długich, przepalonych bezpieczników w moim układzie nerwowym.

Dochodzę ze stodyczą i obłędem, których nigdy dotąd nie znałam. A to jeszcze nie koniec, bo jego biodra zaczynają poruszać się szybciej, wciskać się mocniej, testując wytrzymałość całego łóżka.

Zastanawiam się jak przez mgłę, czy przebijemy się przez podłogę, a wtedy znów zaciskam uda. Wbijam mu paznokcie w plecy, a moje zęby natrafiają na jego wargę.

„Święty Boże” już tu nie pasuje. Trzeba raczej powiedzieć „święty Warren”.

— Do diabła, kotuś. Nie przerywaj. Nie waż się tego zrobić, póki nie wypełnię tej słodkiej cipeczki.

Zaciskam się tak mocno, że mogłabym pęknąć, otulając jego maniakalnie wbijający się we mnie trzpień. Doprowadza nas to jednocześnie na szczyt, z jego gardła wyrывa się ryk, a potem w moich głębiach wylewa się fala płynnego ognia.

Całe jego nasienie. Cały jego płomień. Cały on, on, cudowny on.

Boże, to było lekkomyślne. To było impulsywne. To była pewnie najgorsza rzecz, jaką mogłam zrobić w sytuacji, gdy czuję się tak krucha, skołowana i bezbronna.

Ale nie żałuję ani trochę, nawet kiedy on pozostaje w moim wnętrzu na całą wieczność, opróżniając się do ostatniej kropli, aż zaczyna wylewać się ze mnie śliski, parujący żar.

Znów przyjmuję jego powolny, wygłodniały język i delectuję się każdą sekundą, gdy Warren rozpada się na kawałki, drży, warczy i wykrada kolejne jęki z moich ust głębokimi, intensywnymi pocałunkami.

Jesteśmy złamanymi przez życie, zamkniętymi w sobie ludźmi, ale tym razem jest inaczej.

Tym razem łamiemy się *razem*.

## ROZDZIAŁ 12. PRZEJĘCIE WŁASNOŚCI (WARREN)



**Z**e wszystkich złych decyzji, jakie podjąłem w życiu, ta jest chyba najgorsza. I nie żałuję jej w najmniejszym nawet stopniu.

Ani trochę nie żałuję, że zerznąłem Hay jeszcze trzy razy, aż musieliśmy przerwać, zanim nasze serca odmówiłyby dalszej współpracy.

Haley szczytuje tyle razy, że straciłem rachubę, a podczas ostatniego orgazmu jest zgięta wpół, z włosami w mojej pięści, podczas gdy dłonią miażdżę jej tyłek, a ona pochłania mojego fiuta, wysysając ją praktycznie do sucha.

*Ja pierdolę.*

Teraz leży miękka i ciepła przy mnie, wtulona tak, że wypukłości jej ciała praktycznie się we mnie wtapiają, wypełniając wszystkie przestrzenie i zagłębienia w moim ciele. Wciąż czuję to pulsujące ciepło wewnątrz niej, mimo że już się rozłączyliśmy, aby przytulić się do siebie. Mój fiut jest wyczerpany i obolały. Nie potrafię zapomnieć, jak drżała pode mną, jak mocno się mnie trzymała. Wciąż czuję na plecach palący ślad jej paznokci.

Cholera, nie uprawiałem takiego seksu... *nigdy?*

To bardzo możliwe.

A najbardziej miesza mi we łbie myśl, że to uczucie siedzi we mnie aż tak głęboko. Gdybym pozwolił, mogłoby się w coś zamienić. Ja, ona, sam nie wiem co.

Ale niech to, przy niej odczuwam wszystko ze zwielokrotnioną siłą.

Złość, namiętność, zaborczość.

Pożądanie. Ciepło. Śmiech.

Nawet kiedy mnie wkurza, jednocześnie koi coś we mnie, bo jest do mnie *podobna*. Temperament i furia dzikiego kota, które uspokoiwszy się, pozostawiają już tylko stabilność i siłę.

Chyba właśnie to podziwiam w niej tak bardzo.

*Jest silna.*

Tak zdeteminowana, żeby opiekować się Tarą, sobą i wszystkimi innymi.

A przez to ja jeszcze bardziej chcę ją chronić.

Przed światem. Przed jej przeszłością. Przed każdym możliwym syfem.

Ale przede wszystkim przed tym tokującym jak indyk eks-gnojem.

Nie mam pojęcia, jak ktokolwiek może twierdzić, że kocha Haley, a potem traktować ją tak, jak zrobił to ten dzban. To dowód, że nigdy jej tak naprawdę nie kochał.

*Jego strata.*

A jeśli jeszcze raz zobaczę go w Heart's Edge, to dam mu zaznać *miłości*, strącając go z naszego słynnego urwiska. Jeśli rzucanie kwiatków zapewnia parze szczęście na zawsze, kto wie, u licha, co może zdziałać krwawa ofiara?

Mimo woli parskam cichym śmiechem.

Wiem, że zachowuję się absurdalnie — głęboko w trybie jaskiniowca.

Hay wierci się przy mnie z zaspanym pomrukiem.

— Hm? Co cię tak śmieszy?

— Myślałem właśnie o twoim bytym.

— No cóż... On faktycznie jest dość śmieszny.

— Tak. Ale wyobraziłem sobie jego minę, kiedy zrzucam go z klifu i wypowiadam życzenie, a potem zrozumiałem, że zachowuję się jak mała waląca się w klatę.

Hay parska krótkim, zaskoczonym śmiechem i to nie ja uderzam się rytmicznie w tors, tylko jej drobna dłoń klepie mnie lekko między mięśniami piersiowymi.

— Chyba wystarczająco go przestraszyłeś. Ubrudziłeś mu garnitur, a dla niego to w zasadzie równoznaczne z ciosem w twarz. Nie musisz iść do więzienia za morderstwo.

— Nie? No cóż, szanowna pani, skoro tak pani twierdzi...

— Och, ja nawet nie będę *udawać*, że robię to teraz ze szlachetnych pobudek. Nie jesteś rycerzem w lśniącej zbroi, Warren. Być może pieprzyłam się z tobą bez opamiętania, ale mój iloraz inteligencji na tym nie ucierpiał. — Podnosi głowę znad mojego ramienia, zamiast tego opierając o nie brodę, żeby móc na mnie spojrzeć lśniącymi oczami spomiędzy miękkiej płataniny ciemnobrązowych, zmierzwionych od seksu włosów. — Musimy podejść do tego rozsądnie. Nawet jeśli przyszedłeś z odsieczą...

Wzruszam ramionami.

— Tara była zdenerwowana. Nie można pozostawić damy w opatach na pastwę losu.

— Och, *teraz* rozumiem. Zrobiłeś to dla mojej siostrzenicy. Nie dla mnie.

Oczywiście.

Nie potrafię się oprzeć jej zalotnemu uśmiewchowi, więc nachylam się, żeby skraść jej całusa, cmokając ją lekko.

— Zrobiłem to, bo gdybym spróbował zrobić to tylko dla ciebie, urwałabyś mi jaja. A Tara zapewnia ci przynajmniej bufor bezpieczeństwa, który pozwala ci przyjąć pomoc bez konieczności akceptowania jej *otwarcie*.

Haley mruga oczami, dziwnie milcząca. Jej uśmiech blednie.

— Czy aż tak łatwo mnie rozgryźć?

— Może komuś, kto jest dokładnie taki sam jak ty — mówię. Trudniej mi zdobyć się na to wyznanie, niż chciałbym przyznać. Spokojnie ubrać w słowa stare kawałki siebie i podarować je komuś innemu, jakby to było nic takiego. — Razem z siostrą dorastaliśmy bez rodziców. Mieliśmy tylko babcię... Starszą samotną kobietę z dwójką dzieci na głowie, usiłującą zająć się interesami w prowincjonalnym miasteczku. Oddałaby za nas *wszystko*, ale nie chcieliśmy jej



do tego zmuszać. Więc staraliśmy się maksymalnie ograniczyć swoje potrzeby, żeby nie być dla niej ciężarem.

Haley uśmiecha się lekko z zaszklonymi oczami.

— Brzmi znajomo. My z siostrą też trochę takie jesteśmy. Ale nie sądzę, żeby Wilma kiedykolwiek mogła uważać was za ciężar.

— Może nie. Ale i tak miło, że nie chcieliśmy brać od niej za dużo. Mieliśmy tylko babcię.

— Jeśli mogę zapytać... co się stało z waszymi rodzicami?

— Nie wiemy. — Odwracam głowę na poduszce, żeby znaleźć się twarzą dokładnie naprzeciwko Hay; nasze słowa wypełniają niewielką przestrzeń między nami, tworząc nic porozumienia utkaną z szeptu. — Wyjechali któregoś dnia na wycieczkę i nigdy nie wrócili. Nikt nie znalazł ich samochodu. Policja nigdy niczego nie wyjaśniła. Może wjechali w jakiś jar. Może zaczęli gdzie indziej nowe życie. Może po prostu rozpuścili się w powietrzu.

Czuję tępy ból w piersi. Od ponad dekady nie opowiadałem nikomu tej historii.

*Niech to.*

Nigdy nie uważałem siebie za osobę z syndromem porzucenia. Pamiętam rodziców jak przez mgłę. Nie przypominam sobie nawet ich twarzy.

Miałem ledwie cztery lata, kiedy zniknęli.

Matkę wspominam jako kaskadę opadających na mnie czarnych włosów i zapach bzu.

Ojca jako szorstką szczecinkę zarostu i silne dłonie. Kiedy brał mnie na ręce, zawsze ścisnął odrobinę za mocno, choć wcale tego nie chciał, ale nie przeszkadzało mi to, bo oznaczało, że mnie trzymał.

A potem babcia przestroniła to wszystko. Ta powódź światła i żółte żon-kile w wazonie w głównym holu, siwizna jej włosów i serdeczność uśmiechu, inteligencja i humor w oczach oraz to, że dotyka wszystkiego — od zwykłej firanki po tulące się do niej, przestraszone wnuczę — z bezwarunkową, czystą miłością.

Ona mi zawsze wystarczała za całą rodzinę. Ona i Jenna.

Kurwa mać, nic dziwnego, że mimo upływu takiego czasu myślenie o odejściu rodziców wciąż boli. Tak naprawdę to jedno i to samo.

Jenna też odeszła.

A babci nie będę miał na zawsze. To, że zaczęła myśleć o emeryturze, że miesza interesy zajazdu z tym gnojem Bressesem, to tylko kolejne przypomnienie faktu.

Co się wtedy stanie?

Kto będzie moją rodziną, gdy jej zabraknie?

Czy mężczyzna mojego pokroju w ogóle nadaje się do tego, żeby założyć własną?

Palce Haley wrywają mnie z przykrych, zapętlonych myśli. Muska delikatnie moją skroń, a potem powoli przesuwają się do linii włosów, jakby mnie badała. Jakby tworzyła mapę mojego ciała.

A gdy jej palce wsuwają się w moje kosmyki, gdy zaplata je podczas delikatnego, czułego dotykania i gładzenia głowy, zamykam oczy. Twardy, popieprzony supeł w mojej piersi rozluźnia się, jakby Hay ujarzmiła naj-dziksza bestię stodyczną, której istnienia pod warstwą diabelskiego ognia nigdy bym nie podejrzewał.

— Przykro mi — szepcze. — Przykro mi, że przez całe swoje życie musiałeś żyć z tyloma pytaniami bez odpowiedzi.

— A to nie jest jedyne. Ani nawet najgorsze. Nauczyłem się jakoś sobie z tym radzić, Hay. — Odwracam głowę, żeby otrzeć się policzkiem o jej nadgarstek. Wyczuwam na skórze niewyraźny trzepot jej pulsu. — Cholera, przepraszam. To dość ciężki temat na rozmowy łóżkowe.

— Nie szkodzi. Rozumiem. — W jej głosie kryje się uśmiech i nawet nie muszę otwierać oczu, żeby go zobaczyć. — Przynajmniej teraz wiem, że naprawdę aż tak bardzo się od siebie nie różnimy.

— Tak?

— Tak. Moja mama może nie do końca mnie porzuciła... ale tak właśnie się czułam po jej śmierci. Białaczka. Byłam na nią strasznie wściekła za to, że zostawiła nas same, mnie i siostrę, z *nim*. Zajęło mi dużo czasu, zanim przestałam nienawidzić ją za coś, na co nie miała żadnego wpływu.

To „z nim”, ten lekko łamiący się głos, każe mi otworzyć jedno oko.

Patrzę, jak mgliste cienie popołudnia, wdzierające się przez żaluzje, zasnuwają jej twarz i ukrywają się w oczach Hay.

— Z nim?

— Z naszym ojcem — odpowiada gorzko. — Alkoholikiem.

— Och. — Nagle wszystko staje się jasne. O *cholera*. — Czy to dlatego jesteś taka skrępowana w obecności Flynna?

— Pana Bittersa? — Wzrusza ramionami, a całe jej ciało porusza się miękko i powoli przy moim. — Może trochę tak. Nie potrafię na niego patrzeć i odczuwać pogardę, jaką większość osób żywi w stosunku do

alkoholików. To jest choroba i to na dodatek taka, która wyrządza im ogromną krzywdę... co nie zmienia faktu, że wielu alkoholików krzywdzi innych ludzi. Więc owszem, mam mętlik w głowie. Współczucie, niechęć i dezorientacja. Niezależnie od tego, czy kochałam ojca, czy go nienawidziłam.

Wraca złość wywołana chęcią, by chronić Haley, buzuje w moim krwiobiegu, ale próbuję nad nią zapanować i zachować neutralne brzmienie głosu.

— Czy on ciebie krzywdził, Hay?

Milczy przez długi czas. Niemal zbyt długi.

A potem pochyla głowę i przyciska brew do mojego ramienia, zastaniając włosami swoje własne. Jej głos jest słaby i przytłumiony.

— Czasami — mówi tylko. A ja nie jestem w stanie się pohamować.

Obejmuję ją mocno obiema rękami, przyciągam do siebie i przesuwam się tak, jakbym mógł ją osłonić przed demonami przeszłości, jeśli wykorzystam masę swojego ciała, żeby przyjąć cios. Każdą porcję lekkomyślnego bólu, jaki kiedykolwiek odczuwała.

— Przepraszam — mówię. — Żaden mężczyzna nie powinien nigdy robić takich świństw. Ani własnej córce, ani nikomu innemu.

— W porządku — szepcze znów przy mnie, wciąż cała się trzęsąc. —  
Nauczyłam się sztuki przetrwania. Podobnie jak Marie. Nauczyłyśmy się...  
Nauczyłyśmy się radzić sobie na własną rękę, nawet jeśli niekiedy oznaczało to pozostawienie drugiej osoby samej sobie. *Musiałyśmy* tak robić.  
Nie mogłyśmy obie iść na dno, jeśli jedna z nas mogła się uratować.

Wciągam powoli powietrze, starając się nie dopuścić do tego, żeby dłonie zacisnęły się w pięści. Co prawda i tak w żaden sposób nie zagroziłyby martwemu człowiekowi.

— Tata był policjantem i miał znajomości, więc opieka społeczna nigdy się u nas nie pojawiała. Nieważne, ilu nauczycielom o tym mówiłyśmy ani ile anonimowych telefonów wykonano. Nauczyłyśmy się po prostu nie prosić o pomoc, bo i tak nigdy jej nie otrzymywałyśmy.

— To nie oznacza, że nie zasługujesz na pomoc, Hay. Że nie zasługujesz na pomoc teraz. — Zaraz wybuchnę od natężenia przetaczających się przeze mnie emocji. Tej dzikiej, wszechogarniającej potrzeby, żeby urządzić dla niej idealny świat, żeby dać jej wszystko, czego mogłaby potrzebować, żeby być szczęśliwa, bezpieczna i żywa.

Cały płonę z tych chęci. Boję się, że spalę na popiół kobietę, którą trzymam w ramionach, bo w żyłach płynie mi ogień.

— Warren? — Podnosi na mnie wzrok.

— Nie ma nic złego w potrzebowaniu pomocy, Hay. Po to ma się przyjaciół, kochanków, rodzinę. Żebyśmy mogli się wzajemnie wspierać. Ciągnąc razem ten wózek, kiedy zbyt trudno jest ciągnąć go samemu.

— Tak? — szepcze Haley, a jej drobne ręce zaplatają się wokół mnie, dłonie zaciskają się na moich plecach i trzymają się mnie z całych sił. —

W takim razie w kim ty masz wsparcie?

— W sumie nie wiem — przyznaję. — W nikim. Chyba dalej próbuję kogoś takiego znaleźć.

Hay unosi głowę, patrząc na mnie zaczerwienionymi, lśniącymi oczami, wciąż zbyt dumna, żeby pozwolić sobie na łzy, które wyplakata wcześniej.

Przykleja odważnie uśmiech.

— Zaproponowałabym ci własne wsparcie... ale ty i tak mi nie powiesz, dlaczego go potrzebujesz, prawda? *Wiem*. Bo próbujesz ochronić mnie przed niebezpieczeństwami Heart's Edge.

To wcale nie Heart's Edge jest niebezpieczne.

Tylko Haley.

Bo ten uśmiech, ta łagodna, ukryta prośba, żebym jej pozwolił dać mi wsparcie, żebym pozwolił jej stać się dla mnie kimś ważnym, jest zbyt rzadka.

Zbyt cenna.

Cholera, ona mogłaby mnie zniszczyć jednym najłżejszym dotykiem.

Dużo łatwiej niż mógłby to kiedykolwiek zrobić Dennis Bress.

Nie mam dla niej odpowiedzi. Nie takiej, jaka zaspokoiłaby ten ból w moim sercu, które chce ją do siebie dopuścić, ale nie pozwoli na to, żeby narazić ją

na niebezpieczeństwo. Nie takiej, która załagodzi ból widniejący w jej oczach.

Więc daję jej teraz jedną rzecz — obietnicę zapomnienia. Słodkie roztargnienie, które pozwoli nam obojgu przestać myśleć o dawnym cierpieniu i żyć chwilą, teraźniejszością, rozkoszą jej ciała przy moim ciele.

Całuję ją tak, jakbym całował ją po raz ostatni.

A kiedy powoli opuszczam Hay z powrotem na łóżko, delektując się tym, jak drobne, wspaniałe i jędrne jest jej ciało przygniecione moim, każdym swoim dotykiem próbuję pokazać, że to nie na nią się zamykam.

W żadnym wypadku.

Dotykam ją tak, jakbym chciał wyryc siebie na jej skórze i odcisnąć ją na sobie jak pieczęć.

Jakbym w jakiś sposób mógł załagodzić cierpienie, sprawić, żeby ta nowa więź między nami była jednocześnie bolesna i cudowna — ból każdego ułtucia, krwawiący rozkoszą.

To czysta tortura — patrzeć, jak jej lśniące wargi się rozchylają, gdy całuję, kąsam i liżę jej brodę, jej gardło, gdy śledzę ustami jej puls.

Uganiam się za nim po całym jej ciele, po gładkich, zaokrąglonych ramionach, delikatnym obojczyku, cudownych, pełnych piersiach.

Smak jej skóry jest dużo lepszy niż jakikolwiek wysokogatunkowy trunek.

Narkotyzuję się nią, doprowadzam do oszołomienia, zasysając pot z jej skóry, pieszcząc wargami i językiem powierzchnię sutków. Wszystko to płonie we mnie żywym ogniem.

Nagle wypręża się dla mnie, wsuwa palce w moje włosy, łapie się mnie mocno, jakbym był jedyną rzeczą na świecie, która przytrzymuje ją w miejscu — i nie mogę się dłużej hamować.

Nie mogę dłużej hamować tego, że tak szybko znów jej *potrzebuję*.

Nawet jeśli mój fiut boli z nadmiernego wysiłku, to nic mnie to nie obchodzi, do cholery.

Pragnienie Haley jest bólem, a ja zgodzę się na każdy cios rozdierający drżące z pożądania ciało, które pragnie tej delikatnej, różowej słodyczy kryjącej się w jej wnętrzu.

Moja twarz porusza się między jej nogami. Przysysam się do łechtaczki, tym razem się z nią nie droczę, tylko całkowicie skupiam się na tym, żeby dać jej rozkosz.

Żeby mogła zapomnieć. Żebyśmy oboje mogli zatracić się w oszołomieniu.

Hay rozczesuje paznokciami moje włosy, a jej jęk jest jak czysty cukier.

Ciągnę ją za nogi, przysuwając całkowicie do swojej twarzy, a potem są już tylko zęby, język i obłudne uctowanie.

Mógłbym całymi dniami jeść jej cipkę.

*Całymi dniami.*

Wielka szkoda, że dochodzi jak rakietą w ciągu kilku minut — jej tyłek podskakuje na łóżku, płomienie utykają w płucach, bezgłośny krzyk rozrywa rubinowe usta, gdy pieszczotą łechtaczki wprowadzam ją do raję.

*Tak, kotuś, dokładnie, kurwa, tak.*

*Szczytuj dla mnie.*

Przez kolejną minutę rozkoszuję się jej smakiem po tym, gdy jest już w stanie otworzyć oczy i powrócić do mnie. Tylko tyle jestem w stanie znieść, a następnie muszę w nią wejść.

Nogi Hay się rozsuwają, a ja nie spieszę się, tylko znajduję odpowiednią pozycję, żeby znów ją wziąć. Spuściłem się w niej trzy razy, a wciąż jestem twardy jak skała. *Ja pierdolę.*

Jeśli to nie jest coś wyjątkowego, to sam nie wiem.

Uwielbiam jej krzyk, gdy wsuwam się w chętny żar cipki, ocierając się o uległą wilgoć i zaciskające się, pulsujące ciało. Jej żar mnie wyciska, aż po same jądra, posyłając w górę kręgosłupa wściekły pocałunek.

— Cholera, kotuś. Zabijesz mnie tą swoją cipką — mówię, w zasadzie nie przesadzając. Gdy zaczynam się poruszać, moje słowa rozptywiają się w pomruku.

A potem robi się *ostro*.

Jednak kiedy przestaję i spowalniam swój rytm, starając się wydłużyć ten uzależniający, piekielny żar, Hay przyciąga mnie do siebie, całuje zawzięcie; jej wargi są mokre i słodkie pod moimi, jej oddech wydobywa się ciężko, a szczupłe dłonie obejmują moje policzki.

Udami owija się wokół moich bioder, naprężone ciało przesuwają się wzdłuż mojego, przywiązując mnie do moich własnych cholernych zmysłów.

Może jest czarownicą, a ja dałem się jej kompletnie, kurwa, oczarować.

Może ta cipka zaciśnięta na moim fiucie jest jak grzech doskonały, bo została zaczarowana.

Bez względu na to, w czym rzecz, moje ramiona się zaciskają, a ja nie mogę się powstrzymać i zaczynam się w nią wbijać raz za razem, dając z siebie wszystko.

Nie chodzi tylko o rozkosz, o hipnotyzujący żar, który mocno ściska i wyciąga mnie z głuchym okrzykiem z mojej własnej głowy.

Chodzi o chęć wypalenia na niej od środka swojej pieczęci.

O bardzo głębokie poświadczenie swojej własności.

To obłąd. To nie może być na stałe. To nie może być prawdziwe. To nie może być nic więcej poza impulsem i zauroczeniem.

Ale Hay już jest we mnie głęboko, sprawiając, że czuję każde wrażliwe, rozbite miejsce w moim sercu, które od zbyt dawna pragnęło delikatnego dotyku. Pragnęło być z *kimś* w sposób, w jaki teraz z nią jestem — w takim kompletnym skupieniu, z potem ściekającym między nami, gdy zanurzam się w niej głębiej, namiętniej, szybciej.

Cholera, muszę zobaczyć jej twarz. Muszę zobaczyć, jak traci nad sobą panowanie — a Hay jakby o tym wiedziała.

Odrzuca głowę i raz za razem wykrzykuje moje imię z najpiękniejszym, rozluźnionym wyrazem czystej, zniewalającej ekstazy, wyrytym na ślicznej twarzy. Chcę wciąż na nowo widzieć u niej tę minę, chcę wytrzymać jeszcze chwilę dłużej, ale dużo bardziej muszę dojść.

Hay wciąga mnie w siebie, zasysa głęboko.

Tym razem zupełnie nad sobą nie panuję.

Moje jądra wzbierają tak, jakby wypełniły się gorącą lawą, wynosząc moją rozkosz na szczyt, i zamieniają mnie w dziką bestię, przywiezioną do ostateczności najdrobniejszym dotykem i dźwiękiem głosu Hay.

Mam tak silny orgazm, że przeszywa mnie na wylot. Haley wyciska ze mnie każdą kroplę.

Bierze mnie całego, a ja pragnę już tylko jednego.  
Naprawdę pragnę móc dać jej wszystko.

\*\*\*

NIE ZAMIERZAŁEM ZASNAĆ.

Haley i ja wpadamy na siebie jak buldożery jakoś po dwunastej w południe, a ja miałem wielodniowe szkolenia wojskowe, które nie wymęczyły mnie tak, jak seks z tą małą błyskawicą.

Kiedy się budzę, jest już wieczór.

W komórce czeka wiadomość, aby przekazać Hay, że z Tarą wszystko w porządku i że babcia zrobiła jej kolację, ale żebym nie zapomniał obudzić Haley na czas do pracy. Mimo woli uśmiecham się lekko.

Babcia już traktuje ją jak rodzinę.

Dbą o każdy najdrobniejszy szczegół, a także uważa na swoje zachowanie. Jakby była cholerną jasnowidzką.

Do wyjścia Hay zostały jeszcze dwie godziny, a ona wygląda tak spokojnie, skulona w swoim łóżku. W którymś momencie we śnie odwróciła się ode mnie i przytuliła plecami do mojego boku.

Jej jędrny tyłeczek przycisnął się do mojego uda, a całe ciało owinęło się wokół jednej z poduszek, podczas gdy włosy rozsypały się na pościeli.

Nie jestem w stanie pohamować uśmiechu.

Może łatwiej jej było poradzić sobie z poduszką niż ze mną, skoro szczeptą ręką nie obejmuje nawet w całości mojej klatki piersiowej. Jednak dzięki temu łatwiej wstać z łóżka tak, żeby jej nie obudzić. Zsuwam się ostrożnie z materaca, a potem naciągam na nią prześcieradło. Dzięki temu będzie okryta, ale nie zapoci się na śmierć w upale, który nie zelżał mimo nadejścia wieczoru.

Wsuwam nogi w dzinsy i podciągam je na biodra, a potem wychodzę na tylny ganek i opieram się łokciami o balustradę, patrząc na rozciągający się przede mną krajobraz.

Takie momenty jak ten przypominają mi czasy, kiedy miałem wolną chwilę na misji. Zawsze wymykałem się z warty i znajdowałem sobie jakieś ustronne miejsce, gdzie mogłem oprzeć się o przenośną kuchnię albo zwykłą skałę i zapalić.

Od śmierci Jenny nie paliłem, ale niskie chmury, zasnuwające niebo, pełniły tę samą funkcję. Ich poskręcane, malowane wiatrem wzory absorbują mnie w ten sam sposób, co kiedyś powolne smugi dymu, pozwalając mi się wyłączyć i uspokoić myśli.

Wtedy noc oznaczała zawsze ciszę nad pustynnym piaskiem. Bezczesny spokój, który wciągał mnie głęboko w siebie i zakrywał wszystko inne.

To wrażenie mogło być przerażające, jeśli człowiek na to pozwolił —

ale mnie zawsze kołło tych kilka chwil, podczas których w końcu żadne myśli nie próbowały wpełznąć mi do głowy i zapuścić tam korzeni.

Odgłosy nocy zapadającej nad Heart's Edge są niemal równie kojące.

Zajazd Uroczysko znajduje się na tyle daleko od głównej części miasta, że nie słyszę samochodów na ulicach ani łobuzów już zbierających się

U Brody'ego. Niedługo światło i muzyka zaczną wylewać się z otwartych okien i drzwi wraz z beztroskim nastrojem ludzi, którzy albo chcą zapomnieć o swoich problemach, albo w ogóle mają ich niewiele.

Tutaj jednak słychać tylko cykanie świerszczy, szept wiatru muskającego czubki drzew, kumkanie jakiejś żaby, która zapuściła się zbyt daleko od zatoki w dolinie.

Ciche głosy ludzi. Innych gości, którzy szykują w domkach kolację albo włączają film, albo dzwonią do domu, żeby powiedzieć bliskim, że wspaniale się bawią w tym małym sielskim miasteczku.

Nigdy nie przypuszczałem, że babci uda się zamienić naszą zapadłą dziurę w atrakcję turystyczną, ale to ma sens.

Nie ma tu żadnych wyjątkowych zachęt, które przyciągałyby ludzi do Heart's Edge. Żadnych zabytków, historii ani legend poza naszą romantyczną opowieścią o klifie. Ale kiedy człowiek spędza życie w otoczeniu miejskich ulic, na których wszystko porusza się z zawrotną prędkością, i towarzyszy mu wieczny niepokój o każdą najmniejszą rzecz, ucieczka w spokojniejsze miejsce może przynieść ulgę.

W miejsce, w którym czas płynie z prędkością miodowozłotego, po-południowego światła, a jedyne, co można tu robić, to napawać się pięknem i ciszą.

To wymarzone miejsce dla ludzi, którym jeszcze przed trzydziestką grozi nadciśnienie.

Tak. Tak, teraz rozumiem.

Też to poczułem, kiedy w końcu wróciłem. Nieważne, że początkowo przyjechałem tu, żeby w końcu wyrównać rachunki z Bresse.

To nie miało znaczenia. I tak czułem, że znalazłem się w domu.

Może powinienem przestać traktować poszukiwania swojego lokum jako przykrywkę i pomyśleć o znalezieniu sobie czegoś naprawdę.

Jestem tak pogrążony w myślach, że nie słyszę otwierających się za mną drzwi ani zbliżających się, miękkich kroków.

Czuję tylko ciepło, gdy Hay przytula się całym ciałem do moich pleców.

Rozdziela nas jedynie coś cienkiego, chyba koszulka. Oddziela żar naszych ciał cieniutką jak chusteczka higieniczna warstwą i w żaden sposób nie powstrzymuje ognia, który rozpala się w moich wnętrznościach, gdy jej cycki wciskają się swoimi miękkimi krągłościami w moje łopatki.

— Cześć — szepcze Hay niemal z wahaniem, opierając się policzkiem o mój kręgosłup.

Boli mnie, że słyszę niepewność w jej głosie, że wyczuwam subtelne napięcie w jej dotyku, jakby tylko czekała, aby się odsunąć w chwili od-rzucenia. Jakby uważała, że wraz z wygaśnięciem namiętności chwilowy rozejm zostanie

zerwany, a ja powiem jej, żeby mnie nie dotykała, żeby się wynosiła, żeby zostawiła mnie w spokoju.

Już tego nie zrobię. Nie jestem, kuźwa, w stanie, nawet jeśli jakaś część mnie mówi, że powinienem.

To mnie trochę przeraża, ale nie na tyle, by ją odrzucić.

Zamiast tego odwracam się w jej objęciach, opieram o barierkę i obejmując ją mocno, przyciągam do siebie blisko i uśmiecham się do niej.

Natychmiast wiotczeje, a jej uśmiech robi się ciepły, gdy opiera brodę o szczyt moich żeber.

Wciąż wygląda na rozespaną, mój T-shirt spada z jej opalonego, piegowanego ramienia, a zaspane oczy lśnią płynną ciemnością jak liście.

Najpiękniejszy zielony odcień lata, jaki w życiu widziałem.

— Nie obudziłeś mnie?

— Miałem wrażenie, że potrzebowałaś odpoczynku dla podreperowania urody, kotuś. Zwłaszcza że niedługo masz się stawić w pracy, w której spędzisz na nogach kolejnych osiem godzin.

Haley się śmieje.

— Teraz śledzisz moje godziny pracy?

— Nie. — Szczerzę się w uśmiechu. — Babcia mi napisała, żebym nie pozwolił ci zasnąć.

Jej oczy robią się okrągłe.

— O Boże. Skąd wiedziała, że jestem z tobą?

— Nie zastanawiałem się nad tym. — Tłumię śmiech i chrząkam. —

Może prosiła tylko, żebym zachował się jak miły sąsiad. Wychowała mnie na uprzejmego człowieka, jeśli chcesz wiedzieć.

— Nigdy bym nie zauważyła. — Na wpół parszkając śmiechem, a na wpół jęcząc, Hay opuszcza czoło na moją pierś. — Nie chcę... Nie chciałam, żeby...

— Wiem — uspokajam. — Wiem. Nic się nie stało, Hay. Zrobiliśmy coś, czego oboje chcieliśmy, i jeśli tobie to pasuje, to mnie też.

— Tak — mówi cicho i wzdycha, odwracając głowę tak, żeby oprzeć się policzkiem o mój tors. Na wpół przymknięte oczy wpatrują się w morze trawy, w niebo i w łagodnie kotyszujące się drzewa. — Myślę, że *bardzo* mi to pasuje.

— Więc?

— Więc...?

Cholera. Dlaczego nagle czuję się jak zdenerwowany uczeń, a nie jak dorosły facet?

Ta drobna, ognista kobieta całkowicie mnie uwikłała.

— Co sądzisz o tym, żeby robić to częściej do czasu twojego wyjazdu?

Milczy, ale się nie spina. Język jej ciała nie pokazuje, że jest zdenerwowana, zła lub niechętna temu pomysłowi. Czy nawet przestraszona. Po prostu się zastanawia, a po chwili oblizuje wargi i mówi:

— A przez częściej rozumiesz...?

— Cokolwiek chcemy przez to rozumieć. Coś. Na razie.

— Na razie.

— Chodzi mi o to, że i tak nie planujesz tutaj zostać.



— Nie? — mówi z wahaniem, a ja czuję ucisk w piersi, jakby tylko dzięki temu serce nie mogło z niej wyskoczyć.

Moje ręce zaciskają się wokół niej, potem odprężają. Biorę głęboki wdech, żeby się uspokoić.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Haley? Chicago czeka. Gdy tylko uzupełnisz zapasy gotówki...

— Chcę powiedzieć, że mi się tutaj podoba, Warren. I minie sporo czasu, zanim zaoszczędzę wystarczająco dużo pieniędzy, aby zacząć nowe życie w tak drogim mieście. Nie mam miejsca, w którym mogłabym się zatrzymać za darmo. A koszty życia są powalające, więc... — Jej słowa brzmią zwyczajnie, ale ton głosu już zdecydowanie nie.

Rwie się, jest cichy i nerwowy. Czuję walenie jej serca, bliźniaczo podobne do mojego, jakbyśmy byli dwoma sztywnymi posągami, które nie są w stanie powiedzieć tego, co należy. Bo gdybyśmy sobie na to pozwolili, nasze serca uwolniłyby się od wszystkich problemów i połączyłyby się w coś prostego i jasnego.

— Więc tak. Pewnie tu zostanę. Na jakiś czas. Może długi. — Przetyka głośno ślinę. — Więc gdyby coś nas łączyło, jak to elokwentnie ująłeś...

— Łączy — poprawiam ją gwałtownie.

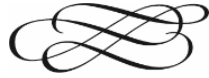
— Łączy?

— Już nas coś łączy, Hay — szepczę.

Cholera, wszystko we mnie jest poruszone do żywego. Obejmuję dłońmi jej twarz i całuję ją, przygarniając do słów, które drukują na jej wargach, gdy ciągnę ją w stronę drzwi, w stronę łóżka, w stronę kolejnej rundy tego zachłannego, gorączkowego czegoś między nami.

— Łączy nas coś, coś pięknego. I pasuje mi, żeby nie nadawać temu ram czasowych.

## ROZDZIAŁ 13. WYMOWNE MILCZENIE (HALEY)



**P**rzez całą zmianę U Brody'ego mimo woli rozmyślam o tym, co powiedział Warren.

„Łączy nas coś, coś pięknego. I pasuje mi, żeby nie nadawać temu ram czasowych”.

Słodki Jezu.

Nie jestem nawet pewna, co ma na myśli. „Coś” bez ram czasowych może oznaczać cokolwiek w dziwnym, burkliwym, góralskim dialekcie.

Szczerze? Nie jestem pewna, czy zależy mi na jasności.

Bo nie tylko ja jedna jestem w tym mieście tylko na chwilę.

Skoro on ściga, kogo tam sobie ściga, to po wykonaniu zadania pewnie pojedzie dalej. Cholera, śmiesznie, jeśli wyjedzie przede mną, mimo że ja nawet tu nie przynależę.

Prawda?

Kelnerowanie w pubie U Brody'ego nie jest definicją wymarzonej pracy.

Ale jest przyjemne, nie wymaga myślenia, a ludzie mnie *lubią*.

Zapewnia mi to miejsce w społeczności, którego potrzebuje ekstrawertyczna część mojej natury, dzięki czemu czuję się jak u siebie w tym miasteczku, w niczym nieprzypominającym Seattle ani Chicago, ani żadnego innego miejsca, w którym sobie siebie wyobrażałam.

Poza tym zapewnia mi swobodę, żeby żyć na własnych warunkach, sięgać co rano po farby i sztalugi. Stopy mam zmęczone, ale umysł płonie, a dusza odczuwa spokój. Tutaj, w Heart's Edge, wszystko jest prostsze, za wyjątkiem pewnego dryblasa.

W pracy nie wiszą mi wiecznie nad głową tuziny terminów, jak to miało miejsce w biurze. Mogę po prostu wyjść z pubu, nie zabierając do domu żadnych zmartwień dławiących mój zew tworzenia.

I dziwnie o tym teraz myśleć, gdy podaję drinki, wycieram stoły i śmieję się ze stałymi bywalcami, ale naprawdę cieszę się na myśl o powrocie do *domu*.

Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć domek i zastać w nim czekających na mnie Warrena, Tarę i Mozarta.

Już niemal świta, gdy kończę pomagać przy sprzątaniu i zamykaniu pubu, a potem pakuję siebie i swoje obolałe stopy do mustanga.

Za dnia to miejsce jest malownicze, ale w ciemności wczesnego poranka zauważam w nim coś uroczego i magicznego.

Tutaj to kolejny uroczy mały domek ustawiony pomiędzy sąsiednimi, nad którymi po kolei gasną gwiazdy. Jedyne światło pochodzi z niewyraźnego

migotania lamp tu i ówdzie za oknami, niczym świetliki w ciemności.

Jedna z tych lamp świeci się w moim domku i prowadzi mnie do niego jak latarnia morska.

Trudno zmusić mustanga do ciszy, ale staram się na wypadek, gdybym miała obudzić Warrena.

Nie powinnam się martwić. Przed wyjściem powiedziałam mu, że może spokojnie traktować moją część bliźniaka jak swoją i chyba po naszej wieczornej rozmowie w głębi serca mam nadzieję, że będzie na mnie czekał.

Nie spotyka mnie rozczarowanie.

Jednak kiedy otwieram drzwi i widzę pogrążony w ciemności salon, to nie jego głos dociera do mnie razem z boskim zapachem jajecznicy, bekonu i świeżo parzonej herbaty. To głos pani Wilmy, która mruczy coś z czułością do Tary i kładzie ją na kanapie, nakrywając kocem.

Przekrzywiam głowę i mrugam. Warren stoi w kuchni w szarym, dżinsowym *fartuchu*, tym samym zamieniając się w karykaturalną postać z kreskówki, gdy gotuje z *przesadnie* cichymi ruchami. Uśmiecham się, wiedząc, jak skoncentrowane na wykonywanej pracy potrafią być te masywne dłonie.

Gdy wchodzę do środka, podnosi wzrok i uśmiecha się szeroko, przykładając palec do ust, a następnie kiwa głową w kierunku Tary. Pani Wilma prostuje się i przygląda spódnicę, posyłając mi szybki, serdeczny uśmiech.

— Obudziła się i powiedziała, że chce wrócić do domu, żeby na ciebie zaczekać — szepcze. — Nie mogłam jej odmówić, kochanie, ale kruszynka zasnęła, zanim zdążyłam ją tu przynieść.

Krzywię się.

— Przepraszam, jeśli panią obudziła.

— Ależ nie wygłupiaj się. Zdążyłam wstać pół godziny wcześniej. My Fordowie jesteśmy z natury rannymi ptaszkami.

Tłumię śmiech, żeby nie obudzić Tary. Gdy patrzę na siostrzenicę, która smacznie śpi na kanapie w swojej piżamce i z rozplecionymi warkoczami, mimo woli czuję zalewającą mnie falę czułości.

Ani drgnie, gdy chwiejny, wciąż odurzony kocimiętką Mozart wdrapuje się tuż obok i do niej przytula. Jego mruczenie mówi samo za siebie.

Chcę ostonić ją przed całym światem. Zaciskam usta, zastanawiając się, jak idą twarde „negocjacje”, jakie Marie i John przeprowadzają na Maui.

Cokolwiek się z nimi stanie, Tara musi wiedzieć, że zawsze będzie miała rodzinę. A ta zapewni jej schronienie, którego nigdy nie miałam jako dziewczynka i którego nie miała również moja siostra.

Wiem, że Marie równie mocno jak ja chce zapewnić Tarze bezpieczeństwo, bo w przeciwnym razie moja siostrzenica nie byłaby tu ze mną.

Tara nie wie natomiast, że ta wycieczka na Hawaje naprawdę jest ostatnią rozpaczliwą próbą jej rodziców, aby ocalić małżeństwo. John może być dobrym człowiekiem, a Marie jest moją siostrą i ją kocham... ale czasem ludziom po prostu nie wychodzi.

Bez względu na to, jak bardzo kochają siebie nawzajem albo swoją córkę. Bardzo się starali utrzymać wszystko w tajemnicy przed Tarą, ale zastanawiam

się, czy to właśnie nie z tego powodu mała próbuje być taka radosna.

Ona wie. Dzieci zawsze wiedzą.

Wie, ale bardzo się stara, żeby jej rodzina tak czy inaczej była szczęśliwa.

Przełykam gulę w gardle i siadam na kanapie obok siostrzenicy, delikatnie odgarniając jej włosy.

— Dziękuję, Wilmo — mruczę. — Tara naprawdę panią uwielbia. Codziennie chce mi pokazywać nowe szkice pani kwiatów. A nowe ściegi szydełkowe, których ją pani nauczyła? Mam czasem wrażenie, że umarła i poszła do nieba.

— Och, ja też ją uwielbiam — odpowiada pani Wilma z promiennym, serdecznym uśmiechem, który sprawia, że zaczynam tęsknić za mamą, tęsknić za *kimkolwiek*, kto się do mnie w ten sposób uśmiechnie. — Dobrze słyszeć znów w domu dziecięcy głosik i śmiech.

Mówiąc to, rzuca Warrenowi znaczące spojrzenie. On kasta w głębi gardła, pochyla głowę i nagle skupia całą swoją uwagę na patelni i trzyma-nej w dłoni łypatce.

Zastaniam dłonią usta, żeby stłumić chichot. To wygląda na znajomą sytuację, ale robi mi się bardzo ciepło na sercu przez to, że zostałam w niej uwzględniona.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że nie jestem przyzwyczajona do posiadania dwupokoleniowej rodziny, do ludzi, którzy czekają na twój powrót do domu i szykują ci śniadanie, i opiekują się twoją siostrzenicą, gdy jesteś w pracy.

Fordowie nie są moją rodziną. W żadnym wypadku. Nie jestem nawet pewna, czy po jednej nocy i niepewnej obietnicy mogę choćby uważać Warrena za swojego kochanka.

Ale czuję się dzięki nim jak w domu.

Dzięki nim uświadamiam sobie, że gdziekolwiek zacznę nowe życie, wiem przynajmniej, czego od niego chcę.

Tego uczucia. Tego beztroskiego, cudownego uczucia, że moja sztuka nie musi czekać na lepsze czasy, moja praca nie jest nudną stratą czasu, a otaczający mnie ludzie nie są tylko zapchajdziurą w miejsce tego, jak powinno wyglądać moje życie.

Choć jest to bardzo chaotyczne, szalone i zupełnie przypadkowe, to wyobrażam sobie życie bardzo podobne do tego tutaj.

Taką rodzinę, jakiej nigdy nie miałam. Ale taką, której pragnę — z mężem, dziećmi i przestrzenią na malowanie.

Rodzinę złożoną z ludzi, którzy się wzajemnie wspierają, którzy podają sobie rękę, zamiast chować się za wzniesionymi przez siebie zasiekami, zostawiając wszystkich na pastwę losu.

Jest to coś, o czym nigdy wcześniej nie myślałam. Jest to coś, co niekoniecznie wiem, jak zbudować, ale teraz?

Chcę spróbować.

I wiem, że mogę.

Gdy te myśli krążą mi po głowie, uzmysławiam sobie, że wpatruję się w Warrena. Podnosi oczy znad kuchenki i wyłapuje moje spojrzenie z

rozbawionym ruchem głowy. Wzdrygam się, odwracam gwałtownie wzrok i kasłam cicho w dłoń, czując, że moja twarz robi się gorąca.

Wszystko, o czym teraz myślę, jest na później. *Na Chicago.*

To tutaj jest jak bieg treningowy.

Próba bez ram czasowych.

To wszystko.

*Jasne.*

Kiedy znów podnoszę oczy, pani Wilma patrzy na mnie łagodnym wzrokiem. Jej uśmiech jest ciepły i znaczący, jakby odczytała moje myśli.

Nie jestem w stanie wytrzymać jej spojrzenia, a kiedy odwracam głowę, odgarniam włosy i podciągam głęboki dekolot koszulki, bo nagle czuję się zbyt roznegliżowana w tej kusej spódniczce i z cyckami na wierzchu.

Pani Wilma prychnie śmiechem i pochyli, żeby poklepać mnie po kolanie, a potem prostuje się i odwraca do drzwi.

— Pójdę już — mówi cicho. — Powinnam przeliczyć kasę i sprawdzić dzisiejsze rezerwacje na tej strasznej stronie Kayak, na którą Flynn się uparł.

Ale wpadnij, droga Haley, któregoś dnia na kolację. Obiecuję, że moje potrawy są znacznie bardziej... *wyszukane* niż potrawy mojego wnuka.

— Ej! — Warren protestuje, a zaraz potem rzuca skruszone spojrzenie na Tarę i zniża głos. — Od wielu lat sam gotuję.

— Zgadza się — odpowiada pani Wilma kpiąco i składa elegancko przed sobą ręce. — I chwata Bogu, nie zaliczasz się dzięki temu do dziewięćdziesięciu procent przedstawicieli gatunku męskiego. Co nie zmienia faktu, że gotujesz jak żołnierz i zawsze tak gotowałeś.

— *Bo jestem* żołnierzem — odpowiada Warren.

— Czyżby? — pyta pani Wilma cicho, znacząco i nagle bardzo poważnie. Warren milknie, jego ruchy są przygaszone.

Odwraca głowę w stronę okna.

— Nie zaczynaj — mruczy. — Nie tutaj, babciu. Nie teraz. Ty tylko...

— Znasz swojego wnuka? — kończy za niego. — Owszem, znam.

— Skoro tak dobrze mnie znasz, to wiesz, dlaczego nie jestem zadowolony — odgryza się niechętnie.

— Jeśli tak bardzo obchodzą cię moje interesy, możesz albo się w nie zaangażować, albo trzymać od nich z daleka, ale z tego, co się orientuję, nie jest mi potrzebny komitet doradczy — odpowiada stanowczo.

Cholera. Mimo że nie wiem, co tu się, u licha, dzieje...

Ta kobieta ma żelazną wolę, którą podziwiam nade wszystko.

I z pewnością trzyma Warrena krótko, bo on mruczy tylko: „Przepraszam, babciu”, co ona przyjmuje z cierpkim skinieniem głowy.

Jej ostry wyraz twarzy łagodnieje jednak, gdy kobieta znów posyła mi kolejny ciepły uśmiech, po czym wychodzi.

Powstrzymuję się od komentarza, póki drzwi się za nią nie zamykają, po czym gwizdzę cicho pod nosem.

— To było coś.

— To była moja babcia — odpowiada z cyniczną czułością Warren.

— Nigdy nie wiem, czy zjawi się, żeby się dowiedzieć, o co chodzi z plotkami na nasz temat, czy też zmiesza mnie z błotem za wściubianie nosa w nie swoje sprawy.

Mrugam oczami.

— Są na nasz temat plotki?

— Hay, potraktowałem twojego byłego jak jaskiniowiec w środku pełnej ludzi restauracji — prycha Warren. — Tak. Są plotki.

Uśmiecham się zmieszana.

— Pewnie racja. Ale... o co chodziło z jej interesami?

Warren spina barki. Oczekuję, że zamknie się w sobie, że znów mi powie, że bym pilnowała własnych spraw.

*Nie muszę wiedzieć, to zbyt niebezpieczne, zwykła śpiewka.*

Ale przemieszawszy jeszcze kilka razy łopatką zawartość patelni, mruży:

— O nic. Mam oko na pewnego człowieka, który zajmuje się dość szemranymi interesami. Jednak babcia tego nie dostrzega i zastanawia się nad współpracą, by interesy dalej się kręciły, kiedy będzie gotowa przejść na emeryturę, ale żeby nie musiała od razu sprzedawać Uroczyska albo Brody'ego.

Nie trzeba być geniuszem, żeby wiedzieć, że mówi o Bressie, skoro Warren naskoczył na Flyna za to, że miał przed nim jakieś tajemnice w tym względzie. Teraz to wszystko zaczyna nabierać sensu.

Po kilku tygodniach w mieście, głównie za sprawą Stewarta, który wpada niemal co wieczór na różne burgery i krótkie pogaduszki, doszły mnie słuchy, że łączy ich przeszłość, ale już ze sobą nie rozmawiają.

Próbuję traktować Stewarta miło, lecz jest w nim coś takiego, przez co czuję się nieswojo. Zbyt szybko gra dyplomatę, niezbyt subtelnie próbuje zbywać to... co dzieje się między Warrenem i Dennisem.

Nie flirtuje ze mną. Nie tak naprawdę i chyba o to też między innymi chodzi.

*Zachowuje się tak, jakby flirtował, ale jest w tym jakaś sztuczność, która sprawia, że wolałabym, aby tego nie robił, zwłaszcza że żadne z nas nie jest tym zainteresowane. Nie potrzebuję więcej fałszu w życiu.*

Mimo to od czasu do czasu przekazuje mi soczyste kawałki na temat chwil, kiedy Bress i Warren służyli razem w wojsku. Raz wspomniał o *niej* i nie wiem, kim *ona* jest, a on nie wymienił żadnego imienia, ale domyślałam się, że jest więcej powodów, dla których Warren wrócił do Heart's Edge.

Nie da się zaprzeczyć, że między nim i Bressesem coś się kluje. Martwię się, co się wydarzy, kiedy sytuacja osiągnie w końcu punkt krytyczny.

Wiem jednak, że jeśli zacznę się dopytywać, Warren mi przerwie, tak samo jak przerwała mu pani Wilma, więc wzdycham tylko, spoglądam na Tarę i otulam ją dokładniej kocem.

Musi być wykończona, skoro zapach śniadania nawet nie zaczął jej budzić. Wciąż mam wyrzuty sumienia, że była świadkiem mojej kłótni z Eddym.

— To w ogóle brzmi jak trudna decyzja dla Wilmy — odpowiadam neutralnie.

— Tak — mówi. — Pewnie masz rację. Ale jeśli idziesz do łóżka z niewłaściwymi ludźmi, to prędzej czy później kończy się to złamanym sercem. Chyba trudno o trafniejsze podsumowanie sytuacji.

Nie jestem tylko pewna, która z nas będzie miała złamane serce przez to, że poszła do łóżka z niewłaściwą osobą.

Pani Wilma... czy ja.

\*\*\*

PRZYSYPIAM NA CHWILĘ na kanapie, nim budzi mnie nagle pełna energii Tara, w samą porę na jedzenie.

Ta dziewczynka jest jak jeden z tych zwierzątek tamagotchi, które były popularne w czasach mojego dzieciństwa. Trzeba się nią zajmować dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale jest żwawa i aktywna tylko wtedy, kiedy jesteś przy niej i poświęcasz jej uwagę, a gdy ją włączysz, działa na przyspieszonych obrotach.

Jej wigor mówi mi zaś, że dopiero po południu będę w stanie się zdrzemnąć przed dzisiejszą wieczorną zmianą. Sama zdołała zapełnić już swój szkicownik rysunkami, a mnie brakuje dwóch odcieni niebieskiego, żeby spróbować oddać barwy nieba nad Heart's Edge.

Więc po śniadaniu — Warren naprawdę dobrze gotuje, bez względu na docinki pani Wilmy — wykopuję go z domu, by poszedł pomóc w zajeździe przy jakichś zaległych naprawach, a potem szykujemy się z Tarą, żebyśmy mogły pojechać na zakupy do sklepu z paszą i artykułami dla plastyków.

Wciąż czuję się trochę dziwnie, kiedy po wejściu do środka pani Thatcher wita mnie po imieniu i mówi, że jej córka przywiozła nową dostawę farb olejnych od innego dostawcy, które być może miałabym ochotę wypróbować.

Dzięki temu mam poczucie przynależności.

Gościnność małych miasteczek chyba naprawdę może namieszać człowiekowi w głowie.

Gdy rozmawiam z Tarą na temat jej pierwszego szkicownika oraz tego, co jej się podobało, a co nie w fakturze papieru, żebyśmy tym razem mogły wybrać lepszy, mała milknie, marszczy czoło i stuka palcem w dolną wargę.

— Chcę narysować Warrena — oznajmia stanowczo. — Jaki rodzaj papieru powinnam do tego użyć?

Mrugam.

— Warrena? Nie wiem. Rysunek ma być kolorowy czy czarno-biały?

— Czarno-biały! — woła bez najmniejszego wahania i kiwa stanowczo głową. — Sprawdziłam w telefonie. Chcę, żeby był *mono-chroma-tyczny*.

— Wypowiada słowo starannie, jakby po raz pierwszy mówiła je na głos.

— Twój chłopak jest naprawdę dramatyczny, ciociu. Więc chcę, żeby jego portret też był dramatyczny!

Krzuszę się śmiechem, gdy Tara mówi o Warrenie, że jest dramatyczny, i dopiero po chwili dociera do mnie to drugie słowo.

Chłopak.

Chcę już wybełkotać, że nim nie jest, ale...

Nie wiem, kim jest.

Nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny, odkąd pozostawił mnie bez tchu, obdartą i wymęczoną w środku tak cudownie, tak pulsującą, pełną i obolałą, jakbyśmy walczyli o nagrodę, którą ostatecznie wygraliśmy oboje.

Powiedzieliśmy „bez określania ram czasowych”, ale co właściwie robimy?

Chodzimy ze sobą? Jesteśmy ze sobą na wyłączność?

Czy oboje się zgadzamy, że nic z tego nie będzie, skoro przynajmniej jedno z nas ma zamiar stąd wyjechać, czy też... któreś z nas sądzi, że może, ale tylko może, plany mogą się zmienić? Jeśli to przekształci się w coś więcej niż kilka namiętnych nocy w skotłowanej pościeli?

Boże. Zwolnij.

Dlaczego w ogóle się nad tym zastanawiam, skoro do tej pory to była jednorazowa przygoda?

Może dlatego, że do jednorazowych przygód dochodzi z nieznajomymi.

A Warren nie jest już nieznajomym. Nieznajomy nie przepędziłby z miasta mojego byłego jak jakiś rozwścieczony grizzly.

Nie zauważam, że odsunęłam się od Tary, póki nie wpadam nagle na ścianę i nie zrzucam na ziemię zawartości całego regału z koralikami do prac ręcznych.

— Cholera! — krzyczę.

— Opłata za brzydkie słowo! — wtrąca Tara, ale skupiam się na zbieraniu koralików, zamiast jej odpowiedzieć. Przynajmniej wszystkie są w woreczkach. Jestem wciąż zażenowana, czerwona ze wstydu i w trybie

„o Boże, co się ze mną dzieje?”.

— Po prostu mi pomóż — proszę Tarę. Przynajmniej w ten sposób mam szansę zmienić temat. — Zanim któraś z tych torebek pęknie i będziemy musiały to kupić. Nie mogę sobie pozwolić na cały stojak rzeczy i twój szkicownik do tego.

— To nie fair! — skarży się Tara. — To ty je zrzuciłaś, a nie ja!

— Życie nie jest fair, kiedy masz puste konto, smarkulo — zauważam.

— No już.

Naburmuszona Tara przykuca, żeby mi pomóc. Udaje nam się postawić z powrotem stojak i zawiesić na nim małe plastikowe woreczki. W ramach podziękowań — i przeprosin — kupuję jej zarówno duży, gruby szkicownik w twardej okładce z lekko teksturowanym papierem, który ładnie przyjmuje ołówek, jak i cały zestaw grafitowych ołówków do szkicowania.

Dziewczynka promienieje, gdy taszczy na zewnątrz zeszyt, który waży niemal tyle, co ona sama, a kiedy ładujemy się do samochodu, otwiera lśniąca okładkę z imitacji czarnej skóry i gładzi radośnie strony.

Zadowolona powoli jadę z opuszczonym dachem przez miasto.

Ledwie udaje nam się przejechać kilka skrzyżowań, gdy mustang wydaje z siebie gardłowy charkot i zaczyna zwalniać.

*Nie. Znowu. Do. Licha.*

Na szczęście znajdujemy się niedaleko warsztatu Stewarta. Byłam tam kilka razy, żeby sprawdzić, czy przyszła część zamienna, ale dostawa trwa dłużej, niż



Stewart się spodziewał.

Może dziś bardziej mi się poszczęści.

Szczęście dopisuje mi przynajmniej wystarczająco długo, żeby siłą rozpędu dotoczyć mustanga do końca ulicy i zatrzymać jego gigantyczny kuper ziemnego wieloryba na zwirowanym parkingu Pep-Pep-Go Auto.

Nazwa niezbyt się mi podoba, ale sam warsztat jest dyskretny, cichy i elegancki, utrzymany w tym samym stylu, co stare, klasyczne, pastelowe samochody z lat pięćdziesiątych.

Na wystawie pyszną się nowe, lśniące części, podczas gdy wielka, czworokątna hala warsztatowa jest otwarta na oścież. Kilku praktykantów w zaplamionych smarem kombinezonach majstruje przy zdezelowanym chevrolecie i czymś nowiutkim BMW.

— Ciociu Hay? — Tara w końcu zauważa, że coś jest nie tak, i podnosi wzrok znad zeszytu. — Co się stało?

— Samochód znów szwankuje — mówię. — Zostawimy go u pana Stewarta i zadzwonimy do Warrena, żeby po nas przyjechał. Zabierz swoje rzeczy, dobrze, kotku?

— *Dooobrze.*

Gdy wysiadam z samochodu, Stewart też już wychodzi, żeby się ze mną przywitać, pocierając czoło.

Unosi rękę i macha, a potem brudną dłońią odgarnia do tyłu potargane, jasnobrązowe włosy.

— Pani West — mówi przeciągle, choć powtarzałam mu tysiąc razy, żeby mówił mi po imieniu. Przynajmniej dziś nie jest to „złotko”. — Niech mi pani nie mówi, że ten elegancik znów sprawia problemy?

— Ja też nie mogę w to uwierzyć. Chyba miałaś rację co do naprawy, którą Warren zrobił na chybcika — mówię kpiąco. — Samochód właśnie próbował zdechnąć na środku ulicy. Ledwie udało mi się tu dojechać.

Mam nadzieję, że masz już na stanie ten gaźnik na wymianę.

— Jeszcze nie — odpowiada z zalem. — Jedyne sprzedawca, którego udało mi się znaleźć i który jest w posiadaniu fabrycznie nowej części, a nie na wpuł zużytej, ma siedzibę za granicą. Gaźnik utknął gdzieś na odprawie celnej między Tokio i Heart's Edge.

No i znów to samo — to wrażenie sztuczności.

Nie wiem, dlaczego mnie to męczy, dlaczego to, co mówi, wydaje się fałszywe, choć prowadzimy zupełnie zwyczajną rozmowę. Nie ma żadnego powodu, żeby okłamywać mnie w sprawie części zamiennej do samochodu.

Może chodzi tylko o to, że na swój sposób Stewart jest powściągliwy i zamknięty w sobie? On też ma wspólną przeszłość z Bressem i Warrenem.

Coś, co wiąże się z ich wojskową przeszłością, a służba sprawia, że mężczyźni robią się skryci, nawet jeśli nie jest to konieczne.

Może Stewart próbuje jakoś sobie radzić. Otrząsnąć się z wojennych wspomnień. A w swoim usiłowaniu, żeby być pogodniejszym, serdeczniejszym i bardziej przyjacielskim niż to, co go prześladowa, stworzył tę nico plastikową fasadę, która nie prezentuje się aż tak naturalnie, jak by tego chciał.

Próbuję się tym nie przejmować. To przyjaciel Warrena, a tym samym jest jedną z niewielu osób poza panią Wilmq i kilkoma innymi kumplami z wojska, której Warren ufa.

Więc posyłam mu swój najszczerzy uśmiech i ściskam podaną mi dłoń, nie przejmując się smarem i olejem.

— Myślisz, że uda ci się zastosować ten sam trik i prowizorycznie naprawić auto, żebym miała środek transportu?

Ściska i potrząsa lekko moją rękę, ale minę ma zmartwioną.

— Może bym mógł, ale...

— Przyrzekam, że jeżdżę tylko między Uroczykiem i pubem, czasem gdzieś na zakupy. Żadnych stromych podjazdów ani klifów. Jeśli się rozkraczę, to w żadnym niebezpiecznym miejscu.

Stewart marszczy z namysłem brwi.

— Czyli chwilowo nigdzie nie wyjeżdżasz?

— Nie. — Uśmiecham się cierpko, wsuwając dłonie do kieszeni, i kiwam się na piętach. — Będę musiała przez miesiąc oszczędzać napiwki, żeby ci zapłacić za samą naprawę, a co dopiero mówić o podróży do Chicago.

— Hej, tym razem naprawa na koszt firmy — mówi z dudniącym śmiechem.

— Mój durnowaty przyjaciel majstrował przy twoim wozie, więc czuję się odpowiedzialny za to, żeby to naprawić. Taka jest moja rola, opiekowanie się Warem. Ty po prostu trzymaj go z dala od kłopotów, tak jak dotychczas. A mnie pozwól zająć się samochodem.

Mrugam, opierając się biodrem o drzwi samochodu, i krzyżuję ręce na piersi. Tara jest wyjątkowo milcząca, stoi tuż obok mnie, odrobinę wycofana.

— Jakie on ma problemy?

— Och — mówi Stewart, rzucając mi dziwne spojrzenie. — Jeszcze ci nie powiedział? Cholera, myślałem, że skoro... no wiesz.

— Skoro co? — pytam odrobinę zbyt ostro, na co on się krzywi i odwraca wzrok, masując się po karku.

— No cóż, po zajściu w restauracji to nie jest żadna tajemnica, że jesteście parą — odpowiada. — Myślałem, że będzie wobec ciebie bardziej otwarty, to wszystko.

Nie chcę być wścibska. Jeśli jest coś, o czym zdaniem Warrena nie powinnam wiedzieć, Stewart też nie powinien mi o tym mówić.

Ale muszę też pamiętać o siostrzenicy. Choć doszłam do tego, że Warren nie stanowi zagrożenia, nie mogę żyć z świadomością, że nie wiem o sytuacji, która mogłaby sprowadzić na Tarę niebezpieczeństwo.

Więc z wahaniem pytam:

— Otwarty na jaki temat?

— Dla niego to nie jest nostalgiczny powrót do domu — wyjaśnia Stewart z ciężkim sercem. — To rodzaj upamiętnienia. Żałoby. Minęło prawie trzynaście lat co do dnia, odkąd stracił Jennę.

Jenna. Gdzieś widziałam to imię.

Nagle sobie przypominam: jego tatuaże.

Są tak misterne i szczegółowe, aż do najmniejszych zawijasów i wzorków, że łatwo przeoczyć coś drobnego. Takiego jak litery.

Takiego jak imię Jenna i data — maleńkie i otoczone bardzo drobiazgowymi pletwami, niemal jak u bojownika syjamskiego, należącymi do wijącej się, dzikiej syreny.

Nie chcę wiedzieć, prawda?

Nie chcę wiedzieć, kim jest Jenna ani dlaczego była dla Warrena aż tak ważna, że wytatuował sobie jej imię. Że zachował ją w pamięci jako tę zaciętą, mitologiczną postać.

Bo nie chcę tych uczuć, które mogą się pojawić wraz ze świadomością, że Jenna była jego dziewczyną, przyjaciółką, żoną, siostrą.

Wiem, że jeśli poznam prawdę, mogę zrobić się samolubna. Zacznę się porównywać, będę cierpieć z powodu czegoś, czego nie mogę mieć, bo należy to do kobiety, która zdaniem Stewarta najprawdopodobniej już nie żyje.

Nie mówi się słów takich jak „stracił”, „upamiętnienie”, „żałoba” w odniesieniu do kogoś, kto zwyczajnie rozwiódł się z twoim kumplem i wyprowadził.

Jeśli Warren przyjechał tu, żeby przeżywać swój ból, jeśli przyjechał tu, żeby wrócić do wspomnień, w porządku.

Pozwolę mu cierpieć, nie przeszkadzając mu własnymi uczuciami. To jest jego. To należy do niego.

Podobnie jak te dziwne przebłyski bólu i strachu w mojej piersi należą do mnie.

Jest to ciężar, którego nikt inny nie powinien nosić.

Ale nagle nie jestem w stanie rozmawiać. Nie jestem w stanie nic robić.

Dziękuję Stewartowi wymijającymi dźwiękami, podczas gdy on obiecuje, że do mnie zadzwoni, kiedy mustang będzie gotowy i że to nie powinno potrwać długo, ja zaś prowadzę Tarę do jadłodajni na końcu ulicy.

Zjemy wczesny lunch. Postanawiam, że zadzwonię do Warrena, gdy ukoję nerwy dwiema filiżankami kawy, podczas gdy Tara pożera ogromnego burgera.

Jezu. Muszę się opanować.

Nie mogę być dziewczyną, która daje się oszołomić po jednej namiętnej rundzie w pościeli.

No, może pięciu lub sześciu rundach w przeciągu kilku godzin, ale to w żaden sposób nie zapewnia mi stałego miejsca w życiu Warrena, ani jemu w moim. Muszę z nim porozmawiać o tym, co się między nami dzieje.

To swobodnie dryfujące szaleństwo rodzi pytania, których nie jestem gotowa zadać i na myślenie o których jest jeszcze za wcześnie. Potrzebuję to nazwać. Określić warunki.

Potrzebuję jasnej, prostej definicji tego, na czym stoimy.

Ale najpierw potrzebuję podwózki.

Udaje mi się uspokoić się na tyle, żeby mówić normalnym głosem, więc wyciągam z kieszeni telefon i wybieram jego numer. Warren jest zadyszany, a na ten dźwięk moje serce trzepocze i skacze. Odbiera ze słowami:

— Cześć, Haley.  
— Cześć — mówię. — Mam nadzieję, że nie robisz takiego bałaganu w zajeździe, jakiego narobiłeś w moim samochodzie?  
Parska.  
— O czym ty mówisz?  
— Mówię o tym, że mustang padł na środku Main Street — śmieję się.  
— Zostawiłam go u Stewarta. Brakująca część jeszcze nie przyszła, ale złoży mi auto do kupy tak, żeby wytrzymało do czasu przejścia tej nowej przez odprawę celną.  
Warren klnie, a potem się śmieje.  
— Słuchaj, zrobiłem tylko to, co robi teraz Stewart i co wytrzyma tak samo długo. Będziesz musiała po prostu skakać od prowizorki do prowizorki do czasu przyjscia nowego gaźnika.  
— Lepiej, żeby moja siostra była mi wdzięczna za to, że dostanie samochód w lepszym stanie, niż miała na początku. — Przewracam oczami.  
— Więc... ponieważ chwilowo utknęliśmy w restauracji, a ludzie patrzą na mnie tak, jakby czekali na kolejną scenę...  
— Zapraszasz mnie na lunch, czy chcesz mnie tylko wykorzystać, bo mam cztery kółka?  
— Wiesz, że nadajesz się jeszcze do *innych* rzeczy. Ale jeśli masz czas, żeby z nami zjeść, to Tara już co prawda się opchała, ale ja jeszcze nie zamówiłam.  
— Wiesz co? Pewnie. — Słyszę przez telefon, że się rusza i coś odkłada.  
— Po południu muszę jechać, bo mam zlecenie, więc przyda mi się trochę paliwa w brzuchu, zanim ruszę w drogę.  
— Nie będzie cię dziś w domu? — pytam. W *domu*, jakbyśmy razem mieszkali, a nie dzielili wakacyjnego bliźniaka. — Myślałam, żeby poprosić Jenny, aby wzięła dziś moją zmianę, bo najprawdopodobniej do jutra zostanę bez samochodu.  
W jego głosie pojawia się dudniący warkot.  
— Chcesz przez to powiedzieć, że będziesz w domu i że będziesz potrzebowała towarzystwa?  
Zerkam na Tarę, potem zagryzam wargę i zniżam głos.  
— Nie miałabym nic przeciwko.  
— W takim razie to dla mnie zachęta, by dorwać gnoja w rekordowym tempie i jak najszybciej wrócić — mówi ochryplym głosem. — Ty gotujesz czy ja?  
— Ugotuję coś. Chociaż raz to ja będę cię rozpieszczać, a nie na odwrót.  
— Hej — brzmi to miękko, szczerze — lubię cię rozpieszczać.  
*Cholera, Warren. Nie mów takich rzeczy, bo przez to mam tylko jeszcze większy mętlik w głowie.*  
— Nie przyzwyczajaj się. Cenię sobie swoją niezależność.  
— Tak, tak. — Parska śmiechem, a potem milknie. W jego głosie pojawia się wahanie. — Wszystko w porządku?  
— Jasne — odpowiadam pogodnie. — Wszystko gra, dlaczego?  
— Po prostu brzmisz tak, jakbyś miała dużo na głowie.

— Planuję finanse — odpowiadam słabo. — Zabawne, że kilka tygodni po utracie pracy w Seattle już straciłam smykałkę do liczb. Po prostu próbuję sobie wszystko poukładać w głowie.

— Okej — mówi. Słyszę, że mi nie wierzy, ale nie naciska. — Wezmę tylko prysznic i za kilka minut jestem. Chcesz dla mnie zamówić?

— Burger z rusztu z cebulą?

— Zauważyłaś?

— To zamawiałeś ostatnim razem.

— Tak — odpowiada ciepło. — Dzięki, Hay.

— Nie ma sprawy. — Rozłączam się szybko i biorę głęboki wdech.

Zamieram, widząc, że Tara przygląda się mi z triumfującym, znaczącym uśmiechem. — Co?

— *Luuubisz go*. — Kopie pod stołem. — To zabawne.

— Masz szlaban.

— Nie jesteś moją matką!

— Do końca życia.

— Ej! — Wydyma wargi. — To nie fair, ciociu.

— Dorośli zwykle nie zachowują się fair. Musisz tylko trochę poczekać, za jakiś czas ty też będziesz mogła być nie fair.

Prycha i pokazuje mi język.

— Nie wiem, dlaczego pan Warren cię lubi.

— Myślisz, że naprawdę mnie lubi?

— Jesteś głuptasem. Przecież sam to *powiedział* — oznajmia z naciskiem.

— Powiedział nawet, że lubi cię jak *chłopak dziewczynę*.

— Mój błąd — odpowiadam z czułym uśmiechem, patrząc, jak moja siostrzenica piekli się z powodu wiecznie niczego nieświadomej ciotki. —

Chyba faktycznie tak powiedział.

## ROZDZIAŁ 14. SZUKANIE WSPÓLNEGO RYTMU (WARREN)



**N**ie sądzę, żebym kiedykolwiek w życiu zwinął zbiega sądowego równie szybko.

Nie miałem daleko — w sąsiednie hrabstwo, szybka, brudna, lokalna robota dotycząca faceta trzykrotnie złapanego na prowadzeniu pod wpływem alkoholu. Wyszedł za kaucją i spieprzył. Gnojek próbował zniknąć, zanim policja znów go dorwie.

Gliny zgubiły go w niecałe dwadzieścia cztery godziny. Ja przyprowadziłem go z powrotem w niecałe trzy w zamian za ładną sumkę odłożoną na potrzeby czynszu, który płacę za siebie i Hay.

Wiem, że nie muszę. Babcia powiedziała, że pobyt jest na koszt firmy, a Hay byłaby wściekła, gdyby się dowiedziała.

Ale płacący klienci umożliwiają funkcjonowanie Uroczyska, a babcia traci przez nas opłatę nie za jeden, ale za dwa domki, bo ja i Hay zajmujemy bliźniaka. Nie mogę pozwolić, żeby duma i radość mojej babci ucierpiały na tym, że kobieta ma słabość do przybłędów i lubi rozpieszczać swojego wnuka.

Nie mogę też pozwolić na to, by sparzyła się na współpracy z Bressem.

O tym właśnie myślę, czekając teraz na swojego kumpla, Blake'a, z którym umówiłem się na piwo U Brody'ego.

Potrzebuję trochę czasu na ochłonięcie, zanim wrócę do zajazdu, aby spędzić wieczór z Hay.

Kuźwa, po szybkiej robocie zawsze jestem potwornie nakręcony. Wyrzut adrenaliny pojawia się bardzo szybko, a nie ma wystarczająco dużo czasu, żeby odreagować, bo raz dwa jest po robocie. Poza tym właśnie zawarliśmy z Haley rozejm i nie chcę wracać rozdrażniony i nakręcony, bo mogę sprowokować coś, co skończy się kłótnią.

Blake jednak się spóźnia. Piję już drugi browar, kiedy podstępny drań wchodzi nieśpiesznie do środka, idąc przerysowanym kowbojskim krokiem. Wypracował go sobie, żeby ukryć utykanie spowodowane odłamkiem szrapnela, który utkwiał mu w udzie i który niemal przeciął mu tętnicę, rozszarpując na strzępy cały mięsień.

Teraz jest już dużo lepiej, ale bywają dni, kiedy wyraźnie widać, że dalej odczuwa ból.

Ale nie dzisiaj.

Dziś jest wcieleniem buty i arogancji. Szczerzy się w szerokim uśmiechu, a jego zęby lśnią na tle rdzawobrzazowej brody, gdy unosi rękę.

— Warren, ty chuda szczapo. Dlaczego, do licha ciężkiego, nie widziałem cię od dwóch tygodni?

*Chudy drań.* Jestem od niego o dwa centymetry wyższy i równie szeroki w barach. Przewracam oczami i wstaję, żeby zamknąć jego dłoń w krótkim, mocnym uścisku, po czym siadamy w boksie.

— Byłem zajęty. Praca.

— Praca, co? — Unosi sceptycznie brwi i przywołuje ręką kelnerkę.

— A zatem twoja praca polega teraz na zabawie z ładnymi brunetkami?

— Nawet nie zaczynaj tematu Haley — parskam. W tym mieście wieści roznoszą się z prędkością światła. — Okej, no dobra. Byłem trochę zajęty pewną ładną dziewczyną. Co w związku z tym?

— Ej, bez urazy. — Unosi obie dłonie. — Szczerze mówiąc, bardzo się cieszę. Od lat nie widziałem, żebyś się z kimkolwiek umawiał.

— No cóż, miałem swoje powody. — Opieram brodę na dłoni i drapię się po zaroście. Nie jestem pewny, czy chcę w tej chwili myśleć o tych po-wodach ani o tym, co się zmieniło.

Kiedy nabrałem gotowości, żeby ruszyć dalej?

Kiedy życie po drugiej stronie żałoby stało się prawdziwe, możliwe?

Kręcę głową i mówię:

— Nie jestem nawet pewny, czy to, co robimy, można nazwać umawianiem się.

— Tak? A jak byś w takim razie to nazwał?

— To raczej coś jak romans wolnych strzelców. Po prostu w ramach umowy o dzieło przeprowadzamy konsultacje dotyczące tego, jak może wyglądać związek. Zanim ona wyjedzie do Chicago.

— Auć. — Blake marszczy czoło. — Więc nie uważasz, że to, co cię łączy z Haley, może być prawdziwe?

— Nie mam, cholera, pojęcia, stary. Mamy za sobą tylko jedną noc.

Odnoszę wrażenie, jakby mój mózg to wykorzystywał i wybiegał z pełną prędkością pięć czy dziesięć lat w przyszłość — mruczę. — Kumam, że straciłem dużo czasu i muszę to nadrobić, ale to cholernie irytujące. Nie potrafię nad sobą zapanować.

— Jesteś samotny. To żaden wstyd. — Zwykły, jowialny uśmiech Blake'a znika.

Facet zawsze jest w gorącej wodzie kąpany, jego emocje skaczą od śmiechu do wściekłości, wydobywając się w postaci intensywnego ognia, ale gdzieś pod spodem potrafi być śmiertelnie poważny. A teraz rzeczywiście z pełną powagą patrzy na mnie z braterskim niepokojem.

— Słuchaj, stary, prędzej czy później każdego to dopada. Zaczynamy mieć dość pieprzenia się z kim popadnie i chcemy móc po prostu wracać do kogoś do domu. Do kogoś, kogo rozumiemy. Do kogoś, kto nas rozumie.

Do kogoś, dzięki komu trudne dni stają się lepsze przez samo to, że ten ktoś jest.

— Cholera, gdzie Violet? Założę się, że pomyśli, że jej stary jest najstodszym facetem świata.

Blake uśmiecha się smutno.

— Raczej uderzyłoby jej to do głowy i poszło w pół drogi na Jowisza.

Obaj wiemy, że jego słowa mogą się odnosić albo do jego córki, albo do tej lekkomyślnej, popieprzonej kobiety, którą kochał. Zanim zostawiła ich oboje.

Czy Haley jest *taką* osobą? Osobą, która wnosi spokój w twoje życie i sprawia, że uśmiechasz się na przekór burzom?

Gdyby ktoś spytał mnie o to tydzień temu, powiedziałbym, że jest *przyczyną* połowy moich chmur burzowych.

A potem coś się zmieniło. Potem przekonaliśmy się, że nasze krawędzie całkiem nieźle do siebie pasują... a teraz jest niemal przyjemnie.

Niemal zupełnie *przyjemnie* kursować pomiędzy jej potową bliźniaka i moją, jakbyśmy tworzyli jedno wielkie gospodarstwo domowe.

Tak samo jak przyjemnie jest droczyć się z Tarą i sadzać ją sobie na barana, podczas gdy Hay patrzy na nas aż nazbyt czule. Tak samo jak przyjemnie jest zapamiętywać godziny jej pracy, żebym mógł czekać na nią ze śniadaniem, gdy kończy zmianę, i ustawiać własne lokalne zlecenia w zależności od tego, kiedy ona nie śpi.

Jest nieziemsko — czy może wręcz niebiańsko — przyjemnie czuć się tak, jakby ona zawsze stanowiła część mojego życia, a nie była tylko gwiazdą, która spadła z hukiem na ziemię i roztrzaskała mój świat na kawałki.

Zaczynam odpowiadać Blake'owi, ale zamieram, gdy drzwi do pubu się otwierają i zauważam w odbiciu szyby znajomą głowę pełną jasnopolatych włosów, a potem ukazuje się całe odbicie jej właściciela.

Bress.

Pieprzony Dennis Bress.

Wchodzi ospale tym swoim powolnym, stawianym na bok krokiem, porusza się cicho, jakby dawał obietnice, które zawsze okazują się *kłamstwem*.

Tego właśnie najbardziej nienawidzę w Bressie.

Zawsze miał w sobie coś ojcowskiego, co sprawiało, że człowiek był przekonany, że może mu zaufać. Że go ochroni, że dla swojego zespołu zrobi wszystko.

W rzeczywistości zrobiłby wszystko *swojemu* zespołowi. Wszystko, byle ukryć własne tajemnice i zachować pozory. Każdy gram pieprzonego zaufania, które wzbudzał, zasadał się na *kłamstwie*.

Nie jestem w stanie oderwać od niego wzroku, w środku czuję palący gniew.

Nawet na mnie nie patrzy. On i dwóch mężczyzn, których nie rozpoznaję — chudych i wysokich mężczyzn w garniturach, o wyglądzie lichwiarzy, mięsożernych, obserwujących go uważnie — przechodzi obok i zajmuje stolik w rogu. Fakt, że gnój nawet nie spojrzął w moją stronę, wchodząc tu tak, jakbym w ogóle nie istniał po wszystkim, co zrobił, doprowadza mój gotowany na wolnym ogniu gniew do pełnego wrzenia.

Czuję się tak, jakby ktoś podłożył ogień pod moim tyłkiem, przez co zrywam się na równe nogi z czystą siłą eksplodującego we mnie gorąca.



Bo następnym, co do mnie dociera, jest fakt, że stoję, a głos Blake'a dobiega do mnie gdzieś z oddali, gdzieś zza rozgrzanego do czerwoności ryku wściekłości.

*Warren, nie, ostrzega, nie chcesz tego robić.*

Doskonale wiem, że *chcę*, i zanim dopuszczę do siebie głosu zdrowego rozsądku, strącam dłoń Blake'a z ramienia i ruszam w głąb baru.

W sali zapada cisza.

Moje uczucia nie są żadną tajemnicą, nigdy nie były, ale ludzie zawsze odwracali wzrok, bo nikt oprócz mnie nie zna prawdy na temat tego, co się wydarzyło. Więc wszyscy choć raz nie wciskali nosa w nie swoje sprawy, godząc się z tym, że ja unikam Bressa, a Bress mnie.

Teraz mam wrażenie ciszy przed burzą. Wszystkie oczy na sali podążają za mną.

A kiedy Bress podnosi wzrok, wyraz zrezygnowanego przerażenia, który pojawia się przez chwilę na jego twarzy, może równie dobrze oznaczać przyznanie się do winy.

Potrzeba całej mojej silnej woli, żeby mu nie przywalić. Pięści zaciskają się mi, jakbym sam siebie trzymał na smyczy i odciągał, aby nie przyłożyć mu w tę jego zbolatą gębę.

Gapi się na mnie tak, jakby mnie o coś błagał.

Walić go, jeśli sądzi, że *kiedykolwiek* udzielę mu rozgrzeszenia. Jeśli sądzi, że odpuszczę.

Powinien się cieszyć, że tak długo pozwoliłem mu żyć.

— Trzymaj się z daleka od Wilmy Ford — rzucam bez żadnego wstępu.

— Mam dość tego, że pogrywasz sobie z moją rodziną.

I nie zniosę, jeśli babcia zginie w podejrzanych okolicznościach.

Jak Jenna.

Tak kończą kobiety z rodziny Ford, które za bardzo zbliżą się do Dennisa Bressa.

Garniaki siedzące naprzeciwko niego zaczynają się podnosić, ale Bress uspokaja ich lekceważącym machnięciem ręki, a potem wstaje i podchodzi bliżej. Patrzy na mnie długo i z namysłem spojrzeniem tak smutnym, że zamienia wściekłe wrzenie w bulgoczącą nienawiść. Nie mogę uwierzyć, że w ogóle się na to odważył.

— Słuchaj, wiem, że chcesz chronić babcię, synu — mówi, sięgając do mojego ramienia.

Synu? Czy on, kurwa, zwariował?

Warcząc, odtrącam ostro jego dłoń i robię krok w tył.

— Nigdy więcej mnie tak nie nazywaj.

— Nawyk. — Uśmiecha się blado, słabo. — Był czas, kiedy traktowałeś mnie niemal jak ojca.

— Tak było, zanim się dowiedziałem, kim jesteś.

— Może tak — odpowiada cicho. — A może jesteś pogubiony.

Nie wiem, co tu się dzieje.

Próbuje mnie zirytować, czy jest coś, o czym mi nie mówi?

Coś, co budzi moją niepewność, ale on może po prostu próbować mnie zmylić. Pogrywa sobie ze mną, wykorzystuje naszą dawną relację, stare emocje — zaufanie, przyjaźń i braterstwo.

Zwłaszcza kiedy ciągnie:

— Tak myślałem, że w końcu mnie znajdziesz. Wiem, że nadal nosisz w sobie złość. I wiem, że o tej porze roku te uczucia znów odżywają. Jestem dumny, że tak długo udało ci się je tłumić. Że z każdym rokiem jesteś coraz bliższy zamknięcia. Ale wściekłość wciąż zjada cię od środka, Warren.

Jeśli dalej będziesz ją podsycać, nic z ciebie nie zostanie.

Przysięgam na Boga, że gdybyśmy nie znajdowali się w miejscu publicznym, Dennis Bress byłby już martwy.

Jak ten pierdolony popapraniec śmie?!  
Jak śmie zwracać się do mnie tym fałszywym, ojcowskim tonem?!

Jak śmie zachowywać się tak, jakby miał prawo mówić mi, jak radzić sobie z uczuciami, ze stratą, z bólem — kiedy każda z tych emocji sprowadza się do niego i jego tchórzliwej, egoistycznej...

Nawet nie zauważam, że biorę zamach z zaciśniętą pięścią, zbierając w niej całą moją wściekłość, gdy nagle coś chwyta mnie za ramię.

Hamuje ciasno zwiniętą sprężynę mojego bicepsa. *Blake.*

Trzyma mnie za rękę i odciąga z wciąż uniesioną pięścią. Czuję, jakby moja twarz zamarła w maskę nienawiści z brzdami gniewu wyrzeźbionymi w ciele. Bolą mnie zęby, bo tak mocno je zaciskam.

Bress po prostu stoi, patrzy na mnie z pełnym rezygnacji spokojem, jakby bez mrugnięcia okiem chciał mi *pozwolić* przywalić sobie prosto w tę swoją obwisłą, złą gębę, gdyby Blake mnie nie przytrzymał.

— War — mówi łagodnie Blake. — Daj spokój, stary. On nie jest tego wart.

Nie tutaj. Nie teraz.

*Nie tutaj.*

*Nie teraz.*

Nie w miejscu publicznym na oczach wszystkich tych ludzi.

Tych ludzi, którzy nie mają cholernego pojęcia, że oddychają tym samym powietrzem, co potwór. Tych ludzi, którzy uwielbiają Bressa, którzy kupują ten wizerunek spokoju i cierpliwości, którzy uważają go za kogoś w rodzaju dobrego ojca, za kogoś, kto zapewnia dopływ świeżej krwi naszemu miastu.

To ja zostałbym uznany za typa spod ciemnej gwiazdy i wszyscy zaczęliby się nagle zastanawiać, czym się zajmowałem od czasu wyjazdu, z kim się zadawałem i w jakiego kryminalistę się zamieniłem.

Działałbym na korzyść Bressa.

Bo nagle to on byłby męczennikiem, a ja złoczyńcą, który wziął się na dawnego mentora, dawnego przywódcę, dawnego przyjaciela.

*Ja pierdolę.*

Tak. Bez różnicy. Przypuszczam, że kiedyś faktycznie był dla mnie jak ojciec. I dlatego właśnie zdrada tak cholernie boli.

Opuszczam rękę, rozluźniam dłoń i mierzę Bressa wzrokiem.

— Porozmawiamy — obiecuję cicho, tylko między nami. — Wkrótce.

— Tak. Pewnie powinniśmy, Warren. — Bress ogląda się przez ramię, a potem zniża głos. — I tak muszę ci coś powiedzieć. Ale nie tutaj.

Chryste, nie chcę tego słuchać. Nie chcę wystuchiwać jego tajemnic, jego wyznań, jego wymówek.

Więc zanim wybuchnę, zanim kompletnie stracę nad sobą panowanie, odwracam się i wychodzę. Blake trzyma się blisko mnie, jakby się bał, że znów się wścieknę i dla własnego dobra będę musiał zostać znokautowany.

Po części ma rację. Nie potrafię myśleć logicznie.

W głowie brzęczą mi szerszenie, wszystko tnie mnie piekącymi uządleniami emocji, w czaszce mi chlupocze i łomocze tak, że świat się rozmazuje.

Na zewnątrz robię kilka głębokich wdechów, wciągając rześkie, wieczorne powietrze w płuca. Pozwalam, żeby spłynęło do środka i oczyściło mi głowę oraz uspokoiło łomoczący puls.

Wdech, wydech, wdech, wydech, zaciskanie i rozplatanie pięści w tym rytmie. Blake przez cały ten czas stoi tylko przy mnie, patrzy w niebo, pozwala mi być.

Mija sporo, zanim czuję, że mogę się odezwać w sposób, który nie zabrzmiałby jak czyste, zwierzęce warczenie, ale kiedy ostatecznie to robię, mruczę niechętnie:

— Przepraszam.

— Tak jak mówiłem — odpowiada Blake cicho, szturchając mnie łokciem.

— Bez urazy. Wszyscy radzimy sobie ze stratą inaczej. Po prostu nie chciałem, żebyś narobił sobie takich kłopotów, z których nie będziesz potem mógł wyjść.

Uśmiecham się ponuro.

— Bress nie może mi zrobić niczego, z czym sobie nie poradzę.

Blake parska szczekliwym śmiechem.

— Ależ z ciebie arogancki dupek.

— Czasami taki bywam. — Przynajmniej teraz łatwiej mi oddychać.

Wkurza mnie, jak bardzo jestem przez to wszystko wykończony. Czuję się tak, jakbym znieruchomiał w czasie, który przesuwają się tylko o tyle, żeby mnie dogonić, gdy uda mi się uwolnić choćby na cal.

Jednak terażniejszość mnie dopada i przyciąga siebie wibrowaniem telefonu w kieszeni. Sam widok małego selfie, które Hay przesłała mi wczoraj na swoją ikonkę — usta wykręczone w autoironicznym uśmiechu, jedno oko zmrużone — uspokaja to dzikie zwierzę, które we mnie wyje. Przesuwam kciukiem po wyświetlaczu i ze zmarszczonym czołem odczytuję wiadomość.

*Hej. Stewart napisał mi, że jest jeszcze jakiś problem z moim samochodem.*

*Coś z uszczelką. Mógłbyś zajechać do niego w drodze powrotnej?*

— To twoja dziewczyna? — pyta Blake, nachylając się bliżej.

— To mój ktoś — mruczę nieuważnie i szybko wystukuję odpowiedź.

*Nie ma sprawy, Hay. Chcesz, żebym kupił po drodze coś na kolację?*

Chwila ciszy, zanim odpowiada:

*Lubisz pieczarki na czymś innym poza burgerami? To rozstrzygające pytanie.*

Uśmiecham się szeroko. Jakimś cudem po całej tej aferze, po całej wściekłości i rozpalającej mnie nienawiści, szczerzę się w uśmiechu.

*Lubię. Czy to oznacza, że możemy, czy że nie możemy zjeść na spótkę pizzę?*

Sekundę później mój telefon sygnalizuje kolejnego esemesa od niej.

*Po prostu kup kapelusze pieczarek. Albo całe pieczarki, a sama odetnę ogonki. Dureń.*

Potem pojawia się kilka ikonek z serduszkami i jedna ze środkowym palcem.

Tak.

Cała Hay.

— Cholera, stary. Już od dawna nie widziałem na twojej twarzy takiego uśmiechu — mruży Blake. — Pasuje do ciebie.

— Nie miałem zbyt wielu powodów do radości — odpowiadam, chowając telefon do kieszeni. — Muszę lecieć. Przepraszam, że tak uciekam.

— Tak? Dokąd?

— Muszę sprawdzić, co z jej samochodem. Stewart ma jakiś problem.

— Uśmiecham się cierpko i podaję Blake'owi rękę. — Poważnie, mieliśmy zdecydowanie zbyt długą przerwę. Musimy niedługo to nadrobić.

— W domku letniskowym jest zawsze wakacyjne wędkowanie, jeśli zostaniesz tu na tyle długo. — Zamyka moją dłoń w uścisku i potrząsa nią mocno, serdecznie, z kojącą siłą tego, co znajome. Starej przyjaźni, starych więzi. — Doktorrek zawsze ma ubaw.

— Bo za cholerę nie potrafię łowić ryb, a oni zawsze zdejmują mi haczyk — zauważam.

Blake parska, ale mnie jest niespecjalnie do śmiechu.

Bo teraz — przez to, jak wszystko się układa — ryby wzbudzają we mnie odrobinę zbyt dużo współczucia.

Czuję się tak, jakby ktoś używał mnie jako przynęty i wymachiwał nią na haczyku.

Jedyne pytanie brzmi: kto?

\*\*\*

W PEP-PEP-GO JEST CIEMNO, kiedy tam dojeżdżam, ale duży, podrasowany pikap Stewarta stoi na parkingu.

To masywny wóz na ogromnych kołach, który wygląda tak, jakby został ukradziony z aukcji nieużywanych monster trucków. Jest tak wielki, że mógłby w zasadzie zmiażdżyć mój samochód i nawet tego nie zauważyć.

Staram się nie zastanawiać nad tym, czy mój przyjaciel próbuje sobie w ten sposób coś zrekompensować.

Gdy zajeżdżam, Stew otwiera drzwi do głównej części warsztatu. Przebrał się ze swojego standardowego kombinezonu roboczego w zwykłe dżinsy i koszulkę. Gdy wysiadam, unosi rękę w powitaniu.

Nie widzę nigdzie śladu po mustangu Hay, ale część warsztatowa jest już zamknięta na noc.

— Cześć — mówię, zatrzaskując drzwi do mojego wozu. — Co jest grane z samochodem Haley?

— Nic takiego, War — mówi i opiera się o maskę swojego dodge'a, krzyżując przed sobą ręce. — Wiedziałem tylko, że jeśli napiszę: „Nie jedź do Brody'ego, Bress jest już w drodze”, to byś mnie zignorował.

Mrużę oczy.

— Ty skurwielu, użyłeś podstępu, żeby mnie stamtąd wywabić?

— Raczej próbowałem uratować ci tyłek przed katastrofą, bo ostatnio jesteś jak kabel pod napięciem. Nie chcę odwiedzać cię w więzieniu — odpowiada beznamiętnie, unosząc obie brwi, i posyła mi wymowne spojrzenie. — Byłeś tam?

— Tak.

— Do czegoś doszło?

Stękam i odwracam głowę, przeczesując dłonią włosy.

— Zamieniliśmy parę słów. Blake wywłókł mnie na zewnątrz.

— Pocziwy Blake. Wyświadczył ci przysługę. — Stewart wzdycha. —

Minęło trzynaście lat, Warren. Musisz odpuścić.

— Nie mogę — warczę. — On już odebrał mi Jennę, a teraz obrął za cel babcię.

Stew mruga.

— Panią Wilmę? Co, u licha, masz na myśli?

— Zaczęła z nim rozmawiać na temat inwestycji. Współwłasności Brody'ego i zajazdu po jej przejściu na emeryturę — cedzę przez zęby. —

Robi to tylko po to, żeby mi dowalić. Skurwiel wie, że jestem na jego tropie.

— War. — Głos Stew niemal wyraża litość i wkurza mnie to. — Musisz skończyć z tymi teoriami konspiracyjnymi. Śmierć Jenny była pomyłką w czasie akcji wojskowej. Chcesz kogoś za to winić, obwiń cholerną mi-licję na wzgórzach. Talibowie nigdy nie walczyli uczciwie.

— Nie masz racji. Tamtego dnia w terenie nie było pieprzonych sił wroga.

Poza tym sam mi powiedziałeś, że widziałeś go, jak nad nią stał. Tylko Jennę i Bressa oraz całą zbitą z tropu ekipę saperów.

Marszczy brwi.

— Skąd możesz wiedzieć na pewno? Odeśłali cię na akcję setki kilometrów dalej. Na misję wywiadowczą, prawda?

— Tak — warczę. — Bress miał jeszcze innych świadków. Po prostu do tej pory o tym nie wie. Kilku chłopaków z trątu widziało Jennę, kiedy została zabita.

— Saperzy? Nie, oni pojawili się dopiero...

— Oficjalny raport był błędny, Stew. Bardziej niż błędny. Myślę, że ktoś sfałszował przebieg wydarzeń i znaczniki czasu na zeznaniach.

Stewartowi rzadnie mina. Milczy przez kilka chwil. Posyła mi zamyślane, zaniepokojone spojrzenie i zaczynam się zastanawiać, czy powinienem się obawiać, że zrobi coś drastycznego, na przykład zadzwoni na policję.

— War, co ty zamierzasz? Nie planujesz niczego niezgodnego z prawem, prawda?

— Nie musisz wiedzieć. Lepiej, żebyś nie wiedział. Nikogo nie zamierzam zabić, więc nie musisz się martwić.

*Chyba, że nie będę miał, kurwa, wyjścia, myślę sobie, mając nadzieję, że do tego nie dojdzie.*

Opieram się o pakę pikapa, próbując załagodzić wściekłość. Patrzę ze złością w ciemną ulicę.

— Chcę tylko wydobyć z niego wyznanie. Tylko na tym mi zależy. Na prawdzie z pierwszej ręki. Dowiem się, co naprawdę się stało, kiedy umarła, a on się nauczy, żeby mnie nie okłamywać. Zresztą nikt z waszego dawnego oddziału już go nie bierze w obronę. Nie po tym, co zrobił.

— Ciebie też nikt nie weźmie w obronę, jeśli go zabijesz.

— Nie zabiję go — parskam. — Dopilnuję tylko, żeby do końca życia gnił za kratkami. Robię to dla Jenny, więc zrobię to tak, jakby ona to zrobiła. Jak należy i zgodnie z prawem. Gdybym miał wybór...

— Tak. Dzięki Bogu nie masz — wzdycha Stewart. — Wciąż mieszasz się w jakieś niebezpieczne sytuacje. Może nie bez powodu nikt niczego nie znalazł po tak długim czasie.

— Ależ jest powód. Są nimi krwawe pieniądze Bressa. To proste. Ty zwyczajnie daj sobie z tym spokój, Stew.

— A co z Haley i Tarą? — pyta. — Co się z nimi stanie, kiedy rzucisz się w pogoń za swoją ofiarą i coś ci się stanie albo trafisz do kicia?

— Nie dojdzie do tego — zauważam. — Hay i Tara to moja sprawa.

Dlaczego, u licha, wszyscy odczuwają potrzebę, żeby wtrącać się w nasz związek?

— Czyli jest jakiś związek?

— Jest... coś — mruczę. — Cholera. Obiecałem jej, że kupię grzyby. Muszę lecieć.

— Proszę, proszę, co za domator — odpowiada. — A tak przy okazji, przekaż jej, że z samochodem wszystko w porządku. Okazuje się, że znalazłem na zapleczu działającą część. Za dzień lub dwa powinna odzyskać wóz.

W ramach odpowiedzi wystawiam tylko środkowy palec nad ramieniem i wsiadam do samochodu, a potem jadę do sklepu spożywczego.

Nie mogę uwierzyć, że Stewart posłużył się Hay, żeby odciągnąć mnie od Bressa. Nie wiem, co mnie bardziej martwi.

Że Hay trzyma mnie na tak krótkiej smyczy, że to niemal zadziało?

Czy że Stew coraz bardziej miesza się w nieswoje sprawy?

Jakaś część mnie zastanawia się: *dlaczego?*

A pozostała trochę się boi tego dowiedzieć.

## ROZDZIAŁ 15. NIEBO W DOMU (HALEY)



Zaczynam sądzić, że kiedy przyjdzie na to czas, będzie mi strasznie trudno wyrwać Tarę z Heart's Edge i odesłać ją z powrotem do domu, do rodziców w Seattle.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam główny budynek Zajazdu Uroczysko, nie zdawałam sobie sprawy z tego, że został on zbudowany wokół atrium.

Pani Wilma utrzymuje piękne, przeszklone patio dostępne jedynie z części zajazdu wydzielonej na prywatne kwatery mieszkalne. Miejsce tętni życiem i jest wypełnione światłem; wszędzie zwisają pędy kapryfolium, jest tam nieduży staw, kratki owinięte wonnym jaśminem, wysokie, rozkołysane lilie, a nawet patki wodne posadzone na brzegu lśniącego oczka wodnego.

Słońce splota bladymi, złotymi kolumnami, potyskując na migocących jak klejnoty maleńkich kolibrach, które śmigają żwawo między kwiatami kapryfolium i jaśminu, jakby nie potrafiły się zdecydować, którym słodkim nektarem pożywić się w następnej kolejności.

A Tara jest w niebie; wymachuje nogami na małej huśtawce, zwisającej z niskiej gałęzi niewielkiego, ale starego, poskręcane go dębu. Rósł tu pewnie, jeszcze zanim wybudowano ten dom.

Jest tutaj tak jasno, tak malowniczo, a przygasające światło zachodzącego słońca w żadnym stopniu tego nie zmienia.

Przysięgam, że mogłabym tu malować całymi latami i nigdy nie objąć wszystkiego, ale jakaś część mnie chce spróbować.

W tej chwili jednak zadawałam się siedzeniem na małej, wyściełanej poduszkami ławeczce obok stawu i słuchaniem śmiechu Tary, która huśta się coraz wyżej, kopiąc nogami w powietrzu.

Siedząca obok mnie pani Wilma też na nią patrzy. Dłonie ma zaplecione na kolanach z dworską gracją, którą, jak zauważyłam, Tara zaczęła ostatnio naśladować.

— Kochane dziecko, nieprawdaż? — odzywa się z czułością. — Musisz być z niej bardzo dumna.

— Oczywiście — odpowiadam. — Co prawda jestem tylko ciotką... ale wie pani.

— Nonsens, moja droga. Nie ma czegoś takiego jak *tylko* ciotka. Ciotki to matki, które chciałybyśmy mieć, kiedy te, które mamy, traktują nas trochę niesprawiedliwie. To nasze najlepsze przyjaciółki, nasze bohaterki, nasze powierniczki i kobiety, którymi niejednokrotnie pragniemy zostać w dorosłości.

Spoglądam na nią, zatrzymując się na zamyślonych, ciepłych oczach.

— Wygląda na to, że miała pani ciotkę, którą pani uwielbiała?

— O tak. Ciotkę Nicolette. To była elegancka dama. Córa paryskich wyższych sfer. Wydawała wspaniałe bale, których pozazdrościłby jej sam Gatsby, ubierała się w koronki i bawiła w najlepszych hotelach w Nowym Jorku. Mrugam.

— To pani nie pochodzi z Heart's Edge?

— Nie, moja droga. — Przykłada jedną szczupłą dłoń do gardła, a ja dopiero wtedy zauważam, że przy koronkowym karczku jej sukienki znajduje się mały, staroświecki, srebrny medalion, tak stary, że po latach traktowania z miłością stał się idealnie wypolerowany. — Mój Lawrence pochodził z Heart's Edge. Przejeżdżał przez Nowy Jork po wojnie i znalazł mnie, wywijającą hołubce do najmodniejszych melodii, droczącą się z chłopcami.

Uznał z miejsca, że nie chce, abym kiedykolwiek patrzyła spod rzęs na innego mężczyznę niż na niego.

Śmieję się cicho.

— Wygląda na to, że jego wnuk przejął od niego co nieco. Kiedy coś postanowi, nic nie jest w stanie go od tego odwieść.

— Warren rzeczywiście dość mocno przypomina swojego dziadka. —

Jej wzrok mięknie. Sięga do tyłu, żeby rozpiąć medalion, pozwalając mu spłynąć na dłoń, a potem delikatnie go otwiera, żebym mogła zobaczyć przystojnego mężczyznę na czarno-białej fotografii.

Jego kanciasta szczęka wygląda dokładnie tak samo jak Warrena; ten sam ostry, pełen gotowości na wszystko wyraz twarzy, równie arogancki uśmiech, lśniące czarne włosy zaczesane gładko do tyłu, żeby pasowały do odprasowanego, staroświeckiego munduru sił powietrznych.

— Obaj są bardzo wytworni, nie sądzisz?

— Zgadza się. — Nachylam się i podziwiam Lawrence'a Forda. —

Czy mogę spytać... co się stało?

— Och, minęło tyle lat, moja droga. Mówienie o tym już nie boli. — Ale w jej głosie pobrzmiwa uczucie straty, złamane serce. Spuszcza wzrok na medalion.

Nagle zaczynam się zastanawiać, jak to jest kochać kogoś tak bardzo, że człowiek ten żyje w każdym twoim geście i słowie jeszcze długo po swojej śmierci.

— Mój Lawrence był zawsze żołnierzem. Nie mógł tego porzucić, nawet po zakończeniu wojny w Europie. Za każdym razem, gdy wzywano go na jakiś patrol, zawsze znajdował się na linii frontu. Któregoś dnia jego samolot miał awarię nad Cieśniną Beringa podczas rutynowych ćwiczeń, mających na celu niedopuszczenie tam Rosjan. — Jej westchnienie jest długie i słabe, drżące. — Nigdy nie odnaleziono ani wraku, ani ciała.

To nie moja historia i nie moja strata... ale tak czy inaczej czuję ból w sercu, ostre ukłucie w piersi, zarówno ze względu na nią, jak i Warrena.

— Tak mi przykro, pani Wilmo.

— Takie jest życie. Ale kochałam go całą sobą, póki był ze mną, i tylko to się liczy. — Jej oczy lśnią wilgocią, gdy podnosi głowę, rozglądając się po patio z



uśmiechem tak pięknym, że aż boli. — Zbudowaliśmy to atrium razem. Czasem mam wrażenie, jakbym wciąż wyczuwała tu jego obecność.

Warren też tu często przychodził jako dziecko. Jakby sam z siebie rozpoznawał tę energię.

— To absolutnie przepiękny zakątek. Z zewnątrz nigdy bym się nie domyśliła, że istnieje.

— Chcieliśmy, żeby to było nasze sekretne miejsce. — Parska śmiechem, zamykając medalion, i znów zakłada łańcuszek na szyję, męcząc się z zapięciem. — Odkąd przekształciliśmy rezydencję w hotel, goście mogą podziwiać widok, ale tylko rodzina ma tu wstęp.

Zastanawiam się, co to oznacza, skoro wpuściła tutaj mnie i Tarę.

Niemal mam wrażenie, jakby pani Wilma nas adoptowała, i nie wiem, co o tym sądzić w kontekście mojego związku z Warrenem.

Poprzedniego wieczora wrócił do domu z czterema różnymi rodzajami grzybów tylko dlatego, że nie wiedział, jakie chciałam. A kiedy zapytałam, dlaczego po prostu do mnie nie napisał i nie zapytał, wyraz jego twarzy i osłupiała mina sprawiły, że oboje wybuchnęliśmy śmiechem, a potem padliśmy sobie w ramiona.

Wczoraj kolacja trochę się opóźniła, ale chyba żadnemu z nas to nie przeszkadzało.

Spoglądam w bok. Pani Wilma mocuje się z zapięciem, więc wstaję szybko i przechodzę na drugą stronę ławki.

— Proszę mi pozwolić — mówię, a ona mruczy podziękowania, gdy biorę delikatny łańcuszek i łączę zapięcie tak, że znów zamyka się bezpiecznie wokół jej szyi. — Dziękuję, że pozwoliła nam pani zobaczyć to miejsce. I dziękuję, że tak bardzo dba pani o Tarę, gdy ja jestem zajęta.

— Nie masz pojęcia, ile radości mi sprawia obecność małej dziewczynki. Od dawna tego nie doświadczałam.

Wiem, że nie powinnam pytać. Wiem. Ponieważ nie mogę za bardzo się angażować, nie mogę wmawiać sobie, że jest to coś innego, niż jest, a jednak...

— Czy Jenna często tu przychodziła? — pytam z wahaniem, zaciskając dłonie na oparciu ławki.

Pani Wilma odwraca się przez ramię, gwałtownie i bystro, ale bez niezyczliwości.

— A ty gdzie usłyszałaś imię Jenna, co?

— Em, chyba... — Pochylam głowę i chrząkam. Ogarnia mnie wstyd i całe moje ciało robi się zbyt gorące od dudniącego pulsu. — Przepraszam.

Ma je na tatuażu. A Stewart raz czy dwa razy o niej wspominał.

— Ach, ten mechanik. Co za plotkarz. Naturalnie musisz się zastanawiać, kim ona jest i dlaczego mimo upływu takiego czasu Warren jest wciąż otwartą raną, jeśli o nią chodzi?

Krzywię się i przytakuję.

— Byłam po prostu ciekawa.

Pani Wilma wstaje płynnym ruchem, wygładza spódnicę i woła do Tary:

— Pobiegnij do środka i umyj ręce przed kolacją, kochanie.

Tara natychmiast zaprzestaje wymachów nogami, zeskakuje z huśtawki i kiwa głową, kołysząc przy tym warkoczykami.

— Dobrze, proszę pani!

Odprowadzam ją wzrokiem, gdy odbiega i znika we wnętrzu domu.

— Wow. Jak pani tego dokonała w tak prosty sposób? Ja muszę błagać, negocjować, a w ostateczności nawet uciekać się do przekupstwa.

— A kto powiedział, że ja się do tego nie uciekam? — mówi pani Wilma i mruga do mnie wesoło. — Kiedy spróbujesz moich ciasteczek z cynamonem i migdałami, to zrozumiesz. — Kiwa głową w kierunku drzwi. — Chodźmy do środka. Chcę ci coś pokazać.

Podążam za nią zaciekawiona. Zawsze czuję się przy niej mała, nie tylko dlatego, że jest wysoka, a ja jestem chuchrem w brygadzie mikrusów. Jest tak pełna gracji, dostojna i onieśmielająca, że w pewnym sensie myślę, że gdybym miała mieć ciotkę, do której chciałabym się upodobnić w dorosłości, byłaby nią pani Wilma.

W porównaniu do szklarniowego ciepła atrium wewnątrz domu jest chłodne i zacienione. Dopiero po chwili mój wzrok przyzwyczaja się do mroku, gdy idziemy korytarzami udekorowanymi zwiewnymi płótnami, które kontrastują z ciemnymi dywanami i rozwieszonymi tu i ówdzie pojedynczymi, gustownymi obrazami.

Może powinnam namalować coś dla pani Wilmy przed wyjazdem.

Dać z siebie wszystko, naprawdę się postarać, ofiarować jej w podziękowaniu coś, z czego będę dumna.

Ale zapominam o swoich myślach, gdy pani Wilma wchodzi do salonu pełnego wiktoriańskich mebli tak pieczołowicie zadbanych, że wyglądają niemal jak nowe.

Na gzymisie kominka stoi kilka zdjęć, wszystkie w ozdobnych, złotonych ramach polerowanych regularnie z miłością, potyskujących delikatnie w przebłyskach światła wpadającego przez firanki.

Dociera do mnie, że to właśnie chciała mi pokazać.

Zatrzymuje się po jednej stronie kominka, spoglądając z czułością na portret dwójki dzieci; przycięty tak, że widać tylko chłopca i dziewczynkę, podczas gdy dorośli są jedynie nogami niknącymi w głębi ramki.

To Warren. Rozpoznaję jego niebieskie oczy, zaciekłe spojrzenie nawet w pulchnym, słodkim chłopczyku umazanym błotem.

A stojąca obok dziewczynka jest do niego bardzo podobna.

Podobieństwo nasila się z każdym kolejnym zdjęciem, gdy robią się wyżsi i starsi.

Fotografie, na których się śmieją.

Fotografie, na których patrzą na siebie spode łba.

Fotografie, na których piorunują wzrokiem mężczyznę i kobietę, zapewne swoich rodziców, naburmuszeni z powodu najwyraźniej rozczarowujących prezentów gwiazdkowych, w otoczeniu sterty błyszczącego, ozdobnego papieru.

Mimo woli parskam śmiechem. Bolesnym, bo wiem już, jaki jest koniec.

Bo na końcu szeregu fotografii, obok zdjęć Warrena świeżo po szkoleniu z głową ogoloną po wojskowemu na zapałkę i w odprasowanym mundurze jak u jego dziadka, obok zdjęć Jenny — bo to musi być Jenna — w jej własnym mundurze, z włosami związanymi w ciasny supeł, dumnie wy-prostowanej, kryje się tragedia.

Pojedyncza, oprawiona w ramkę, złożona flaga z mniejszym zdjęciem Jenny zatkniętym w rogu. Ta flaga może oznaczać tylko jedno. To trudna i bolesna świadomość, choć nawet nie wiedziałam, kim była.

Przyciskam zgięte palce do ust i wpatruję się w zdjęcie. Jej oczy są jasne i zdeterminowane. Czy to ostatnie zdjęcie, jakie jej zrobiono?

— Ona była jego siostrą — szepczę. — Stracił siostrę.

— Tak. W dzieciństwie byli ze sobą bardzo zżyci. To go kompletnie zlamato.

Ta wiedza nie powinna budzić we mnie tak silnych emocji. Wielka szkoda, że serce rządzi się własnymi prawami.

A dzięki pani Wilmie tak bardzo czuję się członkiem rodziny, że niemal mam wrażenie, jakbym ja też ją straciła — a może po prostu jest mi przykro ze względu na Warrena. Nagle dużo lepiej rozumiem całe to wściekłe, jakby nieuzasadnione stroszenie kolców.

On jest taki jak ja.

Życie zadało mu tak wielki cios, że nogi się pod nim ugięły i od tego czasu jeszcze się nie pozbierał. Wścieka go, że bez tej jednej rzeczy, która nadawała jego życiu porządek, w dalszym ciągu nie potrafi odnaleźć w nim sensu.

Och, Warren...

— Co się stało? — pytam niepewnie, z trudem wydobywając słowa przez zaciśnięte gardło. — To znaczy, jeśli... mogę spytać.

— Wypadek w czasie służby — wyjaśnia ze smutkiem pani Wilma. —

Podczas ostatniej misji. Podobno zginęła postrzelona przez swoich podczas nieudanej zasadzki, ale nikt nie wie na pewno, jak do tego doszło. Ra-porty były... niejasne. Oczywiście nikt nie chciał, żeby stała jej się krzywda.

Marszczę brwi. Postrzelona przez swoich? Zasadzka?

To nie zgadza się z tym, co powiedział Stewart, ale z drugiej strony ja znam tylko urywki tej historii. Może jeszcze ich odpowiednio nie poskładałam. Co ja wiem o wojnie?

— Czy Warren był razem z nią na misji?

— Był, ale tego dnia stacjonował gdzie indziej. W innym oddziale. —

Tym razem pani Wilma nawet nie próbuje pohamować wyływających łez.

— Jedno z moich dzieci wraca do domu w trumnie. A drugie wraca kompletnie odmienione. Od tego czasu Warren nigdy nie był już taki sam.

— Och, pani Wilmo... — Tym razem nie poddaję w wątpliwość własnego impulsu.

Podchodzę do niej, obejmuję ją i przyciągam mocno do siebie. Z jej gardła wydobywa się zaskoczony, dumny okrzyk, ale potem przytula się do mnie, a jej chude ręce zaplatają się wokół mnie.

Jest silna i obejmuje mnie mocno i zaciekle. Cieszę się, że zaufałam swojemu instynktowi. To dumna, silna kobieta, zgadza się.

Ale nawet dumni, silni ludzie potrzebują od czasu do czasu pocieszenia.

Jednak po chwili odsuwa się ode mnie i uśmiecha promiennie mimo zapłakanych oczu, a potem pociąga nosem, ociera policzki i łapie mnie za ramiona.

— Prawdę mówiąc, odkąd przyjechałaś do Heart's Edge, jest z nim jakby lepiej. Zawsze miał temperament. Odczuwam niemal ulgę, kiedy widzę, że znów ciągle puszcza mu nerwy, a nie chodzi wiecznie ponury i smętny, tłumiąc wszystko w sobie.

— Niech pani spróbuje to powiedzieć ofiarom jego wybuchów — mówię ze śmiechem.

— Och, przy mnie by się na to nie odważył, moja droga — mówi, a jej uśmiech znów robi się szelmowski. — I śmiem twierdzić, że ty też znalazłaś sposób na to, żeby utrzymać go w ryzach?

Nie wiem, co na to odpowiedzieć. Nie wiem, czy utrzymuję Warrena w ryzach, skoro ciągle się mocujemy, aż rozciągnięte między nami postronki robią się tak napięte, jakby miały zaraz pęknąć.

Pani Wilma klepie mnie po ramieniu i patrzy na mnie wzrokiem, którego nie potrafię znieść.

— Zastanawiałam się, czy doczekam się kiedyś prawnuków. Nie jestem jeszcze aż *taka* stara. Jeszcze nie jest za późno.

Kaszlę i charczę, bo jakimś cudem udało mi się zakrztusić powietrzem.

Wtem dźwięk zatraskiwanych na zewnątrz drzwi samochodu oszczędza mi serii niezręcznych wymówek. To musi być Warren, na całe szczęście.

Miał dołączyć do nas podczas kolacji, jednak obiecał, że najpierw wpadnie do warsztatu Stewarta i odbierze mój samochód, abym nie musiała prosić się dziś o podwózkę do pracy. Wygląda na to, że mustang powinien pociągnąć jeszcze kolejny tydzień po prowizorycznej naprawie, ale Stewart obiecał, że zrobi wszystko, żeby do tego czasu sprowadzić brakującą część.

Zadzwoiłam do siostry, chcąc ją o tym poinformować, ale nie odebrała.

Później dostałam od niej esemes, że zrobi mi przelew ze zwrotem pieniędzy, ale kiedy odpisałam, że to na koszt firmy dzięki małomiasteczkowej gościnności, nic już nie odpowiedziała.

*Uch.*

Domyślałam się, że sprawy na Hawajach nie mają się zbyt dobrze.

To jednak jest jak chlust zimnej wody — odbywający się w zwolnionym tempie rozpad prawdziwego, kochającego się małżeństwa, z którym jestem tak blisko związana — który wyrzuca mi z głowy fantazje pani Wilmy o wnukach i jej niezbyt subtelne aluzje.

Wciąż jestem zadyszana i zdenerwowana, gdy drzwi frontowe się otwierają i słyszę głośne kroki Warrena. Zwykle nie robi aż tyle hałasu.

Porusza się jak dzikie zwierzę — którym jest — jak skradająca się bestia złożona z czystej, żywej siły, mająca tak pełną kontrolę nad swoim ciałem, że może poruszać swoją masywną postacią zupełnie bezszelestnie. Ale dziś

wydaje się zmęczony, gdy przechodząc korytarzem obok drzwi do salonu, rzuca w biegu tylko spojrzenie i woła:

— Babciu? Haley? — Nagle zatrzymuje się, cofa i opiera o framugę.

Na jego twarzy zachodzi przedziwna transformacja, kiedy widzi nas przed kominkiem. Portrety Jenny stoją w rzędzie za nami, a twarz pani Wilmy jest wciąż mokra od płaczu.

Pod śniadą opalenizną Warren robi się blady, potem czerwony, a na koniec dziwnie pusty.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo się odprężył, jak ciepło w jego oczach wymazało ciągłe wrogie napięcie, które początkowo było normą — ale nagle całe to napięcie powraca. Sterczy z niego jak ostre, szpiczaste kolce, jakby był gotowy w każdej sekundzie rzucić się na mnie i na panią Wilmę. Jego szczęki napinają się, zaciskają, pracują, mięśnie drgają powoli pod brodą.

— Twój samochód jest gotowy — informuje głosem bez wyrazu, po czym szybkim ruchem nadgarstka rzuca mi kluczyki.

Wyrwam się instynktownie do przodu i łapię je obiema dłońmi, składając je tak szybko, że piecze mnie od środka, bo ostre krawędzie kluczy przecięły mi skórę.

— Warren? — pytam, ale on już się odwraca. Jego szerokie barki falują niczym ruchome góry, trzęsienie ziemi milczącego gniewu.

Pani Wilma cmoka.

— Ależ nie zachowuj się tak, mój drogi. Myślałam, że zostanieie wszyscy na kolacji?

— Nie jestem głodny — rzuca przez ramię i zbywa jej słowa machnięciem ręki. — Na pewno i tak macie, kuźwa, mnóstwo tematów do rozmów beze mnie.

— Opłata za brzydkie słowo — wtrąca z korytarza cichy głosik.

Ale Warren już wychodzi. Słyszę trzaskanie drzwi frontowych, a potem dudnienie jego kroków na ganku tak silne, że mam wrażenie, jakby kopał mnie w serce.

Tara wygląda zza drzwi z szeroko rozwartymi oczami, ściąga twarz i zasysa wargi do buzi.

— Dlaczego pan Warren jest taki zły? — szepcze, a głos lekko się jej łamie.

Pani Wilma wzdycha.

— Nie jest zły na ciebie, moja kochana — mówi. — Cierpi i nie potrafi sobie z tym poradzić. — Odwraca się do mnie. — Przepraszam, Haley.

Nie chciałam, żebyś została wciągnięta w nasze rodzinne piekielko.

— Nie szkodzi — zapewniam, choć nie jestem pewna, czy tak jest, skoro nie wiem, co zastanę po powrocie do bliźniaka. Ale posyłam kobiecie dzielny uśmiech i kładę lekko dłoń na jej ręce. — Pani stara się tylko sprawić, żebym poczuła się tu jak w domu. A ja zawsze mogę mu zanieść kolację.

— No i popatrz, jak się o niego troszczysz. — Pani Wilma gładzi mnie po policzku. Jej dłoń jest ciepła i gładka. — Potrzebuje tego, nawet jeśli nigdy się

do tego nie przyzna. Chodź. Zjedzmy smaczny posiłek, mimo że brak nam jednego rozwścieczonego niedźwiedzia grizzly.

Utrzymuję na twarzy blady uśmiech, gdy zabieram Tarę i idę za panią Wilmą do jadalni.

*On tego potrzebuje*, powiedziała. Potrzebuje tego, żeby ktoś się o niego troszczył.

Co niekoniecznie oznacza, że potrzebuje *mnie*.

\*\*\*

MIMO CHMUR BURZOWYCH, które pozostawił za sobą Warren, kolacja jest i tak ciepłym, kojącym wydarzeniem, o którym chcę przez jakiś czas pamiętać, może zawsze. Kolejne wspomnienie rekompensujące brak własnych rodzinnych wspomnień. Czuję się tak, jakby mój krótki pobyt w Heart's Edge był szansą na odzyskanie straconego czasu.

Nie może trwać wiecznie, ale pomoże mi uchwycić kilka chwil wartych zapamiętania.

Spokojne życie z rodziną, zapisane w komórkach nerwowych, wymalowane dziwnymi emocjami, jakie wzbudzają we mnie nowe doświadczenia.

Jest mi lepiej, gdy pakuję porcję parującej pieczeni z indyka zatopionej w sosie, zapiekanki makaronowej i tłuczonych ziemniaków, które chcę zabrać dla Warrena. Tara upiera się, że ona będzie to niosła, więc pilnuję tylko, żeby dobrze chwyciła ciepły talerz, tak aby się nie oparzyć, po czym wychodzimy razem w noc i wracamy spacerem do domku.

Przez całą drogę spowija mnie dziwny strach. Mam wrażenie, że to może ostatnia chwila spokoju, jaką przez pewien czas przyjdzie mi się cieszyć.

Warren wydawał się niemal zdradzony i chyba nie muszę nawet zgadywać, z jakim przywitaniem się spotkam.

Mimo to nic nie mogę poradzić na lekkie rozczarowanie, które odczuwam, kiedy wchodzimy po schodach i zauważam, że Warren nie czeka w naszej połowie bliźniaka.

W ciągu kilku ostatnich dni w pewnym sensie przywykłam do tego, że spędza więcej czasu u nas niż u siebie, że staje się częścią naszego życia, choć wciąż trzyma nas z daleka od tajemnic skrytych po jego stronie domu.

Ale nasze drzwi są zamknięte na klucz. Za szybką po jego stronie jest ciemno, lecz dostrzegam bladą poświatę laptopa z sypialni.

Wzdycham, zamykam oczy, a potem zmuszam się do uśmiechu ze względu na Tarę i sięgam po talerz.

— Idź się umyć przed spaniem, mała. Muszę porozmawiać z Warrenem, zanim poślę cię z powrotem do pani Wilmy na noc.

Tara marszczy nos.

— Łee. Zawsze będziesz pracować w nocy?

— Tylko tutaj, smarkulo. Kiedy się stąd wyprowadzę, znajdę inną pracę.

— Nie chcę, żebyś wyprowadzała się aż do Chicago. — Oddaje mi talerz tylko po to, żeby złożyć ręce na piersi. — To za daleko. W ogóle nie będę cię widywała.

Chcę jej powiedzieć, że to nieprawda, obiecać, że cały czas będę ją odwiedzać... ale bym skłamała. Patrzę tylko na nią z czułością i czuję złość.

Nie jestem gotowa na dodatkowe ułtucie bólu poza chaotycznymi uczuciami związanymi z Warrenem, ale ono już tu jest i patrzy na mnie.

Po przeprowadzce być może przez wiele lat nie zobaczę Tary.

Seattle i Chicago nie leżą blisko siebie, a loty nie zawsze są tanie.

Nie jesteśmy rodziną, która spotyka się na Boże Narodzenie i Święto Dziękczynienia. Z okazji ważnych świąt dzwonimy do siebie. Czasem zdarza się ciężka noc w rocznicę śmierci taty, którą poniósł, jadąc po pijaku.

Dzwonimy wtedy do siebie, porozumiewamy się dziwnymi dźwiękami, a potem siedzimy w ciszy, czerpiąc niezbędną pociechę z tego, że nie jesteśmy same z tyloma sprzecznymi uczuciami.

*Kiedy to przestało mi wystarczać?*

Co to cholerne miasteczko ze mną zrobiło? Kiedy zaczęłam nagle chcieć rzeczy, o których nigdy wcześniej nawet nie myślałam?

Chryste. Stoję na ganku z talerzem dla Warrena w rękach i patrzę na swoją siostrzenicę tak, jakby wyrosła jej druga głowa. Nie wiem, dlaczego reaguję tak emocjonalnie. Można by prawie pomyśleć, że jestem...

*Nie. Nawet tak nie myśl.*

Nawet gdyby tabletki antykoncepcyjne zawiodły, jest jeszcze o wiele za wcześnie, żeby ciało zaczęło reagować na hormony ciążowe. Nie mogę liczyć na tak łatwą wymówkę.

Za ten bałagan mogę winić tylko siebie.

— Później porozmawiamy o Chicago, smarkulo — obiecuję i wchodzę w rolę dużej dziewczynki, uśmiechając się do Tary. — Idź do środka i się umyj. Pani Wilma obiecała, że możesz pójść później spać i obejrzeć z nią dzisiaj jakiś film na TCM.

Tara wybałusza oczy

— *Król i ja?* O wow! Tam mają takie *śliczne* suknie.

Boże, mam nadzieję, że nie robię czegoś strasznego, gdy mówię:

— Tak. — Nigdy nie widziałam tego filmu. Pani Wilma nie pokazałaby mojej siostrzenicy niczego zbyt pikantnego, prawda?

*...Prawda?*

Ale przynajmniej Tara czmycha i znika w naszej części domku. Odwracam się znów do drzwi Warrena.

Sekundę później wydaję stłumiony okrzyk, zataczam się do tyłu i omal nie upuszczam talerza, bo widzę go w progu. Opiera się potężnym ciałem o framugę i wbija we mnie twarde, nieprzystępne spojrzenie.

Cholera. Jest wkurzony. Albo coś.

Nie wiem co. Nagle nie umiem odczytać jego uczuć. Chyba miałam nie wiedzieć o Jennie, bo kompletnie zamknął się w sobie.

Żadne z nas nic nie mówi, tylko czeka na to, aż to drugie się odezwie.

Ale dokładnie w momencie, w którym otwieram usta, żeby znaleźć właściwe słowa, on mówi:

— Potrzebujesz czegoś?

— Kolacja — odpowiadam nieudolnie, podając mu talerz. — Ominęła cię. Pomyślałam, że będziesz chciał zjeść, póki jest ciepłe.

Spuszcza wzrok na talerz, a potem znów podnosi go na mnie. Jego ręce pozostają zaplecione na piersi, przez co stoję niezręcznie z wyciągniętym naczyniem.

— Nie jestem głodny.

Marszczę brwi. Nagle czuję, że moja złość budzi się do życia.

— Jezu, Warren, o co ci nagle chodzi?

— Mam problem z ludźmi, którzy nie zostawiają w spokoju umarłych

— rzuca. — Co ona ci powiedziała?

— Ja... — Cholera. Nie umiem się na niego złościć, kiedy mówimy o jego zmarłej siostrze i o cierpieniu, które ewidentnie wciąż nosi w sobie jak głąz, świeżym jak w dniu, w którym wszystko się wydarzyło. — Powiedziała, że Jenna była twoją... siostrą i że w czasie misji doszło do wypadku.

Została przypadkiem zabita przez swoich.

— Nie było w tym, kurwa, nic *przypadkowego* — warczy, a do mnie dopiero po minucie dociera, co ma przez to na myśli.

Nie mówi, że została zabita przez wroga.

Mówi, że została zamordowana i... o Boże.

Moja wolna ręka wędruje do ust. Wciągam z sykiem powietrze.

— Warren, tak mi przykro.

— Co jeszcze powiedziała? — dopytuje, a jego oczy są jak płaskie lazuruowe drzazgi. Nic nie wyrażają, zaszkłone i twarde. — Co jeszcze ci powiedziała?

— Nic. — Kręcę szybko głową. — Ale Stewart mówił, że wróciłeś do domu, żeby przeżywać żałobę. I że potrzebujesz kogoś, kto będzie cię trzymał z dala od problemów.

— Jedyne, czego potrzebuję — mówi cichym, wrzącym z wściekłości głosem — to żeby wszyscy pilnowali, do cholery, swoich spraw i dali mi pilnować moich. Wszyscy.

Nie trzeba mi dwa razy tego powtarzać.

Czuję się rozdarta między chęcią obrzucenia go stekiem obelg a ciśnięciem mu talerzem z indykiem prosto w twarz, ale nie jestem z tych, którzy zostają tam, gdzie ich nie chcą.

I bez względu na wszystko, nie będę się wyżywać na pogrążonym w żałobie człowieku.

Nie zrobiłam nic złego. Jenna była wnuczką pani Wilmy.

Miała równe prawo, żeby mi o niej opowiedzieć, co ktokolwiek inny, ale tym razem pohamuję się i uszanuję przestrzeń Warrena.

*Tym razem.*

To nie oznacza, że nie mam ochoty mu przywalić, żeby wydobyć z niego jakiejś prawdziwej reakcji.

Zamiast tego z głośnym traskiem stawiam talerz na szerokiej balustradzie i go tam zostawiam.

— Smacznego — szepczę ostro. — Dobranoc.

Nie dostaję nic w odpowiedzi.



Nawet opryskliwego „dobranoc”, rzuconego mi w plecy.

Tylko dźwięk zamykanych drzwi, podczas gdy ja zabieram swoją urazę, frustrację, dezorientację i poczucie winy, którego nie powinnam w ogóle czuć, i uciekam w bezpieczną przestrzeń mojego domku.

## ROZDZIAŁ 16. BALSAM NA NOCNE KOSZMARY (WARREN)



Niemal za każdym razem, gdy zasypiam, dzieje się to samo.

Może dlatego nie potrafię odpuścić.

Bo każdej nocy mój umysł zabiera mnie z powrotem do dnia, w którym zginęła, i odtwarza obrazowo każdy szczegół, jakby to działo się wczoraj.

Nie było mnie nawet na miejscu i nie widziałem tego na własne oczy, ale mój mózg z przyjemnością tworzy sceny, chcąc mieć pewność, że wiem, co oznacza cierpienie — niezależnie od tego, czy śpię, czy nie.

\*\*\*

*JASNE, PUSTYNNNE SŁOŃCE.*

*To zdjęcie — to, które widziałem wetknięte między szybę i deskę rozdzielczą w samochodzie Bressa — tym razem ożyło.*

*Jenna, Bress i Stew, trzej muszkieterowie wyszykowani przed wyjazdem na misję, uśmiechają się szeroko do obiektywu i unoszą po dwa palce w znaku pokoju, jakby właśnie wychodzili na niedzielny spacer.*

*Naoglądali się zbyt wielu czarnych komedii o Wietnamie. Niewłaściwe miejsce, niewłaściwy czas, niewłaściwa wojna.*

*W tym miejscu codziennie przypominam sobie, jak zupełnie różne znaczenie może mieć to słowo.*

*Zostali przypisani do ochrony ekipy saperów usuwających miny, oczyszczających starą, gruntową drogę. Rosjanie, kiedy tu stacjonowali w latach osiemdziesiątych, zostawili po sobie dużo niespodzianek. Dwadzieścia lat później zbyt wielu dobrym ludziom oberwało się przez stare zakopane ładunki wybuchowe pochodzące z wojny, która nie jest nawet nasza.*

*Stewart szczyrzy się do obiektywu, ale Bress i Jenna nie widzą niczego poza sobą.*

*Dwoje zakochanych. Jedno prawdziwe i niewinne, drugie szykujące pieprzony nóż.*

*Bress usiłuje wyglądać na niewzruszonego, ale nietrudno zauważyć, że obserwuje ją kątem oka.*

*Jenna nie próbuje się nawet z tym kryć.*

*Droczyłem się z nią o to tamtego ranka.*

*Po kilku nieudanych związkach z mężczyznami, którzy nie umieli sobie poradzić z żołnierką, Jenna zaklinała się, że w końcu odnalazła w naszych własnych szeregach Tego Jedyneho. I niech mnie, ale nie byłbym jej starszym bratem, gdybym nie wypominał jej syndromu nieobecnego tatusia, skoro Bress jest prawie dwadzieścia lat starszy od większości z nas.*

*Ale przy nim czuje się bezpieczna i szczęśliwa i choć początkowo zamierzałem się jej o to czepiać, a nawet grozić, że poślę go kopniakiem z wydmy na wydmy, to ostatecznie cieszę się, że wywołują uśmiechy na swoich twarzach.*

*Może to zastygła chwila. Ostatni moment spokoju, uchwycony w błysku słońca, odbijającego się od odstęniętych w uśmiechu zębów i niebieskookiego śmiechu.*

*Ostatni skrawek szczęścia, wiatr szarpiący nieskładnie związane włosy, błękit afgańskiego nieba tak czysty, że ma się wrażenie, że ze światem wszystko jest w porządku.*

*Póki nagle niebo się nie otwiera.*

*Świat zostaje rozpruty, na ziemi kłębią się wybuchające odtamki i szrapnele.*

*Moździerze. Snajperzy. To samo podstępne gówno, do którego zawsze uciekają się gnoje w górach.*

*Nie ma gdzie uciekać — tylko prosto, w chmurę pyłu wzbijaną przez wielki, opancerzony trał.*

*Jenna pędzi desperacko przed siebie, potem wpada na minę, której nie rozbroił saper.*

*Piekło wybucha w krok za nią, jakby ścigały ją tysiące podziemnych eksplozji.*

*Jenna nie ustaje w biegu. Jej oczy są szeroko rozwarte, twarz zdeterminowana, pięści zaciśnięte, gdy wymachuje rękami i pędzi nieustraszona po piasku.*

*Moja Jenna, moja siostra nie umarłaby zapłakana i przerażona. Byłaby odważna do ostatniego tchnienia.*

*Ale jest tam ktoś jeszcze.*

*Znajoma, barczysta, postawna postać, znajome jasnopolielate włosy i karabin w rękach uniesiony szybkim ruchem. Mężczyzna dostrzega szansę, żeby zrobić coś, co planował od dawna.*

*Karabin wyszczekuje kule za Jenną, zamaskowane piekielnym chaosem i szrapnelami, którymi buntownicy wciąż zasypują okolicę.*

*Dobrze wymierzony ostrzał z drona w trzydzieści sekund upora się z gnojami na wzgórzach.*

*Jej nie udaje się przetrwać aż tak długo.*

*Jenna stanowi ruchomy cel. Nie wiem, czy do samego końca nie jest świadoma zdrady, wie tylko, że ktoś do niej strzela.*

*Robi uniki, kluczy, próbuje być sprytna, ale nagle kula z hukiem przenika tkaninę, kevlar, ciało i wykwiła czerwienią.*

*Jenna przewraca się, wymachując rękami. Jej oczy są wielkie z zaskoczenia.*

*Jasne światło wycieka z jej spojrzenia.*

*Umiera.*

*A wszystko dlatego, że zaufała niewłaściwemu człowiekowi, zobaczyła niewłaściwe rzeczy, wiedziała za dużo.*

*Udawał miłość, żeby się jej, kurwa, pozbyć.*

*A najgorsze w tym wszystkim jest to, że ona nawet nie zdawała sobie z tego sprawy.*

*Wiedziała, że zobaczyła coś złego, że w coś się wplątała. Może „dramat”, o którym opowiadała mi podczas naszej ostatniej rozmowy, polegał na tym, że jakiś dupek z jej oddziału powiedział o jedno słowo za dużo na temat szmuglowania heroiny do Stanów. I może — chrzanić może, oczywiście — był podwładnym Dennisa Bressa.*

*Chcę się obudzić.*

*Co noc chcę się obudzić, ale sen mi na to nie pozwala. Jest zawsze bezlitosny, zmusza mnie do patrzenia.*

*Jestem tym samym, bezradnym, cholernym widzem, który nie może się ruszyć, nie może jej zawołać, nie może zrobić nic, żeby ją uratować. Tylko patrzę, jak się przewraca i upada w piasek.*

*Jej ciało podryguje, wargi poruszają się bezdźwięcznie, ale wiem, czyje imię wypowiada.*

*Wiem, bo Bress sądzi, że są sami, ale tak nie jest.*

*Stew tam był — patrzył przerażony zza trątu, zbyt sparaliżowany, żeby coś zrobić, unieruchomiony przez ogień wroga, podczas gdy Bress podchodzi śmiało naprzód i staje nad wydającym ostatnie tchnienie ciałem mojej siostry.*

*Potem widzę to, co Stewart dawał do zrozumienia wiele lat później, pewnego wieczora, gdy się upiliśmy.*

*Następuje krótka chwila, w której jej oczy wędrują do niego, zanim Bress przykłada jej kolbę karabinu do czoła. I chociaż to tylko sen, to z przeciwnej strony pola bitwy Stew przyciąga mój wzrok, patrzy na mnie żałośnie i szepcze bezgłośnie: „Przepraszam, War”.*

*Później rozlega się huk pojedynczego wystrzału, a zaraz potem nadlatują drony i zasypują świat piekielną tuną ostrzału.*

*Rozbrzmiewa on głośniejszy niż głowica nuklearna i rozrywa mój sen, wybudzając mnie brutalnie świadomością zbyt szybko utraconej rodzinnej krwi.*

*\*\*\**

*— JENNA, JA PIERDOŁĘ!*

*Budzę się gwałtownie jak oszalały, serce mi wali, ciało oblewa zimny pot strachu i utraty. Czuję się tak, jakbym płakał każdą komórką ciała, żeby zrekompensować suche oczy, zaschnięte gardło.*

*To nie dzieje się naprawdę, powtarzam sobie. To nie dzieje się naprawdę, do cholery.*

*Prawdziwa jest jednak kobieta leżąca w moim łóżku. Jej delikatne palce muskają moje czoło i sprowadzają mnie na ziemię.*

*Haley.*

*Przez sekundę nic nie rozumiem. A potem dopadają mnie wyrzuty sumienia.*

*Zachowałem się wobec niej dziś wieczorem jak skończony gnój, więc co ona tu robi?*

*Dlaczego patrzy na mnie tak, jakbym ją obchodził, ze zmarszczonym z niepokoju czołem, zamiast splunąć na mnie za to, że potraktowałem ją jak kompletny kretyn?*

Wpatruję się w nią pustym wzrokiem, z trudem łapiąc nierówny oddech. Delikatny dotyk jej opuszek nadaje rytm i wyznacza bieg czasu. Wreszcie udaje mi się z nią zrównać.

Jeden oddech na raz, aż w końcu jestem w stanie przemówić.

— Hay? Czy ty nie powinnaś być w pracy?

Uśmiecha się blado, ze smutkiem.

— Naprawdę? To pierwsza rzecz, o którą mnie pytasz? — Jej dotyk nieruchomieje, zatrzymuje się na mojej skroni. — Martwiłam się o ciebie.

Więc skłamałam i powiedziałam, że mój samochód jest wciąż uziemiony, i znalazłam kogoś na zastępstwo.

— Nie musiałaś tego dla mnie robić. Nie po tym, jak na ciebie naskoczyłem.

— Cóż, przyznaję, że rozważałam przywalenie ci w zęby. — Jej uśmiech nabiera mocy, palce wsuwają się w moje włosy. — Ale tym razem rozumiałam, o co się tak złościś. W takiej sytuacji każdy ma prawo do drugiej szansy. Tylko tego nie nadużywaj.

Jakimś cudem, mimo że wciąż jestem zmrożony po przeżytych koszmarze, udaje jej się zmusić mnie do uśmiechu.

— Tak jest — mruczę i zaplatam dłoń wokół jej nadgarstka.

Przeżywam ten koszmar tak często, że można by pomyśleć, że przyzwyczailem się z niego wybudzać, ale nie. Wciąż czuję się później poruszony, podminowany. Tylko tym razem już nie boli aż tak bardzo. Nie jestem już tak potwornie smutny, tak samotny.

Bo z jakiegoś niezrozumiałego powodu ta kobieta była gotowa nie stracić wiary we mnie i wiedziała lepiej niż ja, czego potrzebowałam.

Cholera, żałuję, że nie poznałem jej w bardziej sprzyjających okolicznościach. Bez tej drążącej mnie obsesji, przejmującej nade mną kontrolę, aż staję się mniej człowiekiem, a bardziej pasją.

To za mało, żeby uczynić kobietę taką jak Hay szczęśliwą na zawsze.

Jestem zbyt złamany przez życie. Zbyt zmrożony w środku i na zewnątrz.

Ściga mnie zbyt wiele demonów, żebym mógł kiedykolwiek zwolnić.

Nie ma szczęśliwego zakończenia. Którękolwiek z nas wyjedzie z Heart's Edge jako pierwsze, odłączy zasilanie od tego poplątanego, pięknego czegoś, co nas łączy.

Ktoregoś dnia będę musiał pozwolić jej odejść.

Dziś jednak jest przy mnie.

Jest ciepła, miękka i jest wszystkim, czego potrzebuję, więc przytulam ją mocno, wtulam jej ciało w ramiona i pierś tak, jakby tam było jej miejsce.

Pomimo spowijającej mnie mgły rozpaczy mój fiut twardnieje w chwili, gdy czuję dotyk miękkiego, jędrnego ciała.

Jej ciężar mnie przytrzymuje, stabilizuje i dodaje sił, aż znika całe to roztrzęsienie. Wzdycham i zanurzam twarz w słodko pachnących włosach i pozwalam mojemu ciału się odprężyć, uchodzi ze mnie napięcie.

— Dzięki, kotuś — mruczę.

— Mmm? Za co?

— Za to, że nie dałaś się przegonić jak rosomak. — Zamykam oczy, wciąż liczę powolne, uspokajające oddechy. — Przepraszam. Kiedy cię zobaczyłem, kiedy zrozumiałem, że wiesz o Jennie... uruchomiłem mechanizmy obronne.

Hay milczy. A potem czuję na ręce jej delikatne palce.

Nie muszę patrzeć. Wiem, po czym wodzi opuszkami, czuję miejsce, w którym jej skóra dotyka mojej, bo sam wielokrotnie podążałem po tych samych liniach.

*Imię Jenny.*

— Dlaczego tak bardzo się tego boisz? — pyta. — Wiem, że to boli, Warren, ale dlaczego robisz tajemnicę ze wszystkiego, co się z nią wiąże?

Zastanawiam się przez dobrą chwilę.

— Chyba się boję, że sytuacja się powtórzy, Hay. Jeśli powiem komuś prawdę, zostanie w to wciągnięty, i znów kogoś stracę.

— Prawdę?

Cholera.

Biorę najgłębszy oddech, jaki wziętem w życiu, i się spinam.

— Sama się domyśliłaś, kotuś. W pewnym sensie. Myślę, że moja siostra została zamordowana — mruczę. — Wiem, że tak było. Myślę, że odkryła, że ktoś z jej oddziału działał na czarnym rynku i handlował narkotykami oraz zajmował się na boku przemytem broni. Ten człowiek ją zabił. Jestem tu po to, by wyrównać rachunki. Może go nie zabiję... Może nie przekroczyć tej granicy. Ale, do cholery, przyzna się do winy i pójdzie siedzieć, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

Jej dłonie zaciskają się na mojej piersi, opierają się o mnie ciepło, podczas gdy ona podnosi na mnie wzrok.

— Bress. Uważasz, że pan Bress zabił twoją siostrę.

— Tak — potwierdzam. — Mam zaufanego świadka, który to widział, i nie mogę pozwolić, żeby ten gnój skrzywdził babcię, ciebie albo Tarę.

Dlatego tak bardzo się martwię. Że oberwie się wam rykoszetem, kiedy on zacznie uciekać i spróbuje zatrzeć za sobą ślady.

Spodziewam się sprzeciwu, wręcz zaprzeczenia. Tak szybko wrasta w Heart's Edge, że może sama dała się złapać na pozę „lokalnego biznes-mena, który jest dla wszystkich jak ojciec”.

Ale ona marszczy tylko z namysłem brwi.

— Pan Bress jest właścicielem wielu firm w mieście, prawda? Czy to część działalności narkotykowej?

— Z tego co mi wiadomo — odpowiadam, trochę zaskoczony, oniemiały faktem, że ona traktuje to poważnie. — Muszę po prostu to z nim powiązać. Jest ostrożny. Zacierza ślady za pomocą pośredników.

— A co potem? — pyta, wbijając we mnie badawcze spojrzenie zielonych oczu.

— Mam nadzieję, że okażę się mężczyzną godnym swojej siostry — odpowiadam. — I że uda mi się to załatwić jak trzeba.

Nakrywam jej szczupłą dłoń przy mojej piersi własną i masuję ją delikatnie.

— Wiem, co najprawdopodobniej o mnie myślisz, Hay. Ale nie przyjechałem tu po to, żeby z zimną krwią zamordować człowieka. Tylko po to, aby dopilnować, by sprawiedliwości stało się zadość i żeby ten chuj stanął przed sądem.

— A co potem? — pyta cichym głosem. — Kiedy już to zrobisz, co będzie nadawać twojemu życiu sens?

Wiem, że ona wcale nie zamierza podsuwać mi takich myśli. Rozważań na jej temat, na temat tego, co by mogło się wydarzyć, gdybym nie był takim wrakiem człowieka.

Ale nie umiem się z nich otrząsnąć tak samo, jak nie umiem się wyzbyć tych ciężkich, pożądliwych uczuć, które się przeze mnie przetaczają.

— Nie wiem — szepczę i pochylam ku niej głowę, przyciągany słodkim, szczerym spojrzeniem, jakim na mnie patrzy. — Nie wybiegałem myślami aż tak daleko naprzód.

Hay unosi się, żeby spotkać się ze mną w połowie drogi. Zderzenie, do którego dochodzi między nami, ledwie przypomina pocałunek.

To raczej kolizja dwóch brutalnych sił.

Jesteśmy burzą złożoną ze wszystkiego, czego nie możemy powiedzieć, ze wszystkiego, czego nie powinno być. W środku czuję szarpanie i mam wrażenie, że ta dziewczyna zniszczy mnie w całości.

Wielokrotnie nazywałem ją trucizną, najśrodszym jadem, lepszym niż jakiegokolwiek trunek. A ona wniknęła teraz w głąb mojej duszy, rozlała się w moim krwiobiegu, zamierzając zabić mnie tą surową, autentyczną emocją — a ja z chęcią się temu poddam.

I wtedy to do mnie dociera, odbierając mi dech.

To nie są żadne ckliwe bzdury.

Umarłbym dla Hay.

Umarłbym, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo, choć wolałbym żyć i zatrzymać ją przy sobie.

Jej ramiona wokół mnie.

Jej ciało wyprężające się pod moim, gdy przekręcam się, żeby znaleźć się na niej. Jest też jej nieokiełznane, jej słodycz, a ja przypominam szaleńca kompletnie pochłoniętego obsesją, kiedy ją całuję, dotykam, głaszczę od stóp do głów i zostawiam zębami swój znak na jej szyi.

Ta kobieta jest, kurwa, moja. Nawet jeśli nie powinna.

A kiedy wyslizguje się spode mnie i rozpina mi pasek, a jej drobne palce ciągną za rozporek, jest po mnie. Do tego stopnia, że za nic nie potrafiłbym powiedzieć, jaki mamy rok.

Patrzę, jak mała dłoń zaciska się na moim fiucie. Tak wielkim, tak naprężonym, tak pulsującym, jakby w jej ręce miało dojść do końca świata.

Haley błyska zielonymi oczami, po czym pochłania moją wrzącą pełność.

— Jasna cholera, Hay! — charczę i wsuwam palce w jej włosy.

Zaciskam pięści w imitacji dwóch kucyków, podczas gdy ona mi obciąża.

Jej wargi przesuwają się w górę i w dół po członku, a ja siłą hamuję ruchy bioder, żeby nie zrobić jej krzywdy. Moje jądra wzbierają wściekłą furją.

Jeśli ona jest aniołem, to jej język jest czystym grzechem. Aż za dobrze zna moje ciało, sonduje je tuż poniżej napletka, wciąga mnie tak głęboko w siebie, jak tylko jest w stanie. Dłoni masuje podstawę penisa, wydobywając na zewnątrz rzekę cholernej magmy, której za nic nie jestem w stanie dłużej utrzymać w środku.

— Hay, ja pierdolę, ja zaraz...

Rzuca mi przelotne spojrzenie. W jej oczach nie ma wahania.

*Zrób to, mówią. Szczytuj w moich ustach, kochanie.*

Wydiera się to ze mnie z przeciągłym jękiem. Dłonie mi się trzęsą, gdy ciągną ją za włosy; jądra są jak naelektryzowane — pulsują i wypełniają jej usta spermą.

Bez protestu przyjmuje to wszystko, co może, aż w końcu jest tego za dużo i musi się wycofać.

Mało mnie to obchodzi. Drobnymi dłońmi wciąż mnie masuje, a moje nasienie spływa po jej brodzie, podczas gdy Hay wyrazem oczu mówi, że zrobiła się tak mokra, że nie mogę nawet zwiotczeć.

Ktokolwiek powiedział: „Nie ma pokoju dla bezbożników”, musiał mieć na myśli seks.

Minutę później zdieram z niej ubranie i zrzucam własne. Potem jestem na niej, w niej, wszędzie, gdzie się da, gotowy doprowadzić ją do orgazmu dziesięć razy silniejszego niż ten, który mi zapewniła.

Stajemy się tym dzikim spotkaniem złączonych warg i splecionych ciał.

Jej paznokcie wbijają się mocno w moje plecy, karzą mnie, a ja odwzajemniam się kąsaniem ramion, piersi, brzucha i wnętrza ud.

Kochamy się tak, jakbyśmy ze sobą walczyli. Gdy zaplatam sobie jej uda wokół bioder, wbijam się w nią zabójczym uderzeniem, otwieram szeroko, zanurzam się w płynnym żarze, od którego oczy uciekają mi na tył głowy i który pochłania całe moje ciało w płomieniach.

Każdy mięsień drga ostro w chwili, w której biorę w posiadanie jej cipkę.

Kurwa.

A potem stanowimy już jedno — skłębioną masę pchnięć, potu i posuwania.

Nie potrafię już odróżnić jej głosu od własnego, gdy drżymy, jęczymy, stękamy i krzyczymy, gdy poruszamy się w szalonym rytmie, raz za razem na siebie nacierając. Dwie ludzkie fale zdecydowane odnaleźć ulgę.

Tak kurewsko dobrze jest w niej być, lepiej niż kiedykolwiek. Ta śliska, paląca wilgoć, która liże mojego fiuta i chwyta go tak, jakby próbowała przytrzymać mnie w sobie na zawsze, połączonego z nią w wijącą się bestię zło-

żoną z dwóch ciał, ale o jednym umyśle, jednym sercu i jednej nadrzędnej potrzebie.

Moje pchnięcia przybierają na sile. Ocieram się o jej łechtaczkę, doprowadzając Hay do orgazmu, i niemal tracę rozum, kiedy jej cipka mnie wysysa.

Ale pieprzę ją dalej, rozkoszując się tym, jak eksploduje, i tym, że robi to jeszcze dwa razy, zanim wypełnię ją jak wariat.



To czysty żar.

To ideał.

To wszystko, czego kiedykolwiek potrzebowałem, choć nie miałem pojęcia, że tego chciałem. Ona jest nieokiełznaniem, desperacją, poszarpanymi brzegami i nieśmiałą, kruchą nadzieją. I daje mi dwa kolejne kwilące westchnienia, po których nie jestem w stanie dłużej powstrzymać własnego.

— Hay, szczytuj znów dla mnie.

— Warren... — Dyszy, a jej spojrzenie mówi mi, że nie może, choć jest tak cholernie blisko.

— Musisz szczytować, kotuś. Musisz, kurwa, dojść razem ze mną.

I tak po prostu oboje stajemy w płomieniach. Ciała zamknięte w męczącym, śliskim od potu żarze, gdy Hay trzęsie się konwulsyjnie, zaciskając się na moim fiucie, aż pękam.

Wszystko wylewa się ze mnie z taką siłą, że warczę z bólu.

To surowe. Prawdziwe. Mające w sobie więcej życia niż czułem od lat.

Przy niej jestem tylko sobą, tylko tym, kim *powinienem* być.

I być może dzisiaj demonstruję jej to z taką furią, bo nie mogę znieść zjawy, którą się na powrót stanę, kiedy nasze drogi znów się rozejdą.

\*\*\*

GDY HAY WTULA SWOJE mokre, lśniące ciało w moje, wyciskam pocałunek na jej ramieniu.

— Powinnaś wyjechać na kilka dni.

Chichocze sennie i kładzie rękę na tej, którą obejmuję ją w pasie.

— Dokąd? Zrobić sobie wakacje od moich nieplanowanych wakacji?

— Coś w tym stylu. Niedługo musisz odebrać Tarę do domu, prawda?

— Być może. Jej rodzice wyrażają się dość mgliście.

— Ale w końcu będą chcieli odzyskać swoje dziecko. — Śmieję się, bawiąc się palcami na jej naprężonym brzuchu. — Tylko mówię. Weź

kilka dni wolnego, pozwiedzaj, odeślij Tarę do domu... a kiedy wrócisz, sprawa Bressa będzie załatwiona.

— Warrenie Fordzie. — Klepie mnie lekko w rękę. — Czy ty próbujesz się mnie pozbyć, żeby nie stała mi się krzywda?

— Możliwe. Będę spokojniejszy, wiedząc, że znajdujesz się poza jego zasięgiem.

— Z tego, co mówisz, jego wpływy sięgają daleko poza Heart's Edge.

— Bo tak jest. — Nie mówię tego lekko, zasypując kolejnymi pocałunkami jej ramię i rękę. — Ale w większym mieście łatwiej się wymknąć.

A gdy wrócisz, Bress nie będzie już mógł nikogo więcej skrzywdzić.

— Hm. No cóż... — Mrużąc sennie, przytula się do mnie mocniej.

— Zobaczę, jak się wszystko ułoży, kiedy uda mi się skontaktować z Marie.

— Dobrze. — Ściskam ją, a potem się odsuwam. — Odpocznij trochę.

Ostatnio po pracy wyglądasz na naprawdę zmęczoną.

— Do pubu przychodzą coraz większe tłumy. Podejrzewam, że to wakacyjna fala. — Łapie mnie za rękę i trzeba by dużo silniejszego człowieka, żeby oprzeć się temu spojrzeniu, które mi posyła. — Musisz iść?

— Powiniennem popracować...

Powiniennem. Ale niech to, wystarczy odrobina presji z jej strony, żebym znów położył się do łóżka.

W zasadzie nawet z nią nie walczę, tylko ze śmiechem opadam obok niej na pościel.

— Chyba mogę zostać jeszcze trochę.

— To dobrze. — Znów się we mnie wtula. — Bo masz beznadziejne poduszki, ty jesteś dużo lepszą.

— Auć. Nie zostawiaj takiego komentarza, kiedy będziesz się wymeldowywać.

Parska śmiechem.

— Nigdy bym tego nie powiedziała pani Wilmie.

— Pozwoliłaby ci na to. Zaczynam nabierać przekonania, że ciebie lubi bardziej niż mnie.

— Oczywiście. Nie sprawiłam jej zawodu, nie dając jej jeszcze prawnuków.

Wrócił uśmiech zalotnej kokietki, jasny i promienny. Mrużę z niskim pomrukiem oczy.

— Nie planuję w najbliższym czasie produkcji dzieci, Hay — mówię i przewracam ją na plecy, na co ona reaguje piskiem. — Ale z chęcią zademonstruję, jak się je robi.

\*\*\*

PRZYSYPIAM NA CHWILĘ po tym, jak razem z Haley po raz kolejny rozdzieramy się na strzępy.

Później, nocą, kiery robi się spokojnie i wszystko wokół mnie nieruchomieje, rozbudzam się i wpatruję w uśpiony profil Hay, a skrawek księżycowej poświaty sprawia, że delikatny, brzoskwiniowy meszek na jej policzku połyskuje srebrzyście.

Delikatnie odgarniam jej włosy, a potem podnoszę się ostrożnie z łóżka, pozostawiając ją rozkosznie wtuloną w poduszki, które jej zdaniem są tak beznadziejne.

Idę do salonu, biorę laptop, siadam na kanapie i przeglądam maile.

Nic przydatnego prócz kilku potencjalnych tropów dotyczących kontaktów Bressa po drugiej stronie pasma lasów oddzielających Heart's Edge od głównych dróg wiodących do północnego Idaho — to moja główna przeszkoda. Nie trzymałby niczego obciążającego tutaj, w Heart's Edge.

Mimo to muszę znaleźć wymówkę, żeby pojechać do Spokane i niezauważony namierzyć jego centrum dystrybucyjne. Działa też w Missouli, ale Missoula ma drugorzędne znaczenie.

To w Spokane przytapię go na przekraczaniu granicy stanu z nielegalnymi substancjami.

I choć nie jestem z tego zadowolony, to nie śmierć Jenny go pogrąży.

Mam tylko zeznania sprzed trzynastu lat od jednego lub dwóch niezbyt wiarygodnych świadków, którzy znajdowali się w samym środku zaciętej walki i w niepewnych okolicznościach. Ale handel narkotykami i pranie brudnych pieniędzy?

Mogę zapewnić Bressowi dożywocie.

Nie ma znaczenia, jak to zrobię.

Po prostu muszę to zrobić.

Zatrzymuje mnie mail z dużym załącznikiem. Nadawcą jest mój człowiek w Spokane, miejscowy, który nie wie, dlaczego obserwuje pusty magazyn z okna swojego mieszkania. Płacę mu absurdalne pieniądze za to, żeby dyskretnie robił zdjęcia, gdy zauważy tam jakąkolwiek aktywność.

Zrobił dla mnie coś lepszego.

Wysłał mi nagranie z Dennisem Bresseem w roli głównej.

Ujęcie jest z daleka, ale widać na nim jeszcze jednego człowieka i jakąś transakcję.

Otwarta teczka, przeliczanie pieniędzy.

Sportowa torba, a w środku coś... co wygląda jak cegły z białego proszku.

Bress rozgląda się wokół nerwowo, a potem daje znak jednemu ze zbirów, których ma w obstawie. Mężczyzna przecina pakunek, zlizuje z palców proszek, wciąga go nosem, a potem kiwa krótko głową.

Ja pierdolę.

Biorąc pod uwagę zasięg sieci dystrybucyjnej, na którą natrafiłem, nie ma możliwości, żeby to była cała partia towaru. Podejrzewam, że Bress spotyka się z nowym dostawcą na próbę, zanim zacznie przerzucać większe ilości przez najróżniejsze firmy ulokowane wzdłuż Wybrzeża Północno-Zachodniego.

Nigdy nie dojdzie do jazdy próbnej.

*Mam cię, draniu.*

\*\*\*

PRAWIE ŚWITA, KIEDY Doc, Blake i ja spotykamy się przed domkiem.

Nie chcę budzić Hay i nie potrzebuję też dociekliwych pytań na temat kobiety śpiącej w moim łóżku. Opieramy się o tylną klapę mojego pikapa, popijając kawę z białych, ceramicznych filiżanek, i oglądamy nagranie na moim laptopie.

— No cóż — odzywa się Doc tym swoim powolnym, wyważonym głosem, dzięki któremu robi wrażenie starego mędrca z gór, zważającego na każde swoje słowo i nie strzępiącego na darmo języka. — Nie jest to twardy dowód, ale na potrzeby zatrzymania obywatelskiego jest wystarczająco obciążający.

— No nie wiem — mówi Blake. — Równie dobrze ty mógłbyś zostać złapany za stalking.

— Nie ja to sfilnowałem, a w dodatku zapłaciłem swojemu informatorowi gotówką. Ja tylko działałem na podstawie cynku od osoby, która o tym wie — wyjaśniam. — Poza tym szukanie zbiegów i dłużników to i tak prawomocny stalking.

Blake uśmiecha się pod nosem.

— To dlatego chowasz przed nami tę laskę? Nie chcesz, żeby podsłuchała, że zasadniczo jesteś dobrze opłacanym dewiantem?

Doc unosi jedną ostrą brew.

— Jaką dziewczynę?

— Ona ma na imię *Haley*, a nie „ta laska” albo „jakaś dziewczyna”, a chowam ją dlatego, bo jesteście pyskатыmi durniami i moglibyście ją obudzić.

— Biorę dla pokrzepienia łyk kawy. — Wchodźcie w to czy nie?

Blake parska i klepie mnie po ramieniu.

— Możesz na mnie liczyć bez względu na wszystko, brachu.

Doc namyśla się w skupieniu, po czym rzuca:

— Podejrzewam, że *ktos* musi ostudzić wasz zapał, żebyście nie wpakowali się w kłopoty, kretyni.

— Ostudzić zapał, akurat — prycha Blake. — Domyślam się, że też studziłeś swój zapał, kiedy wmieszałeś się w tę sprawę z Dziewiątką.

Zwykle pogodna twarz Doca tężeje.

— Serio? Myślałem, że znasz mnie wystarczająco dobrze, żeby nie dać się nabrać na tę *absurdalną* historyjkę, Blake. Dziewiątka nie był widziany w tych stronach od lat. Facet pewnie już dawno nie żyje.

— Mów, co chcesz, Doc. Daj sobie jeszcze rok. I będziemy polować tu na Dziewiątkę, zamiast na Wielką Stopę w Waszyngtonie.

Przewracam oczami, podczas gdy Doc kręci głową. Nie mamy czasu, żeby przerabiać na nowo szalone lokalne pogłoski na temat Doca i tego przerażającego więźnia, którego, jak zaklina się Doc, nigdy tak naprawdę nie poznał, nawet jeśli obaj znajdowali się w tym samym hotelu w noc Wielkiego Pożaru w Heart's Edge.

Czasem widzę, jak węższy i się zastanawiam... ale dziś nie jest czas ani miejsce, żeby próbować dociec prawdy.

— Chłopaki, wystarczy — mówię sucho i znów popijam kawę. — Będę musiał opracować plan działania. Zastanowić się, gdzie i kiedy to zrobimy.

Wciąż macie pozwolenie na noszenie broni?

— Z kim ty twoim zdaniem rozmawiasz, stary? — pyta Blake i wali się pięścią w pierś.

Doc odpowiada bardziej statecznym:

— Naturalnie.

— W takim razie upewnijcie się, że na wszelki wypadek macie ją zawsze przy sobie. Umówimy się na kolejne spotkanie, gdy opracuję plan gry.

— Będziemy tylko my? — pyta Blake. — A co ze Stewartem?

Waham się. Blake nie pozwolił mi zrobić czegoś, czego nie powinienem był robić, ale Stewart tak bardzo naciskał, żebym sobie odpuścił, żebym o tym zapomniał, żebym zachowywał się jak normalny człowiek i rozpoczął proces uzdrawiania, zamiast ciągnąć tę *vendettę*... Niech to.

Pewnie nie będzie chciał się zaangażować. Ale to on mi powiedział, zgadza się? To on powiedział mi prawdę, ujawnił, jak podstępna żmija jest Bress, choć aby to z niego wyciągnąć, musieliśmy sobie ostro popić.

Muszę przynajmniej wyjść z taką propozycją. Rano o tej porze zwykle już nie śpi. Dla pewności wysyłam mu esemes, podczas gdy Blake i Doc wdają się rozmowę na temat najlepszego rodzaju przynęty do wędkowania w płytkich wodach.

Stew, mam trop i zamykam sprawę. Chcesz dołączyć?

Celowo mało precyzyjnie, tak na wszelki wypadek.

Nie spodziewam się, że kilka sekund później mój telefon zaświeci się w dłoni, sygnalizując nadchodzące połączenie od Stew. *Co jest, do cholery?*

Kiedy odbieram, on nawet nie czeka, aż się przywitam, tylko od razu wypala:

— Jaki trop? Co masz na myśli?

— Mam na myśli to... że mam nagranie z Bresseem przytapanym na transakcji — odpowiadam. — Tyle wystarczy, żeby go zatrzymać i przekazać w ręce policji w celu przesłuchania, a potem dostarczyć im całą teczkę dowodów. Resztę zrobią sami. No więc planujemy zastawienie pułapki — ja, Doc i Blake. Zatrzymanie obywatelskie. Wchodzisz w to, czy wciąż wolisz się nie mieszać i tym samym nie spłacić długu wobec Jenny?

Telefon trzęsie mi się w dłoni. Chyba nie zdawałem sobie dotąd sprawy, jak bardzo dokucza mi jego bierna postawa.

To on widział jej śmierć. To on był w jej plutonie, krył ją podczas kilkunastu obstrzałów, nawiązał z nią więź niemal równie silną, co ja jako brat.

A mimo to podczas gdy mnie żał zjadał żywcem, on wiecznie grał rozjemcę. Próbował namówić mnie do tego, żebym sobie odpuścił i po prostu żył dalej.

Zrobi jak zechce, kiedy rachunki zostaną wyrównane.

Może to albo przyspieszyć, albo się ode mnie odwrócić.

— Stew? Jesteś tam?

— Tak, to było podłe, Warren — mówi po długiej chwili milczenia.

— Podobnie jak prośenie mnie całymi latami, żebym zapomniał o zamordowanej siostrze.

— Do jasnej cholery! Próbowiałem tylko oszczędzić ci cierpienia, wszystkim go oszczędzić, nie rozumiesz? — Wzdycha głąboko. — Jeśli to pozwoli ci zamknąć tę sprawę... to tak. Będę. Po prostu daj znać, jaki jest plan, gdy nadejdzie pora.

Chcę na niego nawrzeszczyć, że chodzi o coś więcej niż o zamknięcie sprawy.

Że chodzi o to, żeby postąpić właściwie, uratować nasze miasto przed tym pasożytem przyczajonym w samym jego sercu, wysysającym z niego

wszystkie soki. Ale nie mam na to siły, a mimo że Blake i Doc wciąż ze sobą rozmawiają, to czuję na sobie ich spojrzenia, czuję, że słuchają. Nie ma sensu wszczynać awantury.

Mówię więc tylko:

— Dzięki. Dam ci znać.

Potem się rozłączam. Wpatruję się w telefon, dłonie mam lepkie od potu, usta zaschnięte.

To się dzieje. To się naprawdę dzieje. *Nareszcie.*

Mam klucz potrzebny do tego, aby otworzyć drzwi do świata Bressa i wszystkich przestępstw, które doprowadziły go do decyzji, że woli zastrzelić kochającą go kobietę, niż pozwolić światu zobaczyć, kim naprawdę jest.

*Zapłaci za to, Jenno. Obiecuję ci.*

*Biorę Boga na świadka, że wkrótce spoczniesz w pokoju.*

## ROZDZIAŁ 17. NIE CZEKAJ (HALEY)



Zaczynam się przyzwyczajać do zasypiania w ramionach Warrena.

Nie powinnam była wczoraj nawet do niego przychodzić, ale coś w jego wyglądzie, kiedy odchodził, poruszyło mnie do żywego, obudziło strach, ból i pragnienie, żeby ukoić szalejącą w nim burzę.

Nigdy nie byłam dziewczyną, która odczuwa potrzebę naprawiania złamanego przez życie mężczyzny, ale w Warrenie jest coś takiego, co sprawia, że jego cierpienie nie jest mi obojętne. Nie mogę go uleczyć. Nikt nie może naprawić cudzego życia.

Ale nie bylibyśmy ludźmi, gdybyśmy nie chcieli spróbować pomóc.

I tylko o to w tym chodzi. Naprawdę zależy mi na Warrenie Fordzie.

Właśnie dlatego w ogóle znalazłam się w tym położeniu: przez to, że chciałam pomóc mu się uspokoić po sprzeczce z Flynnem. W jakiś sposób uspokajanie zamieniło się w całowanie, a całowanie w dużo więcej.

W najlepszy seks w moim życiu. W najlepszy rytm, w jakim kiedykolwiek biło moje serce.

Nie mogę udawać, że nie czuję wobec niego silnego pociągu, o wiele większego niż przy zwykłym zauroczeniu.

Nie mogę też udawać, że nie jestem zawiedziona, kiedy budzę się sama, a ze snu wyrывa mnie ciężkie walenie do drzwi.

Mrugam w jasnym świetle poranka, mrużąc i pocierając zaspane oczy.

W sypialni nie ma śladu po Warrenie. Ziewam, zwlekam się z łóżka, zakładam dżinsy i podkradam jedną z jego koszulek, którą zarzucam na siebie, a potem powłócząc nogami, wchodzę do salonu.

— Już idę! — mruczę niewyspana, odgarniając z twarzy potargane włosy.

— Już...

— Ja otworzę — mówi ostro Warren, kierując się z kuchni w stronę drzwi.

Zatrzymuję się na środku salonu, patrząc na niego zdziwiona.

Tak naprawdę jeszcze się nie obudziłam. Jeszcze do końca wszystkiego nie przetwarzam. Dociera do mnie jedynie, że Warren jest czysty i w pełni ubrany, jakby nie spał od wielu godzin i że bije od niego dziwna, niespokojna chęć działania.

A osoba po drugiej stronie szklanych drzwi ma na sobie ubranie w kolorze przytłumionego jasnego brązu. Mundur szeryfa.

*Zaraz, co takiego?*

Ale strach i dezorientacja nie przekuwają się w nic wystarczająco realnego, żeby w pełni mnie obudzić, póki Warren nie otwiera drzwi ze zdawkowym skinieniem.

— Dzień dobry, szeryfie Langley. Co mogę dla pana zrobić?

— Możesz mi powiedzieć, co wiesz na temat morderstwa Dennisa Bressa

— odpowiada niski, przysadzisty mężczyzna po drugiej stronie drzwi. —

I gdzie byłeś zeszłej nocy.

Z pokoju uchodzą wszystkie dźwięki, całe powietrze.

Moje wnętrzności skręcają się w ciasny, bolesny supeł.

Patrzę na wyprężoną, milczącą z napięcia postać Warrena, na mężczyznę wpatrującego się w niego beznamiętnym, wyczekującym spojrzeniem, które dowodzi, że mówi poważnie. Chcę krzyknąć: „Proszę przestać, przyszedł pan po niewłaściwego człowieka!”.

Ale gdy stoję bezradnie jak wryta, widzę już, do czego to wszystko zmierza.

Warren zachowuje spokój, nawet jeśli jest to ponury, skoncentrowany spokój żołnierza świadomego, że idzie na bitwę, której nie może wygrać.

— No cóż — odzywa się powoli. — Wziąwszy pod uwagę, że po raz pierwszy słyszę, że Bress nie żyje... to powinno panu powiedzieć, co wiem na ten temat. Noc spędziłem tutaj. Całą. Co się stało?

— To ciekawe pytanie. — Szeryf zahacza kciuki o szlufki paska, a ja usiłuję nie patrzeć na pistolet przy jego biodrze. Mam suche usta. — Problem w tym, że albo już to wiesz, a jeśli nie wiesz, to nie wolno mi omawiać z tobą szczegółów sprawy.

— W takim razie co pan robi przed moim domem? — pyta beznamiętnie Warren.

— Synu, to żadna tajemnica, że ostatnio omal nie rzuciłeś się na Bressa w pubie U Brody'ego. Z tego, co słyszałem, byłeś gotowy zabić go na miejscu.

I wyszedłeś wściekły. — Mężczyzna mówi niemal zbyt lekkim głosem, ale jego słowa są przeszywające, przebijają moje serce na wylot.

To niesamowite, że zdają się nie wywierać żadnego wrażenia na Warrenie. Jest jak lodowa ściana, ani drgnie.

— Chce mi pan powiedzieć, że jestem podejrzany?

— Być może. Może odczekałeś chwilę, znalazłeś odpowiedni moment...

a potem zrobiłeś z Bressesem to, na co twoim zdaniem zasługiwał. Podobno od jakiegoś czasu go śledzisz. Rozwiązujesz stare problemy?

— Nie jestem pewny, gdzie pan to usłyszał, ale być może dobrze by było zweryfikować swoje informacje, szeryfie. — Warren wzdycha ciężko. —

Ale zrobimy to, jak należy. Chce mnie pan skuć, czy uwierzy mi pan na słowo, że pójdę dobrowolnie?

W chwili, gdy dociera do mnie, co się dzieje, rzucam się naprzód. Serce bije mi nierówno, oddycham z trudem.

— Nie może pan — rzucam. — Nie może go pan aresztować. On nic nie zrobił...

— Haley — przerywa mi Warren cicho, ale bez złości, rzucając mi długie, nieruchome spojrzenie swoich niebieskich oczu. — Idź po Tarę. Zawieź

ją do Spokane. Odeślij ją do domu. Przez jakiś czas trzymaj się z daleka od Heart's Edge. Wyjaśnię tę sprawę, kotuś. Obiecuję. — Kręci głową. —

Muszę to tylko zrobić, jak należy. Niech policja postąpi zgodnie z procedurą. Skup się na sobie i na Tarze. Wszystko będzie dobrze.

Ale nie czuję, że jest dobrze. Wcale nie czuję, że jest dobrze.

I czuję, że nic już nigdy nie będzie dobrze, gdy stoję tak w bezradnym milczeniu, patrząc, jak szeryf wyprowadza Warrena.

\*\*\*

PANI WILMA JUŻ NA MNIE CZEKA, kiedy ubieram się odpowiednio i wlokę się odrętwiała do głównego budynku po siostrzenicę. Znajduję Tarę rozlokowaną w atrium, wpatrującą się z fascynacją w ważkę siedzącą na łodydze patki wodnej. Mała nawet nie pamięta o zielonym jak klejnot otówku zwisającym z jej luźnych palców.

*Głęboki wdech.*

Siadam na ławce obok pani Wilmy i wzdycham ciężko.

— Ojej, wyglądasz dziś tak, jakbyś dźwigała na barkach ciężar całego świata, moja droga — mówi. — Zakładam, że nie ma to nic wspólnego z tym, że dziś rano na moim podjeździe stał radiowóz?

Boże. Nie wiem, jak to powiedzieć we właściwy sposób.

O ile w ogóle jest właściwy sposób na powiedzenie czegoś takiego.

Rzucam niepewne spojrzenie na Tarę i zniżam głos.

— Powiedzieli, że... pan Bress nie żyje — udaje mi się wydukać. Pani Wilma wydaje stłumiony okrzyk, składa dłonie i wytrzeszcza oczy, a z jej twarzy odpływa cała krew. Kontynuuję z ociąganiem: — Uważają, że został zamordowany. I zabrali Warrena na przesłuchanie.

— Słucham? — pyta słabo, po czym jej usta zaciskają się mocno. —

Dobry Boże. Nie mogę uwierzyć, że Dennisowi stała się krzywda i że uważają, że mój Warren mógłby...

— Wiem. — Nakrywam dłonią jej dłoń. — Przykro mi. Wiem, że pan Bress był pani znajomym.

— Był, ale ja... — Kręci głową z szeroko rozwartymi oczami. Obraca dłoń, żeby chwycić moją. — Nie rozumiem, dlaczego uważają, że Warren był w to zamieszany.

Ja natomiast nie rozumiem, kto mógł zabić Bressa, skoro wiem na pewno, że nie był to Warren.

Jeśli to Bress zabił Jennę, to nie ma żadnego sensu.

Nie ma sensu, żeby ktoś inny go likwidował. Skoro to on groził. Powiedział mi nawet tym dziwnym, złowieszczym tonem, że dopilnuje, aby się mną zaopiekowano.

Chyba że? Chyba że miał na myśli...

Że ktoś inny zabił Jennę.

A on proponował, że będzie mnie chronił, zanim zagłębię się za bardzo w brudne tajemnice.

Nie. To musi być tylko dziełem mojej wyobraźni, prawda?

Nie znam całej sprawy. Nic już nie wiem na pewno, ale wiem, że nie ma sensu, żeby ktoś eliminował Bressa i niby przypadkiem robił z Warrena głównego podejrzanego.



Ale gdy próbuję poskładać razem wszystkie kawałki, pani Wilma obserwuje mnie i czeka na odpowiedź. Wracam do teraźniejszości i uśmiecham się blado.

— Podejrzewam, że wpadli na to po niedawnych wydarzeniach w pubie, ale wiem, że Warren tego nie zrobił. Byłam z nim. Nie miał jak.

Krew napływa mi do policzków. Po raz pierwszy na głos sugeruję coś, czego pani Wilma sama już się domyśliła.

Jej oczy znów się rozszerzają, po czym uśmiecha się odważnie i odwraca głowę, mruganiem powiek odpędzając łzy i delikatnie ocierając nos.

— No cóż. Wiem, że skoro ma ciebie po swojej stronie, wszystko będzie dobrze.

Przełykam z trudem ślinę. *Mam nadzieję.*

— Jak ktoś mógł zrobić coś tak potwornego Dennisowi? *Morderstwo?* I to w Heart's Edge?

— Warren wszystkiego się dowie, pani Wilmo — zapewniam. — Ale w międzyczasie kazał mi obiecać, że odeślę Tarę do domu do Seattle i na kilka dni wyjadę z miasta. Dopóki nie zrobi się bezpiecznie.

— Pojedziesz samochodem na lotnisko w Spokane? Twoje auto da radę?

— Tak mi się wydaje. To tylko dwie godziny w jedną i dwie godziny w drugą stronę. Poza tym mam telefon. Zadzwonię, jeśli coś będzie nie tak.

— Ściskam jej dłoń i posyłam jej uśmiech. — Zanim się pani obejrzy, będę z powrotem. Trzeba czegoś więcej, żeby wypłoszyć mnie z tego miasta.

Jej śmiech jest słaby, ale szczerzy. A kiedy się nachyla i cmoka mnie w policzek, czuję ciepło rozlewające się gdzieś głęboko w środku.

— Jesteś dobrą dziewczyną, moja kochana. Mam nadzieję, że rozważysz pozostanie tu na dłużej.

Nie jestem w tej chwili w stanie myśleć o tym, co by to za sobą pociągało, więc jeszcze raz ściskam jej dłoń i wstaję.

— Tara! — wołam, wrywając siostrzenicę z zadumy. Mruga i unosi głowę, zaciskając palce na ołówku. Uśmiecham się. — Chodź. Musimy porozmawiać.

Tara spina się i patrzy na mnie z niepokojem.

— Zrobiłam coś złego?

— Nie. — Trudno jest się uśmiechać, ale dla niej zawsze się do tego zmuszę. — Później zabiorę cię nawet na lody. Ale najpierw chodź się przytulić do pani Wilmy.

Tara posyła mi kolejne długie, podejrzliwe spojrzenie, a potem wstaje i wygładza sukienkę dokładnie tak jak pani Wilma. Później doskakuje do starszej kobiety jak mała rakietka i obejmuje ją mocno.

W oczach pani Wilmy potyskują coraz grubsze łzy, które grożą spłynięciem po policzkach, gdy przytula z zapamiętaną moją siostrzenicę.

— Jesteś taką kochaną dziewczynką — szepcze. — Takim skarbem. Bądź dobra dla cioci i nigdy nie przestawaj rysować swoich ślicznych obrazków.

Wydaje mi się, że Tara nie ma świadomości, iż w ten sposób pani Wilma się z nią żegna. Serce mam jak z ołowiu.

W końcu się rozdzielają, a Tara wciska pod pachę swoje przybory do rysowania i bierze mnie za rękę, dając wyprowadzić się na zewnątrz, gdzie

ruszamy w kierunku domku. Jej oczy lśnią niepokojem, gdy podnosi na mnie wzrok.

— Ciociu? — pyta. — Co się stało?

— Nic, skarbie. Tylko... — Ściskam jej dłoń. — Wkrótce czas wracać do domu. Mama i tata wracają jutro z Hawajów, prawda?

Twarz jej się wydłuża.

— No tak. Chyba tak. — Wydyma wargi. — Ale ja nie chcę wracać.

Zatrzymuję się na trawiastej ścieżce, przykucam przed matą i patrzę w jej naburmuszoną, smutną twarzyczkę.

— Hej. Porozmawiaj ze mną, smarkulo. Dlaczego nie chcesz wracać do domu? Czy ze starszankami źle ci się układa?

Kręci głową.

— Nie, nie. — Wierci jedną stopą w ziemi. — Ale tu jest naprawdę fajnie. A pani Wilma nie każe mi chodzić o ósmej do łóżka.

— Pewnie powinnam była z nią o tym porozmawiać — mówię i mierzwię jej włosy. — Ale na pewno nie chodzi o nic więcej?

Tara mruga ze skołowaną miną.

— Chyba nie. To znaczy tęsknię za swoim łóżkiem i basenem, ale za tobą będę bardziej tęsknić, ciociu.

Cholera, ten dzieciak naprawdę wie, jak mnie wzruszyć.

A kiedy w końcu się na mnie rzuca, stękam, ale łapię ją i przytulam mocno, a potem biorę na ręce i przyciskam do siebie, po czym odwracam się i niosę ją do domku.

Tulimy się do siebie jeszcze przez chwilę, po czym się rozdzielamy, żebym mogła pomóc jej się spakować. Wkrótce potem patrzę, jak Tara skacze po całym domku, pędzi do samochodu, wraca biegiem do środka, a następnie znów wybiega. Najwyraźniej szuka czegoś i krzywi się z narastającą frustracją, aż w końcu staje na środku salonu i oznajmia, tupiąc lekko nogą:

— *Cholewcia!*

— Oplata za brzydkie słowo — przypominam łagodnie, podnosząc kilka brudnych ubrań, które chcę wyprać, zanim zostaną spakowane.

— Cholewcia to nie jest brzydkie słowo! — protestuje.

— Ale używa się go w zamian za przekleństwo i dobrze wiesz za jakie.

— Wrzucam koszulę do kosza na pranie. — Więc z jakiego powodu cholewciujesz?

— Zostawiłam nowe ołówki w samochodzie, kiedy się zepsuł — mówi.

— Ale nie ma ich tam i nigdzie nie mogę ich znaleźć.

— Psiakrew. Pewnie Stewart musiał je wyciągnąć w warsztacie.

— *Oplata za brzydkie słowo.*

— Nie doniosę na ciebie, jeśli ty nie doniesiesz na mnie — wzdycham.

— Pewnie zobaczę się ze Stewartem dziś wieczorem w pracy, więc poproszę, żeby je podrzucił przy okazji, dobrze?

— Ale chciałam rysować w samolocie...

— Możesz wziąć moje.

Tara ożywia się, a w jej oczach pojawia się błysk.

— Te dobre?

Uśmiecham się szeroko.

— Te *naprawdę* dobre.

Mała podskakuje i rzuca się na mnie, żeby mnie uściskać.

— Dziękuję!

Parskam śmiechem i ściskam ją mocno — a potem tężeję, bo z kieszeni odzywa się mój telefon.

— Poszukaj swoich kłapek i je zapakuj. Muszę odebrać.

Nie będę kłamać. Patrząc, jak moja siostrzenica odbiega, mam rozpaczliwą nadzieję, że dzwoni Warren, by mi powiedzieć, że wszystko jest w porządku i że nic nie musi się zmieniać. Ale z zaskoczeniem widzę imię siostry na wyświetlaczu.

O-o. Widziała w wiadomościach coś na temat Bressa czy po prostu ma dobre wyczucie czasu? Trudno uwierzyć, że informacja o morderstwie w małym miasteczku dotrze aż na Hawaje, ale jednak...

Odbieram połączenie i wychodzę na zalany słońcem taras, po czym przykładam telefon do ucha.

— Hej — mówię skrępowana.

— Hej — odpowiada siostra, cichym i dziwnie głuchym głosem.

— Gotowa na odzyskanie swojego dziecka? — pytam. Zawsze rozmawiamy ze sobą kpiąco i sarkastycznie, więc naprawdę nie jestem przygotowana na to, że w odpowiedzi usłyszę odgłos dławienia, który jak sobie uświadamiam, jest szlochaniem, a zaraz potem pojedyncze, zrozpaczone, zasmarkane:

— *Nie.*

Jasna dupa.

Na palcach jednej ręki mogę policzyć, ile razy słyszałam płacz Marie od czasów dzieciństwa. Na jednym *palcu*.

Ogarnia mnie panika, zaczynam bełkotać, mocować się z telefonem, jakbym mogła sięgnąć w głąb aparatu i nacisnąć przycisk, który ją wyłączy.

— O cholera, Marie, przepraszam, to był tylko żart, ja...

— Nie, nie, to nie twoja wina — mówi szybko, wciągając głośno kilka haustów powietrza. — To nie twoja wina. Tęsknię za Tarą. Ja tylko... nie wiem, jak jej przekazać wieści.

Oj. Ojej.

Domyślam się, że na Hawajach nie idzie zbyt dobrze.

Nieruchomieję, uspokajam się i wsłuchuję w słabe odgłosy po drugiej stronie linii — odgłosy mojej siostry usiłującej pohamować łzy. Nagle wolę, żeby tego nie robiła.

Nigdy nie potrafiliśmy zachowywać się jak rodzina, ale to moja *siostra*.

I chcę być dla niej wsparciem.

— No to mów — przynaglam ją cicho. — Powiedz mi, Marie.

— Nie chcę się narzucać...

— To nie jest narzucanie — zapewniam. — To *nigdy* nie było narzucanie i w ogóle nie wiem, dlaczego sobie ubzduraliśmy, że tak jest. Jesteśmy siostrami. Możesz na mnie liczyć. Chcę, żebyś mogła na mnie liczyć.

Znam Marie. Wiem, że to moment, w którym się zamyka, chowa za jakimś neutralnym komentarzem, udaje, że nic jej nie jest. Zamiast tego dociera do mnie kolejne pociągnięcie nosem, a potem słowa:

— John. John i ja, my... — Parska gorzkim, ponurym śmiechem. —

Między nami koniec i to moja wina.

— Wątpię w to. Czasem ludziom po prostu nie wychodzi i nie jest to niczyją winą. Co się stało?

Nie odpowiada i dopiero po kilku oddechach rozlega się niepewny szept:

— Haley?

Nachylam się i opieram łokciami o balustradę ganku.

— Tak?

Spośród wszystkich rzeczy, których spodziewam się od niej usłyszeć, ostatnią jest:

— Ja... chyba jestem homo.

Ojej.

Ha.

Podczas gdy tylko stoję i mrugam, starając się przetworzyć jakoś tę informację, Marie ciągnie z drżącym śmiechem.

— O kurwa. Albo lesbijką czy jakiegokolwiek innego słowa powinnam użyć. Nie mogę uwierzyć, że właśnie powiedziałam to na głos komuś innemu niż Johnowi... — Jej kolejny wdech jest w połowie śmiechem, a w połowie szlochaniem. — Wydaje mi się, że wyszłam za niego, bo myślałam, że w ten sposób stanę się tym, kim powinnam być. I *kocham* go, ale... nie w ten sposób. I to nie fair wobec niego, że mu to zrobiłam i że miałam z nim dziecko, i że go wykorzystałam...

— Hej. Hej, zwolnij — łagodzę. — Czy on się czuje wykorzystany?

— To jest w tym najgorsze. Wykazał się *takim* zrozumieniem. Po prostu się uśmiechnął, przytulił mnie i powiedział: „Przeżyliśmy kilka pięknych chwil, co?”. A potem przez godzinę oboje płakaliśmy jak idioci, ale... było dobrze. — Po drugiej stronie linii rozlega się szelest chusteczki wyciąganej z opakowania, a potem smarkanie. — I oboje bardzo kochamy Tarę.

Chcemy pozostać przyjaciółmi i być dla niej dobrymi rodzicami. Nie chcemy rozbijać jej rodziny.

— To dobry początek — mówię i nie wiem, kiedy zaczęłam się uśmiechać, ale jakimś cudem jednocześnie płaczę. Lecz to łyż szczęścia, nawet jeśli boli mnie, że moja siostra i szwagier musieli tyle przejść, żeby dowiedzieć się, co jest dla nich właściwe. — I tak dla twojej wiadomości, kimkolwiek jesteś, zawsze będę cię cholernie kochać.

Zaraz po tych słowach obie milkniemy. Po chwili to ona wypowiada na głos to, o czym obie myślimy, nieśmiało:

— Czy my kiedykolwiek wcześniej to sobie mówiliśmy? Że się kochamy?

— Pewnie od dłuższego czasu nie. — Uśmiecham się szerzej, choć jednocześnie pociągłam nosem i ocieram policzki. — Ale zawsze to wiedziałam.

Jesteśmy siostrami. A ty i John coś wymyślicie. Nie wykorzystataś go. Musieliście po prostu popracować nad tym, żeby poznać siebie.

— A kiedy ty zrobiłaś się taka mądra w tych sprawach?

— Chyba kiedy wyszłam poza to, co znane, i wylądowałam w miejscu, którego nigdy się nie spodziewałam. — Głos mi się załamuje, ale udaje mi się nad nim zapanować. — Wszystko będzie dobrze. Jednak mam nadzieję, że wiesz, że będę darła z ciebie łacha za każdym razem, kiedy zauważę, jak zerkaś na ładne dziewczyny?

— O Boże. — Nigdy dotąd nie słyszałam w głosie Marie takiego braku pewności siebie, ale jest to urocze. — To... Bardzo się starałam nie zerkać, lecz przez sam fakt, że powiedziałam o tym na głos... Mam wrażenie, że nie jestem teraz w stanie przestać.

— To dla ciebie nowość. Nie będzie łatwo. Ale to jesteś ty, ciesz się. Ja się cieszę.

— Dziękuję — mówi powoli, jakby to słowo brzmiało nieznajomo. —

Żałuję, że nie powiedziałam ci wcześniej. Chciałam z tobą porozmawiać od szkoły średniej. — Parska ironicznym, smutnym śmiechem. — Podobała mi się twoja przyjaciółka-idiotka, Britney, zanim poszła pofolgować sobie z twoim byłym w przebieralni...

Prycham.

— Uniknęłaś postrzału.

— Chyba tak. — Po chwili wahania pyta: — A ty jak się masz? Po Eddym nie miałam okazji, żeby cię o to zapytać. Nie rozmawiamy zbyt często.

— Wiem. Jest w porządku — zapewniam. — Czuję się w porządku. Dużo lepiej. Miło jest wędrować bez uczucia zagubienia. Bez żadnych oczekiwań.

— Odgarniam włosy do tyłu. — Rozstanie z Eddym i rozpoczęcie nowego życia mogło być ukrytym błogostawieństwem.

— Czy to znaczy, że jesteś szczęśliwa? Mimo że utknęłaś w jakimś miasteczku na końcu świata?

— Tak. Mam co malować, świeże powietrze, piękne góry, dobre jedzenie...

— Zagryzam wargę. — Dobry seks...

— Haley! — oburza się, ale śmieje się przy tym. — Nie mów, że bzykasz się z jakimś wiejskim parobkiem?

— Nie nazwałabym go wiejskim parobkiem, ale zdecydowanie ma w sobie jakąś bezpretensjonalność. — Mój uśmiech blednie. — Ale ma kłopoty z miejscowymi i powiedział, że powinnam odebrać Tarę do domu i sama też wyjechać na kilka dni.

— Wplątałaś się w coś? Potrzebujesz pomocy?

— Nie. Nie o to chodzi. — Kręcę głową. — Nie sądzę, żeby miały być z tego większe problemy. I cieszę się, że Tara jest tu ze mną. Jeśli potrzebujesz więcej czasu na przemyślenie tego, jak z nią porozmawiać... —

Oglądam się przez ramię na siostrzenicę, widząc przez szklane drzwi, jak biega po domku. — Po prostu dalej będziemy cieszyć się naszymi wspólnymi wakacjami.

— Gdybyś mogła, jeszcze tylko trochę, to byłabym wdzięczna. — Nietrudno zauważyć, że Marie nie jest przyzwyczajona do proszenia o cokolwiek. To zawsze było dla nas obu trudne, ale czuję dobry ból w sercu przez to, że jest

gotowa poprosić. Że jest gotowa mi *zaufać*. — To będzie trudna rozmowa. Razem z Johnem musimy się zastanowić, jak najlepiej ją prze-prowadzić, i co będzie dla Tary najlepsze. Przepraszam.

— Nie masz za co. Kocham tę małą i lubię spędzać z nią czas.

— Nawet kiedy mówi na ciebie „ciocia Hay”?

Uśmiecham się pod nosem.

— Wtedy kocham ją ciut mniej.

— Idiotka. — Siostra znów się waha, a potem pyta łagodniej: — Cóż, em, Haley?

Urywa. Ale nie musi tego mówić. Wiem i to jest w porządku.

— Wiem, Marie — mruczę. — Czy możemy spróbować częściej tak ze sobą rozmawiać?

Zalega chwila ciszy.

— Tak — odpowiada z wyraźną ulgą w głosie. — Bardzo bym chciała.

— Ja też. — Tym razem jednak, kiedy Tara przebiega w pobliżu, otwieram drzwi i łapię ją lekko za rękę, spowalniając ją delikatnym pociągnięciem.

— Hej. Przywitaj się z córką — mówię, podając siostrzenicy telefon.

Tara robi wielkie oczy, a jeśli kiedykolwiek miałam obawy co do tego, jak jest traktowana w domu, to znikają one na widok czystej *radości* na jej twarzy, wywołanej samą możliwością rozmowy z mamą. Niezależnie od tego, jak bardzo skrzywił nas nasz dom, jak dziwne stosunki rodzinne w nas wykształcił, moja siostra kocha swoją córkę wystarczająco mocno, żeby to nie miało znaczenia, bo daje Tarze szczęście i jest dla niej dobra.

Skoro Marie może to zrobić, może założyć rodzinę bez względu na wcześniej popełnione błędy i zarówno dawać, jak i otrzymywać tego rodzaju miłość... to może mnie kiedyś też to się uda.

Ta myśl zapiera mi dech w piersiach. Uśmiecham się mimowolnie, gdy przekazuję Tarze telefon.

— Mama? — dyszy do słuchawki, a potem woła: — *Mamo! Cześć!* —

Zaczyna szybko opowiadać o swoich rysunkach, o ogrodzie pani Wilmy, o wszystkich ładnych rzeczach, które znalazła i zatrzymała, od błyszczących kamyków po skrawki różowego papieru. Miło jest tylko siedzieć i słuchać, jednocześnie powoli przyglądając się własnym uczuciom. Chyba zaczynam dochodzić do pewnej decyzji i to takiej, która wymaga wykazania się odwagą. Nigdy wcześniej nie dawałam za wygraną.

Nie zrobię tego i teraz.

Mija niemal pół godziny, nim kończą rozmawiać, ale w końcu Tara mówi:

— Pa, mamo. Tęsknię za tobą. Kocham cię! — Potem się rozłącza. Oddaje mi telefon i pyta: — Mama powiedziała, że jeszcze trochę tu zostanę?

— Tak. Chyba obie zostaniemy. — Chowam telefon do kieszeni i odsuwam się z uśmiechem od balustrady. — Chodź. Pójdziemy powiedzieć pani Wilmie, że tak szybko się nas nie pozbędzie.

## ROZDZIAŁ 18. OBJAZD (WARREN)



Coś tu nie gra.

Praca policji w małym mieście nie jest mi obca. W miejscach takich jak Heart's Edge w zasadzie nie dochodzi do morderstw.

A kiedy już dochodzi, jest to zawsze niebudząca wątpliwości zbrodnia w afekcie, której sprawca jest oczywisty.

Moja sprawa nie kwalifikuje się jako coś takiego. Jedna kłótnia w barze, podczas której pięści nie poszły w ruch i nikomu nie stała się krzywda, nie stanowi wystarczającego motywu do popełnienia zbrodni w afekcie.

To nie wystarczy, żeby przetrzymywać mnie tu w uzasadniony sposób jako podejrzanego, nawet jeśli w tej chwili nie mają nikogo poza mną.

Dlaczego więc wciąż siedzę na ławce w areszcie w malutkim miejscowym komisariacie, przyciskając kłykcie do ust i zadając sobie — raz za razem — jedyne pytanie, które tak naprawdę się liczy?

*Kto, do diabła, zabił Dennisa Bressa?*

Najbardziej prawdopodobna wersja jest taka, że zrobił to jeden z jego współników z kartelu. Może Bress wkurzył niewłaściwą osobę.

Może był komuś winny pieniądze.

Może się zorientowali, że ktoś mu depcze po piętach i pozbyli się go, żeby nie pozostawiać śladów.

Pieprzyć może.

Coś nie daje mi spokoju. Coś mi tu nie pasuje. Jestem o krok od przydybania Bressa, a on zupełnym przypadkiem ginie.

Podobno dostał kulkę między oczy. Tyle udało mi się wydobyć z szeryfa Langleya podczas przesłuchania.

Wątpię, żeby aż tak zżerały go wyrzuty sumienia i poczucie winy, że odebrał sobie życie z powodu Jenny.

To wcale nie oznacza, że ktoś nie zabił go z powodu mojej siostry oraz dlatego, że za bardzo zbliżyłem się do prawdy.

Cholera, o czym ja właściwie myślę? Nie mogę chyba sugerować — nawet w myślach — że Bress był niewinny, a ja przez cały ten czas się myliłem?

Stewart go, kuźwa, widział. Stew go widział i potwierdziło to kilku innych członków oddziału. Opieram się tylko na jego słowach, ale dotychczas nigdy się na nich nie zawiodłem.

A nie ma już drugiej osoby, która mogłaby powiedzieć mi prawdę i zeznawać w sprawie własnej śmierci.

Coś się tu nie zgadza.

Muszę wierzyć w to, że Bressa zlikwidowała konkurencja.

Bo inna możliwość, jedyna inna możliwość jest taka, że albo Stew mnie okłamał, albo wszystko mu się pomieszało i sam nie wie, jak było.

Zespół stresu pourazowego może tak zadziałać w przypadku traumatycznych wydarzeń. Może całkowicie zmienić człowiekowi pamięć tak, że widzi rzeczy, które nigdy się nie wydarzyły i uważa, że są prawdziwe.

Chryste. Czy przez cały ten czas obwinałem Dennisa Bressa za wypadek?

Tylko dlatego, że ślepo uwierzyłem pamięci Stew, choć nawet on sam poddawał ją w wątpliwość?

Warcząc, chowam twarz w dłoniach. Patrzę przez palce na odrapaną ławkę, dzieło przetrzymywanych tu w ciągu lat ludzi, którzy chcieli pozostawić po sobie ślad. Zwykle siedzieli za chuligańskie wybryki po alkoholu i drobne przestępstwa.

W rogu jest spora rysa, ukryta w cieniu. Duża cyfra dziewięć obok poszarpanego serca i słów: „Tęsknisz za mną? Jeszcze zatęsknisz”.

Prycham. Kolejna historyjka, która pozwoli Blake'owi drzeć łacha z Doca.

Zaczynam nabierać przekonania, że być może łatwiej wyjaśnić zniknięcie Dziewiątki — jedynej prawdziwej ucieczki z więzienia w historii Heart's Edge — niż odkryć, co się, do cholery, przydarzyło Bressowi.

*Myśl, do diabła, nakazuję sam sobie.*

A co z innymi ludźmi z ich oddziału? Jasne, to bardziej ludzie Stewarta niż moi, ludzie, z którymi służył i kilku z nich wciąż zatrudnia, ale jeśli im ufał...

Nie. Nic z tego nie trzyma się kupy. Przynajmniej mam dla siebie całą celę.

Zwykle nie ma powodu, żeby z niej korzystać — poza pojedynczymi, przerażającymi przypadkami w rodzaju Dziewiątki — chyba że Flynn się czasem zapędzi i wrzucają go do izby wytrzeźwień, gdzie trzymają go do rana dla jego własnego dobra.

Ostatnio częściej bywa trzeźwy, więc jestem tu tylko ja i moje zapętlone myśli. Staram się wcisnąć kwadratowy kołek do okrągłej dziury, mimo że krawędzie do siebie nie pasują. Szeryf Langley siedzi naprzeciwko mnie w jednoizbowym więzieniu i przy swoim biurku wygląda na bardzo skrępowanego, kiedy stara się udawać, że mnie tu nie ma.

Żaden z nas nie może uwierzyć, że tu jestem.

To byłoby nawet zabawne, gdybym nie był tak cholernie wkurzony.

*Czy ktoś mnie wrobił?*

Moje rozmyślanie przerywa otwieranie drzwi. Myślałem, że to babcia przyszła narobić rabanu jako miejscowa matrona, o ile nie poszła najpierw prosto do gabinetu burmistrza.

Nie spodziewam się natomiast zupełnie, że do środka lekkim krokiem wejdzie cholerna Haley West.

Zamiast swoich standardowych szortów ze skróconych dżinsów czy innych kusių fatałaszków, które zakłada zwykle do pracy, wystroiła się w ładną sukienkę bez rękawków w odcieniu letniego błękitu. Sukienka jest elegancka, przylega do jej figury tylko tyle, żeby mój mózg zamienił się miejscami z



członkiem. Rozkloszowana spódnica dodaje muzycznego wdzięku tym jej cholernie ślicznym nogom.

Wielka szkoda, że nie ma tu wizyt matżeńskich.

Hay zebrata włosy do góry w celowo nieskładny węzeł. Luźne pasma okalają jej twarz. Subtelny makijaż sprawia, że spojrzenie szelmowskich, złośliwych zielonych oczu wydaje się niewinne i urzekające.

Wygląda niemal jak zupełnie inna osoba.

Posyła mi krótkie spojrzenie, puszcza ukradkiem oko, a potem przybiera poważny wyraz twarzy i podchodzi do biurka. *Cholera. Lepiej, żeby nie chciała zrobić tego, co mi się wydaje.*

— Szeryfie — odzywa się uprzejmie i wyciąga rękę. — Nie miałam dziś rano okazji się przedstawić. Jestem...

— Haley West — mówi powoli Langley i patrzy na nią takim wzrokiem, jakby była jakimś dziwnym nowym stworzeniem, którego nigdy wcześniej nie widział na oczy. Ściąga brwi w wąską linijkę. Ale podnosi się, zdejmuje z głowy kapelusz o szerokim rondzie i kłania się kurtuazyjnie, po czym lekko ściska jej dłoń. — Oficer Wentworth Langley. Tutejszy szeryf i zasadniczo połowa miejscowej policji. Miło mi.

— Mnie również. — Hay uśmiecha się ładnie.

Niech mnie. Nie miałem pojęcia, że ta dziewczyna ma takie maniery i wdzięk i zastanawiam się, czy babcia ją podszkoliła. Czy może jest to maska, którą przesłania swoją niespokojną, artystyczną duszę, aby przeżyć w świecie, który nie rozumie płonącego w niej ognia?

Wkrótce zaczyna przedstawienie; przechodzi bez zająknięcia do rzeczy

— wcielenie uroku i słodyczy.

— Zaskoczył mnie pan dziś rano. Obawiam się, że doszło do nieporozumienia.

Langley opada na swoje krzesło powolnym, zamyślonym ruchem, obserwując ją ze zdumieniem.

— Jakiego nieporozumienia?

— Chodzi o pana Bressa. Miałam okazję go kilka razy spotkać. Wydawał się bardzo miłym człowiekiem i przykro mi, że miasto straciło takiego obywatela, ale... zginął wczoraj w nocy, prawda? — Przygląda się mu swoimi kryształowo czystymi oczami, trzepocząc przy tym rzęsami, a Langley chrząka i prostuje ramiona.

— No cóż, szanowna pani, nie wolno mi zdradzać obywatelom szczegółów sprawy będącej w toku, ale mogę potwierdzić, że zgon nastąpił zeszłej nocy, to prawda.

— W takim razie obawiam się, że będzie pan musiał wypuścić pana Forda — mówi Hay z prostotą, która sugeruje, by brać to za pewnik. Langley mruga.

— Co takiego?

— Cóż, ja... jak mam to ująć? — Haley chrząka, pochyla głowę i robi się czerwona jak burak, gdy zerka na mnie spod rzęs. — Widzi pan, spędziłam z Warrenem całą noc. Zapewniam, że nigdzie nie wychodził i nikomu nic nie zrobił. A jeśli potrzebuje pan dalszego potwierdzenia, to zarówno moja

siostrzenica Tara, jak i babcia Warrena, Wilma Ford, mogą wszystko potwierdzić. Jego alibi, a także moje.

Wtedy to do mnie dociera.

Hay przyszła wyciągnąć mnie z więzienia.

Kazałem jej się nie mieszać i pozwolić mi zająć się sprawą, ale ten cholerny uparciuch pojawił się tu, żeby znów uratować mi kark.

Jest w tym mieście obca i nie ma powodu sądzić, że ktokolwiek w Heart's Edge uwierzy jej na słowo w sprawie dotyczącej morderstwa.

A mimo to zaryzykowała.

Dla mnie.

Pierś rozpiera mi coś do złudzenia przypominającego dumę. Kurwa, to jest dopiero kobieta.

Odważna. Wspaniała. Mądra.

A jednocześnie cholernie sprytna. Bo właśnie to robi, mydli Langleyowi oczy.

Szeryf wydaje się skrępowany, szarpie za kołnierzyk koszuli, poprawia krawat i nie jest w stanie na nią spojrzeć.

— Niech pani posłucha, każdy może tu przyjść i za kogoś poręczyć.

Co wcale nie oznacza, że mówi prawdę.

— Czyli zarzuca pan kłamstwo pani Wilmie? — pyta czarującym głosem Haley. Jest w nim ten posmak słodkiej jak miód trucizny, który tak dobrze znam. Wstrzyknęła mi ją tak głęboko, że praktycznie płonie w moich żyłach. — Rzec ma się następująco, szeryfie. Wiem, jaka kara grozi za składanie fałszywych zeznań. Jestem w tym mieście sama, poza siostrzenicą nie mam tu nikogo. Nie mam też pieniędzy i naprawdę policja mogłaby postawić mi jakiegokolwiek zarzuty i nikt nie byłby w stanie mi pomóc. Ale jestem

gotowa podpisać oświadczenie pod przysięgą, dopuszczalne jako dowód w sądzie, że zeszłą noc spędziłam z Warrenem Fordem. Myśli pan, że gdybym kłamała, byłabym gotowa w mojej sytuacji ryzykować postawienie w stan oskarżenia?

Langley nie ma najmniejszych szans.

Powiedziałbym, że Hay z pewnością pobierała lekcje w Akademii Wilmy Ford „Zabij ich uprzejmością”, ale to jest cała ona. I trudno jest mi się nie uśmiechać, gdy Langley posyła mi poirytowane spojrzenie, a potem wzdycha, podnosi się z miejsca i poprawia pas.

— Proszę tu poczekać — mruczy, a następnie spogląda na Haley. —

Albo nie. Proszę poczekać na zewnątrz. Nie chcę, żebyście się zmówili.

— Nie ma tu żadnej zmowy, szeryfie — mówi Hay cierpko i uśmiecha się do niego, po czym odwraca się, powiewając spódnicą, i wychodzi nie-spiesznie na zewnątrz. Nawet na mnie nie patrzy.

*Mała kokietka.*

Po zamknięciu drzwi Langley posyła mi kolejne kwaśne spojrzenie przez rozdzielające nas kraty.

— Masz szczęście, że znalazła się kobieta, która bierze twoją stronę.

— Wiem.

Uśmiecham się mimo woli. Nie jestem zły. Langley wykonuje tylko swoją pracę.

Z kolejnym poirytowanym stęknieniem poprawia znów pasek i wychodzi na zaplecze. Słyszę dźwięk kserowania, a potem szeryf wyłania się z plikiem kartek w dłoni. Przygarbiony wychodzi powoli na zewnątrz.

Szczerze mówiąc, nie zazdroszczę mu. Małomiasteczkowi policjanci nie nadają się do prowadzenia dochodzenia w sprawie morderstwa, a trop w tej konkretnej pewnie wystygnie w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin, nawet jeśli zjawią się federalni i przejmą kontrolę.

Dobrze, że jestem specjalistą w podejmowaniu zwietrzałego tropu.

Kiedy Langley wraca, trzyma w ręce te same papiery podpisane zawijaszami niebieskiego atramentu. Grzebie w pęku kluczy przy pasku, otwiera celę i rozsuwa kraty, żeby mnie wypuścić. Kiwa głową.

— No już. Spadaj.

Nie trzeba mi dwa razy tego powtarzać.

W jednej chwili jestem za drzwiami i nie będę kłamał — moje serce zachowuje się w przedziwny sposób, gdy wychodzę na zewnątrz i widzę Haley opartą o mustanga z rękami założonymi na piersi i włosami rozpuszczonymi w potarganą wiatrem plątaninę.

Jest tak cholernie piękna, i nie chodzi tylko o wygląd.

Chodzi o to, jaka jest.

I być może nie wiem o niej jeszcze wszystkiego, ale wiem wystarczająco dużo, żeby zdać sobie sprawę, że naprawdę jest kimś wyjątkowym.

Staram się nad sobą panować, ledwie, gdy podchodzę do niej bliżej.

— Wydawało mi się, że kazałem ci stąd wyjechać, Hay — mruczę.

Przekrzywia głowę i patrzy na mnie z ukosa. Nawet ten młodzieńczy, rozrzewniony makijaż nie jest w stanie ukryć powrotu lisicy ze złośliwym, zadufanym uśmiechem.

— No cóż, a ja kazałam sobie zostać — odpowiada, a potem śmieje się i pstryka mnie palcami w brzuch. — Mógłbyś podziękować.

Ona się śmieje. Ja nie. Przysuwam się do niej i nachylam blisko.

— Dziękuję — dudnię. Fascynuje mnie gra światła na jej ciemnobrązowych włosach, to, jak promienie słoneczne wydobywają odcienie w kolorze whisky, a nawet rude. Zawijam sobie jedno pasmo wokół palców.

— Dziękuję, że po mnie przyjechałaś.

Jej rzęsy sfruwają w dół, gdy przysuwa się do mnie — a zaraz potem się cofa, bo Langley wychyla się zza drzwi i przeszywa mnie złowrogim spojrzeniem.

— W dalszym ciągu jesteś na celowniku — mruczy. — Jeśli spróbujesz wyjechać z miasta, będę musiał sprowadzić cię tu siłą.

Posyłam mu poirytowane spojrzenie.

— Nigdzie się nie wybieram.

Kłamię.

Ale nie mogę tego zdradzić, więc kiwam tylko głową na Hay i przechodzę na drugą stronę mustanga, żeby usiąść po stronie pasażera.

— Jedźmy.

Haley dyga z przesadną słodyczą Langleyowi, a potem wsuwa się za kierownicę i wyjeżdża z cichym pomrukiem na drogę prowadzącą do Uroczyska. Silnik brzmi tak dobrze, że trudno uwierzyć, że został sklejonny taśmą izolacyjną. Zastanawiam się, co Stewart z nim zrobił.

Stewart. Kurwa.

I znów się zaczyna. Opieram łokieć o drzwi po stronie pasażera, a ciepła, łagodna, popołudniowa bryza rozczesuje mi włosy, bo dach jest opuszczony. Szybko pokonujemy kilka krótkich kilometrów między główną częścią miasta i zajazdem.

— Będę musiał cię poprosić, żebyś podrzuciła mnie do samochodu — mówię jej, przyglądając się mijanym domom w stylu ranczerskim, które ustępują miejsca trawiastym połaciom.

Haley zerka na mnie.

— A gdzie się wybierasz?

— Muszę wyjechać.

— Warren! Szeryf przed chwilą powiedział...

— Wiem, co powiedział Langley. Ale coś mi tu nie gra. — Marszczę brwi i przyciskam zgięte palce do ust. — Bress został zamordowany dokładnie w momencie, kiedy chciałem go dopaść. Chciał mi coś powiedzieć. A co, jeśli wcale nie zabił Jenny?

Hay wciąż ostro powietrze, ale nie wydaje się tym bardzo zaskoczona.

Prawdę mówiąc, wydaje się niemal przygnębiona. Zerka na mnie z poczuciem winy.

— Ja... zastanawiałam się nad tym, kiedy usłyszałam o jego śmierci.

Ale nie chciałam nic mówić, bo ty nie miałeś *wątpliwości*.

— Nie miałeś też za bardzo szansy czeokolwiek powiedzieć, skoro nie spałaś całe trzydzieści sekund, zanim mnie zabrali.

— Tak. To też — mówi i milknie, zjeżdżając spokojnie w boczną alejkę biegnącą dookoła zajazdu. Nie mówię nic, póki nie zatrzyma mustanga za moim pikapem i nie wyłącza silnika.

Gdy wysiadamy, odzywam się:

— Więc może śmierć mojej siostry to był wypadek.

Ale to wyjaśnienie wydaje się zbyt proste, zbyt łatwe. Kręcę głową i zamykam drzwi.

— A może na rzeczy jest coś więcej, może ktoś w Heart's Edge mnie obserwuje i nie chce, żebym poznał prawdę. — Podchodzę do niej bliżej, obchodząc maskę samochodu. — Więc muszę stąd wyjechać. Zniknąć z widoku, żebym mógł zaplanować następny ruch.

Hay przysuwa się bliżej, ładniejsza niż kiedykolwiek, pokryta cętkami światła rzucanymi przez słońce prześwitujące między gałązkami drzew.

Nagle nie mam najmniejszej ochoty na wyjazd.

Hay wyciąga ręce i zaciska dłonie na mojej piersi, wplatając lekko palce w moją koszulkę. W jej oczach jest tyle ciepła, kryje się w nich dużo więcej, niż na to zasługuję, ale to wystarcza, żebym zaczął się zastanawiać, czy może, ale tylko może pod tym wrakiem został jeszcze żywy człowiek.

Człowiek, który zastępuje na te wszystkie zaniepokojone spojrzenia, na ciepło, na troskę, na łagodność, którymi ona mnie obdarza. Co kompletnie nie pasuje do wszystkich ostrych słów, które między sobą wymieniliśmy.

— Na jak długo? — pyta.

— Niedługo — obiecuję. — Po prostu na tyle, żebym mógł zaplanować następny ruch. — Obejmuję ją w pasie i przyciągam do siebie, delektując się tym, jak jej ciało dopasowuje się do mojego. Spijam jej żar, tę mieszankę delikatnej miękkości i jędrnej, gładkiej skóry, pod którą skrywa się siła.

— Wrócę po ciebie, kotuś. To przysięga.

Oddech więźnie jej w gardle. Odwraca głowę, a ładna, różowa poświata zachodzącego słońca omiata jej policzki. *Uwielbiam* na to patrzeć. Na tę delikatną stronę, na słodycz, którą ukrywa za kolecami.

— Nie o to pytałam — szepcze.

*Nie o to?*

— Zresztą nieważne.

Przesuwam opuszki palców wzdłuż linii jej szczęki, nakłaniam, aby znów na mnie spojrzała — i aby wyszła mi naprzeciw, gdy pochylam się i zamykam jej usta w pocałunku, smakując ją. Całujemy się z rozchylonymi wargami i przyspieszonymi oddechami, w ten otwarty, niespieszny sposób, który wydaje się słodszy i bardziej nieprzyzwoity, niż powinien.

Pełen sprzeczności — tak jak każdy dzień mojego życia, odkąd ona się w nim pojawiła.

Dokładnie tak jak ma to miejsce teraz, gdy drży w moich ramionach, gdy nasze języki splatają się ze sobą powoli, aż w każdej, głębokiej, ba-dawczej pieszczocie rodzi się intymność; w każdym więznącym w gardle, wyszeptanym dźwięku; w każdym wilgotnym, gorącym złączeniu warg.

Cholera, ale mi dobrze. Dobrze mi przy *niej*; jest odpowiednia w sposób, jakiego nie spodziewałem się znów poczuć. Po raz pierwszy od bardzo dawna czuję, że żyję.

Dzięki Hay.

Bress może jest martwy, ale moja misja jeszcze się nie zakończyła.

*Poznam prawdę.*

A wtedy, ale tylko być może, dowiem się, czy między mną i Hay coś jest możliwe.

Kiedy się rozdzielamy, jej oczy są jak światło gwiazd widziane przez zasłonę dymu. Przytula się do mnie, sięgając po ostatnie muśnięcie mojego języka na jej górnej wardze, po ostatnie zaciśnięcie jej zębów na moich mrowiących ustach.

— Wrócę po ciebie — zapewniam ponownie, a potem odsuwam się i idę do swojego pikapa. Mam robotę do wykonania.

Martwi mężczyźni nie czekają na miłość.

## ROZDZIAŁ 19. OSTATNI BIEG (HALEY)



**N**ie podoba mi się, że muszę patrzeć na odjeżdżającego Warrena. Nie tylko dlatego, że tym prostym sposobem zamienił się w *zbiegłego* podejrzanego w sprawie o morderstwo.

Tęsknię za nim.

Tęsknię za nim, a jego nie ma zaledwie od pięciu cholernych minut, ale co gorsza...

Nie mogę otrząsnąć się z przeświadczenia, że niedługo stanie się coś strasznego.

Wchodzę do domku, siadam na kanapie, pochylam się i wciskam twarz w dłoń.

— Rany, Haley — mruczę, wypuszczając ciężko powietrze między palcami.

— Kiedy w coś wchodzisz, robisz to z przytupem.

Uciekam od zrujnowanego życia, niewiernego narzeczonego i byłej najlepszej przyjaciółki, żeby utknąć w najładniejszej zapadłej dziurze, jaką kiedykolwiek widziałam.

Otrzymuję groźby nad materiałami malarskimi.

Bawię się w mamę mojej siostrzenicy, tak że zaczynam się zastanawiać, kiedy sama kiedykolwiek się ustatkuję.

Poznaję najbardziej wkurzającego, seksownego, durnego, troskliwego, absurdalnie szlachetnego człowieka-bestię, jakiego kiedykolwiek znałam.

Odkrywam, co znaczy rodzina, i na nowo poznaję własną siostrę.

A teraz... Morderstwo miłego, starszego mężczyzny, który któregoś dnia mi pomógł tylko dlatego, że mógł to zrobić, nie oczekując nic w zamian.

Sytuacja szybko wymknęła się spod kontroli. *Całe moje życie.*

Jestem tak zmęczona, tak długo kręciłam się w kółko, że potrzebuję kilku minut, żeby dotarła do mnie cisza. W domku nikogo nie ma. Tara zapewniała mnie, że spokojnie może zostać sama przez jakąś godzinę, podczas gdy ja pojechałam wyciągnąć Warrena z aresztu. Upierała się, że ma już *dziesięć lat* i że da sobie radę, a jeśli będzie się bała, pójdzie do pani Wilmy.

Ale w domku nikogo nie ma.

Ani śladu po Tarze.

O nie.

O *kurwa* — jestem najbardziej beznadziejną, najbardziej nieodpowiedzialną ciotką na świecie!

Przetykam gulę w gardle. Powtarzam sobie, że mała gdzieś na pewno jest, może z tyłu bliźniaka łąpie z Mozartem motyle albo coś.

— Tara? — wołam niepewnie, wstając i rozglądając się po domu.  
Nie ma jej w łazience, w sypialni ani na tarasie. Serce we mnie zamiera.  
Nie zakradła się też do mieszkania Warrena. Jest zamknięte na cztery spusty i ciemne, tak jak je zostawiłam, gdy wychodziłam rano.

Na dnie mojego brzucha czai się strach i złe przeczucia, ale nie będę jeszcze wpadać w panikę. Jeśli Tary nie ma ze mną, to zawsze jest z panią Wilmą.

Pewnie znajdę ją w atrium ze szkicownikiem na kolanach, wybierając idealny odcień kredki do rysowania lśniącej piersi kolibra na tle żółtego żonkila.

Ale w drodze do głównego budynku nie opuszcza mnie niepokój. Może to intuicja albo przeczucie, nazwa mało mnie obchodzi — coś jest *nie tak*.

Mam spocone dłonie, kiedy wchodzę do holu i niemal zderzam się z panią Wilmą.

Tracę równowagę, ale ona chwyta mnie za ramiona i przytrzymuje, patrząc na mnie z niepokojem.

— Haley? Moja droga, co się stało? Wyglądasz strasznie.

— Tara — mówię szybko, a w ustach mi zasycha, gdy uświadamiam sobie, że znalazłam się w martwym punkcie, jeszcze zanim udaje mi się wydobyć z siebie te słowa. Zwieszam ramiona. — Nie ma... Nie ma jej z panią.

Oczy pani Wilmy robią się wielkie, a usta układają się w zaskoczone O.

— Nie, moja droga, nie widziałam jej od wczorajszego wieczora. Ona...  
O cholera.

W każdej innej sytuacji wybuchnęłabym śmiechem, słysząc, jak sztywna, elegancka dama pokroju Wilmy Ford mówi „cholera”.

Teraz jednak myślę wyłącznie o tym, że moja siostrzenica zaginęła.

Puls mi skacze, odgarniam włosy do tyłu i zaczynam chodzić w tę i we w tę.

— Ona może być nadal w domu. Możemy się rozdzielić i jej poszukać...

— Oczywiście. — Pani Wilma kiwa zdecydowanie głową. — Zaprzęgnę Flynną do pomocy i obdzwonię pracowników. — Zamyka serdecznie moje dłonie w swoich. — Wszystko będzie dobrze. Znajdziemy ją.

Kiwam głową i przełykam przerażenie zaciskające mi gardło, a potem odbiegam korytarzem.

Najpierw sprawdzam atrium, ale nic nie wskazuje na to, żeby Tara tam w ogóle dziś była. Kolejne dwadzieścia minut zlewa się ze sobą w gorączkową mgłę, gdy biegam od pokoju do pokoju, z piętra na piętro i wołam:

— Tara? Tara! — Inne głosy powtarzają to samo.

Zaraz wymiotuję.

To moja wina.

Nie powinnam była zostawiać jej samej nawet na chwilę. Nie ma jej tu.

Nie ma jej tutaj, a ja nie wiem, gdzie jej szukać.

Kiedy spotykamy się znów z panią Wilmą w holu, mamy grobowe miny.

Kobieta jeszcze raz ściska moją dłoń, ale tym razem z mniejszą pewnością.

— Zadzwoń do szeryfa Langleya i poproszę, żeby natychmiast tu przyjechał — obiecuje, ale przerywa jej dzwonek mojego telefonu.

Wyciągam go z kieszonki ukrytej w spódnicy, walcząc rozpaczliwie z fałdami tkaniny, bo wszystko we mnie krzyczy, że to Tara. To musi być ona.

Roześmieje się, zawoła: „Nabrałaś się. Przez cały ten czas byłam schowana” i wszystko będzie dobrze.

— Halo? — dyszę do aparatu, odbierając bez patrzenia na ekran.

— Cześć, Haley — odzywa się wesóło Stewart, a mnie żółądek podejźdża do gardła.

Cholera, nie mam na to czasu.

Ściskam grzbiet nosa i idę w stronę drzwi.

— Stewart, nie mogę teraz rozmawiać, szukam...

— Tary? — kończy sam z siebie. — Jest u mnie w warsztacie.

Że co?

Staję jak wryta, przykuta w miejscu, zerkając szeroko rozwartymi oczami na przyglądającą się mi z zainteresowaniem panią Wilmę. „To Stewart”, mówię bezgłośnie. „Ma Tarę”.

A potem głośnie dukam:

— Co... jak?

— Och, twój mały nicpoń przyszedł sam jeden na piechotę do miasta.

Chyba po swoje ołówki.

Jęczę. *Jasna cholera.*

W obliczu aresztowania Warrena i morderstwa Bressa zupełnie zapomniałam, że obiecałam zapytać Stewarta, czy wyciągał je z samochodu.

— Jezu, to moja wina. Naprawdę przepraszam.

— Nie przejmuj się, to żaden problem. Chcesz po nią wpaść?

— Tak. Zaraz będę. — Rzucam pani Wilmie znak, że wszystko jest okej.

Wygląda na skołowaną, ale się uśmiecha. Ja już się odwracam i wybiegam za drzwi. — Posłuchaj, Stewart... Bardzo mi przykro z powodu twojego kolegi.

Wydaje się zdezorientowany.

— Mojego kolegi?

Psiakrew. Ciągłe popełniam jakąś gafę.

— Nie słyszałeś o Bressie? Myślałam, że dobrze się znaliście.

Zapada tak długa chwila ciszy, że aż się zatrzymuję, marszcząc czoło.

Znów pojawia się głos intuicji, kłujący jak kaktus.

Stewart odzywa się niemal przesadnie zasmuconym głosem:

— Zgadza się. Chyba jeszcze to do mnie nie dotarło. To wciąż świeża wiadomość... i bolesna.

— Przepraszam, jeśli zachowałam się nietaktownie... lub jeśli Tara się narzucała.

— Nic nie szkodzi. Spokojnie. A szczerze mówiąc, miło mieć przy sobie taką małą iskierkę w tej męskiej jaskini.

Uśmiecham się blado.

— Muszę się rozłączyć, ale właśnie wsiadam do samochodu. Niedługo cię od niej uwolnię.

— Nie ma sprawy. Ale powinnaś chyba porozmawiać z królową na temat samowolnego oddalania się...



— Och, porozmawiam z nią sobie, żebyś wiedział. Śmiertelnie mnie wystraszyła.

Stewart odpowiada pobłażliwym parsknięciem.

— Do zobaczenia wkrótce, Haley.

— Jasne. — Rozłączam się i zatrzymuję przy drzwiach od strony kierowcy, wpatrzona w ekran telefonu.

W dalszym ciągu coś wydaje się tu... dziwne.

Jeśli Tara poszła na piechotę do Stewarta, dlaczego nie widziałam jej, kiedy wracałam z Warrenem?

Rozminęłyśmy się?

Czy może to sygnał ostrzegawczy uruchomiony z tyłu mojej głowy?

Ale muszę jechać. Nie mogę zostawić mojej siostrzenicy samej w cholernym warsztacie samochodowym.

Wskakuję do mustanga i kieruję się na drogę prowadzącą do miasta.

Tylko że nie udaje mi się przejechać więcej niż sześć czy siedem przecznic, bo raptem mustang zaczyna się krztusić i rżęzić, a potem staje tak gwałtownie, że od wstrząsu targającego maszyną dzwonią mi zęby.

Zachowuje się inaczej niż podczas poprzednich awarii. Wtedy to działo się delikatnie i stopniowo, jakby po prostu samochód zapadał w sen. Tym razem mam wrażenie, że to agonalne rżężenie.

— Niech cię szlag, nie teraz! — krzyczę i walę pięścią w kierownicę.

Siła rozpędu ledwie starcza, żeby dotoczyć się na pobocze i nie blokować, niewielkiego co prawda, ruchu. I koniec. Auto nie ma w sobie więcej życia. Po prostu się zatrzymuje.

Klnąc na czym świat stoi, osuwam się naprzód i walę czołem w kierownicę.

To by było na tyle, jeśli chodzi o prowizoryczną naprawę, która miała wystarczyć na tydzień lub dwa.

Chrzanić to. Skoro Tara poszła do Stewarta na piechotę, to ja też mogę pokonać w ten sposób pozostałą część drogi, a potem poprosić, żeby mnie podwiózł i odholował do zajazdu.

Jednak w tej samej chwili, w której zaczynam wysiadać z samochodu, z głuchym warkotem nadjeżdża masywny monster truck Stewarta. Słońce odbija się od niego falami ciepła, gdy pojawia się jakby znikąd. *Co tu jest...*

Zatrzymuje się obok mustanga, wystawia jedną rękę za okno i uśmiecha się do mnie półgębkiem, niemal przebiegle.

— Wygląda na to, że przyda ci się podwózka. Na szczęście jedziemy w to samo miejsce, co?

Coś w jego rozbijającym uśmiechu mrozi mi dzisiaj krew w żyłach.

Patrzę na niego, wciąż pilnując, żeby rozdzielał nas mój samochód.

— Nie rozumiem. Skąd wiedziałeś?

Wzrusza ramionami, lekko klepiąc dłońią w bok wozu, po czym otwiera drzwi i wysiada.

— Przeczucie, złotko. Podobno mój dziadek był w tym dobry i wygląda na to, że to odziedziczyłem.

Milczę, prawie się trzęsę i zastanawiam, czy to wszystko nie jest sen.

Nagle Stewart wybucha śmiechem.

— Cholera, dziewczyno, żartuję sobie z ciebie. Tak naprawdę stwierdziłem, że wyjadę ci naprzeciw. I chyba dobrze zrobiłem, widząc, co się stało.

Moje brwi napierają mocniej na czaszkę.

— Ale dlaczego? To przecież niedaleko...

Stewart rozkłada ręce. Jego uśmiech wygląda teraz jak maska, nie dociera do beznamiętnych, zimnych, brązowych oczu.

— A mimo to utknęłaś.

Boże, to zdecydowanie nie trzyma się kupy.

Patrzę ponad nim w głąb kabiny samochodu, ale jest pusta.

— Nie zabrałeś Tary?

— Jest bezpieczna w warsztacie. Pilnuje jej kilku moich chłopaków — odpowiada zbyt lekko. — Czuje się tam jak ryba w wodzie, cały czas maluje. Dałem jej coś lepszego niż te ołówki. Mieliliśmy trochę starych plakatówek, więc teraz może spokojnie zacząć karierę impresjonistki.

*Plakatówek?*

Mój oddech robi się zimny i nieruchomy. Nie.

Nie, na pewno tylko wyobraźnia płata mi figle po panice, w jaką wpadłem z powodu zaginięcia Tary. Stewart nie mógł być osobą, która zostawiła na moich drzwiach krwistą groźbę. Nie mógł.

Ale jeśli Bress tego nie zrobił, jeśli Bress nie żyje... to kto to zrobił?

Zaciskam dłoń na drzwiach mustanga. Tylko dzięki temu nie rzucam się do ucieczki.

— Na co ci plakatówki? — pytam nieufnie.

Uśmiech Stewarta znika jak ręką odjął.

Patrzy na mnie jak wąż, beznamiętnym i nieruchomym wzrokiem.

— Wsiadaj do samochodu — rzuca bezbarwnie. — Mam dziś wieczorem dużo roboty, a muszę jeszcze odholować twojego mustanga.

Instykt każe mi nie wsiadać. Każe uciekać.

Ale... Ale on ma Tarę i nie mogę zostawić mojej siostrzenicy samej z tym człowiekiem, który w tej chwili uruchamia każdy możliwy alarm w mojej głowie.

Nic nie mówię, ale potwornie żałuję, że nadal mam na nogach buty na obcasie po porannej wizycie w więzieniu.

Może mogłabym w razie potrzeby nadepnąć mu na stopę, złamać mu palec w ramach samoobrony.

W milczeniu obchodzę monster trucka od tyłu, utrzymując dystans między nami, i wspinam się na potwornie wysoki stopień, żeby wsiąść do samochodu. Schodek znajduje się tak wysoko nad ziemią, że niemal muszę się na niego wdrapać.

Nie powinnam zwracać uwagi na takie rzeczy, ale myślę już o tym, co zrobię, jeśli będę musiała wyskoczyć z rozpędzonego samochodu.

*Oddychaj, Haley.*

Zachowuję się absurdalnie, naprawdę. To na pewno wina strachu, który mnie zżera, ale Tarze nic nie jest.

Wszystko jest w porządku.

Wciąż milczę, gładząc sukienkę i unoszący się nerwowo brzuch, a Stewart wsiada za kierownicę, uruchamia silnik i ustawia auto przed mustangiem. Gdy przyczepia linkę holowniczą do haka w swoim wozie, a potem wyjeżdża na drogę, ciągnąc za sobą mój samochód, nie odzywamy się do siebie ani słowem.

Odsuwam się od niego jak najdalej, przyciskam do drzwi samochodu i patrzę uporczywie za okno.

Niedługo dojedziemy do miasta. Zabiorę siostrzenicę i poproszę kogoś o pomoc.

Ale czy Warren przyjedzie, jeśli do niego zadzwonię? Zwłaszcza że nie wiem, gdzie się ukrywa.

Mogę zabrać Tarę do jadłodajni, zadzwonić do Warrena albo pani Wilmy czy nawet Flynnna — może i jest pijaczką, ale myślę, że w głębi kryje się miły, starszy pan.

W tej chwili muszę być po prostu z ludźmi, do których mam zaufanie.

A Stewart się do nich nie zalicza. Może przesadzam, ale wiem jedno.

Lepiej dmuchać na zimne.

Lepiej dmuchać na zimne, niż się pomylić. Co do wszystkiego.

Stewart zajeżdża pod Pep-Pep-Go. Na parkingu nie ma ani jednego samochodu, a warsztat jest zamknięty.

Światła w części biurowej są zgaszone, a przez okna nie widzę nikogo.

Mimo panującego dziś obojętnościącego gorąca, oblewam się zimnym potem. Oblizuję wargi i zaciskam palce na brzegu spódnicy.

— Idź — mówi Stewart, pozostawiając włączony silnik. — Mała czeka na ciebie w środku. Wprowadzę do warsztatu twojego mustanga i rzucę na niego okiem.

Zerka na mnie dziwnie, wyczekująco.

Staram się na niego nie patrzeć, ale mam wrażenie, że gramy w grę, w której oboje udajemy, że nie wiemy, iż coś jest nie tak. Kiwam powoli głową i przygładzam dół sukienki.

Tak naprawdę próbuję namacać wewnętrzną kieszeń i upewnić się, że wyczuwam w niej kształt telefonu. Czuję jego nacisk na dłoni. Oddycham trochę lżej i wysiadam — niemal spadając na ziemię. Wchodzę do warsztatu i słyszę dźwięk dzwonka nad głową.

W środku jest tak ciemno, że prawie nic nie widzę. Tak bardzo się denerwuję, że czuję mrowienie w całym ciele.

Przenikając wzrokiem półmrok słabo oświetlany światłem wpadającym przez okna, wchodzę do środka i pozwalam, żeby drzwi się za mną zamknęły. Trzaskają złowieszczo, dzwonek nad głową znów brzęczy, a we mnie zamiera serce.

— Tara?

Nigdzie jej nie widać. Nikogo tu nie widać. Czuję pustkę w brzuchu i odwracam się powoli.

Wszystko wydaje się aż nazbyt znajome. Jestem jak ta dziewczyna w horrorze, która poniewczasie orientuje się, że wpadła w pułapkę — ale nie

może już zawrócić i nie ma nadziei na ucieczkę.

Nie mogę zawrócić.

Nie bez Tary.

Ale znajdę ją na moich warunkach, nawet jeśli będę musiała obrócić cały ten warsztat w perzynę. Nie dam Stewartowi się zastraszyć, wykorzystać mojej siostrzenicy przeciwko mnie ani skrzywdzić Tary.

Zabiję go gołymi rękami, jeśli choć spróbuje jej coś zrobić.

Jednak kiedy odwracam się w stronę drzwi, żeby wyjść na zewnątrz, cichy głosik za moimi plecami mrozi mi krew w żyłach i rozdziera serce.

— Ciocia Hay?

O Jezu.

Nie chcę się odwracać. Dopóki się nie odwrócę, mogę udawać, że to nie dzieje się naprawdę.

Strach w głosie Tary. Delikatne, roztrzęsione błaganie.

Ale nie mogę się powstrzymać. Potykając się o własne obcasy, okręcam się gwałtownie. Serce podchodzi mi do gardła, oddech jest ostry i kłujący.

— Tara! — wołam.

Stewart wpycha ją do środka przez tylne drzwi, prowadzące z części warsztatowej, a nad jej głową widać niewielki, składany nóż. Mała jest brudna, cała w smarze, jakby ktoś pchnął ją wcześniej na podłogę warsztatu. Ma podartą sukienkę, a po umazanej brudem buzi płyną łzy. Idzie roztrzęsiona naprzód, z twarzą pobielatą ze strachu.

Dziki przerażenie i wściekłość rozpalają mi krew.

Zabiję go. Zabiję go. Ruszam do przodu — ale zatrzymuję się, bo Stewart przekłada nóż i łapie Tarę za włosy, przyciskając ostrze do jednego warkoczyka. Tara krzywi się, kwili i stoi zupełnie nieruchomo. Tak bardzo wytrzeszcza oczy, że w ciemności widać jej białka, gdy błagalnym wzrokiem prosi o ratunek.

— Nie ruszaj się, Haley — ostrzega Stewart. Wciąż się uśmiecha tym denerwującym uprzejmym uśmiechem, mdłym i plastikowym. — Nie ruszaj się, bo inaczej ta mała może stracić znacznie więcej niż tylko włosy.

Stają bez ruchu, serce mi wali, pięści się zaciskają.

— Czego chcesz, draniu?

— No już. Chyba nie chcesz wnosić opłaty za brzydkie słowo, co? —

— Cmoka i wciska nóż w jej włosy. — Posłuchaj mnie. Odrobina współpracy z twojej strony i wszystko się skończy jak zły sen. Podejdź bliżej. Bardzo powoli. Trzymaj ręce tak, żebyśmy je widzieli.

Warcząc pod nosem, stawiam niepewnie krok za krokiem, rozkładając szeroko ręce po bokach. To dobry pretekst, żeby znaleźć się bliżej.

Może jeśli podejdę wystarczająco blisko, zauważę jakiś słaby punkt, jakąś niedyspozycję. To duży mężczyzna, ale nóż jest mały i jeśli uda mi się tylko usunąć go od Tary...

— Grzeczna dziewczynka — chwali Stewart. — Czy twoja ciocia Hay nie jest słodką, posłuszną dziewczynką, Taro, robaczku?

— Nie waż się do niej odzywać — syczę, na co on tylko wzrusza ramionami.

— W porządku. W takim razie będę się odzywał do siebie, panno Mustang. Uklęknij i załóż ręce za głowę. — Kiedy go nie słucham, mruży oczy.

— Rób, co mówię.

Jestem w kropce.

Jeśli go nie posłucham, skrzywdzi Tarę.

Przytrzymując jego wzrok z całą nienawiścią, jaką w sobie noszę, opuszczam się powoli na kolana i zaplatam dłonie za głowę.

— Grzeczna dziewczynka — mruczy znów Stewart, odsuwając się od Tary, ale wciąż celuje w nią nożem. — Nie ruszaj się, mała, bo poderżnę twojej cioteczce gardło na twoich oczach.

Tara stoi nieruchomo, za wyjątkiem dłoni, które przyciska do ust.

Kręci głowę, z oczu płyną jej łzy, w gardle narasta szloch.

— Proszę! Proszę, nie — szepcze odrętwiałe słowa stłumione dłońmi.

— Wszystko będzie dobrze, kochanie — obiecuję, mimo że wcale nie jestem tego pewna.

Zwłaszcza kiedy Stewart staje za mną i wyciąga z tylnej kieszeni kajdanki.

Zapina mi je na nadgarstkach, zimny metal na skórze, a potem używa jak smyczy i podciąga mnie do góry. Warczę, szamocząc się i szarpiąc ramionami, ale zamieram, kiedy ostrze noża składa zimny pocałunek na mojej szyi.

Lepiej ja niż Tara, ale to niewielkie pocieszenie.

— Zaczynij się zachowywać, panienko — szepcze Stewart, nachylając się nade mną. — Słyszysz?

Blisko, zbyt blisko, aż cierpie mi skóra od naruszenia moich granic obrzydliwym gorącem, obrzydliwie ciepłym oddechem przy moim uchu.

Bardzo powoli kiwam draniowi głowę, tylko raz.

— Masz szczęście, że jesteś mi w tej chwili potrzebna żywa, ale nie zawsze może tak być. Jeśli będziesz nadal zachowywać się jak grzeczna dziewczynka, może pozwolę ci odejść. Ale jeśli będziesz niegrzeczna... —

Przysuwa się do mnie, jego biodra przyciskają się do moich pośladków tak, że wszystko przewraca mi się w żołądku. — Sprawię, że kurewsko pożałujesz, zanim pozwolę Warowi znaleźć twoje ciało.

Nic nie mówię. Zaczynam się tylko trząść. Zwymiotuję, jeśli otworzę usta.

Ale patrzę Tarze w oczy, gdy Stewart popycha mnie w jej stronę, a potem łapie ją ostro za rękę.

Muszę przykuć do siebie jej uwagę. Musi mi zaufać, że zapewnię jej bezpieczeństwo. Musi mi zaufać, żebyśmy mogła zaufać sobie.

Bo w taki czy inny sposób nas z tego wydobędę.

Muszę tylko poczekać na odpowiedni moment.

## ROZDZIAŁ 20. PRZEKRACZANIE GRANIC (WARREN)



Coeur d'Alene nie jest najlepszym wyborem na miejsce ucieczki, ale w tej chwili najlepszym możliwym.

Potrzebne mi miasto wystarczająco duże, żeby miało odpowiednią infrastrukturę, a jednocześnie wystarczająco małe, aby nie roіło się w nim od glin, ale nie aż tak małe, by miejscowi zauważyli kogoś obcego, żeby nabrali podejrzeń i dowiedzieli się, że jestem podejrzanym, któremu nie pozwolono opuszczać miejsca zamieszkania z powodu toczącego się po-stępowania w sprawie morderstwa.

*Niech to szlag.* Zamieniłem się w jednego z moich ściganych.

Będę musiał sobie jakoś z tym poradzić do czasu, aż dowiem się, kto zabił Bressa, aż oczyszcze się z zarzutów i poznam prawdę na temat śmierci Jenny.

Siedzę w samochodzie Doca, nie mogę ryzykować, że moja tablica rejestracyjna pojawi się gdzieś na nagraniu z kamer drogowych. Blake siedzi na tylnym siedzeniu. Zadzwoiłem do Stewarta, żebyśmy mieli solidny czteroosobowy skład, ale musi mieć dużo pracy w warsztacie, bo od razu uruchomiła się poczta głosowa.

Zaparkowaliśmy chwilowo przed motelem z pokojami na godziny, gdzie nikt nie zwraca uwagi na samochody z obcymi rejestracjami. Zastanawiamy się, czy wynając pokój i założyć w nim centrum dowodzenia — czy w ogóle będziemy tutaj aż tak długo.

Przypominają mi się trochę czasy w wojsku, tylko przeniesione do prowincjonalnej Ameryki.

Tajne operacje, podczas których musieliśmy przemieszczać się niezauważeni, niejednokrotnie zadekować się gdzieś w jakiejś dziurze w obcym mieście i czekać na odpowiednią chwilę albo na nadejście rozkazów.

W tamtych czasach wszyscy w jednostce wierzyli, że jesteśmy niezwykłymi, traktowali to niemal jak jakąś cholerną grę wideo.

Byliśmy młodzi, głupi i nakręceni, ale zabawa bardzo szybko się kończy, kiedy pakujesz komuś kulkę w łeb i uświadamiasz sobie, że właśnie odebrałeś życie człowiekowi — nieważne, czy był wrogiem, czy nie.

I chyba to tak bardzo dręczy mnie w związku ze śmiercią Jenny.

Że ktokolwiek, kurwa, to zrobił, ktokolwiek ją zastrzelił, nic nie czuł, kiedy pociągał za spust.

Nie czuł siły uderzenia, realności swojego czynu, końca życia, które skrócił aż za bardzo. Wojna uczy człowieka pewnego szacunku dla przeciwnika.

Traktujesz honorowo poległych bez względu na to, kim są, bo życie to życie, a ty jesteś cholernym człowiekiem i masz duszę.

Ale demon, który zastrzelił Jennę?

Nie mógł mieć duszy.

I na pewno nie potraktował jej honorowo.

— Nie słyszę żadnego planu — odzywa się Blake z tylnego siedzenia.

— To kompletnie popieprzone. Jak to możliwe, że nigdy mi nie powiedziałaś, że przez cały ten czas uważałaś, że to Bress zabił Jennę?

— Nie musiałaś wiedzieć — mruczę, bezmyślnie przyglądając się przez okno od strony pasażera przejeżdżającym samochodom, i masuję sobie brodę kłykciami. Kręcę się w kółko, szukając nici, która zaprowadzi mnie do kłębka.

— Nie mówiąc już o tym — mówi chłodno Doc — że bywasz bardzo niedyskretny.

Blake marszczy z niezadowoleniem brwi.

— Ty wiedziałaś?

— Oczywiście. Ostatecznie Warren potrzebował mieć w mieście informatora.

— A ty za to potrafisz być skryty, co? — mówi Blake, patrząc na Doca w lusterku wstecznym. — Wiecznie się wszędzie zakradasz, jakbyś był właścicielem klubu ze striptizem, a nie kliniki dla zwierząt...

Walę pięścią we framugę okna.

— Czy możemy skończyć z tymi przedszkolnymi docinkami? Musimy mieć plan.

— Naprawdę musimy? — pyta Doc. — Na pewno to jest aż tak pilne?

Czekałaś trzynaście lat, żeby dopaść Bressa, Warren.

— I nie chcę zaczynać od nowa i czekać kolejnych trzynastu — zauważam.

— Więc owszem. Myślę, że możemy wykluczyć najbardziej oczywiste kwestie. Zabójca Jenny musi być w Heart's Edge.

— Tak, ale czy to ktoś miejscowy? — pyta Blake. — Czy ktoś, kto przybył tam za tobą, bo wiedział, że drążysz?

— Nie wiem. Możemy mieć tu zupełnie nieznaną osobę — mruczę.

— Lub w grę może wchodzić ktoś aż nazbyt znajomy.

— Jest jeden problem z tą teorią — mówi cicho Doc, bębniąc długimi, pobliznionymi dłońmi o kierownicę, zapatrzony gdzieś w dal ponad parkingiem.

— Jaki? — pytam.

— Jeśli to ktoś znajomy, to... tylko pięć osób w Heart's Edge łączy z Jenną wojskowa przeszłość. Jedna z nich nie żyje. Trzy siedzą tutaj.

— Więc jeśli nie uważasz, że zrobiłem to ja albo Doc... — dodaje niespokojnie Blake, drapiąc się po kasztanowatych włosach.

Krzywię się.

— Nie. Ty za bardzo przypominasz szczeniaka, żeby uknuć morderstwo, a potem zrobić w nie Bressa — mówię mu, a potem patrzę na Doca. —

Ty natomiast...

— Zatrzymaj swoje szalone domysły dla siebie, War. Bo inaczej prze-konasz się, że jak najbardziej jestem zdolny do morderstwa, kiedy następnym razem będziesz potrzebował mojego skalpela.

— Bardzo śmieszne. — Jest jednak pewien szkopuł.

Ponieważ ufam Docowi. Ufam Blake'owi. Pozostała jeszcze tylko jedna możliwość...

— Kurwa, to się nie trzyma kupy. To nie może być prawda. To nie może być on.

Nie jestem nawet w stanie wymówić jego imienia tak, żeby wzdłuż całego kręgosłupa nie poczuć lodowatych igiełek.

— Dokładnie, Stew to swój chłop — mówi Blake, podejmując temat. —

Nie zrobiłby tego.

— Pewnie nie — przyznaję, ale coś nie daje mi spokoju.

Nie jestem w stanie określić co dokładnie. Chodzi o wszystkie drobne zachowania Stew od czasu mojego powrotu do miasta, dziwne i zawsze kierujące moją uwagę w inną stronę.

Czy jednak *naprawdę* kierowały moją uwagę gdzie indziej?

Czy może tylko zaniepokojony przyjaciel próbował uratować mnie przede mną samym?

— Poza tym — dodaje Blake. — Stewart zawsze kochał Jenę. Nigdy by...

Podrywam głowę i gapię się na niego w lusterku wstecznym.

— Co masz, u licha, na myśli, mówiąc, że ją kochał? Była przecież z Bresse. Blake mruga.

— Nie wiedziałeś? Oj, stary. Kiedyś był w niej na maksa zakochany.

Ogarnęła go potworna zazdrość, kiedy wybrała Bressa, ale ostatecznie się z tym pogodził. Powiedział, że wygrał lepszy. Że jest częścią drużyny i takie tam.

Marszczę brwi, a w czaszce mi dzwoni tak, jakby w środku stepowała horda pajaków.

— Cholera. A jeśli to był jego motyw? Żeby... Żeby ją zabić?

Te słowa smakują jak popiół na moim języku. Są zbyt szalone. Zbyt niewiarygodne.

— Błagam — odzywa się Doc, kręcąc nosem. — To nie jest powieść Agathy Christie. Stewart nie zabiłby jej z zazdrości i nie ukrywałby tego przez trzynaście lat, a gdyby tak nawet było, to przecież Bress sam by nam o tym powiedział. To zasadnicza kwestia. Jeśli mordercą jest Stew, dlaczego Bress milczał?

— Zaraz — mówi Blake, machając rękami i patrząc na nas. — *Zaraz, zaraz, zaraz.* Jak doszliśmy od „brakuje tutaj tylko Stew” do „Stew prawdopodobnie zabił twoją siostrę”? Wydaje mi się, że powinniśmy, kurwa, trochę przystopować.

— Może dlatego, że Stew od lat usiłował przekonać mnie, żebym sobie odpuścił — odpowiadam ponuro. — A odkąd wróciłem, zachowywał się bardzo dziwnie.

Blake się krzywi i ma tak rozbiegany wzrok, jakby szacował tę straszną ewentualność.

— Ale to nasz kumpel. Przecież nie mógłby...



— Na pewno nawet ty słyszałeś powiedzenie: „Przyjaciół trzymaj blisko, a wrogów jeszcze bliżej” — szepcze stanowczo Doc. — Nie uznajemy Stewarta za winnego, tylko wykluczamy możliwości. Więc jeśli Stewart maczał

w tym palce, jeśli to on jest odpowiedzialny za śmierć Bressa, pytanie pozostaje — dlaczego? Co nim kierowało poza małostkową zazdrością? I jakie mamy dane wskazujące na to, że to nasz główny podejrzany?

— Po pierwsze, to jedyny człowiek, który miał związek z Jenną i był z nami na misji — mówię, odhaczając kolejno palce. — Po drugie, od mojego powrotu bacznie mnie obserwuje. Przytapał mnie nawet na podkładaniu lokalizatora w samochodzie Bressa i starał się ze wszystkich sił mnie od niego odciągnąć. Po trzecie, Bress robi brudne interesy, mamy na to dowody, ale coś się tu nie klei.

W samochodzie zapada cisza. Zwoje mózgowe mi płoną, bolą, gdy składam do kupy popieprzone ewentualności.

Wyjeżdżamy na drogę, żeby zająć czymś myśli.

— Śledziłem go, gdy wyjechał z miasta i pojechał w miejsce, w którym został sfilmowany z dostawcą. Tylko że wtedy, kiedy myślałem, że śledzę ruchy Bressa, mój lokalizator GPS był w rękach Stew. Więc być może to przez cały czas był Stew. Ale dlaczego jechał gdzieś, gdzie na pewno widziano Bressa? A po czwarte... — Biorę głęboki wdech. — Tylko jemu poza Haley zwierzyłem się ze swoich zamiarów. Nie powiedziałem mu wszystkiego, ale musiałem jakoś wyjaśnić ten GPS, wytłumaczyć, dlaczego śledziłem Bressa.

— Więc mamy tutaj — mówi Doc z namysłem — jedynego człowieka w Heart's Edge, który ma poza nami pełny wgląd w twoje poczynania, Warren. W twoje podejrzenia, plany, posunięcia.

Blake kręci zapalczywie głową.

— Ja po prostu... Do jasnej cholery, przecież służyliśmy razem w wojsku!

Wytrzeszcza oczy. Widzę, że Doc jest spięty, podobnie jak ja.

Czujemy ten sam diabelski sztylet przesywający nam serce.

— Jesteś pewien, War? Mówiłeś, że Bress robił ciemne interesy. Uważałeś tak od lat i niedawno to udowodniłeś. Więc może jednak to on zabił

Jennę. Może jeden z jego kumpli z przestępczego światka zajął się nim, zanim ty zdążyłeś to zrobić. To by miało dużo większy sens niż Stew.

Kiwam głową.

— To możliwe. Dlatego mam teraz taki mętlik w głowie. Nie chcę pójść niewłaściwym tropem i przez kolejną dekadę brnąć w ślepią uliczkę. Tylko że jest za dużo pytań bez odpowiedzi.

Doc masuje się po brodzie.

— A czy brałeś pod uwagę możliwość, że to Haley może być brakującym elementem układanki?

— Elementem układanki? — Kręcę głową. — O czym ty mówisz?

— Kto się nią interesował, odkąd pojawiła się w mieście i nie odstępowała twój boku na krok, Warren? Kto ją wykorzystywał, żeby ci dopiec

— albo żeby się ciebie pozbyć?

— *Przestań* — warczę z gwałtownością, która nawet mnie zaskakuje.

— Nie ma, kurwa, takiej opcji, więc nawet nie próbuj.

Znam odpowiedź na jego pytanie. Jedna osoba. Ale możliwość, że to jest dowód, jest tak ohydna, że aż mnie wszystko skręca w środku.

Blake gwizdże cicho.

— Ktoś wpadł po uszy.

— Tak. Nie jestem pozbawiony uczuć. A kiedy już rozwiążę tę sprawę, tą drugą też się zajmę. Ale w tej chwili nie bierzemy takiej możliwości pod uwagę. Hay mnie trochę zaabsorbowała. Ale nie stałem się przez nią ani głupi, ani ślepy, ani głuchy.

Doc unosi dłoń w pojednawczym geście.

— Przepraszam.

Blake marszczy brwi i znów się odchyła.

— A skoro mowa o Hay... Nic jej nie będzie, skoro wyjechaliśmy?

— Nie powinno. Zostawiłem ją z babcią. Nikt nie zadziera z Wilmą Ford.

Ale na wszelki wypadek do niej zadzwonię. — Wyciągam telefon z kieszeni i wybieram numer Haley — najnowszy dodatek w mojej książce adresowej, to małe selfie, i niech mnie, ale *muszę* być zakochany, skoro sam jej paznokcie sprawia, że robi mi się gorąco.

Ale nie aż tak gorąco jak wtedy, gdy po wybraniu numeru — po pięciu dzwonekach — włącza się poczta głosowa.

Co jest grane? Jest środek dnia. Hay nie jest ani w pubie, ani nie śpi.

Kręcę głową i wybieram numer do babci.

— Nie odbiera.

— Może jest zajęta — podpowiada neutralnym tonem Doc. — Młoda kobieta ma swoje sprawy.

— Jest aż tak zajęta, że nie może odebrać, choć wie, że jestem poniekąd poszukiwany?

Doc unosi brew.

— To mogłoby obrócić się znacząco na twoją niekorzyść, gdyby odebrała od ciebie telefon w trakcie spotkania z szeryfem Langleyem, na które bez wątpienia ją zaprosił, żeby ją przemaglować.

— Słuszna uwaga — mruczę, a zaraz potem wzdycham z ulgą, kiedy po kilku sygnatach odbiera babcia.

— Zajazd Uroczysko — odzywa się uprzejmym głosem, ale pobrzmiwa w nim jakieś napięcie.

— Cześć, babciu — mówię. — Czy Haley jest gdzieś w pobliżu? Mogła-byś poprosić, żeby odebrała telefon? To pilne.

— Haley? — Napięcie w jej głosie tylko narasta. — O Boże. Nie widziałam jej od kilku godzin, Warren. Ani jej, ani Tary. Szukałam, dzwoniłam...

Nic.

To *nic* wali mnie w twarz jak cholerna cegła.

— Dlaczego do *mnie* nie zadzwoniłaś?

— Nie byłam pewna, czy *mogę*. Jesteś osobą zamieszaną w sprawę o morderstwo — odpowiada zwięźle. — Ale właśnie wsadałam do samochodu, żeby jej poszukać.

— Nie rób tego! To znaczy, siedź na miejscu.

— Nie takim tonem, młody człowieku.

— Przepraszam. Wybacz, to pilne, po prostu... kiedy widziałaś ją po raz ostatni?

— Pojechała szukać Tary. — Głos babci Wilmy łagodnieje. — Biedna mała zaginęła. Szukaliśmy jej wszędzie na posesji i w domu, nigdzie jej nie było. A potem zadzwonił Stewart i powiedział, że mały urwis poszedł na piechotę do warsztatu po jakieś ołówki, które zostawiła w samochodzie podczas ostatniej naprawy. Haley po nią pojechała.

Stewart.

Znowu.

Jasna cholera. Na sam dźwięk jego imienia cała sztywnieję. Coś chorobliwego masuje mój kręgosłup swoimi zatrutymi paluchami, płuca wypełniają się cementem.

Znam to uczucie.

Powtórka z Jenny. Boję się, że kiedy znów zobaczę Hay, będzie dokładnie tak samo.

Ona, woskowa, blada, sponiewierana. Martwa. Nie pozostanie nic z osoby, którą znałem, cała jej jasność zniknie.

— Warren? — pyta babcia z rosnącym niepokojem. — Jesteś tam?

Blake wtrąca się, zanim zdobywam się na odpowiedź.

— Hej, uch, War, nie wyglądasz zbyt dobrze. Co się dzieje?

— Muszę kończyć — mówię babci szybko. — Ale niedługo wrócę. Zadzwoni, jeśli Haley się znajdzie. Natychmiast. Proszę.

— Zadzwonię. Chcesz, żebym zadzwoniła do warsztatu i porozmawiała z...

— Nie. Nie rób tego. Tam może się dziać coś niedobrego. Nie mogę teraz wyjaśnić. Muszę już kończyć.

— Oczywiście, mój drogi — mówi rzeczowo babcia.

Zawsze miała wycucie sytuacji i w związku z tym rozłącza się pierwsza, domyślając się, że nie mam czasu na uprzejmości. Unoszę głowę i widzę, że Blake i Doc bacznie się mi przypatrują.

— Rozumiem, że masz wieści? — pyta Doc.

— Haley zniknęła — mówię, czując w gardle dudniący puls. — Ostatni raz widziano ją, jak jechała po swoją siostrzenicę do warsztatu Stew. A teraz nie odbiera telefonu. To może nie przesądza o winie, ale ja pierdolę.

— Więc lepiej dmuchać na zimne — oznajmia Doc. — Później będziemy się martwić potencjalnym śledztwem na policji.

Kiedy jednak mkniemy autostradą, mój telefon znów się odzywa, wibrując w dłoni.

Złe przeczucie sprawia, że mam wrażenie, jakby wibrował silniej niż zwykle, rażąc mi mózg prądem przesyłanym przez rękę. Zwłaszcza kiedy widzę numer na wyświetlaczu.

Stew.

Początek i koniec tego wszystkiego.

A jednak muszę być wciąż cholernie naiwny. Bo chcę dalej wierzyć, że mój przyjaciel — człowiek, który pocieszał mnie w żałobie, który kazał

mi uwierzyć w swoją wersję wydarzeń o tym, co naprawdę przydarzyło się mojej siostrze — ma wyłącznie dobre intencje.

Nawet jeśli wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują na co innego.

Instykt, niepokój, fakt, że *tylko on jeszcze tam był* i sekcja zwłok, która wykazała, że Jennie strzelono między oczy z karabinu wojskowego, a kula pasowała...

To wszystko pomyłka. Paranoja. Frustracja związana z tym, że Bress wymknął mi się z rąk i wpadł w sidła śmierci dokładnie w chwili, kiedy prawie już go dopadłem. Mózg płata mi figle, szuka jakiegokolwiek związku.

Stew nie może być niebezpieczny.

Nie może.

Proszę.

Nie mogę stracić więcej.

A już na pewno nie mogę stracić Hay.

Przesuwam ostro kciukiem po wyświetlaczu i przykładam telefon do ucha.

— Stewart? Czy jest z tobą Haley?

Cmoka.

— Oczywiście, że jest ze mną. — Jego głos brzmi dziwnie. Jest lepki i zimny. Znaczący.

Czuję w karku, że coś jest nie tak.

Potem Stewart znów się odzywa, a ja nie mam dłużej wątpliwości, z kim, u licha, rozmawiam. To inny człowiek.

— Wiedziałeś. Dlaczego zwlekałeś, Warren? Dlaczego nie rozegrałeś swoich kart?

Następny oddech utyka mi w płucach. Nie wiem, co czuję.

Strach. Wściekłość. Obrzydzenie. Przerażenie. Wszystko to spleta się we mnie w jeden ciasny supeł, który waży tonę.

— Bo ci ufałem, draniu! Bo myślałem... chciałem wierzyć... kurwa.

Zabiłeś Bressa, prawda?

Stewart wzdycha głęboko.

— Żałuję, że powiedziałeś to na głos. Teraz nie pozostawiasz mi żadnego wyboru.

— W związku z czym? — Chcę wiedzieć, ale on nie odpowiada. —

Żadnego wyboru w związku z czym?

Wciąż brak odpowiedzi — póki nie dociera do mnie stłumiony kobiecy okrzyk, dźwięk darcia.

— *Przezań!* — krzyczy Haley. — Ty potworny draniu...

— To tylko kawałek taśmy, dziewczyno. Nawet nie zdarłem ci skóry

— warczy Stewart. — Jeszcze.

— Haley! — ryczę i czuję, jak serce mi się zaciska.

— Warren? — woła. — *Warren!* Musisz uważać. Stewart wrobił Bressa, szantażował go i...

Przerywa jej mdlące plaśnięcie ciała o ciało.

Ogarnia mnie wściekłość, walę pięścią w deskę rozdzielczą, ignorując przestraszone spojrzenie Doca.

— Nie waż się jej, kurwa, tknąć!

— Rozumiem — odzywa się Doc z pełnym opanowaniem — że mam jechać szybciej.

Nie mogę mu odpowiedzieć.

Skupiam się całkowicie na Stewarcie, na tym pierdolonym zdrajcy, który mówi spokojnie do telefonu:

— Nic jej nie zrobię — oznajmia. — Pod warunkiem, że będziesz robił, co każę. To nie musi się źle skończyć, War. Wszyscy możemy się rozejść w pokoju. Musisz tylko nauczać się odpuszczać, ale nigdy nie byłeś w tym dobry. Bo jeśli pozwoliłbyś Jennie zwyczajnie odejść, nigdy by do tego nie doszło.

— Gówno prawda — warczę. — Kłamiesz.

To boli. Znów czuję palenie w całym ciele jak tego dnia, w którym spadła na mnie wiadomość o śmierci Jenny, tylko tym razem ciężar jest trzy razy większy, bo wiem, że on może skrzywdzić również Haley.

— Dlaczego? Dlaczego ją zabiłeś? Jenna była twoją przyjaciółką. Zależało ci na niej!

— I zrobiła się zbyt wścibska. Takie są skutki, kiedy ktoś zaczyna wtykać nos w moje sprawy. Powinieneś być wyciągnąć wnioski z lekcji Jenny.

— Jego słowa są szydercze, okrutne, bezduszne. Nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek wierzyłem, że ta uśmiechnięta, przyjazna twarz jest prawdziwa. — Do rzeczy. Chcesz się dogadać, czy mam zacząć od ślicznych warkoczyków tej małej, zanim poderżnę gardło twojej dziewczynie?

— Pierdol się — rzucam, ale siłą się pohamowuję. Do Heart's Edge mam jeszcze daleko.

Muszę zgodzić się na jego warunki, dopóki nie znajdę się w pobliżu, dopóki nie będę mógł zapewnić dziewczynom bezpieczeństwa.

— Czego, kurwa, ode mnie chcesz? Podaj cenę.

— Proste — odpowiada. — Na początek dasz mi swój samochód.

Ostatecznie nie mogę pozwolić sobie na to, żeby policja szukała mojego. Dosić się wyróżnia. Zostawisz go za billboardem przy słupku na trzecim kilometrze za miastem od strony północnej. Mają tam być przynajmniej trzy pistolety, dwa razy tyle magazynków z amunicją i pięćset tysięcy dolarów w gotówce na fotelu kierowcy. Nie wolno ci tam być, kiedy przyjadę po samochód. Zostawię dziewczyny, a ty możesz odebrać je rano. Jeśli pojawisz się wcześniej, zrywamy umowę. — Słyszę niemal nonszalanckie wzruszenie ramion w jego głosie. — Wtedy je zabiję. Nigdy mnie nie znajdziesz, a ja zdobędę forszę z innego źródła. No więc. — Kurwa, mówi tak wesołym głosem, że mógłbym go zamordować. — Może po prostu ze mną współpracuj, War? Ten ostatni raz? Tak dla wszystkich będzie najlepiej.

Chcę mu powiedzieć, żeby się pieprzył.

— Dobrze — mruczę. — Po południu będę z powrotem w mieście.

Umówmy się na przekazanie o północy. Zgoda?

— Jak najbardziej zgoda. Aha, Warren?

— Co? — warczę.

— Nie martw się. Zaopiekuję się Haley. Rozgrzeję ją.

Moja buzująca wściekłość jest bliska eksplozji, ale zanim z mojego gardła wydobywa się wściekły wrzask, on się rozłacza. Rzucam telefon na deskę rozdzielczą. Trzask, z jakim aparat uderza o przednią szybę tak, że rozbija się ekran, przynosi mi niemal satysfakcję. Oddycham ciężko, wciskam palce we włosy, wbijam nasadę dłoni w oczy.

— *Cholera*. Musimy się spieszyć, chłopaki.

Blake sięga z tylnego siedzenia i kładzie mi dłoń na barku; ciepłą, stanowczą, stabilną, co przypomina mi, że wciąż mam przy sobie ludzi, którym mogę zaufać. Z kumpla uchodzi cała głupkowatość i pozostaje wyłącznie trzeźwość umysłu oraz maksymalne skupienie.

— Jakie są pokrótce fakty, stary? Odezwij się do nas.

Biorę kilka nierównych wdechów i zmuszam się do mówienia:

— W dużym skrócie: Stewart zabił Jennę, kłamał na ten temat, bo był jedynym naocznym świadkiem, wrobił Bressa i przez cały ten czas go szantażował. Dopóki nie znalazłem się zbyt blisko, wtedy go zabił.

— Ja pierdolę — wzdycha Blake. — Ostro. Nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek...

— Wiem — szepczę ochryple. — Ale to nie wszystko. Teraz ma Hay i Tarę.

Chce dostać okup w wysokości pięciuset patyków, które mam zostawić w wyznaczonym punkcie w zamian za uwolnienie dziewczyn.

— Wymiana na ślepo? — pyta Doc.

— Tak.

— Rozumiem, że nie zamierzamy mu ufać?

— Ani trochę, kurwa — rzuca. — Jedź szybciej. Wracamy do zajazdu i bierzemy moje cholerne spluwy.

Jadę, Taro.

Jadę, *Haley*.

A kiedy dotrę na miejsce, Stew zapłaci za to, że zdradził moje zaufanie.

Naszą przyjaźń. *Jennę*.

I w taki czy inny sposób zapłaci za to, że skrzywdził *Haley*.

## ROZDZIAŁ 21. MÓWIĘ KIEDY (HALEY)



**M**uszę się do czegoś przyznać.

Nigdy za bardzo nie lubiłam *Pretty Woman*.

Nie pytajcie, dlaczego. Jasne, aktorzy grają dobrze, ale może po prostu należę do niewłaściwego pokolenia i nie potrafię docenić tego, co w tamtych czasach było dobre. Jedna rzecz się jednak nie zmieniła, niezależnie od tego, jak bardzo zestarzał się film.

Ta kwestia, kiedy Edward okłada lodem brodę Vivian po tym, jak dostała w twarz od Philipa Stuckeya.

Vivian pyta, czy w szkole odciąga się chłopaków na bok i uczy ich, jak uderzyć kobietę, żeby jak najbardziej bolało, a ja zaczynam nabierać przekonania, że faktycznie tak jest — bo miejsce na ustach, w które trafia mnie pięść Stewarta, pulsuje jak *jasna cholera*, obejmuje całą moją twarz żywym ogniem, którego płomienie sięgają coraz wyżej i tną jak sztylety, aż chce mi się krzyczeć.

Zwijam się w kłębek na ziemi obok Tary. Nie mogę przeboleć, że jest tutaj z powodu *mojego* błędu.

Jest przerażona, trzyma się mnie mocno, zaczyna dotykać mojej twarzy, a potem się odsuwa.

— Ciociu — szepcze. Staram zmusić się do uśmiechu, mimo że wargi bolą jak jasny piorun.

— Wszystko w porządku — mruczę, starając się mówić cicho. — Nic mi nie jest, Taro. Nic mi nie jest.

*To nieprawda.*

Ale ze względu na nią muszę udawać odwagę.

I czekać, aż nadarzy się jakaś sposobność.

Stewart nie zwracał sobie głowy tym, żeby ją związać. Gdy tylko dostrzegę jakąś szansę, każę jej mnie zostawić i uciekać. Odwrócę jego uwagę w jakikolwiek sposób, zrobię, co będzie trzeba.

Ona musi wydostać się z tego piekła. Sprowadzić pomoc, ale przede wszystkim zapewnić sobie bezpieczeństwo.

Ja się nie liczę, jeśli tylko Tara wyjdzie z tego cało.

Stewart kończy rozmowę z Warrenem. Wkurza mnie, że Warren też musi przystać na jego warunki, ale nie widzę innego rozwiązania. Próbowałam mu powiedzieć, próbowałam go ostrzec.

Najgorsze jest to, że to wszystko znów złamie mi serce.

Mam wrażenie, że moja skóra jest zbyt naprężona, jakby miała zaraz pęknąć ze strachu, gdy Stewart powoli odwraca się do mnie.

Przytrzymuję jego wzrok. Chcę, żeby skupił się na mnie, nie na Tarze, i chyba to działa.

Wpatruje się we mnie bacznie i nieruchomo, co przyprawia mnie o mdłości, jakby szukał najlepszego miejsca do zadania ciosu.

— Za dużo gadasz, wiesz o tym? — Przykuca przede mną. Zbyt blisko.

Pragnę się odsunąć, ale nie chcę ryzykować żadnego gwałtownego ruchu.

Leżę dalej na ziemi, gdzie praktycznie rzucił mnie zamaszystym ciosem, a moja pozycja nie zapewnia mi w zasadzie żadnej przewagi.

Mimo to udaje mi się postać mu wściekłe spojrzenie, gdy ten nawija dalej.

— Jak się domyśliłaś, że szantażowałem Bressa? War ci powiedział?

— Lubię o sobie myśleć, że potrafię dość dobrze ocenić ludzki charakter, a tobie go brak. — Posyłam mu swój najstodszy, najbardziej jadowity uśmiech, choć usta wciąż mnie pieką jak po użądleniu osy. — Zawsze wydawałeś mi się fałszywy. Bress był miły. — Wzruszam lekko ramionami, a on tężeje. Myśli, że testuję wytrzymałość kajdanek?

Dobrze. Może dzięki temu zrobi się nerwowy, będzie skupiał się na mnie, więc poruszam lekko nadgarstkami i mówię dalej:

— Więc pomyślałam sobie, że skoro Bress jest dziwnym, miłym facetem, ale handluje narkotykami, jak sądzi Warren, to dlaczego to robi? Proste...

— Piorunuję go wzrokiem i nie potrafię ukryć pogardy, którą do niego czuję.

— Wciągnęłaś go w to siłą. Wykorzystałaś jako swoją przykrywkę. On ma w całym Heart's Edge i poza nim znajomości, których tobie brakuje. To twoja główniana sieć narkotykowa zatruwa to miasto.

— Mądra dziewczynka, udało ci się poskładać wszystkie kawałki. Była-byś lepszym łowcą nagród niż Warren. On jest strasznie niekumaty. Strasznie ufny. Liczy się braterstwo i tego typu bzdury. — Przekrzywia głowę.

To upiorny ruch jak u marionetki, a jego oczy są trochę za bardzo rozszerzone, za ostre. — Jego siostra była mądrzejsza.

Wydaję głuchy okrzyk. Jego oczy ciemnieją na wzmiankę o Jennie Ford, a w moich żyłach na ten widok zaczyna płynąć lodowaty strumień.

— Co jej zrobisz? — szepczę. — Dlaczego?

— Bo miała jaja, żeby mnie rozgryźć. A może zrobiłem się zbyt ckliwy...

Któregoś pięknego, afgańskiego wieczora mieliśmy z Bresse matką sprzeczkę z jej powodu. To był duży facet, nieźle stłukł mój chudy tyłek za gadanie bzdur, bo stwierdziłem, że nigdy nie będzie wiedział, co zrobić z taką kobietą jak ona.

*Cholerny padalec.* Marszczę nos. Gdyby tylko to był koniec tej opowieści...

— Kiedy się do niej dowlóknę, Jenna wszystkiego się domyśliła, pewnie zobaczyła siniaki, które mu zostawiłem. Przyszła tamtej nocy do mojego namiotu. Może chciała przeprosić, spróbować załagodzić sytuację, wiedząc, że któregoś dnia znów będziemy sąsiadami w Heart's Edge. W ten sposób natknęła się na mnie i mojego człowieka z wywiadu, gdy rozmawialiśmy o podziale afgańskiej heroiny, o tym, jak ją przewieziemy do Stanów. Idiota się



zestresował, wszystkiego się wyparł, trochę za szybko próbował schować mapy.

Serce przestaje mi bić. Stewart nachyla się bliżej i uśmiecha półgębkiem.

— Nie miałem pojęcia, ile zdążyła zobaczyć. Nie chciałem się tego dowiadywać w bolesny sposób. Słyszałem, że na wzgórzach kryli się ci dranie.

Kiedy pojechaliśmy osłaniać ekipę saperów, zasadzka zapewniła nam przykrywkę. Ja zrobiłem resztę. A potem, wiele lat później, kiedy to wszystko było już tylko wspomnieniem, powiedziałem Bressowi, że zrobię go

w morderstwo Jenny, jeśli nie użyje mi tego swojego małego imperium w celach dystrybucji.

— Ty gnido! — syczę i robię zamach jedną nogą. Jestem zbyt oszołomiona, żeby go trafić, więc z łatwością się odsuwa.

— Przystań się tak gorączkować. Powinnaś się cieszyć, panno Mustang.

W końcu wyjeżdżam z Heart's Edge i zabieram ze sobą swoją truciznę.

Muszę założyć interes gdzieś bardziej na zachód i zacząć od nowa. Więc lepiej módl się, żeby twój kochaś dobrze rozegrał swoje karty. — Osuwa się na kolana, pochyla i przysuwa do mnie twarz. Przystania mnie jego cień.

— Bo masz w oczkach to samo niedowierzanie. Trochę za bardzo przypominasz Jennę na moment przed śmiercią.

Chcę mu coś odpyskować, ale moja krew jest zbyt skażona, zbyt gęsta, mój język zmrożony strachem.

Nie chcę umierać. Nie chcę zostawiać Tary. Nie chcę zostawiać Warrena ani tego poczucia, że moglibyśmy stworzyć coś na kształt rodziny, jakiej zawsze pragnęłam.

Boję się o nas wszystkich, bardzo się boję, ale muszę stłumić ten strach i zmusić się do odwagi ze względu na tę małą dziewczynkę, która przyciska kolana do klatki piersiowej i bezgłośnie płacze.

Ale nie będę miała takiej szansy.

Bo Stewart sięga do tylnej kieszeni i wyciąga szmatkę zawiniętą w folię, którą następnie z niej wytrząsa. W chwili, gdy plastik opada z wilgotnej ścierki, dociera do mnie duszący zapach.

Jest silny, chemiczny; drażni nos i oczy. Rozpoznaję go o sekundę za późno, bo Stewart już się do mnie zbliża, przyciska mi szmatę do ust i nie pozostawia innego wyboru, jak ją powąchać.

*Chloroform.*

Próbuję się wyrwać, odwrócić twarz, wstrzymać oddech, ale jest już za późno. Już wciągnęłam go w płuca.

Jego twarz jest ostatnią rzeczą, jaką widzę, gdy odpływam w oparach ciężkiego, gryzącego, otumaniającego zapachu. W głowie mi się kręci.

— A teraz — słyszę głuchy głos, odbijający się echem w ciemności, doganiający mnie w mroku. — Dopilnujemy, żebyś nie sprawiała mi więcej problemów tak jak twój cholerny samochód.

## ROZDZIAŁ 22. OKOPY (WARREN)



**M**usi się udać. Stawka jest zbyt wysoka.

To nie jest zły plan. Moje plany nigdy nie są złe.

W tej chwili ja i Doc siedzimy ukryci z tyłu mojego pikapa. W pace jest podwójne dno, z którego często korzystam do chowania mojego całkowicie legalnego składu broni, aby uniknąć ewentualnych pytań ze strony policji.

Dziś idealnie mieści się tam dwóch dorosłych mężczyzn, którzy zasadzili się na cholernego gnoja porywającego kobiety i małe dziewczynki.

Przebrany za mnie Blake podrzucił nas tu kilka godzin temu.

Wcisnął na głowę czapkę i włożył moje ubrania, a potem zaparkował mojego dodge'a za billboardem, zgodnie z poleceniem. Następnie pobiegł do miasta, żeby się przebrać, wziąć własny samochód i przyjechać tu okrężną drogą. Miał zająć pozycję jakieś półtora kilometra dalej, schowany za krzakami na zakręcie, skąd będzie wypatrywał Stewarta przez lornetkę noktowizyjną.

Gnieździemy się tu od zachodu słońca, trwając w całkowitym bezruchu.

Na przednim siedzeniu leży torba z bronią i cienką warstwą banknotów ułożonych na atrapie cegieł.

To nie plan budzi we mnie strach.

Tylko Hay.

Boję się, że nie dam rady, tak jak nie dałem w przypadku Jenny.

Boję się, że Stewart znów mnie zdradzi, jakoś mnie przechytry i odbierze mi kolejną osobę, którą kocham.

Boję się, że stracę swoje odkupienie, najlepsze, co mi się kiedykolwiek przydarzyło, całą moją przyszłość.

A ten strach przeradza się w wyrzut adrenaliny, gdy rozlega się trzask w krótkofalówce przy moim biodrze.

— Chłopaki? Widzę go — szepcze Blake. — Jedzie od strony miasta.

Przemieszcza się powoli.

Nie śmiem się ruszyć ani dać jakiegokolwiek sygnału, zrobić czegokolwiek, co mogłoby poruszyć dno, które zastania mnie i Doc'a jak dach, ale Blake o tym wie. Jego zadaniem jest przekazywać nam informacje, naszym być cicho.

Wymieniamy z Dokiem spojrzenia w ciemności. Dostrzegam jedynie niewyraźnie białka jego oczu. Widzę, że jest równie ponury i zdeterminowany co ja.

Do dzieła, kurwa.

Kiedy Stewart podrzuci dziewczyny i odjedzie moim wozem, zabierze nas ze sobą. Blake odstawi Hay i Tarę w bezpieczne miejsce.

Kiedy będziemy mieli już pewność, że dziewczyny znalazły się poza polem rażenia, wyskoczmy z ukrycia i dorwiemy drania. Zawlecemy go na komisariat i zmusimy, żeby przyznał się policji do wszystkich swoich świństw z ostatnich trzydziestu lat.

Łącznie z zamordowaniem mojej siostry.

Trudno nie zauważyć warkotu — pomruku — silnika w tym jego wy-pasionym monster trucku.

Słyszę, że nadjeżdża na długo przed tym, zanim rozlega się wszechogarniający rumor, który odbija się echem w moich uszach, a jego wibracje trzęsą moim dodgem, obijając mnie i Docę o ściany schowka.

Potem silnik milknie, a ja słyszę, jak otwierają się drzwi do monster trucka. Zaraz potem rozlega się głos Stewarta, syczący i twardy, jakiego nigdy nie słyszałem.

— Wysiadać! — nakazuje ostro. — Spróbuj jakichś numerów, to zastrzelę dzieciaka.

— Wtedy mnie też będziesz musiał zastrzelić — odszczekuje Haley.

Jej głos jest przytłumiony przez zakrywającą mnie warstwę drewna i plastiku, ale brzmi rezolutnie, śmiało i nawet teraz mimowolnie ją podziwiam. — Bo jestem świadkiem. I nigdy nie zapomnę.

— Nie bądź taką mądralą — warczy Stewart.

Tary w ogóle nie słychać.

Na jej miejscu w tej sytuacji zamartłbym w pobladłej ciszy, nawet bym nie płakał. Ale mimo to jej milczenie mnie niepokoi.

Musi jednak żyć, bo inaczej Stewart nie groziłby, że ją zastrzeli — sprawiając, że wszystko gotuje się we mnie z wściekłości — żeby utrzymać Haley w ryzach.

Mając Stewarta tak blisko, muszę odwołać się do całej swojej siły woli, żeby nie wyskoczyć teraz z paki i nie położyć gościa trupem. Za wcześnie na to.

Muszę poczekać, aż dziewczyny będą bezpieczne.

Więc nieruchomieję i nastuchuję, czując pot spływający mi po plecach, żar w gardle, gdy czyjeś kroki szorują po piachu i żwirze za bilbordem.

Słychać zatrzaskiwanie drzwi — wóz Stewarta.

Potem dźwięk otwierania mojego samochodu. Ciało sprężynuje mi lekko i wiem, że Doc też to czuje.

*Proszę, kurwa. Proszę, niech on tylko zostawi dziewczyny i z nami odjedzie, niczego nieświadomy.*

Radiostacja trzeszczy, a ja się spinam, serce podjeżdża mi do gardła, gdy słyszę szept Blake'a.

— Coś jest nie tak, War. Nie widzę wyraźnie...

— Co jest, kurwa? — warczy Stewart, a samochód się trzęsie, gdy znów trzaska drzwiami. — Z powrotem do samochodu, kurwa!

— Nie — sprzeciwia się Haley. — Warren? Warr...

Przerywa jej trzaśnięcie ciała o ciało, a mnie zalewa krew.

*Niech to szlag trafi!*

Zostaliśmy nakryci.

Ucieknijcie nam. Wymieniamy z Dokiem jedno spojrzenie, a potem wyskakujemy, odrzucając na bok drugie dno w samą porę, żeby zobaczyć, jak Stewart wciska krzyczącą Tarę do swojego samochodu, a potem łapie

Haley za kajdanki zapięte wokół nadgarstków, podnosi ją i wrzuca za dziewczynką.

Ale gdy razem z Dokiem wychodzimy z ukrycia, Stew odwraca się gwałtownie, wyciąga pistolet z kabury i oddaje szybko kilka strzałów. Dajemy nura za auto, lądując boleśnie na ziemi, ale przynajmniej teraz ostania nas paka pojazdu.

Słychać jeszcze jeden krzyk, kolejne trzaśnięcie drzwiami, a potem zgrzytliwy, potężny ryk, gdy Stewart uruchamia silnik i rozpędza się jak tornado.

Z dudniącym pulsem rzucam się do drzwi od strony kierowcy, wsiadam do dodge'a, ledwie czekając, aż Doc wskoczy po stronie pasażera, po czym uruchamiam silnik i wciskam gaz do dechy.

Wyskakujemy zza billboardu w chmurze pyłu tryskającego spod opon i wypadamy na drogę zaraz za Stewartem.

Nie ucieknijcie z moimi dziewczynami.

Blake odzywa się przez radio.

— Kurwa, czy ja...

— Teraz to nie ma znaczenia. — Złapawszy przypiętą do paska krótkofalówkę, odpowiadam ostro, wyszczekując słowa, i wpatruję się w drogę.

— Jedziemy za nim.

Stewart wyprzedza nas o jedną przecnicę, gna naprzód, pruje przez miasto. Jego podrasowany silnik daje mu przewagę w prędkości.

To za mało. Nie zgubi mnie, kurwa.

Gnój może mieć przyspieszenie, ale ma też masę i na dłuższą metę to go spowolni.

— Blake, posłuchaj, weźmiemy go w kleszcze. Z tej strony jest tylko jedna droga wyjazdowa, ale ty możesz pojechać na skrzyżowanie z autostradą i tam przeciąć mu drogę. Pojedź naokoło i zobacz, czy uda ci się go zablokować z drugiej strony.

— Przyjąłem — mówi Blake, a potem radio milknie.

Ani na ułamek sekundy nie odrywam wzroku od samochodu Stewarta.

Pędzi przez miasto, przejeżdżając ze świstem obok kilku osób zmierzających do Brody'ego, przez co spycha ich auta na pobocze. Opony piszczą, klaksony trąbią, ludzie wychylają się z okien samochodów i wrzeszczą.

Cofają się ze zdumieniem, gdy mijam ich pędem, miażdżąc dłońmi kierownicę tak mocno, że aż mnie bołą. Zaciskam zęby i ani na chwilę nie spuszczam wzroku z żarzących się w ciemności tylnych, czerwonych świateł, przyciągających mnie niczym kuszące oczy demona.

Zmieniam bieg, wciskam mocno stopę w pedał gazu, zmuszając dodge'a, żeby jechał coraz szybciej, dzięki czemu powoli skracam odległość między nami.

Muszę to zrobić. Zanim Stewart wyjedzie za daleko za miasto na otwartą drogę, gdzie będzie miał zbyt dużą przewagę i ta jego bestia zostawi po sobie

tylko chmurę dymu.

Na siedzeniu pasażera Doc sprawdza spokojnie magazynek w swoim glocku.

— Będzie musiał zwolnić, żeby skręcić na granicy miasta, na tamtym łuku, Warren. Mogę spróbować przestrzelić mu opony. Raczej nie powinien dachować, jeśli jedna z nich wybuchnie przy niedużej prędkości.

— To zbyt ryzykowne — cedzę przez zęby, napierając mocno ciałem na kierownicę, jakbym mógł użyczyć pikapowi własnej masy, żeby pomóc mu przyspieszyć. — W środku są dziewczyny.

— Cholera. Masz rację. — Doc mruży oczy i kiwa głową.

Ale zakręt jest coraz bliżej; miejsce, w którym Main Street tworzy łuk i znów przechodzi w drogę, prowadząc do zajazdu, a potem na główną międzystanówkę. Stew musi tu zwolnić, bo inaczej przeokoziotkuje, i to jest chwila, na którą czekam.

Mniejszy, bardziej zwrotny dodge nie musi wytracać prędkości przed zakrętami, więc gdy Stewart wchodzi stopniowo w wiraż, ja pędzę tuż za nim, zjeżdżam na lewy pas i pojawiaam się z boku obok niego.

Teraz! Strzelę chujowi w gębę przez boczną szybę, jeśli będę musiał.

Pruję obok niego, z trudem utrzymując tempo, gdy on przyspiesza na tych swoich masywnych kołach, tak wielkich, że znajdują się niemal na wysokości mojej głowy. Widzę go za kierownicą.

Jest zbyt spokojny, na jego ustach majaczy zacięty, niemal bezczelny uśmiezek. Za nim siedzi Tara — biała jak kreda, zmrożona w bezruchu, przyciśnięta do swojej cioci — i Haley, ponura i milcząca ze spuchniętymi, posiniaczonymi, rozciętymi wargami.

Trzymam jedną rękę na kierownicy, a drugą sięgam po pistolet.

Jednak zanim udaje mi się wymierzyć i wycelować, Stew zerka na mnie. Kąciki jego ust wędrują do góry.

A potem to się dzieje.

Zarzuca monster truckiem w bok, żeby mnie odepchnąć jak wkurzony rozgrywający taranujący zawodnika przeciwnej drużyny. W mojego dodge'a wali bryła czystej stali, wystarczająco twarda, aby wydobyć zgrzyt metalu, gdy oba wozy splatają się ze sobą.

Kurwa mać!

Krew się we mnie gotuje, chwytam obiema rękami kierownicę, zjeżdżam gwałtownie na pobocze, poza jego zasięg, a potem zawracam i odpłacam się pięknym za nadobne.

— Trzymaj się! — wrzeszczę.

Doc opiera się rękami o deskę rozdzielczą i uderzamy.

Dodge może nie dorównuje rozmiarem monster truckowi, ale kiedy natrafia na jedną z opon, Stewarta znosi na bok, a tył jego samochodu podskakuje.

Z boku drogi znajduje się długi, płytki rów. Cholera, to koniec.

Jeśli uda mi się go tam wtrącić, to tak, jakbym przewrócił żółwia na skorupę. Powstrzymamy go. Złapiemy. Odbijemy moje dziewczyny.

Stewart też o tym wie. Drań rzuca mi paskudne spojrzenie i wyrównuje tor jazdy.

Ale ja znów na niego nacieram, dręcę go niemal tak jak lew słońca, podgryzam mu piętę, a potem odskakuję, zanim zmiążdży mnie samą masą swojego samochodu.

Szybciej. Szybciej. Pędzimy drogą w tandemie, coraz bliżej Uroczyska.

Nagle Blake wypada z rykiem z dojazdówki przed nami w swoim zdezelowanym chevrolecie. Przecina ulicę i staje Stewartowi na drodze, używając całej długości samochodu, żeby go zablokować.

Udało się, kurwa. Mamy drania, jest w potrzasku, nie ma gdzie jechać...

Tyle że wtedy on dostrzega szansę dla siebie i zjeżdża na wąską, bitą drogę, biegnącą wzdłuż Uroczyska.

W tym samym miejscu ja i Hay czasami parkujemy, w tym samym miejscu stałem w promieniach słońca przebijających się przez liście drzew i obserwowałem leniwe pszczoły, gdy wyładowywaliśmy zakupy z bagażnika jej samochodu.

W tym samym miejscu szedłem z nią za rękę w kierunku klifu — ciche nocne wspomnienia, które Stewart bezczęści wulgarnym rykiem swojego wozu, kiedy przediera się naprzód, orze ziemię, wzbijając tumany kurzu, które oślepiają mnie, gdy pędzę za nim.

Co jest, kurwa? Nie może. Nie może pojechać tą drogą, jest ślepa, donikąd nie prowadzi, tylko do *klifu*.

Wszystko, co następuje potem, dzieje się jak w zwolnionym tempie.

Przez tylną szybę monster trucka widzę jakiś ruch, szybki i rozpaczliwy.

Stewart podskakuje na siedzeniu kierowcy. Samochód obraca się, leci bezładnie w źle wyważonej spirali, całkowicie wymyka się spod kontroli, wpada w poślizg i zsuwa się bokiem w kierunku ściany klifu, żłobiąc głębokie bruzdy w ziemi.

Uderza w coś — w skałę, w gałąź — i przekręca się na bok.

A potem osuwa bezładnie z krawędzi, a razem z nim moje serce.

— *Haley!* — Jej imię eksploduje z mych ust, gdy wciskam brutalnie hamulec i wyskakuję z samochodu, a zaraz za mną Doc. Pędzimy na brzeg urwiska.

Niemal tracę rozum, bo wyobrażam sobie samochód rozbity na dnie doliny, roztrzaskane ciała Haley i Tary, ale z rozpaczy wrywa mnie desperackie wołanie.

— *Warren!* — Okrzyk budzi moje serce do życia strachem, nadzieją i niedowierzaniem.

Dobiegamy raptownie do skraju urwiska i hamujemy na piętach, patrząc w dół.

Monster truck utknął na grubych, poskręcanych korzeniach drzewa, które wystają ze ściany klifu. Leży na nich na boku jak na siatce asekuracyjnej. Bardzo cienkiej.

Przysięgam, kurwa, że słyszę, jak korzenie jęczą, uginają się, grożą zerwaniem pod naciskiem ciężaru samochodu. Wóz jest tak daleko w dole, że nie wiem, czy uda nam się dotrzeć tam na czas.

Widzę nieprzytomnego Stewarta za kierownicą, zwisającego bezwładnie na pasie, z czoła leci mu krew. Tara i Haley są przyciśnięte do szyby od strony pasażera i chyba tylko szkło je przytrzymuje, nie pozwala im spaść.

Padam gorączkowo na kolana i patrzę na Doca.

— Przytrzymaj mnie za kostki.

Unosi brew.

— Bardzo niepraktyczne. Musimy...

— Nie mamy czasu — warczę. — Kostki! Ja będę musiał posłużyć za linę.

A potem zsuwam się z krawędzi urwiska. Liczy się każda sekunda, nie mogę stracić moich dziewczyn.

Jedno ostre szarpnięcie, gdy spadam swobodnie, a potem Doc mnie trzyma.

Z całych sił zaciska dłoń na moich kostkach, przytrzymuje mnie wiszącego w powietrzu, gdy zwieszam się wzdłuż ściany urwiska i staram jak najdalej wyciągnąć ręce.

— Haley! — wołam. — Musisz się wspiąć!

Patrzy na mnie przez okno samochodu i kręci głową.

— Nie mogę! Jestem skuta. Nie mogę się wspiąć!

*Cholera.* Serce we mnie zamiera, gdy patrzy na mnie z rozpaczą, a potem odwraca się z bladym, drżącym uśmiechem do swojej siostrzenicy.

— Idź, kochanie. Idź do Warrena. Wciągnie cię na górę.

— Gdybyśmy tak mogli się pospieszyć — mówi Doc i zaciska mocniej dłoń na moich kostkach — Mięśni mi nie brakuje, ale nie mam nieskończonej wytrzymałości.

Tara kręci szybko głową i łka.

— Nie chcę cię zostawiać, ciociu...

— Wszystko będzie dobrze, kiciu — obiecuje Hay z łzawym uśmiechem.

Do oczu napływają jej łzy. — Idź.

— Chodź, Taro — namawiam i wyciągam mocniej ręce. Tara wygrzebuje się z szoferki monster trucka, przeciskając się po masywnym ciele Stewarta, żeby wyjść przez okno. Samochód się chwieje, trzęsie, a ona łapie się z przerażeniem lusterka wstecznego, po czym z wahaniem wyciąga do mnie rękę. Napinam się, starając się do niej dosięgnąć. Dopiero po kilku próbach w końcu udaje mi się złapać ją za nadgarstek. — Mam cię!

Tak szybko, jak tylko mogę, wciągam ją na górę. Przynajmniej jest lekka, więc praktycznie podrzucam ją tak, żeby się na mnie wspięła. Chwyta się moich dżinsów i nóg i wdrapuje z cichym kwileniem, aż w końcu jest na górze.

Ale została jeszcze Hay, słodka Hay. Patrzy na mnie z determinacją.

— Spadniesz, Warren — mówi z dziwnym spokojem. — Jestem za ciężka.

Tak jest... Jest okej.

*Nie jest, kurwa, okej!*

— Nie! Nie zostawię cię, do cholery. Haley, chociaż spróbuj! Proszę.

Rozlega się mdlący trzask — zrywający się korzeń — i samochodem szarpie gwałtownie. Haley wydaje stłumiony okrzyk, na który z góry odpowiada pisk Tary.

Zsuwam się o centymetr niżej, Doc klnie i zapiera się mocniej.

— Warren... Pospiesz się.

— Jeszcze tylko sekunda! — wołam, wyciągając się jak najdalej do Haley.

— Haley... Hay, no już!

Przełyka ślinę, kiwa głową i rozgląda się wokół, a potem zaczyna przeciskać się do góry przy użyciu samych stóp, bo ręce ma unieruchomione za plecami.

Przystaje, wykręca się, zwija w kulkę i opierając się o samochód, znajduje właściwą pozycję, a potem przekłada kajdanki pod stopami i wyciąga ręce przed sobą.

Mądre posunięcie. W ten sposób będzie mogła jakoś się złapać, wyciągnąć do mnie rękę. Płaci za to kilkoma cennymi sekundami, które oddalają ją ode mnie. Serce podchodzi mi do gardła, gdy samochód zsuwa się o kolejne centymetry.

— Hay! — wykrzykuję znów jej imię.

Z determinacją, stękając cicho, wspina się, przeciska obok Stewarta i łapie za klamkę, żeby otworzyć drzwi. Wydostała się.

Ale nie jest jej tak łatwo, bo nie jest tak mała jak Tara. Z cichym okrzykiem wyciąga skute dłoń w moją stronę, ale to za mało.

*Niech to!*

Nie jestem w stanie do niej dosięgnąć. Ona nie jest w stanie dosięgnąć do mnie.

Dzieli nas co najmniej osiem centymetrów, ta maleńka diabelska dziura, która równie dobrze mogłaby być większa niż odległość między gwiazdami.

— Trzymaj się. Idę po ciebie — szepczę. — Doc, schodzę.

Osuwam się, a Doc z krzykiem przytrzymuje mnie za jedną nogę, gdy przekładam ciężar ciała.

Haley wyciąga się do góry — i w końcu udaje mi się złapać łańcuch między jej kajdankami, za który pociągkam mocno.

Poważny błąd.

Rozlega się potężny trzask, następuje wstrząs i samochód leci w dół ze Stewartem w środku — lśniący punkcik, który uderza w dno doliny z ogłuszającym hukiem.

*Jasna cholera.*

Haley zawisa na mojej ręce, zawieszona nad setkami metrów otwartej przestrzeni. Jedyne, co nas trzyma, to zdesperowany, wyślizgujący się nacisk Doca na moją nogę.

— Warren — odzywa się Doc z napięciem. — Nie dam...

— Jestem! — woła Blake za jego plecami, padając obok niego na kolana

— i nagle czuję na sobie kolejną parę rąk, która mnie łapie, trzyma mocno i stabilizuje, gdy ja z trudem utrzymuję Hay. Czuję się zmrożony strachem o nią.

— No dalej, kotuś. Jeszcze tylko trochę.

Udaje mi się ją złapać za jeden nadgarstek, potem za drugi, wkładając w to całą swoją siłę.

Zaraz potem przyciągam ją do siebie, moja biedna dziewczynka szlocha, gdy zawieszam sobie jej spięte kajdankami ręce na szyi i wrzeszczę do Doca i



Blake'a:

— Wciągnijcie nas!

Mija kolejna przerażająca minuta, podczas której taszcą na górę połączony ciężar naszych ciał. Blake daje z siebie wszystko, słyszę, jak zgrzyta zębami, jego stara wojenna rana daje o sobie ostro znać.

W końcu obaj są w stanie mnie porządnie złapać i przerzucić przez krawędź urwiska. Grawitacja przestaje już być wyrokiem śmierci.

Przewracamy się na ziemię, absolutnie wyczerpani.

Tara rzuca się na nas, przylepia się jak mała małpka, wszyscy płaczą albo klną — łącznie ze mną.

Nie jestem, kurwa, w stanie się opanować. Przetacza się przeze mnie dzika, szalona ulga. Udało się i nigdy w życiu nie poproszę o nic więcej.

Raz za razem całuję prześliczną twarz Haley, ściskając ją, żeby sobie przypomnieć, że żyje.

Żyje i Stewart mi jej nie odebrał.

Ona ściska mnie z równym zapałem, szepcząc:

— Warren, Warren, o Boże.

Na przemian całuje mnie raz za razem i chowa twarz we włosach Tary.

Będę musiał znaleźć klucz i zdjąć jej te kajdanki, ale teraz?

Teraz muszę ją tulić. Wiedzieć, że nic jej nie jest. Wiedzieć, że jej nie straciłem.

Wkrótce potem z oddali dobiega wycie syren.

Dobrze. Policja się tu zjawi i może uda im się wyłowić z doliny Stewarta

— martwego lub żywego.

Nie obchodzi mnie to. Moje dziewczyny potrzebują pomocy medycznej, nie wiem, co ten gnój im zrobił.

Niezależnie od tego to nas nie zniszczy. Wszystko będzie dobrze.

— Nie opuszczaj mnie — szepczę, nie będąc nawet całkowicie pewny, co właściwie mówię. Tulę Hay i wciskam twarz w jej ramię. — O mało nie odeszłaś zbyt szybko, kotuś. Kocham cię. Tak cholernie cię kocham.

Hay przełyka z trudem ślinę, odsuwa się odrobinę. Jej wielkie oczy skrzą.

Nawet posiniaczona, nawet zapłakana, jest wciąż tak piękna — ten nieskazitelny egzemplarz kobiety, którą niemal straciłem. Nie mogę w to uwierzyć.

Boże, jest taka odważna. Z uśmiechem powtarza nieśmiało:

— Ty... Ty mnie kochasz?

— Tak. Próbowałem zejść po ciebie po ścianie urwiska — mówię. —

Czy to nie oczywiste?

— Być może. Ale wydaje mi się, że zszedłbyś po ścianie urwiska po każdego. Wcale nie jesteś aż taki zły, na jakiego się zgrywasz, Warrenie Ford.

— Przytula się do mnie i uśmiecha przez łzy. — I pewnie dlatego jestem na tyle obłąkana, żeby też cię kochać. Szykuj się. Nigdzie się nie wybieram.

To za dużo. Wybuchowa mieszanka w moich żyłach pali mnie do żywego, kiedy z jej ust padają te słowa.

Adrenalina przemieszana z czystym strachem i wściekłością na Stewarta, a potem ta słodka ulga, ta radość.

Zamykam jej usta w pocałunku, znów pokazuję, że jest moja, przypieczętuję naszą miłość obietnicą tego, co dopiero nadejdzie.

Nigdy już nie pozwolę, żeby jakikolwiek drań ją skrzywdził.

Nie pozwolę nikomu ani niczemu mi jej odebrać.

Jest moja. Moja do tulenia, moja do uszczęśliwiania, moja do kochania.

Dziś, jutro, zawsze.

Haley „już wkrótce” Ford jest moim powietrzem, moim pulsem, powodem, dla którego chodzę po tej podłej ziemi, co w końcu sobie uświadomiłem.

Z uśmiechem próbuję sprawić, żeby ona też poczuła to cudowne szaleństwo, które się przeze mnie przetacza, a robię to za pomocą kolejnego palącego pocałunku, który wydobywam z najgłębszej części swojego jestestwa, z tego ciemnego, sekretnego miejsca, gdzie pogrzebałem swoje serce do czasu, aż się uleczy.

Do czasu, aż będę gotowy kochać i doceniać to, co ona mi daje.

Odsuwamy się od siebie ze śmiechem, ziajani i zmęczeni, a Hay opiera się czołem o moje czoło. Uśmiejemy się, słuchając toczącej się za naszymi plecami rozmowy Doca, Blake’a i Tary.

— Ej, chłopie, daj jej spokój. Jest przestraszona — szepcze Blake.

— W mojej fachowej opinii medycznej czuje *ulgę*. — Doc ściska rękę Tary w delikatnym miejscu przy łokciu. — Szanowna pani, coś boli?

Tara kręci głową. Doc przesuwa się do drugiej ręki, a potem do obu nóg, badając ją.

— Jest w dobrych rękach — mówię Hay. — Facet potrafi obchodzić się z ludźmi.

Mija kolejne pięć minut, nim karetce udaje się przejechać przez wąskie, górskie serpentyny, aż w końcu zjawiają się ratownicy medyczni.

Blake prycha.

— Daj spokój. Nie powinniśmy zaczekać na lekarza z prawdziwego zdarzenia? Ty jesteś tylko...

— Jestem kimś więcej niż tylko weterynarzem, ty bezmózga larwo. Pozwól mi zrobić, co do mnie należy — warczy Doc, uzyskując w odpowiedzi chichot Tary.

Blake cofa się z uniesionymi rękami, przeczesując z ulgą włosy. Wyraz jego twarzy mówi sam za siebie. Czuje tę samą dziką radość co my wszyscy.

— Hej, Warren? — pyta cicho Hay, a ja przytulam ją mocniej, wciągając w płuca jej zapach, rozkoszując się jej ciepłem.

— Tak?

— Kiedy następnym razem przyjdzie mi do głowy pomysł, żeby kopnąć w twarz kierowcę w jadącym samochodzie... — Uśmiecha się cierpko, a potem krzywi i oblizuje rozciętą wargę. — Przypomnij mi, żeby tego nie robiła.

— Haley — mówię, sam też nie będąc w stanie pohamować uśmiechu.

— Pierwsze, czego się nauczyłem, kiedy cię poznałem, to że zrobisz dokładnie to, czego ci zabronię.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— W takim razie powinieneś mi powiedzieć, żebym cię nie całowała.

Parskam i przysuwam się do niej.

— Nie całuj mnie, kotuś. Ani się waż.

Z kolejnym rozbrajającym uśmiechem przyciska wargi do moich ust, zapalczywie i namiętnie, odwzajemniając moją obietnicę.

W takiej pozycji zastaje nas załoga karetki i policja — zatrzymują się z boku i wybiegają z samochodów z milionem pytań na ustach.

Nie spieszę się z odpowiadaniem.

Teraz liczę się tylko ja i Haley.

I tylko tego mi trzeba.

## ROZDZIAŁ 23. NA KRAWĘDZI (HALEY)



**W** ten oto sposób kończy się najdłuższy miesiąc w moim życiu.

Zeznania. Przesłuchania świadków. Przeżywanie po raz setny piekła na ziemi, jakie zgotował nam Stewart.

Opowiedziałam o naszych przejściach prawnikom, policji, a nawet FBI i DEA — a to jeszcze nie koniec.

Okazuje się, że Stewart rozciągnął swoją działalność narkotykową poza granice stanu, korzystał z wypożyczonych pod przykrywką ciężarówek, zaparkowanych na terenie należącym do Dennisa Bressa, żeby przekazywać heroinę pośrednikom, którzy rozwozili ją wzdłuż całego Zachodniego Wybrzeża.

Drań był nawet zamieszany w oszustwa podatkowe, a ponieważ nie ma go już wśród żywych, żeby mógł do czegokolwiek się przyznać, kilku dawnych kolegów z jednostki, którzy pracowali w jego warsztacie, ujawniło, co widzieli w dniu śmierci Jenny Ford.

Przez cały ten czas Stew miał ich w kieszeni, hojnie ich przekupywał. Byli częścią jego operacji, które zapoczątkował jeszcze w Afganistanie z tamtejszą czystą heroiną, a potem przekształcił w jedną z najbardziej utajonych linii przerzutu narkotyków od Wyoming po Góry Kaskadowe.

Pieniądze były zbyt nęcące. Kolesie bez mrugnięcia okiem kłamali na temat śmierci porządnej kobiety, którą zlikwidował za to, że go nakryła.

Oczywiście szybko zmiękli po śmierci szefa. Kilku próbowało uciec z miasta, ale nie zbiegli zbyt daleko. W więzieniu nie płacą za pomoc w dokonywaniu przestępstwa, ale na ugodzie obrończej można co nieco zyskać.

Ale nie rozmawialiśmy wyłącznie o Stewarcie.

Przepytywano mnie wielokrotnie na temat tego, co wydarzyło się w tym dniu, bo byłem jedynym świadkiem ostatecznego upadku Stewarta.

Nie przeżył wypadku i wszyscy chcą wiedzieć, jak zginął — czy w grę wchodziło jakieś przestępstwo. Wiem, że po prostu postępują zgodnie z zasadami, tak aby bez cienia wątpliwości uznać niewinność Warrena.

Ale *nie* cierpię tego uczucia, jakbym to ja była tu winna, mimo że w okręgowej kostnicy o nic już Stewarta nie zapytają.

To pewnie dość makabryczne.

Jednak jestem zmęczona. Mam prawo do odrobiny makabry po wszystkich tych przejściach.

Poza tym tęsknię za Tarą. Zapowiedziałam policji wprost, że dostaną jedną nagraną rozmowę z jej udziałem i nic więcej.

To osoba nieletnia, a jej rodziców nie ma na miejscu, żeby wyrazić zgodę na przesłuchanie. A po traumie, jaką przeżyła... Nie.

Nie ma mowy.

Może to tylko moja siostrzenica, ale i tak włączyła się we mnie broniąca młodych niedźwiedzica. Dobijało mnie, gdy przez cały ostatni tydzień, który tutaj spędziła, budziła się co noc z krzykiem i przychodziła przestraszona do mojego łóżka, wciskając się między mnie i Warrena, żebyśmy obronili ją przed koszmarami, w których pojawiał się „uśmiechnięty mężczyzna”.

Ale teraz jest już w domu.

Marie przyleciała po nią, zamiast kazać jej wracać samej samolotem.

Jeśli kiedykolwiek miałam wątpliwości co do więzi łączącej moją siostrę z jej córką, to sposób, w jaki Tara rozpromieniła się na widok mamy i jak ewidentną ulgę poczuła, wymazał te obiekcje. Wiem, że mała dojdzie do siebie.

Jest mądra. Jest odporna. Jest silna.

Będzie potrzebowała terapii, ale Marie się nią zaopiekuje. Podobnie jak John, gdy już poczują się swobodniej w nowej sytuacji.

Rozwód tego nie ułatwi. Ale, Chryste Panie, zrobię wszystko, żeby Tara pozostała moją promienną, słodką dziewczynką.

Zapewnię jej szczęście bez względu na to, czego to będzie ode mnie wymagać, i bez względu na to, ile razy będę musiała latać do Seattle.

I wydaje mi się, że teraz, kiedy jest już po wszystkim, ja też mogę być szczęśliwa.

Zwłaszcza że Warren jest cudowny.

Wcześniej zastanawiałam się, czy przypadkiem nie wrywamy się przed szereg, oczekując od tak krótkiej, intensywnej znajomości czegoś więcej...

ale ona naprawdę okazała się wszystkim.

Całą tą niewyobrażalną miłością.

W dalszym ciągu się sprzeczmamy, ale to tylko zabawa. Pojedynkujemy się, docinając sobie nawzajem. Mocujemy się tak długo, aż wypełniamy wzajemnie swoje braki i uzupełniamy różnice, lecz w równym stopniu podkreślamy to, jak bardzo jesteśmy do siebie podobni.

Jednak w jakiś sposób dogryzanie i droczenie się zawsze kończą się pocałunkami. Ciepłem. Dotykem.

Czasem jesteśmy delikatni i powolni.

A niejednokrotnie ostrzy i szybcy, podczas gdy furia, którą wplątamy w nasze kłótnie na niby, zamienia się w prawdziwą, płomienną namiętność.

Przy nim łatwo mi wymazać z pamięci to przerażające uczucie zwisania nad przepaścią, kiedy od śmierci dzieliło mnie tylko kilka chwil, kiedy on próbował dosięgnąć mnie z niekłamany przerażeniem na twarzy.

Nigdy nie wiesz, ile znaczysz dla mężczyzny, póki omal cię nie straci.

Wtedy reaguje. Albo brutalną obojętnością, albo totalną, miażdżącą serce miłością.

A przy Warrenie łatwo uwierzyć, że moja przyszłość jest tutaj, w Heart's Edge. Chrzanić Chicago. Nigdzie się nie wyprowadzam.

Nasza mała awaria rzuciła mnie dokładnie w miejsce, w którym powinnam się znaleźć, i była sprawdzianem dla mojej duszy. Teraz już to wiem.

To miejsce jest dla mnie. Jest idealne. Jest odpowiednie. Jest piękne.

To mój dom.

Jest też już prawie północ, co oznacza koniec pierwszego dnia mojej małej, koślawej wystawy w niedużej galerii sztuki w Heart's Edge, prezentującej moją pierwszą kolekcję obrazów przedstawiających okolice

w tradycyjnym stylu ukiyo-e, na których miasteczko zostało uchwycone tak, jakby stanowiło część innego świata.

Z tego właśnie względu czuję się oszołomiona, gdy opieram się o balustradę przy bliźniaku, który stał się tymczasowo moim domem. Popijam szampana z Warrenem przytulonym do moich pleców i z Mozartem wy-legującym się na barierce kilka kroków dalej. Kot wyłożył się radośnie na balustradzie i chłonie ten wieczór z równym zachwytem co my.

— No więc, moja piękna — mówi przeciągle Warren, całując mnie w ramię. — Jak się czujesz w związku z tym, że całe miasteczko przyszło kupić twoje obrazy?

— Trochę dziwnie. Mam wrażenie, że zrobili to tylko dlatego, że chcieli okazać mi wsparcie — odpowiadam z suchym śmiechem — a nie dlatego, że moje obrazy im się podobały. No ale zawsze to jakiś początek. I napisali o mnie w gazecie w Spokane, więc może awansuję i trafię do większych galerii.

— Uważaj. W mgnieniu oka zrobisz się zbyt sławna jak na Heart's Edge, a wtedy nas porzucisz.

— Nigdy — zapewniam. Nie wiem, jak mu uświadomić, co to dla mnie naprawdę oznacza, skoro dotąd odnosiłam się do tych uczuć z taką nieufnością. Po prostu wtulam się w niego mocniej i upijam kolejny tyk szampana.

— Podoba mi się tu. Mam swoje powody.

— Powody, mówisz? — parska, a głęboki pomruk, który wlewa się we mnie, ten dźwięk połączony z doznaniem, sprawiają, że czuję ciepło i zadowolenie.

— A może przypieczętujemy to „nigdy” przysięgą na mały paluszek?

Śmieję się.

— Czy w tym wieku nadal przysięgamy na paluszek?

— Możemy. Jenna miała do tego niemal nabożne podejście — mówi z uśmiechem.

Czuję na piersi ukłucie czegoś lekkiego i niedużego. Splatam palce z jego palcami, wdzięczna, że dzieli się ze mną czymś tak intymnym.

— W takim razie zróbmy to. Przysięga na mały palec.

— Właściwie po namyśle... może mam lepszy pomysł — szepcze Warren i odsuwa się ode mnie, a potem okręca mnie przodem do siebie i bierze mnie za rękę.

Pod rozgwieżdżonym niebem te błyszczące, niebieskie oczy mają ten sam odcień co noc, gdy patrzą na mnie z potyskującym ciepłem, i nadal

— po upływie tylu miesięcy — zapierają mi dech.

— Warren? — Jego imię sływa gładko z mojego języka.

Chwyta mnie mocniej za rękę i ciągnie lekko w kierunku schodów prowadzących z tarasu.

— Chodź ze mną, kotuś.

Czuję się mimowolnie zaciekawiona, więc odstawiam kieliszek do szampana na balustradę i idę za nim na trawnik, który został poznaczony ścieżkami wydeptanymi przez zbyt wiele stóp.

Warren prowadzi mnie przez trawę w kierunku urwiska, które po historii ze Stewartem powinno być pożywką dla koszmarów. A mimo to...

w jakiś sposób nigdy nie byłam w stanie wyzbyć się zachwytu, który zrodził się, gdy po raz pierwszy zobaczyłam słońce wschodzące nad krawędzią w kształcie serca.

Nawet diabeł pokroju Stewarta nie może tego zniszczyć. Nie pozwolimy mu na to.

A dzisiejszej nocy widok jest olśniewający. Blade światła miasteczka nie są w stanie przestonić blasku Drogi Mlecznej nad naszymi głowami —

małych, lśniących drobinek światła i płonącego gwiazdnego pyłu znajdujących się tak wiele lat świetlnych od nas. Zastanawiam się, czy ludzie przeżyli w świetle już swoje historie całe wieki przed tym, zanim my je w ogóle zobaczyliśmy, podczas gdy my stoimy pod nimi, a nasza historia dopiero się zaczyna.

Przystaję i patrzę w niebo, czując, że coś dławi mnie w gardle. Warren ściska moją dłoń, gładząc kciukiem jej brzeg.

— Masz ochotę rzucić kilka kwiatków?

Parskam śmiechem, ale... on jest poważny.

O Boże.

Przekrzywiam głowę w nocnej bryzie i też ściskam jego rękę.

— Myślałam, że to się robi tylko wtedy, kiedy chce się złożyć jakąś obietnicę? Nie tak to było?

— Może chcę to dzisiaj zrobić. — Jest śmiertelnie poważny, nawet przy całym moim śmiechu i żartobliwości.

Widzę to w jego oczach, choć jego ciepło, jego równowaga ani drgną.

Nagle łapię oddech i patrzę na niego, gdy schyla się i zrywa z trawy pod naszymi stopami dwie ładne, falujące piwonie.

Podaje mi jedną, ale trzyma ją trochę dziwnie, zaciskając palce tuż pod główką kwiatu.

Stodycz tego gestu i romantyzm odwracają moją uwagę, gdy mruczy:

— Rzuć razem ze mną, Hay.

Uśmiecham się mimo woli i wyciągam rękę po kwiat. Czuję w sercu lekkość.

Ale roślina jest dziwnie ciężka — i uświadamiam sobie *dlatego*, kiedy chwytam ją za łodyżkę i zauważam zatknięty o nią pierścionek.

Jakimś cudem cholerny Warren Ford przesunął delikatną, zaręczynową obrączkę z platyny i diamentów przez główkę rosnącego kwiatu tak, że kiedy go dla mnie zerwał, zawisła na łodydze.

Serce trzepocze mi w piersi, a w ustach zasycha, gdy pozwalam pierścionkowi zsunąć się na dłoń. Palce mi się trzęsą.

— W-Warren?

Uśmiecha się powoli.

— Mam świadomość, że robię to chyba w odwrotnej kolejności, ale cóż. Ale cóż.

Potem opada na jedno kolano, nie pozostawiając żadnych wątpliwości co do swoich intencji, i ujmuje delikatnie moją dłoń, w której wciąż ściskam pierścionek. W drugiej nadal trzymam kwiat.

Te porażające, idealne oczy patrzą na mnie z dołu, pociemniałe takim oddaniem, że mam wrażenie, jakby niczego innego poza mną nie widziały; taką uwagę, która odziera cię do naga.

— Hay, zjawiłaś się w moim życiu jak kula wystrzelona z pistoletu —

mówi. — Trafiałaś mnie tak mocno, że aż mnie okręciło. Byłem martwy od lat. Utknąłem w stanie zawieszenia, w żałobie. Ale przy tobie czuję gotowość, żeby znów żyć, i nie wyobrażam sobie drugiej szansy od życia bez ciebie, kobieto. Jesteś dla mnie wszystkim. Najzabawniejszą, najbardziej kreatywną, zaciektą, lojalną, inteligentną, cudowną babką, jaką kiedykolwiek poznałem i...

— Przestań mi pochlebiać, palancie. — Udaje mi się wykrztusić z uśmiechem od ucha do ucha. Mam zaciśnięte gardło, a z oczu lecą mi łzy. Warren rozmazuje się w zlepek mięśni, tatuaży i ciepła. — Po prostu mnie zapytaj. Zapytaj mnie, żebym mogła się zgodzić.

— Hola, hola. Nie kradnij mojej puenty. — Ale uśmiecha się szeroko i ściska ciepło moją dłoń. — No dobrze, Haley West. Czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją...

— *Tak!* — odpowiadam, nie dając mu skończyć. Rzucam się na niego.

— Boże, tak, ty cudowny mężczyzno.

Podnosi się, żeby spotkać się ze mną w pół drogi.

Miażdżymy się w pocałunku, który jest jak spotkanie burzy z błyskawicą; pocałunku gorącym i słonym jak moje łzy. Zostałam nauczona, żeby je ukrywać, żeby nie pozwolić nikomu zauważyć mojego cierpienia — ale to jest radość i obnoszę się z nią z *dumą*, gdy całuję Warrena tak, jakby to był pierwszy i ostatni raz. Jakby to była obietnica czegoś znacznie więcej Rodziny, której zawsze pragnęłam, męża, ciepła, bycia razem...

Stoję na skraju tego wszystkiego, patrząc na widok rozciągający się ze wspaniałego klifu w Heart's Edge, gotowa wykonać ten skok.

Kiedy nie jesteśmy już w stanie dłużej oddychać, kiedy pozostaje już tylko płatanina naszych połączonych ciał, rozdzielamy się... a ja widzę, że wciąż trzymamy w rękach kwiaty. Jego został zgnieciony w dłoni przyciśniętej do moich pleców, a mój pomięty palcami. Przysuwam się do Warrena, nie mogąc przestać się uśmiechać, i muskam nosem jego nos.

— Hej — szepczę. — Zróbmy sobie wspomnienie.

W trakcie trzymamy się za ręce.

Tylko ja, on i niebo oraz miasteczko, które odmieniło moje życie i zamieniło mnie w osobę, którą chcę być. Razem zrzucamy delikatne, blado-różowe płatki z krawędzi urwiska.

Nie musimy nic mówić.



Obietnica zawiera się w pierścionku na moim palcu, w naszych złączonych dłoniach.

A płatki sfruwają w dół, niosąc ze sobą życzenia, nadzieje i marzenia; każdy z nich szepcze o tym, jak może wyglądać nasza przyszłość.

\*\*\*

NIE POWIEDZIAŁABYM, że nasz ślub odbył się pod przymusem, ale nie był od tego daleki.

Choćby dlatego, że w chwili, w której pani Wilma dowiedziała się, że jestem w ciąży — ledwie kilka miesięcy po naszych zaręczynach — zasadniczo zagroziła, że zamorduje Warrena gruszką do odciągania tłuszczu, jeśli szybko się ze mną nie ożeni, aby dziecko nie urodziło się w połowie naszego miesiąca miodowego.

Nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć, w jaki właściwie sposób dokonałaby zbrodni gruszką, ale wiem, że by to zrobiła.

Więc jest trochę staroświecka.

Nie wydaje mi się, żeby się przejmowała tym, że na pewno zachowywalismy się nieprzyzwoicie przed ślubem, ale chciałyby przynajmniej udawać, że jej prawnuk nie został poczęty na wiele miesięcy przed tym, zanim Warren wsunął mi obrączkę na palec.

Nie przeszkadza mi to. Nie jest mi potrzebne wielkie, wystawne wesele.

Nie potrzebuję sukni dla druhen i przymierzalni, i beznadziejnych panów młodych szastających pieniędzmi na prawo i lewo tylko dlatego, że mogą.

Potrzebuję jedynie siebie. I Warrena.

Lekkiej, zwiewnej, letniej sukienki, w której czuję się młodo, uroczo, świeżo i nowo, gdy przechodzę ze starego życia do nowego.

I mojej rodziny zebranej na urwisku w Heart's Edge, gdzie złożyliśmy sobie obietnicę i gdzie teraz składamy przysięgę.

Nie mam tu na myśli wyłącznie rodziny połączonej więzami krwi. Pani Wilma też jest teraz dla mnie rodziną, podobnie jak przyjaciele Warrena

— Blake i Doc, którzy już zaczęli traktować mnie z rodzinną serdecznością.

Moja siostra też tu jest. I John. Wciąż noszą ślubne obrączki, choć formalnie rzecz biorąc, nie są już małżeństwem. Ale i tak trzymają się za ręce i wyglądają na szczęśliwych. Bardzo się cieszę, że znaleźli sposób na to, aby pozostać rodziną zarówno ze względu na nich samych, jak i na Tarę.

Tara jest moją śliczną dziewczynką od kwiatów — zasypuje płatkami jedwabny chodnik rozłożony na trawie. Ale to Marie prowadzi mnie do ołtarza.

A ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewam, gdy idzie ze mną nawą w kierunku księdza, jest to, że wybuchnie płaczem i przytuli mnie mocno i gwałtownie.

— Tak bardzo się cieszę twoim szczęściem — szepcze. — Tak bardzo.

I bardzo się cieszę, że jesteś moją siostrą.

Czuję, że sama zaczynam się rozklejać, kiedy obejmuję ją równie mocno.

— Ja też się cieszę — łkam.

Boże, jak ja się cieszę.

Tyle nowych początków, prowadzących do jasnej przyszłości.

Kiedy wypuszczam ją z objęć, muszę otrzeć delikatnie oczy, żeby nie rozmazać makijażu, a potem idę dalej do miejsca, które jest nie tyle ołtarzem, co ogromnym stojakiem na kwiaty, stanowiącym tło dla księdza, dla przyjaciół Warrena, którzy są jego друзbami, i dla wszystkich kelnerek z Brody'ego, będących moimi drużnami.

I dla samego Warrena, stojącego tam i czekającego na mnie w świeżo odprasowanym, szytym na miarę, przepięknym garniturze, który wygląda na jego masywnym ciele znacznie lepiej, niż mógłby wyglądać jakikolwiek sztywny smoking.

Tak jest dobrze. Tacy jesteśmy. Odnależliśmy siebie w tym bezładzie i szaleństwie i nawet nasz ślub jest zlepkiem różnych rzeczy połączonych w jedno. Lecz to, co stworzyliśmy z tych wszystkich poszarpanych kawałków, jest piękne.

Nie chciałabym, żeby było inaczej.

I gdy patrzę na Warrena i na to, jak uśmiecha się do mnie — tylko do mnie — nie chciałabym nikogo innego.

Jego dłonie w moich.

Bez bukietu, żebyśmy mogli trzymać się w pełni za ręce, spleść razem palce, przyciągnąć się blisko.

Ceremonia jest krótka. Nie potrzebujemy godzinnego przynudzania, klepania formułek, to nie w naszym stylu. Jest szybko i po wariacku, bo sami tacy jesteśmy, a kiedy ksiądz wypowiada słowa naszej przysięgi, szczerzymy się w uśmiechu i powtarzamy je szeptem razem z nim, niemal go pospieszając, aż dochodzimy do tego zapierającego dech w piersiach momentu.

Tak.

Wypowiadamy to niemal jednym głosem, a mnie przeszywa dreszcz.

Potem jest śmiech, muzyka, zetknięcie warg, dotyk dłoni, odrobinę cięższych dzięki obrączkom, które wiążą nas czymś więcej niż tylko prawomocną przysięgą.

Wiążą nas krwią, obietnicą, bólem i duszą.

W przyszłości, która oczekuje na nas tutaj, w Heart's Edge.

\*\*\*

— OSTROŻNIE! PODRZESZ, jeśli będziesz...

— Kotuś, błagam. Przez ostatnie osiem godzin patrzyłem, jak brykasz w najbardziej seksownej sukience, jaką kiedykolwiek na tobie widziałem.

Wybacz pośpiech.

Jego szorstkie palce zabierają się do pracy. Jakimś cudem ściąga ze mnie sukienkę w jednym kawałku, bez rozdierania jej na strzępy.

Wchodzę w koronkowej bieliźnie w kolorze kości stoniowej prosto w jego ramiona i ciągnę za krawat.

— Na dobre rzeczy trzeba poczekać.

Warren uśmiecha się, w oczach błyszczą mu szelmowskie obietnice.

— Zaraz ci pokażę, co jest dobre, pani Ford. Obróć się, do cholery.

Jak mogłabym powiedzieć nie?

Trzy sekundy później pochylam się, a on zdiera mi majtki zębami.

Broda Warrena przesuwana się w górę między moimi udami, które zasypuje pocałunkami, które liże i kąsa, sprawiając, że staję się aż za bardzo świadoma, że nie on jeden cierpiął w czasie przyjęcia.

Od wielu godzin jestem mokra i spragniona. Cholernie gotowa, żeby znaleźć się pod moim mężem.

Może to hormony ciąży wszystko potęgują. Bez względu na wszystko, w chwili, w której moje nogi zaczynają się trząść, a z ust wymyka się głośny jęk, wiem, że to będzie szalona noc poślubna.

Warren rozstawia moje nogi szeroko i wciska głębiej twarz, by całować i pieścić językiem moje śliskie wargi sromowe. W kilka sekund rozsypuję się na kawałki, opadając górną częścią ciała na łóżko. Wyciągam ręce nad głowę i zaciskam dłonie na pościeli.

*Jasna cholera.*

— O tak. Tam! — dyszę, gdy Warren odnajduje moją łechtaczkę i zaczyna ją intensywnie lizać szerokimi pociągnięciami języka, niemal spalając mnie żywcem. — Warren!

Zwalnia tylko po to, żeby wypowiedzieć jedno zdanie — przyciskając mnie do swojej brody, każe mi ujeżdżać swoją twarz. Może jest przygnieciony moją wilgocią, ale nie ma najmniejszych wątpliwości, kto tutaj rządzi, kto steruje każdym okrucieństwem mojej rozkoszy, gdy ocieram się o niego mięśniami tak naelektryzowanymi, że aż boli.

— Kurewsko idealna cipka, Hay.

*Idealna cipka.* A on przypomina mi, że ma swój własny, idealny talent, polegający na wydobywaniu z niej śpiewu, kiedy robi mi dobrze ustami, doprowadzając do kurczowego, spazmatycznego orgazmu, który przedziera się przez moje ciało jak meteor, zaćmiewa mi umysł i sprawia, że oczy wychodzą mi z orbit i wzbijają się w siódme niebo.

O *cholera*. Jeśli tak zaczyna się pożycie, to zastanawiam się, czy w ogóle może być lepiej.

A ja myślałam, że ta noc, kiedy zasiał we mnie nasionko, była najbardziej namiętna.

Na wspomnienie o tym, z jakim ogniem, z jakim obłądkiem, z jaką furią nacierał na mnie wtedy swoim ciałem, mój orgazm przybiera na sile. Warren był tamtej nocy jak bestia, jak dzikie zwierzę, miażdżył mnie ciemnymi tatuażami i kłębowskiemi mięśniami. Jego zęby zatopiły się w moim barku, gdy jądra puściły, zalewając moje głębiny płynnym ogniem, zbyt potężnym, żeby mogła mu zaradzić pigułka, którą nabożnie przyjmowałam.

*Jezu.*

A teraz on przypomina mi dogłębnie, do jakiego szaleństwa mnie doprowadza, gdy otwieram siłą oczy, wciąż roztrzęsiona, i odwracam do niego głowę.

— Warren...

— Tak, tak, wiem. Widzisz coś, co ci się podoba. — Uśmiecha się pod nosem i zdejmuje garnitur, prezentując mi najbardziej wymowny striptiz.

To dziwne, wspaniałe uczucie patrzeć, jak zdejmuje z siebie najbardziej wytworne ubrania, jakie kiedykolwiek na nim widziałam, i odstania kryjącego się pod nimi dzikiego górala.

Nie mam wątpliwości. Bez względu na to, ile razy zobaczę go nago, *nigdy* nie znudzi mi się ten niesamowity, przystojny, ekstrawagancki mężczyzna.

Tak samo jak nigdy nie znudzi mi się to, co ze mną robi.

— Hay — mruczy, a jego pierwszy pocałunek jest jak delikatna fala ciepła.

Ugotowana. To właśnie ja. Ugotowana na miękko. Delikatna, ciepła, gładka, napalona jak sam Hades, gdy mój mąż zamyka mi usta w pocałunku, a potem bierze mnie całą.

To, czego nigdy nie mówi się o miesiącu miodowym, to że szybko mija.

Choć jestem pewna, że doświadczam właśnie najlepszego seksu w życiu

— jest po wszystkim w ciągu jednej pełnej uniesień nocy, która zdaje się chwilą. Ale należy ona do mnie i do niego, do męża i żony, dziś i zawsze.

Czuję Warrena na swoich wargach; jego język ściga mnie głęboko, wydobywając ze mnie urywane skomlenie.

Czuję Warrena na swoich sutkach; pieści je, aż staję się tylko rozedrganą, bezwonną masą.

Czuję Warrena między nogami; gdy bierze mnie na każdy możliwy sposób.

Jego członek wbija się we mnie tak słodko, że jestem poruszona do żywego. Jego pchnięcia są czystą siłą, grzechoczą moimi kośćmi — ten cudowny nacisk stali na mojej płynnej lawie. Na mnie, we mnie, głębiej i głębiej.

Podczas ostatniego razu jestem zgięta w pół, zatracona w kompletnym zachwycie. Usta mam zaciśnięte, a całe moje ciało się trzęsie. Kiedy on znów we mnie dochodzi, jestem pewna, że rozedrze mnie na strzępy. Moja cipka jest już na skraju wytrzymałości, ale nadal wyczekuje mojego męża.

— Warren — szepczę, zasysając dolną wargę. — Warren, proszę!

Zaciska palce na moim tyłku. Jego pchnięcia przyspieszają, pogłębiają się, tak nikczemnie blisko doprowadzenia mnie na szczyt. Ale nie chcę dojść tam sama.

— Naprawdę bardzo tego chcesz, kotuś?

— Nie, *potrzebuję!*

Wyczuwam, że uśmiecha się gdzieś za mną. Arogancki jak cholera, ale oczywiście nie pragnęłabym, aby było inaczej. Jeśli jest coś, z czego Warren Ford czerpie prawdziwą przyjemność, to jest to wydzieranie duszy z mojego ciała za pomocą seksu, a potem ponowne składanie wszystkich kawałków w jedną całość pocałunkami.

— Kurwa — warczy, a jego głos jest o oktawę niższy, co stanowi moje jedyne ostrzeżenie. — Kurwa, dawaj! Szczytuj na tym fiucie, który już na zawsze należy do ciebie.

I w ten oto sposób jest po mnie.

Całe moje ciało się wypręża, gdy Warren wydobywa z siebie taki jęk, jakby świat się kończył. Nasze ciała przyciskają się do siebie, splątane, a jego

fiut pęcznieje w mojej głębinie. A potem jest już tylko moja cipka, zaciskająca się na nabrzmiewającym wzwodzie, wyzymająca go do sucha —

dwa kłębki zakończeń nerwowych zanurzonych w jedności i podpalonych.

Do diabła?

Nie, to niebo. Nirwana. Raj.

Rozżarzona do białości fala, która nas porywa. Warren, opróżniając się we mnie, doprowadza mnie do tak silnego orgazmu, że nogi trzęsą mi się mocno, aż zaciskam szczęki, tłumiąc okrzyki, które chcą się ze mnie wydobyć.

Dzięki Bogu.

Bo ostatnie, czego nam trzeba w noc przed wylotem do Cancun, to głośne, wściekłe skargi z innych domków na terenie pani Wilmy.

Wciąż jestem kotłowaniną żaru, drżących kończyn i słodkich wspomnień, gdy wpadam w jego ramiona, w jego pocałunki. Całujemy się przez dobrą, długą chwilę, delektując się wspomnieniem cudownego seksu.

— Boże. To było... Miałam niemal wrażenie, że to być może nasza ostatnia wspólna noc, Warren.

Uśmiecha się szeroko.

— Praktyka czyni mistrza, kotuś. Mamy przed sobą całe życie, żeby pieprzyć się do nieprzytomności.

Przewracam oczami i klepię go po piersi.

— Dzięki, Szekspirze. Jak romantycznie.

— Potrzebowałam czegoś gównianego na początek, Hay. Zrozumiesz, jak zobaczysz swój prezent ślubny.

Ściągam brwi. Wciąż uśmiechnięty, bierze mnie za rękę, a potem opiera się o zagłówek i kładzie ją sobie na piersi.

— Tutaj, maleńka. Wiem, że jest ciemno, ale... poświata księżycy wystarczy. Moje oczy potrzebują kilku sekund, żeby odzyskać ostrość widzenia.

A potem to widzę.

Tuż nad płątaliną kwiatów i mozaiką motywów Armii Stanów Zjednoczonych na piersi znajduje się nowy tatuaż. *Niespodzianka*.

Słowa HALEY ERICKA FORD i data naszego ślubu. Obok dużego NA ZAWSZE ozdobionego wzorem płomieni.

Jestem tak poruszona, tak przejęta, tak rozczulona, że... Że nie jestem w stanie się odezwać.

— Kiedy? Kiedy znalazłeś czas, ty kochany, szalony, absurdalny człowieku? Nie mogę uwierzyć w to, że...

— Uwierz, kotuś. Twoje imię jest drugim i ostatnim, jakie kiedykolwiek uhonoruję miejscem na swojej skórze. Dziś stałaś się częścią mnie, Hay. Częścią mnie na zawsze, dokładnie tak jak jest tu napisane.

*Brak słów.*

Nie mam słów, które mogłabym podarować temu cudownemu mężczyźnie.

Więc tylko muskam palcami jego brodę, zachwycona jej delikatnym kluciem, i całuję go aż do świtu.

## EPILOG NIEDOSKONAŁY MAŻ (WARREN)



*Kilka lat później*

**D**ociera to do mnie dopiero, kiedy kładę dłoń na zimnej, kamiennej płycie.

— Dziś bez kwiatów. Przyszedłem tylko pogadać — mruczę.

Potrzebna mi chwila. *Chryste*.

Nigdy nie jest łatwo, ale dziś? Dziś jest po prostu strasznie.

Bo słowa, które usiłuję wydobyć się z mojego gardła, szarpią mnie jak gorąca smoła wpuszczona w gniazdo szerszeni. Czy to naprawdę możliwe?

Czy ten syf nareszcie — *nareszcie* — się kończy?

— Dorwali go, siostrzyczko. Ostatni człowiek Stew nie żyje. Gnojowi podcięto gardło w zeszłym tygodniu, kiedy przynosili go do więzienia w Susanville. Konkurencyjna ekipa, ludzie z jakiegoś gangu motocyklowego czy coś w tym stylu, których Stew wkurzył, gdy przewoził swoje gówno na zachód od Spokane, zanim go unieszkodliwiliśmy. Ale chyba już to wiesz, co?

Znów potrzebuję chwili.

Ostatni brudny ślad po moim dawnym przyjacielu, moim demonie, zabójcy mojej siostry, naprawdę *zniknął*.

Nie chcę być źle zrozumiany.

Śmierć, którą poniósł Stew, spadając z urwiska, już lata temu zażegnała niebezpieczeństwo. Ale patrzeć na to, jak cała jego brygada współników i pomocników idzie za kratki, było nawet lepsze.

Sprawiedliwości w miasteczku stało się zadość — wobec każdej osoby kiedykolwiek zatrutej syfem, który Stew tu sprowadził. Moją kobietę uszczęśliwiła świadomość, że wszyscy siedzą w więzieniu, skąd już nigdy nie skrzywdzą ani jej, ani Tary, ani nikogo innego.

Szczerze mówiąc, poćwiartowanie całej działalności Stewarta zapewniło mi wreszcie spokojny sen. Przestałem czuć potrzebę rozpadania się na kawałki czy też wysiedlania szczęśliwego życia, które wiodłem z Hay, odkąd jej świat stał się moim światem.

Mimo to w głębi duszy, nawet przeżywając najlepsze chwile w życiu, coś we mnie nie mogło *znieść* każdego kolejnego oddechu, który ci dranie wykradali z powietrza.

Więc patrzyłem. Czekałem. Słyszałem opowieści o pierwszych sześciu zamordowanych przez licznych wrogów, których sobie narobili. Został jeszcze siódmy gnój, potężny drab zwany Brice. To on przetransportował wiele kilogramów koksu przez kilka stanów i zniszczył życie niezliczonej liczbie ludzi.

Teraz Brice gryzie glebę razem ze Stew i z resztą szumowin, a wszyscy oni będą musieli stanąć przed większym sędzią.

Jasne, w obliczu całości tego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich lat, mam wrażenie, że Stew zginął pół życia temu.

Mozart nie jest już chyba jedynym stworzeniem o tysiącu żyć, zważywszy na szaleństwo, które zważyło się na nasze miasto od czasu mojej ostatecznej rozgrywki na krawędzi urwiska.

Doc i jego cholerne tajemnice. Jeszcze więcej zabawy niż z tym jego cholernym zoo, które prowadzi w swojej klinice. Ten podstępny doktor Dolittle, lubiący nabierać wody w usta, beze mnie nie zaszedłby tak daleko.

Blake i bajzel na kótkach, jaki miał ze swoją córką. Przyszedłem z pomocą i wyciągnąłem go z opałów, jak zawsze robią bracia. Być może nauczył mnie co nieco o dzieciach i nigdy nie zapomnę rady, jakiej mi udzielił na temat nastolatek.

A Dziewiątka... Dziewiątka jest wyjątkowym rodzajem popieprzenia, które niemal zamieniło Heart's Edge w dymiący krater. Cholera, nie, dziś *nie* będziemy w to wnikać.

Każdy człowiek na tym padole ma własną historię.

Przesuwając palce wzdłuż wrytego w kamieniu napisu JENNA FORD, przypominam sobie własną.

Wiem, jak ponure, przerażające i przygnębiające bywają niektóre rozdziały. Podobnie jak wiem, co zrobiła pewna dobra kobieta, by ocalić moją duszę, i jak mocno człowiek musi walczyć o swoje szczęśliwe zakończenie.

Chłodna bryza przemyka mi po plecach, każąc podnieść wzrok i odgarnąć włosy z oczu.

Może z wiekiem staję się coraz bardziej niedbały, skoro daję im trochę urosnąć.

Mam szczęście, bo Hay mówi tylko, że tak jest bardziej seksownie; powtarza, że powinienem zawsze nosić taką fryzurę.

Dzień jest piękny, mimo popieprzonej zawieruchy w moich żyłach, która zaciska mi dłonie w pięści.

Wiatr wieje mi w plecy i zawsze tak będzie. Przed sobą w górze widzę słońce, podnoszące się nad odległymi szczytami, rzucającymi ładne cienie na mały cmentarz, który moja siostrzyczka obrała sobie za dom.

Nie zdaję sobie sprawy z tego, że się uśmiecham, póki nieodparta potrzeba, żeby pozbyć się tego grymasu parsknięciem wstrząsa mną do głębi.

— Tak, tak, tutaj wszystko jest dobrze. Mam się czym zająć. Uszczęśliwianie żony i dwóch małych smarków to wszystko, o co można prosić, prawda? — To pytanie, które nie ma odpowiedzi. Naprawdę. — Pokochała-byś ich, Jenno. Cholera, czasem mi się wydaje, że dzięki nim babcia zrobiła się o kilka lat młodsza. Czasem za nią nie nadążam, kiedy zajmuje się dziećmi. Martwiłem się, gdy zrobiła krok w stronę emerytury...

To nie jest kłamstwo. Myślałem, że zacznie ją nosić po tym, jak kawałek po kawałku rezygnowała z zarządzania zajazdem — zakładając, że nie za-dziobie mnie najpierw na śmierć za to, że umykały mi codzienne drobiazgi.

Dziś to miejsce całkowicie stanie się moją własnością.  
A przekazanie warty przebiegło zdumiewająco płynnie. Stopniowo.  
Babcia zaś podchodzi do emerytury z gracją, będącą znakiem firmowym starszych kobiet z rodu Fordów.

Znów podnoszę głowę, słysząc szum drzew.

— Tak. Sama to powiedziałaś, siostrzyczko. Babci nie można pokonać.

Jest duża szansa, że będziesz musiała trochę zaczekać, zanim znów ją zobaczysz.

Moja dłoń wędruje w górę nagrobka, chwyta się krawędzi i ścisza mocno.

— Wiesz już o człowieku od Stew. Nie dlatego tu jestem. A przynajmniej nie tylko dlatego. — Wciągam ostro powietrze, napętniając płuca delikatnym górskim powietrzem, za każdym razem coraz chłodniejszym i bardziej orzeźwiającym. — Doc znalazł to w zeszłym tygodniu. Nie pytaj jak ani w jaki, do licha, sposób ten człowiek w ogóle dokonuje tych swoich dziwnych rzeczy. Proszę...

Sięgam do kieszeni i szukam w niej czegoś przez chwilę. A potem to wyciągam, przyciskam lodowato zimny metal do dłoni, użyczając mu nieco własnego ciepła, zanim kładę go na trawie u stóp nagrobka.

— To pierścionek. Bress miał zamiar ci się oświadczyć po waszym powrocie do domu. To znaczy, zanim wszystko się spieprzyło. Ale ty to wiesz.

Zawsze wiesz. Pewnie usłyszałaś o tym z jego własnych ust, gdziekolwiek jesteś. — Urywam, żałując, że gadam jak kretyn.

Ale z drugiej strony fakt, że przychodzę tu co roku porozmawiać z moją od dawna nieżyjącą siostrą, pokazuje, że granica między cikliwą nostalgią a egoistyczną głupotą jest bardzo cienka.

— Uznałem, że i tak powinnaś go mieć — mruczę. — Zastugiwałaś na coś więcej. Podobnie jak Dennis, nawet jeśli popełnił kilka błędów.

Mówię to absolutnie szczerze.

W ciągu ostatnich lat długo i intensywnie się nad tym zastanawiałem.

Nie mogę winić Bressa. Podobnie jak każdy z nas wpadł w sidła tego wariata, któremu wszyscy ufali.

Później dowiedziałem się, że próbował zrobić Stew, nawet znalazł na niego haka dzięki Grizzlies MC. Niestety gnój zagroził, że zrobi krzywdę jego dziecku, więc musiał się ugiąć i wszystko odwołać.

— W zeszłym tygodniu minęło osiemnaście lat, Jenno. Powiedziałbym: spoczywaj w pokoju, jak zawsze to robię — mówię, a moje słowa zamieniają się we wściekłe dudnienie. — Ale oboje wiemy, że za każdym razem, kiedy przychodziłem tu z tymi słowami, nic dobrego z tego nie wynikało.

Dopóki nie zjawiała się Haley. Wydaje mi się, że maczałaś palce w tym, że pojawiła się w moim życiu, a przynajmniej mam taką nadzieję. Więc pozwól mi tylko podziękować, zanim sobie pójdę. Dzięki, siostrzyczko. Dziękuję za wszystko. Niech ci ziemia lekką będzie.

Z moją krwią miesza się zbyt wiele czystej konsternacji. Zaczynam delikatnie wrywać trawę przed jej nagrobkiem, odstawiając dwa czy trzy centymetry ziemi, żeby ułożyć pierścionek w małym zagłębieniu i znów go zasypać.



Coś kłuje mnie w środku mocniej niż wcześniej, gdy wstaję, przytrzymuję się nagrobka i składam na jego szczycie szybki pocałunek.

A potem się rozglądam, żeby sprawdzić, czy nikt przypadkiem tego nie widział, i wiem, że czas się zbierać.

Jestem żonatym mężczyzną. Jestem ojcem. Jestem właścicielem firmy.

Żywięm, oddychającym człowiekiem, starającym się przeżywać każdy dzień tak, jak chciałaby tego Jenna.

Smutno przyznać, ale samo to, że ona życzyła mi zawsze jak najlepiej, nie wystarczało.

Jednak odnalazłem swoje „wystarczy”, na Boga.

Odnalazłem je w dniu, w którym ta słodka, ponętna, nieokiełznana kobieta-tornado wysiadła ze swojego zepsutego mustanga i wkroczyła prosto w szaleństwo, które uczyniło z nas męża i żonę.

Od tego czasu każdy dzień był błogostawieństwem.

Każdy. Cholerny. Dzień.

Nawet kiedy wściekaliśmy się na siebie albo umieraliśmy ze strachu o swoje życie.

Bo teraz powroty do grobu Jenny wyglądają już inaczej. To ostateczny dowód na to, że czasy się zmieniają, jak to mówią.

Nie wspominam już minionych chwil.

Opowiadam o teraźniejszości, o przyszłości, o każdym dniu, jaki mam szczęście spędzać w świętym węźle małżeńskim z ukochaną Hay.

A skoro o niej mowa, to spóźnię się, jeśli zaraz się stąd nie ruszę. Muszę wstąpić do sklepu budowlanego po dodatkową farbę, żebyśmy mogli skończyć mały projekt, którym się zajmujemy.

Czeka na mnie. A ja obecnie nigdy nie spóźniam się do domu.

\*\*\*

NIGDY NIE SĄDZIŁEM, że doczekam dnia, w którym przejmę Uroczysko na własność, a babcia nie będzie się wtrącała.

Ani że zrobię to z radością, zważywszy na to, że nigdy nie wyobrażałem sobie, że tak będzie wyglądało moje życie.

Czasem coś po prostu się wydarza. Nie idzie zgodnie z wyobrażeniami, co wcale nie oznacza, że nie idzie *dokładnie* tak, jak powinno.

A okazuje się, że to, czego potrzebowałem, to Hay, która naprostuje mój dumny łeb.

To życie — spokojne i stateczne, z dala od zbirów i przemocy związanej ze ściganiem zbiegów — podczas którego największym problemem co-dzienności jest pilnowanie, aby pijani studenci na wakacjach nie zbili nam szyb w oknach, na przemian z podliczaniem dziennego utargu.

Na froncie domowym jest spokojniej, na całe szczęście.

Nawet stary Flynn Bitters zrobił się dość pomocny, odkąd zająłem miejsce babci.

Od kiedy wstąpił do kościelnego programu, ma łeb na karku i pomaga mi prowadzić zajazd. Niemal rekompensuje tym wszystkie te lata, które spędził na

oszukiwaniu, dogryzaniu mi i na tak ostrym chlaniu, że sam niemal doprowadził do swojego zwolnienia więcej razy, niż jestem w stanie zliczyć.

A teraz? Widzę nowego człowieka. A on zdecydowanie nie jest jedyny.

Poza tym ugania się za chuliganami z uniwersytetu wydaje się łatwe, i to nie tylko za sprawą przygód, które przeżyłem z kumplami.

Może dlatego, że moje własne dzieciaki są małymi, cholernymi *po-tworami*.

A obecność ich starszej kuzynki, Tary, tylko je nakręca. Trudno uwierzyć, że kilka lat temu ledwie odrastała od ziemi. A teraz? Widzę słodką, mądrą, nieśmiałą dziewczynę, która zaczyna rozkwitać. Za rok czy dwa chłopaki zaczną dobijać się do jej drzwi i pewnie wtedy mogę się spodziewać częstszych wyjazdów do Seattle, żeby mieć na nią oko. Jej starszerek to świetny gość, ale jest zdecydowanie zbyt miły.

— Hej! — Słyszę wołanie Haley z holu.

Stoję na balkonie na piętrze i balansując na drabinie, kończę poprawki malarskie narożnych fresków przy suficie. Przytrzymuję się mocno jednej z krokwi, gdy mały Cody i Jenna przemykają przez hol i wbiegają pędem po schodach, zmierzając prosto do mnie.

Tara tupocze za nimi, afektowana nastolatka pełną gębą, ale szelmowski błysk w jej oczach mówi, że to ona zaczęła tę zabawę i że ani trochę tego nie żałuje.

Kot drepcze za nimi, unosząc wysoko rudy ogon. Mozart zatrzymuje się, zerka na mnie ciężko, jakby chciał powiedzieć: „Proszę, War. Jestem ponad tym wszystkim — a jak *mi* powstrzymasz przed ucieczką?”.

Potem zjawia się Haley, wlecze się za nimi i odgarniając włosy z twarzy, sapie poirytowana z rękami na biodrach.

Cała jest umazana farbą, aż nazbyt znajomy widok.

Znów musiała być w pracowni. Wystawa w Portland zbliża się wielkimi krokami, a podczas oczekiwania na nowy pokaz w przyszłym miesiącu Hay musi być gotowa, żeby za dwa tygodnie wystać obrazy specjalnym transportem.

Więc zasadniczo jestem sam z dziećmi, a mamusia co jakiś czas, raz na kilka dni, wychodzi zaczerpnąć świeżego powietrza, mrugając oczami tak, jakby światło słoneczne sprawiało jej ból.

Teraz znów to robi, mruży oczy w ten swój uroczy sposób, jakby pytała: „Czy to jest prawdziwy świat?”, wrzeszcząc przy tym:

— Cody Michaelu Fordzie i Jenno Wilmo Ford, natychmiast przestańcie!

Nasz czteroletni synek i jego trzyletnia siostrzyczka zamierają na schodach z szeroko rozwartymi oczami. Zaciskają usta, bo bardzo starają się nie roześmiać, i rzucają sobie nawzajem pełne skruchy spojrzenia.

Tara jednak parska śmiechem bez oporów, siada na schodach, krzyżując nogi w kostkach, i patrzy z góry na Hay.

— Mnie nie kazałaś przestać, ciociu — rzuca śpiewnie, wystawiając język.

— Bo ty powinnaś być mądrzejsza, młoda damo — mówi Haley, wchodząc na schody, by usiąść kilka stopni poniżej naszych dzieci. — Ale te małe stworki...

Cody i Jenna opadają na schody z chichotem, znów wymieniając figlarne spojrzenia.

— Bawiliśmy się w wyścigi do taty! Kto wygra, dostaje przytulasa.

— No cóż — odzywam się. — Tata nie lubi, jak biegacie, kiedy jestem na drabinie, ale ponieważ to nasza zabawa... — Zeskakuję ze szczebelek, wrzucam pędzel do podstawionej w tym celu puszki i idę w kierunku schodów.

Przyklękam na jedno kolano i otwieram ramiona. — Wszyscy wygrywają. Chodźcie na przytulasy.

Zaraz potem trzymam w objęciach dzieciaki, którym nie przeszkadza, że jestem równie usmarowany farbą, co ich mama.

Tara ociąga się, patrząc niepewnie, ale ja uśmiecham się do niej szeroko.

— Co jest, małolato? Myślisz, że ciebie nie miałem na myśli? Chodź i daj wujkowi cholernego przytulasa.

— Oplota za brzydkie słowo, wujku — mówi. — Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. — A potem z szerokim uśmiechem przykleja się do mnie, aż czuję się jak stratowany przez miot szczeniaków.

Ze śmiechem udaję, że mnie przewracają. Pozwalam, żeby się na mnie wdrapali, oblepili mnie, przytulili i pogrzebali pod małymi rączkami.

Cholera, patrzcie na mnie. Czuję ucisk w piersi; to uczucie sentymentalnego szczęścia jest tak prawdziwe, że przypomina trochę złamane serce.

Trudno uwierzyć, że tak wygląda moje życie w tym mieście z najlepszą kobietą pod słońcem.

Trudno uwierzyć, że kiedyś czułem taką pustkę, a teraz wszystko jest pełne światła, miłości i życia.

I czuję tę miłość, gdy unoszę głowę i widzę, że moja śliczna żona patrzy na nas z czułością, a jej piękne, jaszczurkowe oczy łagodnieją i zachodzą łzami.

— Znajdzie się miejsce dla mnie? — pyta.

— Zawsze, Hay. — Przesuwam gromadkę małych smarków i wyciągam do niej rękę. Haley natychmiast wciska się w zgięcie mojego łokcia i opiera głowę na moim ramieniu. Całuję ją we włosy. — Teraz lepiej.

Wszystko, co moglibyśmy sobie powiedzieć, ginie, bo Cody i Jenna rzucają się na nas, żeby małpować to, co robi tata: zasypują pocałunkami policzki swojej mamy.

— Kochamy cię, mamusiu — oznajmia Jenna z szeroko rozwartymi, niebieskimi oczami, a Cody potwierdza stanowczym kiwnięciem.

— Najbardziej na świecie.

Haley wzdycha w udawanym szoku.

— Niemożliwe. Bardziej niż czekoladę?

— Bardziej niż czekoladę! — sepleni Cody.

— Bardziej niż lody? — dodaję, na co Jenna kiwa z powagą głową.

— Bardziej niż lody.

— Przykro mi. Ja chyba wolę lody — oznajmia Tara, na co wszyscy wybuchają śmiechem.

— Ty po prostu lubisz robić wszystko na przekór, kiciu. Wyrośniesz z tego — mówi Hay i dźga lekko siostrzenicę palcem. — A skoro mowa o czekoladzie i

lodach... Kto chce jechać do miasta na deser lodowy?

Pochylam się i mruczę jej do ucha.

— Mamy czas?

— Pewnie. To może być ostatni dzień, w który uda nam się wyrwać przed rozpoczęciem wakacyjnego szczytu — odpowiada, szepcząc mi prosto do ucha, i nawet teraz muśnięcie jej oddechu przeszywa mnie dreszczem.

— Jutro rano przyjeżdża cały autobus japońskich turystów, pamiętasz?

Cholera, ma rację. Będziemy musieli nawet poprosić Flynna, aby po-bawił się w przewodnika po mieście, żebyśmy zdążyli przygotować się na wystawę Haley w Portland.

— A zatem niech będzie czekolada, lody i deser — mówię i szturcham dzieciaki. — No dobra, wstajemy. Wszyscy idą myć ręce.

Gdy się oddalają, pozostawiając mnie i Hay samych, oboje odprowadzamy ich wzrokiem, a potem Haley wzdycha i kręci z uśmiechem głową.

— Wow. To naprawdę są nasze dzieci. Czasem trudno w to uwierzyć...

— W co? Że sprawiają kłopoty? — Szczęzę się w uśmiechu.

— Żebyś wiedział. — Przytula się do mnie, obejmując mnie ręką w pasie.

— Oboje jesteśmy brudni od farby i też musimy doprowadzić się do porządku. Więc skoro mamy dwie sekundy wolności od dzieciaków, to może sami też powinniśmy narobić trochę kłopotów.

Warczę, czując, jak moje ciało ogarnia fala gorąca.

Tak mało czasu spędzamy tylko we dwoje, że myśl o Haley pod prysznicem, o kropkach wody na jej skórze, wyczynia potworne rzeczy z moim fiutem.

— W ten sposób dorobiliśmy się dwójki dzieci, kotuś.

— Wiem. — Uśmiecha się szeroko, splatając nasze dłonie, i podciąga mnie do góry. — Chodź. Zabierzmy się za robienie trzeciego.

Do diabła. Nie musi mi dwa razy powtarzać.

Biegnę za nią bez wahania, gdy ciągnie mnie do naszej sypialni i zamyka drzwi na klucz. Mamy dziesięć płomiennych minut dla siebie, zanim dzieci zorientują się, że nas nie ma, i zaczną nas szukać.

Kurwa.

Mimo upływu tylu lat, dwójki dzieci i stabilizacji... ona wciąż potrafi jednym spojrzeniem, jedną sugestią rozpalić mnie do czerwoności.

Nie potrafię sobie wyobrazić, że kiedykolwiek miałbym przestać jej pragnąć. Nie potrafię sobie wyobrazić innego życia. Wnieśliśmy opłatę w piekło za ten raj, a ja zamierzam wycisnąć z niego każdą słodziutką kroplę.

Bo nie wyobrażam sobie swojego świata bez mojej Hay.

I do końca naszego życia nie będzie ani jednego dnia bez niej.

## O NICOLE SNOW

O NICOLE SNOW jest autorką bestsellerów z list „Wall Street Journal” i „USA Today”. Odnalazła swoją miłość do pisania, gdy tworzyła sceny miłosne podczas przerw na lunch i planowała wielką ucieczkę z sal posiedzeń. Jej twórczość wskoczyła z przytupem na scenę niezależnych romansów w 4 roku serii *Grizzlies MC*.

Od tego czasu Snow dąży do perfekcji w tworzeniu burkliwych samców alfa o złotym sercu, niewiarygodnego suspense i mnóstwa poruszających do żywego scen.

Lubisz już jej powieści? Wejdź na [nicolesnowbooks.com](http://nicolesnowbooks.com), żeby zamówić newsletter, i połącz się z nią w mediach społecznościowych.

Masz pytania lub uwagi do jej pracy?

[Pisz śmiało na nicole@nicolesnowbooks.com](mailto:nicole@nicolesnowbooks.com).

Dziękuję za lekturę. I proszę, pamiętaj, żeby szczerze wyrażać swoją opinię! Dla pisarki do największa pomoc.